

MAŁE MIASTA
DOM POLSKI
WE WSPOMNIENIACH

ACTA COLLEGII SUPRASLIENSIS

Tom XXX

Redakcja Akt

Radosław Dobrowolski
Marek Tołoczko
Mariusz Zemło

Współpraca

Zakład Socjologii Wiedzy i Edukacji
Uniwersytet w Białymstoku

Miejski Ośrodek Kultury
w Dynowie



Małe Miasta
Dom polski
we wspomnieniach

Redakcja
Mariusz Zemło

Białystok – Dynów – Supraśl
2021

Recenzje
prof. dr hab. Janusz Mariański
dr hab. Andrzej Tarczyński, prof. UKW

Projekt okładki
Zespół *Collegium Suprasliense*

Redakcja
Teresa Jabłońska

Redakcja techniczna i skład
Stanisław Żukowski

© Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2021

© Copyright by Stowarzyszenie *Collegium Suprasliense*, Białystok 2021

ISBN 978–83–7431–682–8

Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku
15-328 Białystok, ul. Świerkowa 20 B, tel. 857457120
<http://wydawnictwo.uwb.edu.pl>, e-mail: wydawnictwo@uwb.edu.pl

Druk i oprawa: MzGraf

Spis treści

Słowo wstępne	7
Dom – wspomnieniowo	
Anna Podlecka Praktyki religijne XVII-wiecznego szlachcica w Rzeczypospolitej podczas największych świąt kościelnych	15
Maria Baraniecka-Witkowska Ziemiański dwór w małym galicyjskim miasteczku	35
Maria Libiszowska-Żółtkowska Dom inteligencki z tradycją ziemiańską w tle – esej wspomnieniowy	59
Krystyna Romaniszyn Dom (nie)utracony	77
Eugeniusz Sakowicz Dom polski utracony	101
Stanisław Remiszewski Dom Polski na wygnaniu w Kazachstanie	117
Marzena Sylwia Kruk Dom pogranicza. Rodzina drobnoszlachecka na pograniczu polsko-ukraińskim w dramatycznych odmianach historii	137
Krystyna Maria Dżuła Dom polski na wsi – okruchy dziecięcych wspomnień	151

Wiesława Rybka	
Tradycje futomskiego domu	169
Elżbieta Michalska	
Ten stary dom	179
Walenty Kotula	
Atmosfera domu rodzinnego i rola w niej matki – wspomnienia sprzed ponad pół wieku mieszkańca Głogowa Małopolskiego	183
Anna Leska	
Archetyp domu polskiego w przemianach pokoleniowych na przykładzie mojej rodziny	197

Dom w artystycznej oprawie

Elżbieta Kozłowska-Świątkowska	
Do tego domu przychodzę tylko we śnie... ..	213
Kazimierz Kondrat	
Poetyka domu – chata wiejska jako tekst	237
Ewelina Szumska	
W poetyckim domu Adama Ziemiańnika (O tomiku <i>Wypogadza się nad naszym domem</i>)	255

O domu z refleksją

Ewa Polak-Pańkiewicz	
Stół w polskim domu w tradycji i obyczaju dawnej Polski	275
Maria Przelomiec	
Dwór szlachecki jako archetyp polskiego domu, czyli: co nam zostało z tych lat?	297
Tadeusz Sakowicz	
„Bitwa o dom polski” czy „walka z polskim domem” – dylematy rzeczywistości społecznej	307
Jerzy Binkowski	
Stolicą ich serca była Polska	347

Słowo wstępne

Namysł dotyczący wybranego przedmiotu może przybierać różne formy. Może być prowadzony z zachowaniem najwyższych rygorów naukowości, innym razem może przypominać luźne dywagacje bez zachowania ściśle wyznaczonych reguł – jak to często bywa podczas swobodnych dysput, np. w rozmowach o wakacjach. Między tymi, wydaje się, biegunowo odmiennymi ujęciami opisu jest cała paleta pośrednich sposobów, które także obecne są w dochodzeniu jednostek do rozpoznania interesującego ich skrawka świata.

Współczesny człowiek nadzwyczaj wysoko ceni sobie podejście naukowe. Według ogólnie funkcjonującego mniemania zapewnia ono najwyższe standardy poznawcze: opisuje w ostrych pojęciach badany przedmiot – nie pozwalając na wieloznaczność i rozmycie; przykłada precyzyjne miary do identyfikacji cech mu przysługujących, przeprowadza ściśle klasyfikacje jednoznacznie przyporządkowujące elementy badanej materii do wyodrębnionych zbiorów; znajduje logicznie związki między zestawianymi zmiennymi, bezbłędnie wskazuje przyczyny badanych stanów rzeczy itd., itd.

Takie naukowo-pozytywistyczne podejście mimo wielu zalet ma także sporo słabości. Nie jest bowiem w stanie uchwycić faktów nie pozwalających się doświadczyć zmysłami, nie potrafi wejść w materię nie mieszczącą się w scien-

tystycznych ramach, nie radzi sobie z subtelnością sfery ulotnych doznań i relacji itd. A zatem pozostaje wielki obszar faktów, które wymykają się możliwościom naukowych ujęć. I co z „tym fantem” zrobić? Uznać je za coś, co nie istnieje? Czy – przyjmując nieco łagodniejszą wersję – potraktować jako coś, w co nie warto wkładać wysiłku poznawczego?

Być może w odniesieniu do pewnych obszarów zabieg tego typu jest możliwy do zastosowania i nawet może przynieść w miarę zadowalające efekty. Co zwłaszcza wówczas nastąpi, gdy będzie przyjęty pragmatyczny punkt widzenia. Jednakże są rodzaje faktów, co do których wspomniane podejście jest z góry skazane na poznawcze fiasko. Nade wszystko dotyczy to spraw głęboko angażujących człowieka emocjonalnie. Opisanie chemicznymi wzorami zmian organicznych wówczas nawet odrobinę nie przybliży do prawdy o uczuciowych związkach, jakie wytworzyły się wokół badanego zjawiska. Podobnie rzecz ma się z tym, co pozostaje „pomiędzy” sferami doświadczanymi zmysłami. Na elementy umykające takiej konwencji poznawczej doskonale uwrażliwia krótka wzmianka o rodzinnym domu Jana Bułhaka, w której zauważa się rozterkę i zarazem rozdarcie między naukowym a „nienaukowym” stanem świadomości – choć takie przesłanie zupełnie nie było intencją autora cytowanych niżej słów: „Czy ja rozumiałem wówczas, patrząc na kuliste zadrzewienia jakiejś siedziby i pieszcząc oczami jej wdzięczne zarysy, że jest coś daleko ważniejszego od zewnętrznego piękna dworu – jego dusza, swoiste połączenie prostoty i szlachetności, poczciwej pracy i godnego wytrwania, które go ożywia i uświęca. Czy ja wiedziałem, że wśród tych drzew wiekowych będzie się kiedyś szukało mocą marzenia i wspomnienia – DOMU, gniazda rodzinnego, ogniska na kominku, lampy nad stołem, cieniów ojca i matki?...”¹

¹ J. Bułhak, *Kraj lat dziecińczych*, Gdyńska Oficyna Wydawnicza „ASP RYMUSZA”, Gdynia 2003, s. 9.

Dopiero po uznaniu za słuszne stanowiska stwierdzającego, że „czucie i wiara silniej mówi do mnie/ Niż mędrca szkiełko i oko” przed nami roztoczy się obraz świata, którego bogactwa nie jesteśmy w stanie doświadczyć przy pomocy zbyt unaukowionych procedur i konwencji.

Takoż i w tym tomie Małych Miast znalazło się miejsce na ujęcia domu nie w konwencji neutralnego (czyli obojętnego) obserwatora, starającego się jak najbardziej zobiektywizować odtwarzany wizerunek „polskiego gniazda”, lecz na relacje narratorów sercem związanych z przedmiotem snutej refleksji i sercem odczytujących jego cechy. W większości są to opowieści autorów o ich rodzinnych zaciszach lub sprawach z nimi organicznie się wiążącymi. Te wypowiedzi mają charakter wspomnień, niejednokrotnie przekazywanych w poetyckiej formule.

Na wspomnienia przyjść musi odpowiedni czas. Do tego trzeba dojrzeć. Jednym z ważnych symptomów nadejścia pory na zwierzenia – czynione innym lub wobec siebie samego – jest utrata przedmiotu będącego celem wydobycia go z mroków świadomości przysypanej nowszymi wydarzeniami, zajęciami czy troskami. Nie każdy przedmiot z przeszłości wystarczająco porusza i motywuje do wydobycia go spod kolejnych warstw doświadczeń. Są rzeczy, o których wolelibyśmy, aby pamięć bezpowrotnie przepadła w unicestwiającej otchłani. Ale są i takie, że co jakiś czas domagają się zatrzymania, obejrzenia się za siebie i wypowiedzenia się o nich. Niekiedy jest to jedynie szept delikatnie poruszający naszą czujność, a innym razem wyraźny i stanowczy głos zmuszający do mobilizacji i udzielenia konkretnej odpowiedzi. Takie przedmioty zazwyczaj są związane z przyłgnięciem gorącym uczuciem do minionego. Jednakże, by mogło dojść do autentycznego zaangażowania się w akt wspomnienia, niezbędne jest odpowiednie nastawienie. W osobie poruszonej takim przypomnieniem musi być wzbudzona tęsknota za umiłowanym przed-

miotem wynikająca z przeświadczenia o wielkiej wartości utraconego dobra. Ale i przeświadczenie, że nie da się go pozyskać ponownie, jako czegoś żywego i autentycznego zarazem, lecz że jest ono możliwe do wskrzeszenia jedynie wysiłkiem osobistych przypomnień – jako konstrukcja wtórna – wypowiedziana w słowach, będąca jedynie próbą (często nieudolną) ożywienia tego, co bezpowrotnie minęło. W tenże sposób wieszcz Adam „tłumaczy się” z podjęcia wyprawy w krainę młodzięńczych doznań na samym wstępie narodowej epepei. Na potrzeby niniejszej publikacji można jego strofy nieco sparafrazować i także umieścić we wstępie do książki, by wzorem mistrza rozpocząć wypowiedzi przynoszące pamięć:

Domu mój! Polski! Ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Nie tylko Mickiewicz, Meysztowicz, Konopnicka, Ciecierski, Bułhak, Chrzanowski i cała plejada ludzi wielkiego pióra przynależących do pokoleń, których ziemski czas przeminął, wspomnieniowe przywoływanie świata bezpowrotnie odchodzącego traktują jako odpowiedź na wezwanie docierające do nich, skądś, z innego wymiaru. Także i reprezentanci współczesnego pokolenia chcieliby dać świadectwo szlachetnych kosztowności, które pod sercem skrywają jako najcenniejszą relikwię... Zapewne wielu z piszących w tym tomie podpisałoby się pod słowami artysty plastyka, syna nowogródzkiej ziemi: „Niszczaje, zapada się w otchłani cały dawny świat, zwany europejskim i romańskim... Giną z nim razem i moje skarby, które cząstkę tego świata stanowiły: ojczyzna, ziemia rodzinna, dom. Ze wszystkiego, co ludzkie, drogie i własne, nie pozostało mi nic, prócz wspomnień i te wspomnienia stanowią jedyne uzasadnie-

nie mego trwania, jedyny sens życia w obliczu nieznanego, groźnego jutra (...)”²

Nie mogę się oprzeć pragnieniu, by na zakończenie krótkiego wprowadzenia do właściwych wypowiedzi nie powołać się raz jeszcze na „fotografię” rodzinnego gniazda, spod pióra Jana Bułhaka, w piękne słowo opracowaną. Niech będzie to szczególne preludium do ujęć dokonanych przez autorów niniejszego opracowania.

„Przenoszę się myślą w domowe progi, oglądam twarze rodziców, wspominam ich słowa, gesty i uśmiechy, błędzę po pokojach i ogrodzie, po całym dworze, spotykam dawno pomarłych ludzi, służbę i domowników (...). Widać przed gankiem dwie włoskie topole, pełne szumnego wiatru i ptasich świergotów, a za nimi rozłożyste korony tyłu innych drzew – przyjaciół i opiekunów mojego dzieciństwa, kochanych i uwielbianych, jakby były żywymi istotami i należały do rodziny. (...) Słyszę skrzyp studziennego żurawia w głębi dziedzińca i furmańskie pogwarki z końmi przy wodopoju... i tak chciałbym wskrzesić niezrównany czar tego małego światka, pełnego uczuć pocziwych, ludzi dobrych i rzeczy ładnych i miłych... zapomnieć o przedziale lat i znowu pełną pierś odetchnąć powietrzem rodzinnego domu... Ale wiem, że atmosfera jest nieuchwytna i wymyka się spod wszelkiej analizy: stanowią o niej pierwiastki nieważkie, które tworzą wielką tajemnicę – miłowania.

Tajemnicę tę ukrywa w sobie DOM, jak płomień w lampie mistycznej, dom, zbudowany nie tylko z cegieł i kamieni, ale i z ludzkich serc, ze wszystkiego, co jest najlepsze i najświętsze w duszy człowieczej, w więzi rodzinnej, z troski ojcowskiej, z matczynego kochania, z dziecięcej bezbronnej ufności. Źródłem duchowego piękna i mocy jest rodzina, a w niej – związek cudowny matki i dziecka, przeistaczający

² Tamże, s. 11.

legowisko w przybytek, a schronisko w świątynię. Związek ten utwierdza się nieskończonym pasmem cierpień i wyrzeczeń, radości i zachwyceń, które miotają sercem matki i wznoszą je na szczyty bohaterstwa, na pogranicza ludzkości z boskością”³.

Mariusz Zemło

³ Tamże, s. 30.



DOM – WSPOMNIENIOWO

Anna Podlecka*

Praktyki religijne XVII-wiecznego szlachcica w Rzeczypospolitej podczas największych świąt kościelnych

Od najdawniejszych czasów religia stanowiła ważny element życia ludzkiego. Wszelkie formy pobożności, związane z nimi zwyczaje tworzyły poczucie jedności grupy i tłumaczyły zjawiska niezrozumiałe, łagodziły lęk przed śmiercią, przed tym co trudne i nieznanne. Wiek XVII to niezwykle interesujący, lecz także burzliwy okres w dziejach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Liczne wojny, problemy polityki międzynarodowej i wewnętrznej przeplatały się z barwną kulturą sarmacką. Przedstawiciele najwyższej warstwy – szlachty, z racji uprzywilejowanej pozycji, dominowali w sprawach władzy i finansów. W znacznym stopniu wpływali na stosunki społeczne, obyczajowość i religijność. Przeważająca większość szlachty deklarowała gorliwą wiarę i starała się wypełniać obowiązki dobrego chrześcijanina. Niemniej pod wpływem kontrreformacji oraz baroku nastąpiła daleko idąca teatralizacja kultu¹.

* Anna Podlecka, Wydział Historii i Stosunków Międzynarodowych, Uniwersytet w Białymstoku.

¹ J. Tazbir, *Szlachta i teologowie. Studia z dziejów polskiej kontrreformacji*, Warszawa 1987, s. 254–255.

Artykuł jest luźną refleksją dotyczącą niezwykle ciekawej obyczajowości staropolskiej, refleksją zainspirowaną lekturą pamiętników znanych autorów i rodzimej literatury okresu baroku.

Artykuł porusza kwestię obchodzenia największych świąt kościelnych przez szlachtę w XVII wieku, w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Należy od razu podkreślić, że obiekt badań stanowi zarówno magnateria, jak i szlachta średnia oraz drobna. Pomimo wyraźnych różnic majątkowych reprezentanci tej grupy przejawiali podobną postawę, mieli wspólny system wartości i światopogląd, pielęgnowali te same tradycje i obrzędy. Za zasadne uważam zatem ujęcie całościowe, bez wprowadzania dodatkowych podziałów. Poniżej zostaną omówione najważniejsze uroczystości kościelne oraz zwyczaje z nimi związane. W jakiej mierze wypełniane praktyki dyktowała rzeczywista pobożność, a w jakiej okazywały się one barwnym spektaklem, widowiskiem? Czy szlachta faktycznie traktowała święta jako przeżycie duchowe? A może częściej zdarzała się postawa wynikająca z przyzwyczajenia, obawy przed krytyką otoczenia?

Analizą zostali objęci wyznawcy katolicyzmu. Podstawę źródłową artykułu stanowią XVII-wieczne pamiętniki reprezentantów szlacheckiego stanu. Wiele informacji co do ówczesnych praktyk religijnych zawierają relacje Stanisława Albrechta [Albrychta] Radziwiłła², Jana Władysława Poczobuta-Odlanickiego³ i Jana Chryzostoma Paska⁴. Z literatury przedmiotu należy wymienić dorobek Jana Stani-

² A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 1, 1632–1636, Warszawa 1980; *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, 1637–1646, Warszawa 1980; *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, 1647–1656, Warszawa 1980.

³ J. W. Poczobut-Odlanicki, *Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego (1640–1684)*, Warszawa 1877.

⁴ J. Ch. Pasek, *Pamiętniki*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1968.

sława Bystronia⁵, Zbigniewa Kuchowicza⁶, Marii Boguckiej⁷ oraz pracę zbiorową pod redakcją Andrzeja Chwalby⁸. Choć nie należą do najnowszych, te publikacje w dalszym ciągu zajmują ważną pozycję w badaniach nad kulturą staropolską.

Święta kościelne stanowiły nieodłączny element życia każdego szlachcica w XVII w. Obchodzenie konkretnych uroczystości wiązało się z szeregiem zwyczajów, zasad, praktyk religijnych. Niektóre miały jeszcze pogański rodowód, część wprowadziła doktryna Kościoła, jeszcze inne kształtowała specyfika poszczególnych regionów czy po prostu tradycja szlachecka.

Wszystkie święta kościelne miały swoje miejsce w tzw. Roku Liturgicznym, którego początek stanowił Adwent. Odliczano go od dnia św. Marcina, zwanego również czterdziestnicą, gdyż dokładnie czterdzieści dni później obchodzono Boże Narodzenie. Był to okres spokojny, wręcz leniwy⁹. Kościół nakazywał długie posty, zaś szlachta ograniczała rozrywki, bogate życie towarzyskie, spotkania sąsiedzkie. Więcej czasu poświęcano za to modlitwie i refleksji. Codziennie przed wschodem słońca odprawiano nabożeństwo – roraty. Albrecht Stanisław Radziwiłł w swym pamiętniku wspomina też o nieszporach¹⁰.

W wigilię św. Katarzyny i św. Andrzeja czyniono drobne odstępstwa od surowych reguł adwentowych. Młodzież

⁵ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 1, Kraków 1960; *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, Warszawa 1976.

⁶ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, Łódź 1972.

⁷ M. Bogucka, *Staropolskie obyczaje w XVI–XVII wieku*, Warszawa 1994.

⁸ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, A. Chwalba (red.), Warszawa 2006.

⁹ Tamże, s. 173.

¹⁰ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 232.

urządzała gwarne wróżby¹¹. Była to ostatnia możliwość zabawy. Radziwiłł wspomina, jak to w „Dzień św. Katarzyny król poświęcił nabożeństwu. U krajczego koronnego biesiada”¹².

Okres ciszy i spokoju kończył się wraz z nadejściem radosnych świąt Bożego Narodzenia (25 grudnia). Zamknięty, pogrążony w zadumie i modlitwie dom nagle otwierał się na gości. Postne potrawy zastępowano wspaniałymi smakołykami, rozpoczynał się czas zabawy i tańców. Przedstawiciele stanu szlacheckiego wznawiali spotkania towarzyskie, z lubością oddawali się rozrywkom. Podniosły nastrój tych dni doskonale oddaje w jednym z sonetów Jan Andrzej Morsztyn. Opisuje w nim, przez barokowe kontrasty – oksymorony, niezwykłą noc wigilijną, stanowiącą wstęp i zarazem początek radosnej uroczystości:

Szczęśliwa nocy, w którą się nam rodzi
Dzień jasny, światło wszystkiemu stworzeniu,
I w której brudach i okropnym cieniu
Słońce jaśniejsze nad codzienne wschodzi¹³.

Z Wigilią wiążą się ciekawe praktyki. Niektóre wywodzą się jeszcze z czasów pogańskich bądź są syntezą obrzędów chrześcijańskich i dawniejszych zwyczajów. Bardzo ważnym elementem tego dnia była wigilijna wieczerza, mająca charakter tradycyjnej domowej kolacji¹⁴. Zdarzało się, że przedstawiciele rodów magnackich piastujących wysokie stanowiska świętowali Wigilię w bardziej oficjalnym gronie, o czym wspomina Radziwiłł. Wedle jego relacji nie rozpoczęto

¹¹ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 39.

¹² A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 222.

¹³ J. A. Morsztyn, *275 wierszy*, L. Kukulski (oprac.), Warszawa 1977, s. 152.

¹⁴ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 210.

posiłku, i w ogóle nie jedzono cały dzień „...póki nie ukazała się gwiazda”¹⁵. Czyniono tak na pamiątkę gwiazdy, która w Betlejem zwiastowała przyjście na świat Zbawiciela. Z kolei w nawiązaniu do stajenki – miejsca narodzin Dzieciątka Jezus, rozściełano na podłodze i pod obrusami słomę¹⁶.

Domownicy i goście dzielili się opłatkiem na znak pokoju i zasiadali do suto zastawionych stołów. W niektórych rodzinach szlacheckich wspólnie ucztowała też służba. Zebrani pamiętali o zmarłych i o nieobecnych, więc czasem przygotowywano im dodatkowe nakrycie. Uczta wigilijna miała wszystkich zjednoczyć, dlatego popularnym zwyczajem było pozostawianie posiłku na całą noc, z myślą o duchach osób nieżyjących. Starano się nikogo nie pominąć, zaś pokłóceni godzili się¹⁷.

Przedstawiciele omawianej warstwy społecznej nie zapominali nawet o swoich zwierzętach. Wynosili im jedzenie, karmili opłatkiem. Powszechnie wierzyli, że Wigilia to noc niezwykła, wszelkie stworzenie cieszy się z narodzin Pana, a zwierzęta z tej okazji mogą przemówić ludzkim głosem¹⁸. O północy domownicy udawali się do kościoła na pasterkę. Bywało, iż niektórzy znajdowali się w stanie nietrzeźwym, a uroczystość przybierała swawolny charakter¹⁹.

W dzień Bożego Narodzenia odbywało się świąteczne nabożeństwo. Poczobut-Odlanicki wspomina, jak to „lubom sam był w kościele pierwszego dnia Narodzenia Pańskiego...”²⁰ Udział w mszy nie ograniczał się bynajmniej

¹⁵ Tamże, s. 232.

¹⁶ Tamże, s. 209.

¹⁷ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 41–42.

¹⁸ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 174.

¹⁹ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 210–211.

²⁰ J. W. Poczobut-Odlanicki, *Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego (1640–1684)*, s. 155.

do 25 grudnia. W swym pamiętniku Radziwiłł odnotował pod datą 26 grudnia, iż „Przez wszystkie trzy dni dom królewski w kościele na nabożeństwie”²¹. Tradycyjnie uroczystościom w świątyni towarzyszyło śpiewanie kolęd – specjalnych pieśni traktujących o Św. Rodzinie, przyjsciu na świat Chrystusa. Cieszyły się one ogromną popularnością, przede wszystkim ze względu na skoczne melodie i niejednokrotnie humorystyczne teksty²². W domach kwitło życie towarzyskie, organizowano huczne biesiady z wyszukаныmi daniami, suto zakrapiane alkoholem. Atmosfera pojednania skłaniała wielu przedstawicieli stanu szlacheckiego, aby wznowić kontakty po sporach i kłótniach. Tak jak u Poczobuta-Odlanickiego, do którego w okresie bożonarodzeniowym zawitał „...JKM Sędzia Ziemiński Wiłkomierski, po uradzie swojej, wespół i z Jejmością swoją”²³. Choć te radosne dni spędzano zazwyczaj z bliskimi, znajomymi, sąsiadami, to zdarzały się bardziej formalne spotkania. Radziwiłł na przykład nadmienia, że „W dzień Bożego Narodzenia byliśmy na bankiecie u arcybiskupa”²⁴.

Wielu przedstawicieli stanu szlacheckiego w XVII w. długie tygodnie, miesiące znajdowało się poza domem, na wyprawach wojennych. Pomimo trudnych warunków pamiętano o tym szczególnie ważnym święcie. Potwierdza to w swym pamiętniku Łoś. Relacjonując pobyt armii pod Gdańskiem, nadmienia iż „...tameśmy święta Bożego – narodzenia odprawili”²⁵. Jemiołowski z kolei opowiada o tym,

²¹ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 400.

²² Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 215–216.

²³ J. W. Poczobut-Odlanicki, *Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego (1640–1684)*, s. 155.

²⁴ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 400.

²⁵ J. Łoś, *Pamiętniki Łośia, towarzysza chorągwi pancерnej Władysława margrabi Myszkowskiego wojewody krakowskiego, obejmujące wydarzenia od r. 1646 do 1667*, Kraków 1858, s. 25.

jak jego oddział zajął opuszczoną przez Kozaków fortecę „...i tam święto Boże Narodzenie odprawowało...”²⁶ Podobne wzmianki znajdziemy między innymi w relacjach Łosia²⁷, Poczobuta-Odlanickiego²⁸ czy Samuela Maskiewicza²⁹.

Znaczną popularnością cieszyły się bożonarodzeniowe szopki wystawiane w kościołach³⁰. Znajdowały się w nich figurki przedstawiające Świętą Rodzinę, pastuszków, aniołki oraz inne postacie, znane współczesnym z życia codziennego. Trzeba jednak podkreślić, iż była to atrakcja głównie niższych warstw społecznych. Szlachta niespecjalnie wykazywała zainteresowanie tym tematem³¹.

Kończąc wesołe uczty z okazji przyścia na świat Pana, wierni wyczekiwali końca starego roku. W materiale źródłowym nie spotkałam się z informacją o hucznym obchodzeniu tej okazji. Wszyscy natomiast wypatrywali znaków zwiastujących, co przyniesie Nowy Rok. Znaczna część przedstawicieli omawianej grupy poświęcała się wówczas modlitwie i skupieniu. Albrecht Radziwiłł nosił się z zamiarem podróży do Czerwińska. Chciał wyprosić łaski „u cudownego obrazu Bogarodzicy” na kolejne dwanaście miesięcy, lecz jego plany pokrzyżowała choroba³². Innym razem pierwszy dzień Nowego Roku poświęcił „...Bogu i jego imieniu

²⁶ M. Jemiołowski, *Pamiętnik Mikołaja Jemiołowskiego towarzysza lekkiej chorągwi, ziemianina województwa bełzkiego, obejmujący dzieje Polski od roku 1648 do 1679*, Lwów 1850, s. 121.

²⁷ J. Łoś, *Pamiętniki Łosia, towarzysza chorągwi pancерnej Władysława margrabi Myszkowskiego wojewody krakowskiego*, s. 25.

²⁸ W. Poczobut-Odlanicki, *Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego (1640–1684)*, s. 43.

²⁹ S. Maskiewicz, *Pamiętniki Samuela Maskiewicza początek swój biorą od roku 1594 w lata po sobie idące*, Wilno 1838, s. 71.

³⁰ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 174.

³¹ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 367.

³² A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 279.

Jezus”³³. Nie był odosobniony w tych praktykach, ponieważ „...wszyscy modlili się o szczęśliwe wróżby dla zaczętego roku”³⁴. O opiekę Stwórcy w tym szczególnym czasie zabiegał również Jan Chryzostom Pasek. W swym pamiętniku opis każdego roku poprzedzał wezwaniem typu: „Rok Pański zacząłem, daj, Boże, szczęśliwie”³⁵.

Wierni 2 lutego obchodzili święto Ofiarowania Pańskiego, potocznie – Matki Boskiej Gromnicznej³⁶. Wedle relacji Radziwiłła był to „Dzień święty Bogu poświęcony...”³⁷ W kościele święcono wówczas świece, które później przechowywano w domach, często w widocznych miejscach. Zapalane były w wyjątkowych sytuacjach, kiedy potrzebna okazywała się opieka Niebios, np. gdy ktoś umierał lub podczas gwałtownej burzy³⁸.

Na trzy tygodnie przed rozpoczęciem Wielkiego Postu, w tzw. Przedpościu, następował swawolny i radosny okres nazywany zapustem lub mięsopustem. Szlachta organizowała huczne zabawy, których charakter i rozmach zależał przede wszystkim od stanu majątkowego, a również od preferencji danego kręgu towarzyskiego³⁹. Radziwiłł wspomina, jak to „Wieczorem pierwszy zapustny bal, wesoło w zamku się odprawił, i trwał aż do godziny wtórej po północy”⁴⁰. XVII-wieczny szlachcic chętnie oddawał się rozrywkom. Nawet będąc daleko od domu, na wyprawach wojennych, chętnie przygotowywano w tym czasie choć drobne przyjemności. Pasek zanotował w pamiętniku, iż stacjonu-

³³ Tamże, s. 325.

³⁴ Tamże, s. 241.

³⁵ J. Ch. Pasek, *Pamiętniki*, s. 254.

³⁶ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 174.

³⁷ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 329.

³⁸ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 174.

³⁹ Tamże, s. 175.

⁴⁰ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 123.

jąc z wojskiem w Hadersleben w 1659 r. „...zażywaliśmy mięsopustu, lubo nie z taką przecie jak w Polsce wesołością”⁴¹. Rozmach tych spotkań musiał być więc nieraz imponujący, szlachta jadła i piła ponad miarę, urządzano maskarady, awantury nie należały do rzadkości.

Bazyli Rychlewicz w „Kazaniu na niedzielę zapustną” przestrzega przed „zapustnym szaleństwem”, w którym „...niejednego znalazłby takiego okrutnika i tyрана, który wyuzdawszy się na wszelaką swawolę i rozpustę, daleko miłszą i kochańszą nad własnych rodziców duszę swoją czartu na ofiarę oddaje, a zrobiwszy tak piekielną robótkę, jeszcze się tego chełpi, wynosi, weseli, raduje, jakby to żart był, z tak wielkiego kryminału i obrazy Boskiej śmieje się i cieszy...”⁴²

Kulminacyjnym momentem tego okresu był zapustny wtorek. O północy muzyka cichła i zaczynał się Wielki Post⁴³. Na zakończenie często podawano ucztującym tzw. podkurek – posiłek z jaj, mleka i śledzi, symbolizujący przejście od mięsopustnych do postnych potraw. W bogatszych domach jeden z biesiadników przebierał się za księdza i wygłaszał wówczas „kazanie”, czyli dowcipne przemówienie oznaczające kres zapustów. Zdarzało się, iż rozochocona szlachta przedłużała sobie harce⁴⁴. Radziwiłł przekazuje, jak to na zamku królewskim „Bachusowe święta przez trzy dni tańcami i maszkarami przepędzone, aż do świtu popielcowego”⁴⁵. Choć taka swawola spotykała się z ostrą krytyką

⁴¹ J. Ch. Pasek, *Pamiętniki*, s. 24.

⁴² *Wybór mów staropolskich*, B. Nadolski (oprac.), Wrocław-Kraków 1961, s. 335.

⁴³ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVIII*, t. 2, s. 51.

⁴⁴ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 221.

⁴⁵ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 1, s. 396.

większości, to zdarzało się, iż szlachta nie zaprzestawała zabawy jeszcze przez całą środę, a nawet i czwartek⁴⁶.

Środa popielcowa, inaczej popielec, oficjalnie rozpoczynała Wielki Post. Wszyscy spieszyli do kościoła, księża posypywali wiernym głowy popiołem na znak pokuty⁴⁷. Miało to przypominać o nieuniknionej śmierci i kruchości życia ludzkiego. Gdy ktoś z domowników chorował i nie mógł udać się na nabożeństwo, wzywano kapłana do domu, aby niedomagający również doświadczył ważnego obrzędu. W jednej z fraszek Wacława Potockiego czytamy o cudownych właściwościach tego szczególnego popiołu, mającego moc „wiecznego umorzenia win”. Podany jest przykład węża – symbolizującego grzech, który gdy zostanie nim posypany „Aże zdechnie, tak długo wić się będzie kołem”⁴⁸. Pomimo atmosfery ogólnego umartwienia i zadumy towarzyszącej obrzędowi popielcowym, część osób dość luźno podchodziła do sprawy. Zdarzało się, że wierni przychodzili do kościoła w stanie nietrzeźwym, nie ochłonawszy jeszcze po zapustnym ucztowaniu⁴⁹.

Czterdziestodniowy Wielki Post stanowił czas spokoju i ciszy. Większość przedstawicieli stanu szlacheckiego, na co dzień lubiąca się w biesiadach, ograniczała spotkania towarzyskie i tańce, skromniej też jedzono⁵⁰. Stanisław A. Radziwiłł przekazuje, iż „Z przyczyny Wielkiego Postu nie słuchaliśmy żadnej muzyki”⁵¹. Część osób manifestowała swoją po-

⁴⁶ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 221.

⁴⁷ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 51.

⁴⁸ W. Potocki, *Ogród nie plewiony i inne utwory z lat 1677–1695*, Warszawa 1987, s. 287.

⁴⁹ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 222.

⁵⁰ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 176.

⁵¹ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 14.

bożność poważniejszym strojem. Tak jak w przypadku Adwentu, więcej uwagi skupiano na modlitwie i na pobożnym śpiewie⁵². Jedną z ważniejszych pieśni – nabożeństw związanych z tym okresem były Gorzkie Żale, traktujące o męce Chrystusa. Pełen smutku tekst miał budzić w wiernych poczucie winy za grzechy, skłaniać do refleksji nad życiem ziemskim:

Gorzkie żale przybywajcie,
Serca nasze przenikajcie,
Serca nasze przenikajcie.
Rozpłyńcie się me źrenice,
Toczenie gorzkich łez krynice.
Słońce, gwiazdy omdlewają,
Żalobą się pokrywają⁵³.

Pobożny, postny nastrój oczekiwania na Wielkanoc urozmaicały odstępstwa od reguły. Dzieci 12 marca obchodziły dzień św. Grzegorza, czyli tzw. gregorianki lub gregoły. Z tej okazji nakładały odświętne ubranie, nuciły pieśni o św. Grzegorzu i robiły różne psikusy⁵⁴. A. S. Radziwiłł mówi także o wystawianiu w pałacu królewskim przedstawień. Nie wszyscy to aprobowali, gdyż „...Wielki Post zamieniano w zapusty, bo i tańce w komedii, i materia przedstawiona na scenie wykluczały pamięć o poście i modlitwie”⁵⁵. Sytuacja na pewno nie należała do jednorazowych incydentów, ponieważ z dalszej relacji dowiadujemy się, jak to „...7ego Marca w niedzielę Laetare odprawiła się komedia Recitativa w pałacu królewskim. Nie wszystkim się podobała, dlatego, że czas postny obrócili w bachanalny”⁵⁶.

⁵² J. S. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 53.

⁵³ *Stuchaj mię, Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*, K. Koehler (oprac.), s. 160.

⁵⁴ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 176.

⁵⁵ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 95.

⁵⁶ Tamże, s. 129.

Uroczystości wielkanocne zaczynały się w Niedzielę Kwietnią, inaczej Palmową. W ten dzień święcono w kościele gałązki wierzbowe – palmy. W niektórych domach umieszczano je za świętymi obrazami⁵⁷. Czasem połykano bazie wierzbowe lub uderzano się gałązkami na pamiątkę palm, którymi witano Jezusa przy wjeździe do Jerozolimy⁵⁸.

W Wielką Środę wierni uczestniczyli w nabożeństwie zwanym ciemną jutrznią. Po każdym odśpiewanym psalmie w kościele gasła jedna świeca, co symbolizowało ciemności, jakie zapadły po śmierci Chrystusa na krzyżu. Aby pełniej odtworzyć panujący wówczas nastrój trwogi, księża uderzali psalterzami i brewiarzami w ławki.

W Wielki Czwartek niektórzy pobożni magnaci na znak pokory myli nogi dwunastu wybranym starcom, których później obdarowywano prezentami⁵⁹. Zwyczaj ten wywodzi się ze średniowiecza; choć z czasem stawał się coraz rzadszy, zawsze dużym uznaniem cieszyły się osoby go praktykujące⁶⁰.

Wielki Piątek obchodzono jako dzień Męki Pańskiej. W świątyniach pojawiały się symboliczne groby Chrystusa tłumnie odwiedzane przez wiernych. Radziwiłł relacjonuje: „...odwiedzał król groby w trzech kościołach: św. Jana, Jezuitów, św. Marcina, resztę grobów obchodzili czterej królewicze”⁶¹. W innym miejscu zapisuje: „...wszyscy więc z pobożności odwiedzali Groby Odkupiciela”⁶². Były to chwile zadumy, refleksji nad grzeszną naturą człowieka. Wierni

⁵⁷ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 176.

⁵⁸ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 54.

⁵⁹ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 177.

⁶⁰ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 54.

⁶¹ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 1, s. 106.

⁶² Tenże, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 400.

przeżywali mękę Pańską, wyrażali skruchę z powodu win, za które cierpiał Jezus, co obrazują słowa utworu Wacława Potockiego: „...Wszeteczne grzechy, głupie nieuwagi/ Moje przyczyna tej twojej zniewagi...”⁶³ Nastrój smutku i żalu oddają słowa wiersza Abrahama Roźniatowskiego:

Umarł Chrystus. I umarł? O śmierci okrutna!
O godzino nad insze wszystkie czasy smutna...
A jakoż go nie płakać? A on w strasznym grobie
Sam zaległ miejsce moje, gwałt zadawszy sobie...⁶⁴

W Wielką Sobotę szlachta kontynuowała nawiedzanie grobów. Od samego rana starano się pościć, rezygnując z posiłków i pijąc tylko święconą wodę. Wedle przekazu Radziwiłła nawet „Królowa po południu groby Pańskie w 10 kościołach odwiedziła...”⁶⁵ Wieczorem wszyscy udawali się do kościoła na rezurekcję. Najważniejszą część tego nabożeństwa stanowiła uroczysta procesja⁶⁶, podczas której miejscowi dygnitarze prowadzili księdza pod baldachimem⁶⁷. Radziwiłł nazywa ją „procesją Zmartwychwstania”⁶⁸. Bez wątpienia było to istotne wydarzenie, gdyż „Królowa w kościele na chóрку aż do północy processyi wielkanocnej oczekiwała...”⁶⁹ Po mszy szlachta składała życzenia proboszczowi⁷⁰, a następnie przyjmowała prezenty od chłopów. W podziękowaniu wielu panów urządzało wieśniakom zabawy lub zapraszało ich na pijatykę. Jak przekazuje Radziwiłł, na zakoń-

⁶³ W. Potocki, *Ogród nie plewiony i inne utwory z lat 1677–1695*, s. 385.

⁶⁴ *Stuchaj mię. Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*, s. 163.

⁶⁵ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 1, s. 402.

⁶⁶ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 178.

⁶⁷ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 57–58.

⁶⁸ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 2, s. 130.

⁶⁹ Tenże, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 1, s. 402.

⁷⁰ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 178.

czenie uroczystości w kościele „...składano życzenia wedle zwyczaju domowi królewskiemu”⁷¹.

Przedstawiciele najwyższej warstwy społecznej chętnie brali udział w uroczystościach wielkanocnych. Bez wątpienia wielu oddawało się wszelkim praktykom nabożnym z rzeczywistej potrzeby serca i zaangażowania. Było to bardzo ważne święto – upamiętnienie śmierci Jezusa na krzyżu, a następnie radość z jego tryumfu nad śmiercią. Niewątpliwie zdarzały się osoby wypełniające chrześcijańskie powinności z ostentacyjną, przesadną prezentacją, co wynikało z dewocji. A pewna grupa w ogóle niespecjalnie interesowała się duchowym aspektem wydarzenia. Niektórzy pojawiali się w świątyni z bardziej przyziemnych pobudek, z chęci pokazania się w nowym stroju czy w obawie przed negatywną opinią otoczenia w przypadku absencji. Udział w nabożeństwie, publiczna modlitwa, w takich wypadkach niewiele miała wspólnego z faktyczną pobożnością. Problem ten sygnalizuje Wacław Potocki, ostro krytykując wiernych w Mławie: „Aż kaci, aż zabójcy z onych nabożników...”⁷²

Istotnym momentem uroczystości wielkanocnych było święcenie pokarmów. Następnie zasiadano do obfitego śniadania świątecznego. Różne regiony posiadały nieco inne tradycyjne potrawy, wszędzie jednak starano się o znaczną ilość wymyślnych smakołyków, stół miał się „uginąć”. W każdym domu pierwszoplanową rolę odgrywały jaja, najczęściej pięknie malowane. Święconymi dzielili się między sobą domownicy i goście. Na stole koniecznie musiał znajdować się baranek symbolizujący Chrystusa – jego męczeńską śmierć i zmartwychwstanie⁷³. Mówi o tym w swej „Modlitwie” Maciej Głoskowski:

⁷¹ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 417.

⁷² W. Potocki, *Ogród nie plewiony i inne utwory z lat 1677–1695*, s. 147.

⁷³ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 59.

...Już i on Wielkanocny Baranek zniesiony
A tyś sam jest Baranek nasz Błogosławiony.
Przeto Baranku Boży, któryś jest zabity
Na to żebyś się światu stał pokarm obfity

I żebyś domów naszych pokropił podwoje,
Proszę cię, Krwią Najświętszą omyj serce moje⁷⁴.

W poniedziałek wielkanocny oblewano się wodą. Kościół miał do tego niechętny stosunek, widząc w zdawałoby się niewinnym zwyczaju relikw pogaństwa. W dystyngowanych domach używano pachnącej wody. Aby uniknąć ewentualnych nieporozumień, starano się omijać osoby wyżej postawione⁷⁵.

Okres wielkanocny kończyła uroczystość Zielonych Świątek, obchodzonych na pamiątkę Zesłania Ducha Świętego. Było to raczej święto pasterzy i rolników, aniżeli szlachty⁷⁶. Chłopi zdobili wówczas chaty zielenią, ukwiecali rogi bydła. Nie zawsze aprobowali to panowie, gdyż zdobycie zielonych gałązek niejednokrotnie odbywało się kosztem zniszczeń w lasach. Mimo wszystko święto musiało być w pewnym sensie ważne także w kręgach najwyższej warstwy społecznej. Radziwiłł wspomina, jak to szlachta dała królowi znak do przełożenia sejmu, „Ponieważ były to dni Zielonych Świątek”⁷⁷.

Wiele interesujących praktyk wiązało się z kolejną uroczystością przewidzianą w kalendarzu liturgicznym – Bożym Ciałem. W tym dniu przygotowywano specjalne ołtarze przystrajane zielenią. Wierni odłamywali gałązki i przynosili

⁷⁴ *Stuchaj mię. Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*, s. 141.

⁷⁵ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 61–62.

⁷⁶ *Obyczaje w dawnej Polsce: od średniowiecza do czasów współczesnych*, s. 179.

⁷⁷ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 258.

do domu, jako ochronę przed nieszczęściem⁷⁸. Święto Bożego Ciała miało duże znaczenie dla XVII-wiecznej szlachty. Radziwiłł wspomina, że nawet w trakcie wyprawy wojennej „Wystawiono cztery ołtarze: jeden u podkanclerzego litewskiego, drugi u biskupa kijowskiego, trzeci u koniuszego koronnego, czwarty u kasztelana krakowskiego”. Samo zaś święto określa jako dzień „...sławny znakomitą procesją”⁷⁹, ponieważ właśnie procesja z Najświętszym Sakramentem stanowiła jego punkt kulminacyjny. Procesji towarzyszyły salwy. Jeśli akurat nie było możliwe uczestnictwo wojska, to gęsto strzelano na komendę⁸⁰. W Radziwiłłowym *Pamiętniku o dziejach...* czytamy: „Wojska piesze i inne z rusznic oraz działa dawały ogni. Wszystkie chorągwie ścielono pod stopy Najświętszego Sakramentu”. Podniosłą atmosferę podkreślała orkiestra „tak obozowa jak i kościelna”, która urządziła „miły koncert”⁸¹. Była to okazja publicznej manifestacji wiary, a podniosły charakter procesji podkreślało uczestnictwo ważnych dostojników kościelnych oraz państwowych. Cytowany pamiętnikarz przytacza obraz procesji, w której „...szła królowna, królewicz Kazimierz i niemal wszyscy senatorowie”⁸².

W czasach przedchrześcijańskich pod koniec czerwca odprawiano święto na cześć słońca i miłości. Przez lata forma obrzędów podlegała modyfikacjom, część praktyk starał się zaadaptować Kościół. Mowa o tzw. sobótce – wesołej zabawie, która pomimo ludowego charakteru cieszyła się dużą

⁷⁸ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 62.

⁷⁹ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 297.

⁸⁰ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 62.

⁸¹ A. S. Radziwiłł, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 3, s. 297.

⁸² Tenże, *Pamiętnik o dziejach w Polsce*, t. 1, s. 345.

popularnością wśród XVII-wiecznej szlachty⁸³. Daniel Naborowski napisał o tym wiersz *Dafnis świętojański z roku 1611*; utwór ilustruje charakter obrzędu:

Już słoneczny promień złoty
Od rannego Euroty
Przychodząc do kresu swego
Mijał Raka gorącego
Gdy pastuszki, siadłszy w chłodzie
Przy jasno ciekącej wodzie,
Sobótkę w zielonym gaju
Wznieciły według zwyczaj...⁸⁴

Główną atrakcją stanowiło ognisko. Przy nim zbierali się mieszkańcy danej wsi lub miasteczka wraz ze swymi urzędnikami. Panowała radosna, serdeczna atmosfera, a żartom i śmiechom nie było końca. Młodzież skakała przez ogień, wszystkiemu towarzyszyła muzyka, tańce i alkohol.

Z sobótką łączył się zwyczaj zbierania ziół. Specjalne znaczenie miała bylica, którą przystrajano domostwa i której używano do plecenia wianków. W niektórych regionach kultywowano wiarę w legendarny kwiat paproci. Szczęśliwy jego znalazca miał uzyskać wszelką pomyślność.

Po przyjęciu chrześcijaństwa tę popularną uroczystość zaczęto oficjalnie obchodzić na cześć św. Jana Chrzciciela. Znaczna część ludności pozostawała wierna dawnym praktykom, uznając ją za święto słońca, miłości, oczyszczenia przez ogień i wodę. Kościół zwalczał te zwyczaje. Na miejsca obrzędowe przybywali zakonnicy z krzyżami, urządzano specjalne procesje, wydawano zakazy. Część szlachty popierała takie stanowisko, w szczególności ewangelicy, w swej

⁸³ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 64.

⁸⁴ D. Naborowski, *Poezje*, Kraków 2003, s. 78.

postawie jeszcze bardziej stanowczy niż katolicy. Na terenach, na których przeważali przedstawiciele wyznań reformowanych, tradycja prastarego święta została mocno ograniczona, a z czasem zniknęła zupełnie. Nie można jednak zapominać o tym, że sporo przedstawicieli najwyższej warstwy należało do zwolenników dawnego zwyczaju⁸⁵. Przykładem jest Jan Gawiński, w jednym ze swych tekstów zdecydowanie broniący sobótki, uznając ją za nieszkodliwą, radosną uroczystość:

Jan święty Chrzciciel przyszedł. Więc pałą sobótki,
A wkoło niej, śpiewając, skaczą wiejskie młódki.
Nie znoście tych zwyczajów! Co nas z wieków doszło
I wiekiem się ustało, trzeba by w wiek poszło...⁸⁶

Usilne działania przeciwników sobótki przyniosły efekt i niektóre tradycje zostały wykorzenione. Święto jednak nie zanikło i, choć może w mniej barwnej formie, przetrwało przez następne wieki. Warto jednak podkreślić, że charakter tych praktyk był raczej ludowy⁸⁷.

Ważne miejsce w kalendarzu liturgicznym zajmowała uroczystość Wniebowzięcia Marii Panny, inaczej Matki Boskiej Zielnej, obchodzone 15 sierpnia. Zwykle urządzano wówczas dożynki⁸⁸. Z tej okazji chłopci pletli bogato zdobiony wieniec i zanosili go do dworu. Na zakończenie odbywała się biesiada, zwykle obficie zakrapiana alkoholem⁸⁹. Słowa

⁸⁵ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 235–237.

⁸⁶ *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, Kraków 1882, s. 233.

⁸⁷ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 236.

⁸⁸ J. S. Bystroń, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI–XVIII*, t. 2, s. 68.

⁸⁹ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 238.

utworu Gawińskiego są odzwierciedleniem panującej w do-
zynki atmosfery:

Z pól w gumna jedzie Ceres. Pszennego towaru
Dość pan wesół, że będzie miał z czem do browaru;
Żeńcy, żniwo skończywszy, panu wieniec wiją,
A skacząc po bębenuki piwo piją⁹⁰.

Choć Matki Boskiej Zielnej należało do ważnych uro-
czystości kościelnych, to dla szlachty nie przedstawiało ono
aż tak dużego znaczenia, przynajmniej jeśli chodzi o samą
oprawę.

W kalendarzu liturgicznym ostatnią ważną uroczysto-
ścią był wspomniany już – dzień św. Marcina. Przypadał
na 11 listopada i stanowił zakończenie zajęć polowych. Pra-
cujący na polu wieśniacy mogli odpocząć od swych obowią-
zków, nawet młyny czy wiatraki „miały wolne”⁹¹. Szlachta
przyjmowała daniny od chłopów. Dzień ten uznawano za
początek zimy i chętnie snuto przepowiednie co do pogody
podczas nastającej pory roku. Często wróżono z kości pier-
siowej gęsi, która stanowiła tradycyjną marcińską potrawę.
Poeta Jan Gawiński pisze o tym zwyczajach:

Gotuj na stół tłustą gęś, zwróżył z niej o zimie,
Mokre li albo mroźne rządy swe obejmie,
A nie żałuj naczynia dobrej myśli: wina!
Tego żąda po tobie twa wierna drużyna⁹².

Dzień św. Marcina jest często wspominany przez pa-
miętnikarzy. U Paska czytamy: „Oporządziwszy się tedy

⁹⁰ *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, s. 233.

⁹¹ Z. Kuchowicz, *Z dziejów obyczajów polskich XVII i I poł. XVIII wieku*, s. 239.

⁹² *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, s. 237.

w domu, w sam fest Marcina ęgo wyjechałem z domu..."⁹³ Podobne adnotacje znajdują się u Samuela Maskiewicza, Łosia, Teodora Hieronima Obuchowicza. Nie mówią oni co prawda o specjalnych zwyczajach z tym dniem związanych, wydaje się jednak, że było to na swój sposób istotne święto, stanowiące pewną cezurę, zakończenie jednego etapu i rozpoczęcie nowego.

* * *

Opisane praktyki religijne potwierdzają, że święta kościelne miały bardzo duże znaczenie w życiu XVII-wiecznego szlachcica. Zwyczaje, obrzędy związane z poszczególnymi uroczystościami stanowiły urozmaicenie codziennej egzystencji, łagodziły lęk przed zjawiskami negatywnymi, tłumaczyły niektóre zależności świata przyrody, a nade wszystko należały do zewnętrznych przejawów wyznawanej wiary. W świetle źródeł przedstawiciele omówionej grupy społecznej z reguły chętnie i sumiennie wypełniali swoje powinności w tym względzie, a wiara była w ich życiu zwykle bardzo ważna. Zdarzały się, oczywiście, odstępstwa od przyjętych norm postępowania czy swego rodzaju religijność „na pokaz”. Bez wątpienia tradycja szlachecka i chrześcijański rytuał doskonale się uzupełniały, zaś wystawna oprawa religijnego wydarzenia idealnie wpisywała się w sarmacki model kulturowy.

⁹³ J. Ch. Pasek, *Pamiętniki*, s. 133.

Maria Baraniecka-Witkowska*

Ziemiański dwór w małym galicyjskim miasteczku

Poniższy tekst będzie opisaniem atmosfery rodzinnego domu z okresu nieomal stuletniego: od przełomu XIX i XX w. po prawie cały, tragiczny wiek XX. Spróbuję przedstawić wielorakie aspekty życia domu szlacheckiego w zaborze austriackim, potem wolnej Polsce, a na koniec w Polsce Ludowej.

Rodzinę, którą zamierzam opisać, znałam bardzo dobrze. Jestem po kądzieli prawnuczką ostatniego właściciela majątku w Dynowie. Do dyspozycji miałam pamiętniki rodzinne i sporo zdjęć, niektóre nawet z połowy XIX w. A dodawszy opowiadania o czasach dawnych z okresu mego dzieciństwa mogę przyznać, że tamten dom, tamtych członków mojej rodziny poznałam dobrze. Czasami mam nawet wrażenie, że tam, u moich pradziadków byłam, czuję atmosferę domu, próbuję rozmawiać z jego mieszkańcami... Poniższy tekst będzie wyrazem rodzinnego przywiązania i chęci zatrzymania w kadrze wspomnień świata, który przeminął i ludzi, których już nie ma. Może kiedyś przeczytają go nawet dzisiejsi młodzi zdumiewając się, że życie wyglądało tak inaczej.

* Maria Baraniecka-Witkowska, prawnuczka Stefana Trzecieckiego, ostatniego właściciela Dynowa.

Okres, którego dotyczą wspomnienia

Stanisław Jan Trzeciecki zakupił ziemie otaczające miasteczko Dynów pod koniec XVIII w., a dwór został wybudowany na początku XIX przez jego syna Jakóba (pisownia oryginalna). Dziś nieistniejący, stał na miejscu parku miejskiego noszącego teraz imię jego dawnych właścicieli. Syn Jakóba, Józef, oficer ułanów wojsk austriackich, żył krótko, umarł na kuracji w Truskawcu. Wdowa, Izabela z Urbańskich (która wyszła po raz drugi za mąż za rodowitego Austriaka) wychowała syna Józefa – Zbigniewa, w atmosferze polskiego patriotyzmu. Zbigniew taką postawę zaszczepił swemu synowi, Stefanowi, a memu pradziadkowi. Jemu to przekazał majątek: dwór i folwark oraz ok. 1200 morgów ziemi. Stało się to po zawarciu przez syna związku małżeńskiego w 1895 r. z Eleonorą z Jaxa-Chamców, pochodzącą z Wiednia, mieszkającą ostatnimi laty we Lwowie. (Ojciec Eleonory, Antoni Jaxa-Chamiec, ziemianin z Andruhy na Wołyniu, objęty banicją carską za udział w Powstaniu Styczniowym, do Królestwa nie mógł powrócić, a jego majątek został objęty carskim sekwestrem. Po studiach dyplomatycznych w Wiedniu pracował przez resztę życia w dyplomacji austriackiej w Wiedniu i Lwowie. Jego ostatnią posadą była prezesura rady nadzorczej kolei lwowsko-czerniowskiej).

Małżeństwo zawarte we Lwowie w kościele OO. Jezuitów błogosławił kuzyn pana młodego, były arcybiskup warszawski, Szczęsny Feliński. Arcybiskup Feliński, zesłany karne przez cara do Jarosławia nad Wołgą, był akurat w drodze powrotnej po 20-letniej izolacji.

Zbigniew wraz z żoną, Ignacją z Miączyńskich, usunął się do swojej willi w Bronowicach pod Krakowem zostawiając synowi samodzielne gospodarowanie rodzinnym majątkiem. Stefan miał wtedy 31 lat, a opiekę nad rodzinną ziemią traktował jako święty obowiązek wobec ojczyzny. W 1904 r. wybudował nowy dom, zwany „nowym dworem” dla coraz

liczniejszej rodziny. Przeżył obie wojny, stracił stary dom – gniazdo rodzinne w wyniku wybuchu niemieckiej amunicji w 1944 r. Doczekał nacjonalizacji majątku po objęciu władzy ludowej, która pozostawiła rodzinie tylko ogród i drugi, „nowy” dom, ledwie nadający się do zamieszkania. Zmarł w 1953 r., sześć lat po wcześniejszym odejściu żony. Oboje zostali pochowani na miejscowym cmentarzu, w grobowcu rodzinnym wybudowanym przez pradziadka Jakóba.

W tzw. „resztówce” majątku zamieszkały trzy córki Stefana: Kinga Moysowa i Józefa Paygertow, wydalone z majątków swoich mężów na Podolu, oraz Anna, osoba niezamężna. Prowizorka egzystencjalna – dorywcza praca w Liceum (Kinga posiadająca uprawnienia do nauczania języków obcych, które zdobyła w czasie I wojny światowej w Wiedniu, uczyła jęz. francuskiego i niemieckiego, a Józef Kalasanty, mąż Józefy, inżynier rolnik z wykształcenia, fizyki i chemii) oraz uprawa warzyw w resztkach ogrodu – trwała do końca ich życia, czyli śmierci najmłodszej Anny w 1993 r. Dom, dawny dwór, właścicielki zapisały w testamencie kościołowi, a potem, z poręczenia proboszcza, stał się domem opieki dla dzieci potrzebujących pomocy fundacji „Wzrastanie” im. Jana Pawła II.

Ziemiańskie gospodarowanie

Młodzi Stefanostwo Trzeciescy mieli na starcie wspólnego życia wszystko co potrzeba do szczęścia: młodość i zdrowie, dobrze prosperujący majątek, samodzielność, podobny system wartości i zapatrywania. Urodziło się im szescioro udanych dzieci: cztery dziewczynki i dwóch chłopców. Zupełnie nie znającej się na gospodarstwie Eleonorze (Leonii) dom prowadziła zaufana klucznica – przyjaciółka, Tekla Fray. Liczyła każdą serwetkę, dzieciom matkowała, służyła „patrzyła na palce”. Dom pod jej rządami funkcjono-



Il. 1. Leonia i Stefan Trzeciecy w strojach ślubnych, 1895 r.,
 fot. ze zbiorów autorki

wał jak dobrze naoliwiona maszyna. Leonia mogła więc pisać listy do rodziny i przyjaciół, a umiała i po francusku, niemiecku i włosku, pokazywać dzieciom wieczorami albumy ze sztuką włoskiego renesansu, głaskać ukochane psy i hodować równie ukochane róże.

Stefan gospodarował. Po przodkach odziedziczył namiętne ukochanie ziemi, traktowanie jej jako żywicielkę i dar od Boga. Nigdy żaden spłachetek nie mógł leżeć odłogiem. Wszystkie czynności rolnicze i hodowlane były poddane tradycji, zwyczajom i niezmienności, np. kropiono wodą święconą bydło wypuszczane wiosną na pastwiska. Znakomity rolnik, Stefan miał specyficzne pojęcie o dobrym administrowaniu: dobrodusznie ufał zamiast kontrolować i spraw-



Il. 2. Dwa dwory, w głębi nowy. Zdjęcie z okresu międzywojennego, fot. ze zbiorów autorki

dzać, nikogo nie pytał o radę, a jako tradycjonalista pamiętał i powtarzał, co w takiej sytuacji mówił ojciec. Nie gromadził oszczędności, bo przy takiej postawie nie było to nigdy możliwe. Słynął z miłosierdzia: wspomagał każdego, kto był w potrzebie, po klęskach żywiołowych spełniał rolę przywódcy wspólnoty miasteczka. Hojną ręką obdarzał kościół parafialny, zyskał piękny tytuł „kolatora”.

Były od tej postawy dobrego dziedzica, lecz wyjątkowo łatwowiernego człowieka, dwa wyjątki: na początku XX w. Stefan stał się współdziałowcem nowego młyna „Leonia”, a potem cegielni, razem z dwoma dynowskimi zamożnymi mieszczanami, oraz wybudował nowy dom obok starego dworu, finansowany przez wuja Michała Miączyńskiego. Dom miał być przystanią na starokawalerskie samotne lata wuja. Argumentem dla Stefana był fakt, że on sam miał sporo dzieci, stary dom był stosunkowo niewielki, zaniedbany, słowem, niewystarczający. Po śmierci Michała Stefan

miał jego nowy dom odziedziczyć. I tak się stało: wuj nie doczekał wykończenia domu, umarł w 1904 r. A dom stał się przystanią dorastających dzieci, gości i letników.

Katastrofą dla gospodarki Stefana okazała się I wojna. Zmieniające się fronty, austriacko-niemiecki i rosyjski, ukazywały bezsilę ludności cywilnej, zwłaszcza wobec inwazji rosyjskich wojsk. Stefan w lęku zwłaszcza o córki zabrał rodzinę i pojechał do Wiednia. Tam spędzili parę miesięcy doczekawszy przesunięcia frontu na wschód. Po powrocie zastał totalną ruinę, folwark i zabudowania gospodarcze zniszczone, wnętrza dworu zdewastowane, służbę w rozsypce. Wspaniała wyprawa Leonii zrabowana, księgozbiór nie do ponownego użycia. Dziedzic zupełnie się załamał. Nawet powstanie wolnej Polski nie dodało mu skrzydeł, zwłaszcza że polityka rolna rządów II Rzeczypospolitej była fatalna. Nie odbudowywał, nie inwestował, stale powtarzał, że kolejna wojna tuż, tuż.

Córki bardzo szybko wyszły za mąż za ziemian z Podola, synowie wyjechali na studia do Paryża i Gandawy (opłata studiów została sfinansowana ze sprzedaży ziemi). W domu została najmłodsza, Anna, zaniedbana jeżeli chodzi o wykształcenie, bez posagu. Pozostała samotna do końca życia.

W okresie międzywojennym korzyści przynosił jedynie młyn i wybudowana opodal cegielnia produkująca cegły z wrytym strzemieniem, herbem rodziny. Gospodarka rolna okazywała się zupełnie dekoniunkturalna, ale Stefan niczego nie zmieniał: nie kontrolował, nie liczył dochodów, godził się na posunięcia zupełnie nierentowne, tyle że tradycyjne. Zięciowie, Michał Moysa i Józef Kalasanty Paygert, obaj zamożni, znakomici nowoczesni rolnicy, usiłowali pomóc, radzić. Stefan słyszeć nie chciał o jakiegokolwiek kurateli, nawet od najbliższych i bezinteresownych. Podobny los spotkał synów: Antoniego i Jakuba. Obaj zdecydowali się na emigrację, pierwszy do Stanów Zjednoczonych, drugi do Belgii. Ojciec nie chciał nikogo dopuścić do współrzędów.

W czasie II wojny dom pękał od rodziny, która zjechała po wywłaszczeniach na Podolu, oraz ludzi obcych, zrujnowanych wojną w Poznańskim. Podobno do stołu siadało około dwudziestu osób. Aby wyżywić wszystkich Stefan sprzedawał pole. Najczęściej bez wpisu notarialnego, bo kupujący nie był takim obrotem sprawy niezadowolony: „po co płacić podatek dochodowy?” Po wojnie majątek skurczony do 49 ha został upaństwowiony z braku tychże wpisów (reforma rolna dotyczyła majątków powyżej 50 ha).

Cały okres powojenny, 44 lata, w starym domu, kiedyś zwanym nowym, spędziły trzy siostry: Kinga, Józefa i Anna. One to szamocząc się z biedą i niedostatkami zachowały w szarej rzeczywistości Polski Ludowej starą kulturę i niezapomnianą atmosferę przeszłości. Obaj synowie Stefana pozostali za granicą, a Stefania, żona oficera wojsk polskich, który spędził całą wojnę w oflagu, nielegalnie dołączyła do niego z dziećmi w 1947 r. i osiedlili się w Brazylii.

Przywiązanie do religii

Najgłębszą nicią wiążącą Stefana i Leonię była żarliwość religijna. Zwyczajnie, naturalnie, ale nade wszystko głęboka i świadoma wiara. Stefan, póki mógł chodzić, nie opuścił codziennej mszy, przyjmując i Komunię świętą. W tamtych, głęboko przedsoborowych czasach, było to nieomal kuriozalne: do sakramentów przystępowało się raz w roku z okazji Wielkanocy. Znamienne, że nikt w ślady dziedzica nie szedł...

Obdarzony wyjątkowym muzycznym słuchem często zastępował organistę przy grze i śpiewie. A ze szkoły średniej (którą ukończył w Rzeszowie) wyniósł znakomitą znajomość łaciny. Zdarzało się, że poprawiał księży, zwłaszcza młodych, zazwyczaj nieśmiałych wikarych. Dbalność o piękno liturgicznego języka wynikała wyłącznie z szacunku wobec

tego, co się w kościele działo. Wielka szafa w sieni dworu była wypełniona pismami o treści religijnej, które abonowano, również z Francji. Nie była to łatwa literatura dewocyjna, a ściśle teologiczna. O głębokich zainteresowaniach i przemyśleniach świadczą zapiski w starych modlitewnikach, które, cudem ocalałe z pożogi wojennej, z pietyzmem pielęgnuję w swojej bibliotece. Religia była wówczas prześląknięta duchem despotycznego patriarchalizmu: o klerze nie wolno było rozmawiać krytycznie, wypowiedzi papieża traktowano jako nieomyślne, a on sam jako najwyższy autorytet i wyrocznia we wszystkim, o czym mówił. Co dotyczyło wiary, nie podlegało dyskusji ani krytyce. „Za to Bóg cię skarże” – to zdanie było myślą przewodnią wszelkiej katechezy. Boga postrzegano jako surowego Sędziego, a nie Ojca pełnego miłosierdzia.

Tradycje wynikające ze świąt religijnych, do dziś zachowywane w kulturze ludowej, były przestrzegane przez dwór z całą skrupulatnością. Nawet śmigus-dyngus był ważny. Ale były i tradycje wzruszające, pełne wymowy: po Bożym Ciele dziedzic z najstarszą służbą jeździł po krańcach swych włości i z pietyzmem zakopywał w czterech rogach karteczki z tekstem Ewangelii czytanej przy każdym z ołtarzy na procesji. Czy takie postawy były częścią zwyczajowości innych domów ziemiańskich w Galicji? Trudno oceniać z perspektywy lat. Wydaje mi się jednak, że raczej religijność przejawiała się w zwyczajowości i przywiązaniu do tradycji przodków aniżeli poprzez pogłębianą wiarę. Dom dynowskiego ziemianstwa był tu raczej wyjątkiem.

Stosunek do zaborców

O zaborcy rosyjskim mówiło się zawsze źle: to był wróg niszczący zarówno ducha Polaków, jak i ich dorobek materialny. Uciekinier „zza kordonu” był postrzegany jako brat

w potrzebie, udzielano mu pomocy i gościny. Podobnie traktowano zaborcę pruskiego. Ale tamten świat był tak daleko od galicyjskiego, że tylko jakieś więzy rodzinne mogły go od czasu do czasu przybliżać. Zupełnie inaczej było w Galicji. Z Austrią współpracowało się, cesarz Franciszek Józef był dla wszystkich „najjaśniejszym panem”, katolicyzm jednakowo wyznawany, a porozumienie kulturowe zadowalało oba narody. Naturalnie, nie mówię tu o galicyjskiej nędzy wiejskiej, fatalnym szkolnictwie powszechnym czy problemach mniejszości narodowych. Ale inteligencja i ziemiaństwo żyło swobodnie, byli postrzegani przez wiedeński rząd jako partnerzy we współrzędzeniu Galicją, przyjmowani na cesarskim dworze. Tam właśnie Eleonora stawiała pierwsze kroki na balach, została przedstawiona cesarzowi jako osoba z wystarczającym rodowodem szlacheckim (posiadała tzw. „seize quartiers” – szesnastu herbowych przodków) oraz córka wysokiej rangi urzędnika.

Wszyscy mówili znakomicie po niemiecku i czuli się w Wiedniu (w Galicji mówiono: Widniu, od Vien, wymowa Vin) swobodnie. Zawierano wiele małżeństw mieszanych. A objazd olbrzymiego cesarstwa nie nastroczał cienia trudności: od Lwowa do Wenecji nie było żadnej granicy, ani razu nie wyciągano paszportu. Ta klasa ludzi wspominała czasy austriackie, nawet już w wolnej Polsce, jako szczęśliwe. Podobne poglądy panowały i w rodzinie Stefana. Upadek caratu wywołał falę radości, śmierć Franciszka Józefa – smutek. Mówiono, że pomimo odzyskania niepodległości nic już nie było takie jak przedtem.

Relacje z Żydami

Ogromna liczba Żydów zamieszkujących Galicję stanowiła świat zupełnie odrębny od polskiego: religia, język, zwyczaje, samoświadomość. Nie mieszano się, małżeństwa

prawie nie wchodziły w rachubę. Żydzi byli zazwyczaj zaможniejsi, nawet ci najbiedniejsi stali lepiej niż galicyjska wiejska biedota: inteligentni, umiejący liczyć i prowadzić interesy. Można było od nich pożyczyć pieniądze. Robił to i dynowski dziedzic, zawsze bez grosza, poza okresem jesiennych zbiorów. A oddawał ze skrupulatnością, która aż dziwiła. W żadnej zapisanej wypowiedzi, w żadnym pamiętniku rodzinnym czy wspomnieniach sąsiadów nie znalazłam ani jednej wzmianki o pogardzie, złośliwości i przy-mrużeniu oka w opowiadaniach o Żydach. W tak gorliwie chrześcijańskim domu to było nie do pomyslenia. W czasie II wojny dziedzic przyjął do domu młodą Żydówkę, Hanię Nazimek, którą przywieźli ze Lwowa jego córka i zięć. Nie było chwili wahania i pytań, choć wiadano, jakie konsekwencje stosowali Niemcy w razie wpadki. Na szczęście, gdy ktoś z sąsiedztwa zaczął zbyt głośno wychwalać obrotność Hani przyrównując ją do Żydówki, ta szybko znalazła kontakt z cudem ocalałą rodziną i wyjechała w 1945 r. do Izraela. Dodać należy, że wnuczki Stefana utrzymywały z przyjaciółką mieszkającą w Haifie kontakt do jej śmierci.

Wychowanie dzieci

Pedagogika czasów przed I wojną hołdowała przekonaniu, że dziecko jest pomniejszonym dorosłym. Nie interesowano się więc, że ma ono różne potrzeby w okresie swego rozwoju, że postrzega świat inaczej, że nie ma doświadczenia, zupełnie inne emocje. Ostry autorytaryzm wychowawczy zastępował czułość i zrozumienie. Dzieci powinny pracować, czyli uczyć się, niezależnie od możliwości intelektualnych czy emocjonalnych. Podam dwa smutne przykłady: przyjęto nauczycielkę do nauki najstarszej, 6-letniej córki, Kingi. Aby zaoszczędzić, 5-letnia Józia musiała prze-

rabiać ten sam program bez taryfy ulgowej. Karano ją surowiej niż starszą: „jest leniwa i niegrzeczna”. A przecież dziecko nie nadązało zważywszy, że uczono je równoległe polskiego i francuskiego w mowie i piśmie. O surowości kar, ja, pedagog, wolę tu nie wspominać. Kolejny przykład: mały Kuba (Jakub) miał trzy lata, gdy przyjechała Francuzka, panna Ernestine Osiral z Alzacji, nie mówiąca słowa po polsku. To była znakomita metoda: dzieci po pół roku wyłącznego z nią przebywania, a i przy stole mówiło się w tym języku, zaczynały co nie co mówić same. Ale Kuba był malutki i nie mógł się uczyć dwóch języków od podstaw. Nikt się nad tym nie zastanawiał: Kuba był karany, stawiany za przykład złego, leniwego dziecka, które do niczego w życiu nie dojdzie. (Aby było zabawniej, on właśnie wyemigrował do Belgii, tam studiował, założył rodzinę i do śmierci mówił tylko po francusku). Panna Ernestine nauczyła się w końcu trochę po polsku i z wielkiej miłości wyszła za mieszkańca miasteczka, pana Piątkowskiego.

Do dzieci ojciec Leonii, Antoni, ciepły dziadzio ze Lwowa (postawa wyjątkowa i godna tym samym wielkiego szacunku) zaangażował kolejną nauczycielkę, Niemkę, Alicję Pistuschek. Dzieci (nie wiem, jak biedny Kuba) po paru miesiącach mówiły biegle w obu językach. Wszystkim przydało się to bardzo w różnych okolicznościach życiowych. Trzeba dodać: taka forma nauczania była dla ojca bardzo kosztowna, bo i nie do końca łożył na nią dobry dziadzio ze Lwowa, który zmarł w 1905 r.

Jakimi były dzieci poddane takiemu wychowaniu? Przede wszystkim nieśmiałe i przestraszone, nie oczekujące od rodziców wsparcia ani zrozumienia, a posłuszeństwo i poddanie się autorytetowi uznające za najważniejszą cechę postawy życiowej. Takie zalęknione posłuszeństwo cechowało i stosunek do religii, starszyny rodzinnej, a w konsekwencji, u kobiet, relacje małżeńskie. Ale nie było buntu.



Il. 3. Dziadzio Antoni Jaxa-Chamiec ze Lwowa,
fot. ze zbiorów autorki

Stwierdzano, że tak musi być, że rodzice są bezwzględnie surowi dla dobra dzieci, bo inaczej nie wyrosłyby na ludzi porządných.

Jednak, co ciekawsze, wszystkie zamężne córki Stefano-stwa były zupełnie innymi matkami aniżeli Leonia: ciepłe, trochę nawet rozpieszczające, przyjacielskie. Ale to były już lata międzywojnia, represyjna pedagogika odchodziła w zapomnienie. I tylko czasami dorosła już Józia mówiła po jakimś wybryku swojej czwórki: „dałaby wam moja mama!”

Na koniec warto odnotować postawę Leonii wobec hartowania dzieci. To była jej obsesja: „musicie umieć poprzestawać na małym, idą ciężkie czasy”. Dlatego pokoje dzieciinne wychodziły na północ, w jednym z nich była nawet kamienna podłoga, od wczesnej wiosny nie wolno było nałożyć butów, a i w zimie nie zwracano uwagi na to, jak się dziecko samo opatuli. Dzieci musiały same się obsłużyć w ciągu dnia: sprzątać bez niczyjej pomocy, opiekować młodszym rodzeństwem, nawet naprawić ubranie. W dużym ogrodzie była huśtawka, a we wszystkich zakamarkach dużego ogrodu wolno było się bawić. To była jedyna swoboda w życiu tych dzieci, bo i wakacji od lekcji nie było: nawet nie wiedziały, co to jest.

Same musiały dawać sobie radę z toaletą, a przy stole siedzieć jak trusie i wszystko zjadać, nawet jeżeli porcje były za duże lub dla dziecka niesmaczne. Grymasy – to było słowo zakazane. Nie wolno było mieć przeciwnego zdania niż starsi, ba, nawet odzywać się bez pytania i wstać bez pozwolenia po skończeniu posiłku. Leonia w pewnym sensie wygrała: wszystkie dzieci były zdrowe, nie bały się żadnej fizycznej pracy czy niedostatku. Jakże przydało się to podczas wojen i w czasach Polski Ludowej, gdy los nie szczędził dramatów!

Postawa ekspiacyjna za błędy przodków

Ziemiaństwo stanowiło bezpośrednich spadkobierców szlachty, która bezsprzecznie doprowadziła w wieku XVIII do upadku Polski. Niemal od początku niewoli powszechną wobec dramatów ludzkich wynikłych z życia w zniewolonym kraju była postawa służebności, wyjątki od niej karano ostracyzmem opiniotwórczym i towarzyskim. Udział w powstaniach narodowych był traktowany z pietyzmem, a praca na roli jako świadoma służba ojczyźnie. Uchylenie się od

tej odpowiedzialności było ostro piętnowane. Opieka dworów nad mieszkańcami wsi dotyczyła zatrudnienia i pomocy w sytuacjach losowych. Służbę otaczano opieką, a dzieci były uczone, najczęściej przez dziedziczkę, katechizmu i historii Polski.

Taką postawę opisują dostępne do dziś pamiętniki. Należy domniemywać, iż wielokrotnie pozostawała jako postulat, a nie rzeczywistość. Jednakże rodzina będąca bohaterem niniejszego opisu jest nadal dumą spadkobierców: utracuszośćwo, skąpstwo, znieczulica wobec potrzebujących, wyzysk, ponizanie – zupełnie do jej opisu nie pasują. Patriarchalna postawa dziedzica wynikała zapewne z wychowania według określonego systemu wartości i z głęboko przeżywanego chrześcijaństwa. W każdym opisie tragedii miasteczka Dynowa, któremu zwłaszcza II wojna nie skąpiła dramatów, pojawia się wzmianka, że to Stefan Trzeciecki udzielił pomocy pogorzelncom, przyjął ofiary powodzi, że brał udział w akcjach pomocowych. Nie brakowało go nigdy w trudnych sytuacjach, a odgrózenie się od świata w wygodnym domu było nie do pomyslenia.

Szlachta a arystokracja

Rodzina Trzecieckich należała do typowej średniej szlachty małopolskiej. Nie znaczy to, że związków z arystokracją nie było: skromniejsi arystokraci wielokrotnie zawierali związki z herbowymi szlachciankami. Tytuły arystokratyczne pojawiały się więc również i w rodzinie. Nie przechodzono wobec nich obojętnie, ale i nie demonstrowano uniżoności. Np. matka Stefana, Ignacja Miączyńska, posiadała tytuł hrabiowski, ale mówiono o tym jako o sprawie normalnej i nie dodającej splendoru rodzinnej dumie. Dumnym było się jedynie z faktu służby ojczyźnie. O udziale przodka w narodowym powstaniu opowiadało się z poko-

lenia na pokolenie, a ocena magnackich zdrajców ojczyzny w wieku XVIII była zawsze negatywna.

Czy akceptowano chętnie związki poza „swoją sferą”? Zdecydowanie nie, i sprawy nie rozwiązywał ani majątek, ani wykształcenie. O takim nowym członku rodziny mówiono zawsze z westchnieniem dezaprobującym. Ofiarą tego snobizmu został szwagier Stefana, lekarz ze Lwowa, Kazimierz Jaszczurowski. I w późniejszych czasach było sporo mezaliansów, a córki Stefana używały tej nomenklatury nawet w latach osiemdziesiątych XX w. Czy takiej postawie przyświecał tylko snobizm? Wydaje się, że nie. Mówiono powołując się na mądrość życiową wynikającą z doświadczeń pokoleń: „tylko wychowanie w takiej samej sferze daje platformę pełnego porozumienia na co dzień”.

Na koniec ciekawostka: arystokracja, zwłaszcza ta XIX-wieczna, mówiła na co dzień po angielsku, natomiast szlachta, czyli ziemiaństwo – po francusku, ale nie na co dzień. Zdecydowany nacisk kładziono na doskonałą znajomość języka polskiego, a francuski znano niejako zwyczajowo, jako konwenans towarzyski.

Rodziny w Galicji i zaborze pruskim znały niemiecki z powodów naturalnych: szkoły, studia, urzędy, późniejsza praca. Co ciekawsze, w Galicji nie traktowano tego języka jako znienawidzone uciemnienie zaborcy. Tak było w tzw. Królestwie – w zaborze rosyjskim. Tutaj wszyscy, lepiej czy gorzej, dawali sobie z nim radę nie widząc w tym nic utrudniającego życie, co trzeba bojkotować. Angielskiego powszechnie we dworach nie uczono. Starsze dzieci Stefana miały przez krótki okres przed I wojną nauczyciela Anglika, ale zawsze powtarzano, że prawie nie nabyły znajomości tego języka. Nawiasem dodam, iż Kinga Moysowa nieomal utrzymywała się po II wojnie z tłumaczeń listów pisanych po angielsku zza oceanu, listów grzecznościowych, testamentów i pism urzędowych. Robiła to rzetelnie, z erudycją, ale o swojej umiejętności mówiła lekceważąco. Dla niej znajo-

mość języka to była jego umiejętność taka, która myliła rodowitych Francuzów czy Niemców.

Wracając do relacji szlachty i arystokracji: względy finansowe nie odgrywały w nich roli. Bankruci, ludzie żyjący poniżej minimum egzystencjalnego oraz z racji (czasami niezawinionych) dramatów życiowych, np. Potoccy z Rymanowa, stale byli atrakcyjnymi epuzerami, a zubożały szlachcic zawsze przedstawiał swoją wartość dzięki herbowi, ogładzie towarzyskiej, a na początku XX w. i wykształceniu, nie wielkości swego majątku. Nie do pomyslenia było określenie: „małżeństwo dla pieniędzy”, to kojarzyło się z postawą „nowobogacką”. Natomiast skoligacenie z nazwiskiem zasłużonym dla kraju to była tzw. „partia”.

Postawa wobec dramatów życiowych

Opisywany okres historii rodziny obejmuje prawie cały tragiczny wiek XX. Okres stabilizacji, względnego dobrobytu, niezmiennie postępujących po sobie lat podobnych do siebie niczym „paciorki różańca”, czas, kiedy zapomniano o wojnach, gdy mówiono, że wojny już się skończyły, bo przecież o co ludzie mają się bić? – to był koniec XIX i pierwsza dekada XX w. Stabilizacja obejmowała i biedną Galicję. Nawet i później mówiono w rodzinie Stefana: „spokój jak przed wielką wojną”. Ten spokój skończył się bezpowrotnie w lipcu 1914 r. Wojna zwana wtedy „wielką”, ciężkie życie w odbudowującej się wolnej Polsce, II wojna, dramaty nacjonalistyczne (banderowcy), wegetacja w nędzy i ostracyzmie społecznym w latach PRL-u, to tylko ogólne ramy tragedii i nieszczęść. Kinga i Józefa, prawie nierozłączne całe życie, mówiły: „Żyłyśmy zawsze albo przed, albo w trakcie, albo po wojnie. I koniec”. W 1921 r. obie wyszły za mąż za ziemian, właścicieli majątków na Podolu i Pokuciu, majątków zrujnowanych frontami wojennymi.



Il. 4. Dzieci dziedzica Stefana Trzecieckiego: Anna, Stefania, Józefa, Kinga, Jakub i Antoni, fot. ze zbiorów autorki

Stefania wyszła za oficera WP, Jerzego Kunsttetera, i też opuściła dwór rodzinny. Synowie ukończyli studia, w Paryżu i Gandawie i, wobec kategorycznego sprzeciwu ojca, który ani myślał o przekazie majątku ani unowocześnieniu go, zaczęli układać sobie życie na obczyźnie. Z rodzicami została najmłodsza Anna.

Okres międzywojnia to dla Kingi i Józefy była mozolna odbudowa majątków swoich mężów w Sidorowie na Podolu i Rudnikach na Pokuciu i wychowywanie dzieci. Sytuacja zaczęła się prawdziwie stabilizować dopiero w roku 1939... Niewiele wcześniej oba dwory zostały odbudowane, majątki, świetnie przez mężów administrowane, zaczęły dawać dochody. W Sidorowie, przykładowo, zajęto się uprawą buraków nasiennych sprzedawanych do Holandii.

Stefan w Dynowie gospodarował coraz mniej efektywnie, o czym już wspominałam. Nie zdecydował się na żadną monokulturę, uprawiał wszystkiego po trosze, podobnie było z hodowlą. Córki przyjeżdżały rzadko; odległość ponad 300 km to było bardzo daleko. Zresztą, niezbyt na nie czekano, rodzice moi wiedzieli, że będą nieśmiało, ale krytykowani. Wnuki, czworo dzieci Józefy i syn Kingi, prawie dziadków nie znały.

Druga wojna to było radykalne wywłaszczenie z majątków obu rodzin przez armię sowiecką 17 września 1939 r. Działo się to podczas zajmowania przez nią ziem polskich, a potem zaraz nastąpiło uwięzienie męża Kingi, Michała, i Józefa Kalasantego, męża Józefy i osadzenie w więzieniu Brygidki we Lwowie. Oskarżano ich o posiadanie własności ziemskiej!! Michał nie przeżył więziennej poniewierki; Józef, po wywiezieniu aż do Krzywego Rogu, zbiegł z towarzyszami niewoli i o zebranych chlebie, w łachmanach wrócił do Lwowa. Tam w mieszkaniu u jego starej matki Emilii przebywała żona z dziećmi. Stało się to już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.

Potworny głód, jaki nastał we Lwowie wraz z niemiecką okupacją, zmusił obie rodziny, nie mające środków do życia oprócz wyprzedaży mebli, obrazów, księgozbioru i biżuterii rodziców Józefa, do przyjazdu do Dynowa. Zostali najserdeczniej przyjęci. We dworze zastali Stefanię z trojgiem dzieci (jej mąż, oficer WP, był internowany przez Niemców), siostrę matki, Gabrielę Radzimińską ze swoją rodziną, rodzinę uciekinierów z Poznańskiego, państwa Trzczańskich. Słowem: wielu ludzi, sporo wiecznie głodnej młodzieży, wszystkich bez grosza, wyzutych ze wszystkiego. Przy niegospodarności Leonii (ukochana Tekluńcia, która trzymała dom w ryzach, zmarła przed wojną), szero-kim gościu pana domu, sytuacja zakrawała na apokalipsę. Młodzież miała się jakichkolwiek zajęć za byle grosz czy talerz zupy. Kilkoro z nich przygotowywało się do eks-

ternistycznej „leśnej” matury; byli prowadzeni przez oddanych, przedwojennych nauczycieli. Józefa, Kinga i Stefania pracowały niczym wyrobnice przy uprawie warzyw i hodowli drobiu.

Tragedią dla rodziny okazał się koniec lipca 1944. Co-fająca się armia niemiecka zwiozła niewykorzystaną amunicję przed dwór na wielki trawnik zwany gazonem. Została ona wysadzona w powietrze zmiatając z powierzchni ziemi cały, stary, prawie 150-letni rodzinny dom, zabudowania folwarczne, mnóstwo drzew oraz bardzo uszkodziła tzw. nowy dwór. Na szczęście rodzina, w porę uprzedzona o planowanym wybuchu, wieczorem skorzystała z gościny dyrektora szkoły na dynowskim Przedmieściu. Wszyscy zostali prawie bez dachu nad głową. Meble, naczynia, pościel, całe wyposażenie obu domów przedstawiało koszmarny widok: rozrzucone naokoło dymiących zgliszczy, połamane, poniszczone. Trzeba było jednak gdzieś mieszkać, otoczyć opieką osoby starsze, przywrócić funkcjonowanie domu – ruiny. Nikt nie załamywał rąk, nie wpadano w rozpacz, że nie wspomnę o depresji. Nie było na to czasu – pracowali wszyscy. Czekali potrzebujący. I tak się stało: własnymi rękami naprawiono co można w nowym domu, przywrócono jego funkcjonowanie. Dramatem była ogromna ilość niewybuchów. Nawet nie opowiadano nam, urodzonym po wojnie, jak się z tym uporano, i to bez strat w ludziach. Przez lata poszukiwania nęciły chłopców z miasteczka. Paru z nich straciło życie gdzieś w okolicznych lasach, gdy próbowali ciekawsko je rozkręcać szukając strzelniczego prochu.

Nastąpiła wiosna 1945. Trzeciescy w kwietniu świętowali złote gody. Na starym podniszczonym zdjęciu widać, jak siedzą przed zgliszciami starego dworu, z krzyżami w dłoniach, otoczeni rodziną i przyjaciółmi, z dzielnością spoglądając w przyszłość, którą będzie im dane spędzić jeszcze na tym świecie...



Il. 5. Rodzina przed ruinami starego dworu w 50. rocznicę ślubu Stefanostwa Trzecieckich, 1945 r., fot. ze zbiorów autorki

W maju, gdy wreszcie najstraszliwsza z wojen dobiegła końca, dom zaczął pustoszeć. Wszyscy wili sobie nowe miejsca pobytu, młodzież jechała w poszukiwaniu szkół, gościnny dom szybko opustoszał. Została tylko najbliższa rodzina Stefana i najwierniejsza służąca – przyjaciel, Helcia Kamińska. Rozpoczęto życie na nowo w rzeczywistości tak różnej od tej sprzed sześciu lat, jak różna jest noc od dnia czy czarne od białego. Ale nie było czasu na lęk i żalowanie strat. Trzeba było żyć.

Ziemiaństwo w Polsce Ludowej, do 1989 r.

Ziemiański dom w Dynowie nie został starty z ziemi w związku z nastaniem Polski Ludowej. Zawierucha społeczna prawdziwym cudem pozwoliła spadkobierczyniom

Stefana przeżyć najgorsze czasy stalinizmu i czasy zamierania ustroju, aż do jego końca, w swoim domu i resztkę pięknego niegdyś ogrodu wokół, wśród życzliwych ludzi – dawnej służby, przy wsparciu duchowym kolejnych proboszczów. Jak to się stało, zwłaszcza iż wszystkie okoliczne dwory przestały istnieć, a ich właściciele zginęli lub wyemigrowali za granicę?

Majątek Stefana w czasie reformy rolnej 1944 r. nie obejmował 50 ha, które były granicą nakazującą parcelację ziemi dekretem PKWN-u. Nie podlegał więc reformie i w takiej świadomości odchodził ze świata stary dziedzic w 1953 r.: dzieciom coś jednak zostawiał. Ale niebawem znaleźli się donosiciele na okoliczność sprzedaży ziemi podczas wojny bez adnotacji notarialnej. Cóż, Stefan był łatwowierny, ale bardzo uczciwy: kupujący wiedział, że nikt nie będzie dochodził praw do ziemi, za którą zapłacono, a okupant niemiecki został tym samym pozbawiony podatku. To cieszyło obie strony. Niestety, parę lat po wojnie sprawa wyszła na jaw. Skrupulatnie ją zbadano i ostatecznie, w majestacie ówczesnego drakońskiego prawa, wywłaszczono rodzinę z wszelkiej własności, bez odszkodowania. Pozwolono jedynie pozostać w domu i korzystać z ogrodu jako prawną rekompensatę za utracone mienie na Podolu i Pokuciu, ziemiach przyznanych po wojnie ZSRR.

I tak od 1955 r. zaczęło się we dworze, dawnym nowym, teraz prawie ruderze, nowe życie. To „nowe” miało trwać 35 lat, głodnych i chłodnych, w świadomości okrutnych zmian, jakie przyniosła do Polski na bagnietach sowieckich nowa władza. Coraz starszym kobietom nic się nie mogło podobać: natrętna laicyzacja i prześladowanie Kościoła, wszechobecna cenzura informacyjna (słuchano tylko „Londynu” i Wolnej Europy niemiłosiernie zagłuszanych), propaganda władzy stawiającej siebie jako wyzwoliciela od „krwiopicjów”, czyli posiadaczy ziemskich, fałszowanie historii w szkole, braki w zaopatrzeniu... Właściwie codziennie

dowiadano się o nowych niegodziwościach komunistycznej władzy. Były też coraz bardziej samotne: dzieci po założeniu rodzin wyjechały, wnuki widziano jedynie podczas letnich wakacji. Tylko wtedy stary dom ożywał. Opowiadaniom nie było końca, a dzieci, o dziwo, słuchały i słuchały... Jednym z tych dzieci byłam ja, mająca szczęście urodzić się w tym kochanym domu.

Jak wyglądało życie czcigodnych mieszkanek domu w postępujących latach? Nie złożyły broni: to był stale dwór z wszystkimi swymi cnotami, zwyczajami i tradycjami. I tak na Wigilię byli proszeni proboszcz i wikarzy, w czterech rogach pokoju starego Stefana stały cztery snopy zboża, wszystkie polskie tradycje tej wieczery były skrupulatnie zachowywane. Podobnie święcenie pokarmów w Wielką Sobotę, wieńce na Matkę Boską Zielną czy świece cmentarne przewiązane biało-czerwonymi wstążkami 1 listopada. Panował jednak wszechobecny niedostatek. Ogród ledwo, ledwo wykarmił mieszkanki domu i letnich gości, ale trzeba było mieć i gotówkę do opłat (wcześniej pisałam o pracy Kingi i męża Józefy w liceum. To dało im małe emerytury. Po śmierci męża Józefy 70% dostała i ona). Pomimo tego nikt potrzebujący nie odchodził z tego domu bez niczego, a na pewno nie bez wsparcia dobrym słowem. O brakach nie mówiło się, nie proszono o wsparcie ani krewnych, ani instytucji. Życie jest trudne, „ale trzeba temu podołać z podniesioną przyłbicą”, mawiały. Podejmowały się więc lekcji z języków obcych i tłumaczeń oraz, co trudniejsze, pisanie listów, zwłaszcza po niemiecku i angielsku. To trochę ratowało budżet, przy okazji będąc nieocenioną pomocą dla mieszkańców Dynowa.

Kiedyś odwiedził ich daleki kuzyn, historyk z Uniwersytetu Jagiellońskiego poszukujący pozostałości po dawnych czasach. Rozmawiał, rozglądał się, badał co mógł. A potem określił ten dom jako nadzwyczajną enklawę pozostałości życia z lat minionych, enklawę, której strzeżenie przypadło oso-

bom, dla których ten dawny świat wprawdzie przeminął, ale powinien zostać zapamiętany. To była bardzo celna ocena.

Na progu starości obie siostry przeżyły wybór Jana Pawła II, jego trzy przyjazdy do Polski, powstanie Solidarności – ich ostatnie wielkie wzruszenia. Kinga i Józefa zmarły pod koniec lat osiemdziesiątych, nie doczekawszy wolnej Polski. Anna i Helena, choć odeszły parę lat później, chore i zniedołężniałe, nie patrzyły już na przełom roku 1989 jako na próg nadziei. Zamknęła się epoka.

PS. Zainteresowanych dziejami rodziny Trzecieckich odsyłam do lektury mojej strony internetowej: marychna.witkowscy.net. W dziale „wspomnienia” są pamiętniki Kingi, Leonii, również moje dotyczące lat pięćdziesiątych. Zapraszam do ciekawej lektury.

Maria Libiszowska-Żółtkowska *

Dom inteligencki z tradycją ziemiańską w tle – esej wspomnieniowy

Prolog

Hasło „dom rodzinny” odsyła myślami do wspomnień z dzieciństwa i wczesnej młodości, kiedy to rodzice i dziadkowie tworzyli bezpieczną przystań, dbali o domowy wystrój, a przede wszystkim o rodzinną atmosferę. W tamtym okresie moja rodzina była wielopokoleniowa – dziadkowie, rodzice i wnuki. Ja i młodsi bracia dorastaliśmy w poczuciu bezpieczeństwa, otoczeni przez nich bezgraniczną miłością. Jako dziecko chłonełam wszystko, co mnie otaczało, powoli poznawałam znaczenie przedmiotów, uczyłam się nimi posługiwać, nierzadko balansując na niebezpiecznej krawędzi nauki na własnych błędach. Mama przez lata wracała pamięcią do traumy spowodowanej widokiem swojej trzylatki stojącej na taborecie w łazience, by widząc się w lustrze naśladować tatusia golącego się ostrą brzytwą. Szczęśliwie skończyło się na niegroźnym skaleczeniu, a ślad na policzku pod okiem długo był widoczny. Moi bracia byli bardziej pomyślowi i dociekliwi w eksperymentowaniu. Do tej pory jest wypalona dziura w podłodze po poznawaniu przez nich właściwości saletry amonowej, zgłębianiu tajemnic zapalek

* Prof. dr hab. Maria Libiszowska-Żółtkowska, Uniwersytet Warszawski.

czy wywoływaniu pożaru za pomocą szkła powiększającego. Zgodnie z maksymą ludową: „nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” zapędy poznawcze doprowadziły jednego z nich do doktoratu z chemii.

Jak żyć, skąd czerpać wiedzę, kogo i w czym naśladować – to dylematy mego dzieciństwa, wtedy jeszcze bez telewizji i innych nośników obecnie spełniających rolę spolegliwej niani czy wszechstronnego edukatora. Pozostawało dopytywanie rodziców i dziadków, jak to było za ich dzieciństwa, skąd czerpali wiedzę, w co i z kim się bawili, jakie książki czytali, jacy byli ich rodzice itd. i dalej bez końca, a potem od początku. Zazdrościliśmy im mieszkania na wsi w dużych domach z ogrodem, w otoczeniu zwierząt. Lubiłam słuchać opowieści o oswojonym kruku Jurku, o dających się ujeżdżać kucykach, ukochanym puchaczku, o spanielu Timie i jego córce Neli. Jako dzieci marzyliśmy, żeby mieć psa, ale pragmatyczni rodzice długo nie dawali się ubłagać. Gdy byliśmy w liceum, mój najmłodszy brat przyprowadził królewskiego pudła Ika, który od razu zawojował serca wszystkich. Stał się prawdziwym przyjacielem rodziny i naszą ogromną miłością.

Dziadkowie i rodzice pozbawieni – zmianą ustroju politycznego i przesunięciem państwowych granic – rodowych siedzib i ziemskich posiadłości, oderwani od środowiska, w którym wyrosli, chętnie dawali się namawiać na wspomnienia i snucie opowieści, jak to ongiś bywało. Zawsze jednak zważali, by nie powiedzieć czegoś, co powtórzone przez dzieci w przedszkolu czy w szkole mogłoby rodzinie zaszkodzić. Im jestem starsza, tym częściej żałuję, że tak wiele z tego, o czym mówili lub o co nie dopytałam, jest już na zawsze zamkniętą księgą. Trochę wspomnień sami spisali, inne wyczytać można z zachowanych listów, zdjęć i dokumentów. Nie tylko stare herbarze, ale i współcześnie tworzone drzewa genealogiczne podpowiadają nieznanne koligacje i odkrywają pokrewieństwa po mieczu i kądzieli. Digitalizacja starych ga-

zet, książek, druków, listów i zdjęć powszechnie dostępna via Internet jest nieprzebraną skarbnicą źródłowych danych o czasach minionych. Społeczna i polityczna pozycja niektórych moich przodków zapewniła im stałe miejsce w historii. Współczesna technika pozwala na docieranie do zgromadzonych informacji i czytanie ich bezpośrednio na ekranie domowego komputera. Wychowana w epoce kałamarza i pióra z wiecznie łamiącymi się stalówkami, które kleksami plamiły zeszyty, oraz drewnianego liczydła, fascynuję się współczesnymi osiągnięciami techniki, z dobrodziejstw których chętnie korzystam. Z matczyną dumą podziwiam mego syna Marcina, dla którego praca w obszarze sztucznej inteligencji jest chlebem powszednim. To on nauczył mnie posługiwania się komputerem, mobilizował do samodzielnego zgłębiania jego tajników i korzystania z możliwości, jakie dają coraz to nowsze programy i sprzęty. Jego córki, a moje ukochane wnuczki, Kalina i Laura, posiadły te umiejętności, niezbędne w pandemicznym czasie zdalnego nauczania, niemal od kołyski.

Osobiste wspomnienia są z założenia pozbawione odnośników. Dociekliwi czytelnicy mogą sięgnąć do przepastnej biblioteki Google'a i po rzeczowych lub osobowych hasłach dotrzeć do przytoczonych lub przemilczanych faktów. Ja również z tych źródeł korzystałam. Wdzięczna jestem rodzicom, że spisali trochę swoich wspomnień, a dla mojej kuzynki Marii z Gołuchowskich Zachorowskiej mam niesłabnące słowa uznania i podziwu za trud napisania dwóch tomów sagi rodzinnej, w sumie 900 stron o naszych wspólnych przodkach odległych i bliższych.

Dom inteligencji czasów PRL

Mój rodzinny dom, w którym spędziłam dzieciństwo i młodość (lata 1945–1970)¹ jest w mieście Łodzi, jak z dumą o swojej lokalnej metropolii mówią jego mieszkańcy, pod-

kreślając miejskie walory i akcentując nazwę własną wieloznacznego słowa. Bronią się w ten sposób przed dowcipami typu „mieszkasz w łodzi?, jakiej łodzi – podwodnej?” Co prawda przyszedłam na świat w Opocznie, i ta miejscowość towarzyszy mi niezmiennie we wszystkich urzędowych dokumentach, jednak dwa miesiące później rodzice przenieśli się do Łodzi. Zarówno Ojciec² jak i Mama³ z tym miastem nie byli wcześniej związani. Po wojnie, pozbawieni własnych rodzinnych domów, poszukując nowej siedziby obrali reymontowski szlak „ziemi obiecanej”. Do wyboru miejsca osiedlenia skusiła ich perspektywa pracy zawodowej zgodnej z przedwojennym wykształceniem i przygotowaniem. Ojciec po Wiedeńskiej Wyższej Szkole Handlu Światowego (*Hochschule für Welthandel* in Wien) oraz praktyce w zakładach celulozy Steinhagena i Saengera (ci z *Pamiętki z celulozy* Igora Newerlego) zaangażował się w reaktywację przemysłu papierniczego, którego centrala ulokowała się w Łodzi. Papiernictwu pozostał wierny do emerytury. Mama po studiach historycznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie marzyła o pracy naukowej. Tworzące się w Łodzi akademickie środowisko stwarzało szansę spełnienia jej zawodowych planów i aspiracji. Z Uniwersytetem Łódzkim, którego była nie tylko świadkiem narodzin, ale także przez pięćdziesiąt lat aktywności akademickiej jedną z jego czołowych uczonych, związała się na zawsze.

Powojenna Łódź była miastem w miarę oszczędzonym przez wojnę, czego, oczywiście, nie można odnieść do jego przedwojennych mieszkańców, w większości Żydów i Niem-

¹ Mój życiorys można znaleźć w książce: *Między socjologią a religioznawstwem w teorii i badaniach Marii Libiszowskiej-Żółtkowskiej*, J. Mariański, E. Stachowska (red.), Polskie Towarzystwo Religioznawcze, Warszawa 2011.

² Stefan Libiszowski (1913–2013).

³ Zofia z Gołuchowskich Libiszowska (1918–2000).

ców. W pierwszym roku po wojnie Łódź przejściowo była siedzibą władz państwowych oraz swoistą Mekką dla przedwojennej inteligencji warszawskiej, tułaczy ze wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej, a także dla ludności wiejskiej poszukującej zatrudnienia w odradzającym się przemyśle. Prestiżem i mianem tymczasowej stolicy cieszyła się jednak bardzo krótko. Warszawa, którą okupant w barbarzyńskim zamiśle chciał zrównać z ziemią, z ruin i zgliszczy niczym Feniks z popiołów odradzała się z wiarą w lepszą przyszłość. Do Warszawy zewsząd ciągnęli jej dawni i nowi mieszkańcy. Powojenne hasło „cały naród odbudowuje swoją stolicę” zmobilizowało wielu tymczasowych łodzian do powrotu lub wyboru Warszawy jako swojego miasta. Pozostać w Łodzi czy dołączyć do wyjeżdżających do stolicy rodziny i przyjaciół to trudny dylemat, przed którym stanęli moi rodzice. Jednak Łódź zatrzymała ich na trwale. Dwadzieścia pięć lat później ja sama, początkowo tymczasowo, a później na stałe zamieszkałam w Warszawie, tworząc tu kolejny – w sztafecie pokoleń – dom rodzinny dla mojego syna, a on dla swoich córek. Spełniłam niejako marzenie rodziców, którzy czasami z sarkazmem lubili powtarzać „kto mieszka w Łodzi, sam sobie szkodzi”. Rodzice przed wojną i w czasie wojny byli z Warszawą związani. Pierwsze, samodzielne mieszkanie mojego Ojca mieściło się w Alejach Ujazdowskich, w Domu pod Gigantami. Kamienica została wzniesiona w latach 1904–1907 według projektu polskiego architekta Władysława Marconiego w stylu wczesnomodernistycznym z elementami klasycystycznymi i barokowymi. Wybuch II wojny światowej, powołanie Ojca do wojska oraz zarekwirowanie przez Niemców mieszkania z całym wyposażeniem zakończyło warszawski epizod, do którego Ojciec chętnie w opowieściach powracał, a będąc w Warszawie z sentymentem patrzył na ową kamienicę. Jedyne, co udało mu się odzyskać, to przykręcona do drzwi wejściowych mosiężna tabliczka z jego imieniem i nazwiskiem. Ta wizytówka anonsująca

właściciela jest do tej pory na drzwiach łódzkiego mieszkania. Mama, po ucieczce z rodzinnego Lwowa w 1939 r., w trudnych warunkach wojennej okupacji wkraczała w dorosłość mieszkając w Warszawie „kątem przy rodzinie” żyjącej z wynajmu pokoi. Pierwszą pracę zawodową podjęła w Bibliotece Ordynacji Zamoyskich, gdzie związała się z naukowym środowiskiem ówczesnych historyków. Pod ich opieką przygotowała i obroniła pracę magisterską. Dla rodziców Warszawa miała więc urok miasta, które nauczyło ich samodzielności, towarzyszyło młodzieńczym planom, zawodowym ambicjom oraz rodzącej się między nimi miłości.

Nasze łódzkie mieszkanie mieściło się niedaleko dworca Fabrycznego, w centrum miasta, przy mniej ruchliwej ulicy, w przedwojennej trzypiętrowej kamienicy. Mieszkaliśmy na ostatnim piętrze, bez windy. Schody dawały się we znaki bardzo małym dzieciom oraz seniorom. Chociaż pod koniec życia mój dziewięćdziesięcioletni Ojciec uważał, że tej codziennej wspinaczce zawdzięcza po części długowieczność. Ulica długo wybrukowana była tzw. kocimi łbami. W kamienicy było centralne ogrzewanie z indywidualnymi piecami na węgiel. Jesienią przyjeżdżał wóz konny i zwał tony węgla, który trzeba było przenieść do piwnicy, a później codziennie dźwigać wiadrami do kuchennego pieca i pilnować, żeby nie wygasł. Noszenie węgla i doglądanie pieca to była nasza zmora dzieciństwa. Dopiero pod koniec XX wieku wymieniono piec węglowy na gazowy. Do kuchni wejściem z oficyny prowadziły schody inne niż te od frontu. W czasach dzieciństwa codziennie o piątej rano objuczona konwiami mleka zjawiała się kobieta, nazwana przez dzieci „mleczarą”. Przyjeżdżała z podmiejskiej wsi. Rzadziej, też systematycznie, przychodziła „baba z jajkami” i białym serem, sporadycznie z cielęciną. Był to swoisty catering na miarę ówczesnych czasów. Panią mleczarkę darzyliśmy sympatią i podziwem. Z garbem i niskiego wzrostu była osobą pogodną, lubiącą się pośmiać i pożartować. A jej mleko z grubym ko-

zuchem było pyszne. Teraz by się powiedziało „prawdziwe, od krowy”. O ten kozuch co rano toczyliśmy boje.

Mieszkanie usytuowane od frontu było stosunkowo duże, około 140 m kw. Składało się z czterech pokoi, z tzw. służbówki, kuchni ze spiżarnią, łazienki i sporego holu. Jak na ówczesne warunki był to wysoki standard. Nazwy pokoi przypisane były do zamieszkujących je lokatorów. Był zatem pokój Dziadka⁴, pokój rodziców – ich sypialnia będąca równocześnie gabinetem Mamy, pokój dziecienny (tak niepoprawnie go nazywaliśmy), który dzieliłam z młodszymi braćmi. Gdy byłam starsza pokój przedzielono solidnymi szafami na dwie części. Zyskałam namiastkę własnej przestrzeni. Meble zmieniały się wraz z naszymi potrzebami, razem z nami rosły zwłaszcza gabaryty łóżek, pojawiły się biurka i regały na książki. Powoli znikwały sterty klocków i innych zabawek. Trzy duże pokoje tworzyły okrąg. Przy otwartych drzwiach można było gonić się w kółko, bawić w chowanego lub jeździć na małym rowerku. Środkowy pokój z przejściem do kuchni ze względu na jego funkcję i duży krągły stół po środku nazywaliśmy „stołowym”. Było to miejsce wspólnych posiłków, rodzinnych spotkań, słuchania radia, płyt gramofonowych, a gdy nastało królestwo telewizora, stał się także domową salą kinową. Początkowo jeden, a później dwa kanały nie były konfliktogenne. Rodzinnie można było oglądać zwłaszcza czwartkową „Kobrę”. Przy stole odrabiało się lekcje, rozkładało gry planszowe, a w fotelach i na kanapie w wygodnej pozycji można się było oddawać lekturze książek, zaś we wczesnym dzieciństwie słuchać ich czytanych przez ukochaną Babunię. Dom zawsze był pełen. W porze obiadowej przychodzili mieszkający niedaleko Dziadkowie⁵, rodzice mojej Mamy. Trzypokoleniowa ro-

⁴ Szczęsny Libiszowski (1881–1970).

⁵ Wojciech (1888–1960) i Zofia (1887–1971) z Baworowskich Gołuchowscy.

dzina zasiadała przy okrągłym stole do obiadu przygotowanego przez gosposię. Ze względu na siermiężne czasy posiłki były proste, lecz spożywane z zachowaniem manier i etykiety, do których od najmłodszych lat mnie i braci wdrażano. Konwersacje dorosłych ze względu na obecność dzieci i gosposi często prowadzono w języku francuskim. Pod koniec lat pięćdziesiątych dziadkowie Gołuchowscy przenieśli się do Warszawy.

Dom zawsze był przyjazny i otwarty dla gości. Zwłaszcza moja Mama, o ujmującym sposobie bycia, była osobą bardzo towarzyską, uwielbiała bywać na rautach i organizować przyjęcia. Przez dom przewijali się goście uświetniający rodzinne uroczystości i rocznice, podejmowani byli wizytujący Uniwersytet profesorowie z zagranicznych uczelni, wpadali na konsultację doktoranci. Mama, bez reszty poświęcona pracy naukowej, zdobywaniu tytułów i szczebli w karierze akademickiej, miała zawsze czas dla rodziny, grona przyjaciół i ludzi potrzebujących jej rady czy wsparcia. Jeden z jej uczniów w pośmiertnym wspomnieniu tak o tych spotkaniach napisał: „Jej salon-gabinet uczoney, wypełniony książkami i pamiątkami z magnackiej przeszłości, był miejscem dyskusji o problemach nauki, polskiej kultury, a także polityki. Zawsze podziwiałem kulturę emanującą na tych spotkaniach, którym ton nadawała życzliwa ludziom Pani domu. Zawsze gościnna, dyskretna i powściągliwa w wydawaniu sądów”⁶.

Na stylu życia rodziców ważyło ich przedwojenne, ziemiańskie pochodzenie i wzorce przeniesione z minionej epoki. Współgrająca z tym życzliwość i otwartość na ludzi, poczucie odpowiedzialności i chęć niesienia pomocy innym, a także towarzyskie wyrobienie, osobista kultura, wiedza i inteligencja sprawiały, że dom tętnił życiem. Trudno

⁶ L. Gruszczyński, *Wspomnienie o prof. Zofii Libiszowskiej*, „Dziennik Łódzki” z 14 czerwca 2000 r.

się dziwić, rodzice byli młodzi i odrabiali stracony wojenny czas. Złaknieni byli osobistych kontaktów i towarzyskich spotkań. W Łodzi odnaleźli starych znajomych, zaprzyjaźnili się z ludźmi ze świata nauki i sztuki. Odradzało się życie kulturalne, zaczęły działać teatry, kina, muzea organizowały wystawy, a w filharmonii odbywały się muzyczne recitale. Dziadek Szczęsny co piątek bywał na koncertach muzyki poważnej, czasami mnie lub brata ze sobą zabierał.

Do lat pięćdziesiątych opresja systemu komunistycznego nie była dla rodziców tak dotkliwa, jak stało się to później. W wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Papierniczemu” w grudniu 2009 r. Ojciec tak ten czas zapamiętał: „(...) po roku pracy zostałem formalnie przez ministra przemysłu nominowany na stanowisko z-cy dyrektora ds. ekonomicznych. Stanowisko to zajmowałem ok. 5 lat, ale w lipcu 1951 r. oznajmiono mi, że z moim nazwiskiem nie mogę nadal na nim pozostawać”. Dosyć wcześnie zorientowałam się, że istnieją dwa odrębne światy – nasz i ten na zewnątrz. Wiedziałam, że nie wolno powtarzać tego, o czym rodzice rozmawiają w domu. Intuicyjnie wyczuwałam, że moja paplanina mogłaby nam zaszkodzić. Po wojnie dziadkowie i rodzice starali się dopasować do nowej dla nich rzeczywistości. Wychowani w duchu patriotyzmu, lojalności wobec ojczyzny i rzetelnej pracy w służbie drugiemu człowiekowi, realizowali wpojone im w dzieciństwie ideały, jak umieli najlepiej.

Rodzice pracujący zawodowo wspomagani byli w opiece kuńcych i domowych obowiązkach przez młode dziewczyny pochodzące ze wsi. Gdy byliśmy mali, na stałe mieszkały z nami dwie pomoce domowe, jedna do dzieci, druga do prowadzenia gospodarstwa, czyli robienia zakupów, sprzątanania i gotowania. Opiekunka do dzieci dzieliła z nami pokój. Gospościa miała mały pokoik, tzw. służbówkę, oraz królowała w kuchni. Nianie zmieniały się w rytm ich zamążpójścia. Gdy najmłodszy brat zaczął chodzić do szkoły,

pozostała z nami jedna gosposia, która opuściła nas, gdy rozpoczęłam studia. Przejęłam jej skromnych rozmiarów pokoi, gdzie urządziłam swoje królestwo. Pani Władzia przez lata rządziła w domu. Wszyscy domownicy ulegali jej terrorowi. Rodzice z obawy, żeby nie odeszła, małe dzieci zвычайnie się jej bały. Nie zmieniło się to, gdy byliśmy już starsi. Strach minął, a pozostało zakodowane posłuszeństwo, bo tego wymagali od nas rodzice. Nasi znajomi też woleli omijać ją „szerokim łukiem”, nikt nie chciał się jej narazić. Ona wyznaczała godziny posiłków, dyktowała menu, dzieliła domowe obowiązki, których wykonania bezwzględnie przestrzegała. Przy stole nie wolno było grymasić, trzeba było wszystko zjadać.

Chociaż mieliśmy telefon, co było wówczas rzadkością, na ogół nie anonsowano wizyt, lecz wpadano bez zapowiedzi. Wtedy był to przyjęty zwyczaj. Z czasem odszedł w zapomnienie i teraz bez uprzedzenia i zaproszenia nie wypada znajomych „nachodzić”. Krótkotrwałym przerwaniem były lata osiemdziesiąte XX wieku, gdy w stanie wojennym „ogłuchły” telefony, a sytuacja polityczna ożywiła „nocne Polaków rozmowy”. Nie trwało to jednak długo. Obecnie na wzór modły angielskiej domy coraz bardziej stają się fortecami trudnymi do sforsowania przez nieproszonych gości. Powszechność telefonów wyeliminowała spontaniczność w ludzkich relacjach, pojawiły się inne niż bezpośrednie formy komunikacji.

W domu bywali nie tylko znajomi rodziców, ale także moje koleżanki i koledzy braci, z czasem także moi koledzy ze studiów. Od wczesnej szkoły podstawowej domową tradycją stały się moje imieniny, urządzone corocznie, a w czasie studiów także zabawy sylwestrowe. W święta dom był pełen gości. Gdy założyłam własną rodzinę i zamieszkałam w Warszawie, dopóki żyli rodzice, coroczne święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy spędzaliśmy z nimi w Łodzi i z rodzinami moich braci.

Wystrój mieszkania był typowo mieszczański, z ciężkimi meblami będącymi pozostałością po poprzednim właścicielu, który przenosząc się do Warszawy odprzedał je. W czasie wojny mieszkanie okupowali Niemcy, o czym świadczyły pozostawione książki i ciężkie encyklopedie z kolorowymi ilustracjami. W dzieciństwie lubiłam je z braćmi oglądać leżąc na podłodze. Dziadkowi udało się uratować ze swojego przedwojennego majątku trochę mniejszych mebli i pamiątek. Dziadek i Ojciec ocalałe przedmioty traktowali niczym relikwie. Ich wartość była dla nich bezcenna. Nieważne, czy były to moje ulubione porcelanowe figurki, czy zaplątana buteleczka po lekarstwie lub stare wieczne pióro. Kulturowane pamiątki stwarzały obu panom namiastkę domu rodzinnego, który musieli opuścić, i koily tęsknotę za ukochanym Mroczkowem. Razem z braćmi traktowałam ocalałe przedmioty jak skarby, które kiedyś po rodzicach będziemy dziedziczyć. Już wtedy lubiliśmy dokonywać podziału łupów. Z przejściem oglądaliśmy z Dziadkiem stare albumy fotograficzne, w których zamknięta była przeszłość. W stołowym pokoju górował nad nami ogromny portret pięknej młodej kobiety, matki mojego Ojca, ukochanej żony Dziadka⁷, która zmarła w wieku 37 lat. Spoglądała na nas także z wielu fotografii. Ściany zdobiły obrazy, rodzinne zdjęcia i makaty. Na komodach i w serwantce stały różnej ornamentyki bibeloty przywołujące wspomnienia po darczyńcach i dawnych czasach rodowej świetności. Sypialnio-gabinet wypełniony był książkami i odgłosem wiecznie stukającej przedwojennej maszyny do pisania, którą rodzice eksploatowali zamiennie, nim nie dorobili się drugiego egzemplarza.

W dzieciństwie zamiast bajek Ojciec lubił mi opowiadać o swoich i Mamy przodkach, wymieniał rodowe koligacje i koneksje – kto z kim był żonaty i w jakiej chronologii. Był zadowolony, gdy je zapamiętywałam i potrafiłam powtórzyć.

⁷ Halina z Jeżewskich Libiszowska (1890–1927).

Ta wiedza, choć już zatarta i z lukami, przydaje się teraz, gdy nastała moda na poszukiwanie swoich korzeni, rysowanie drzew genealogicznych, coraz częściej zamieszczanych na specjalistycznych stronach internetowych.

Odległe czasy domostw ziemiańskich

Rodzice opowiadali nam o swoim dzieciństwie i młodości, o domach i miejscowościach, w których mieszkali. Co ciekawe, po wojnie żadne z nich nie chciało tam pojechać, by tylko zobaczyć. Woleli pamiętać o tym, co było, obawiali się tego, co mogliby tam zastać. Mama po wojnie do Lwowa nigdy się nie wybrała, zresztą nie było takiej możliwości. Majątek i rodzinny dom Ojca jest stosunkowo niedaleko Łodzi, we wsi Mroczków⁸ oddalonej osiem kilometrów od Opoczna, w sąsiedztwie wsi Libiszów. Po raz pierwszy w końcówce lat osiemdziesiątych Ojciec dał się namówić dorosłym już dzieciom na wspólną wycieczkę. Do domu jednak nigdy nie wszedł, spacerował jedynie po ogromnym parku, pokazywał nam drzewa sadzone za jego młodości i te dużo starsze. Z przykrością patrzył na dewastację parku, na niszczący drzewostan, zaniedbany staw, na chaszczę i zarośla na miejscu parkowych alei, na zdziczały sad rodzący niegdyś dorodne owoce. Po wojnie w domu ulokował się Zespół Szkół Rolniczych z internatem. Jakie było nasze zaskoczenie, gdy w przestronnym holu zobaczyliśmy ogromny traktor.

⁸ Mroczków Gościny – wieś w województwie łódzkim, powiat opoczyński, gmina Opoczno, nad rzeką Brzuśnią. Wieś istniała już w początkach XV stulecia. Od końca XVIII w. znajdowała się w rękach Libiszowskich. W 1775 r., za czasów Marcina Libiszowskiego, członka komisji sejmowych, były tu dwór, folwark, karczma i młyn oraz 20 gospodarstw chłopskich. W XIX w. właścicielem wsi był Antoni Libiszowski, pułkownik wojsk napoleońskich i poseł ziemi sandomierskiej. We wsi znajduje się zabytkowy zespół dworsko-parkowy (https://pl.wikipedia.org/wiki/Mroczk%C3%B3w_Go%C5%9Bciny).

Od tego czasu jeździmy tam częściej. Teraz już bez rodziców spotykamy się w parku na rodzinnych zjazdach w coraz większym gronie. Pokolenie mojego syna założyło własne rodziny, pojawiły się dzieci i będą kolejne. Dzieciom i wnukom opowiadamy o tym, co nam samym udało się zapamiętać. Po latach to oni przejmą pałeczkę, a moje pokolenie dołączy w ich wspomnieniach do rodzinnego panteonu antenatów.

Gdy szkoła się wyprowadziła, budynek został poddany solidnemu remontowi z funduszu unijnego. Od lutego 2020 roku mieści się w nim placówka opiekuńczo-wychowawcza, dom dla 14 dzieci. Informację o uroczystości otwarcia znalazłam w Internecie: „W Mroczkowie Gościnnym koło Opoczna została otwarta i poświęcona placówka opiekuńczo-wychowawcza ‘Pałacyk’. Nazwa nawiązuje do obiektu zbudowanego przez pierwszych właścicieli miejsca, rodziny Libiszowskich. Dobra, a więc pałacyk i okoliczny park, zostały zabrane przez władze komunistyczne”⁹. Chwalebne, że dom stanie się bezpieczną przystanią dla skrzywdzonych dzieci, że po latach bezmyślnej dewastacji zyska gospodarza, który zadba o budynek i rozległy park.

Mama, z hrabiowskiego rodu Gołuchowskich¹⁰, dzieciństwo spędziła we wsi Janów pod Lwowem, a młodość we Lwowie. W czasie I wojny światowej, gdy całkowitemu zniszczeniu uległ ich rodzinny dom w Kołtowie¹¹, zmuszeni

⁹ <https://radom.gosc.pl/gal/pokaz/6168138.Otwarcie-placowki-Palacyk#gt>

¹⁰ Maria z Gołuchowskich Zachorowska, *Gołuchowscy linia hrabiowska*, t. 1–2, Kraków 2017.

¹¹ Kołtów, wieś położona w bagnistej kotlinie Bugu. W XIX w. własność Felicji Starzeńskiej – żony Józefa Baworowskiego. W rękę Baworowskich do lat 20. XX w. Ostatni właściciele to Zofia Maria Baworowska i jej mąż Wojciech Gołuchowski (do 1939). Dwór, park krajobrazowy (malowniczo położony nad stawem) i kaplica – zniszczone w czasie I wojny światowej. Zachowała się neoklasycystyczna cerkiew ufundowana przez Baworowskich (<http://www.lwow.home.pl/huta-pieniacka/rajd-pazdziernik2007.html>).

byli przenieść się do znacznie skromniejszego leśnego majątku. W pisanych pod koniec życia wspomnieniach Mama tak swój rodzinny dom czasów dzieciństwa zapamiętała:

Opuszczony budynek poprzedniej administracji Janowa stał się naszą siedzibą przystosowaną do potrzeb rodzinnego życia. Położenie miał wygodne, blisko dworca kolejowego. Dzieci cieszyły się na tę zmianę. Po wędrówkach i przeprowadzkach wojennych marzyliśmy o swobodzie wiejskiej i własnym domu rodzinnym. Dzień podróży i pierwsze wrażenia utkwiły w mojej pamięci dokładnie. Zapamiętałam panoramę miasteczka, które było straszliwie wojną zmasakrowane, kikuty kominów sterczały nad spalonymi domami. Skromne warunki mieszkaniowe jednak nas zachwyciły. Oświetlenie dawała lampa naftowa, co nas cieszyło. Niedługo, dzięki naszym zakładom przemysłowym i staraniom mego ojca, nastąpiła ponowna elektryfikacja Janowa. Wykopano na podwórzu własną studnię, mieliśmy więc czystą źródlaną wodę, największe dobrodziejstwo życia wiejskiego. O estetykę domu i jego otoczenie zadbała moja mama. Otoczono fasadę murowaną balustradą, co stworzyło rodzaj werandy, poszerzającej rozmiary domu. Dzięki tym zmianom standardowy dom administracyjny urósł do rangi „dworu”, a z czasem nawet „pałacu”. Matka dbała również o ogród warzywny. Niebawem pod osłoną budynków gospodarczych pojawiły się skrzynie inspektowe, jako swego rodzaju novum w tej okolicy. Podjęła również eksperymentalną próbę wprowadzenia pod osłoną dachu owoców południowych – moreli i brzoskwiń – przedmiotu pożądania wiejskich złodziejasków. Uczestniczyliśmy z zapałem w tych nowatorskich inicjatywach, które powierzano też naszej opiece. Przystosowywano nas do życia na wsi, do różnych prac w formie „zabaw domowych”. Tak zarysowywała się nasza przyszłość i wrastanie kolejnego pokolenia w ziemię rodzinną. Nasz „dwór” odbiegał wyraźnie od tradycyjnych ziemiańskich siedzib. Nie osłaniały go ogrodzenia i zamknięte bramy. Dom był otwarty i gościnny. Prawdziwi ubodzy mieli zawsze dostęp do naszej miłosiernej matki. Najpiękniejszą ozdobą i świadectwem długowieczno-

ści przyrody, a tym samym kultury człowieka, były kilkusetletnie lipy. Według miejscowej legendy, pamiętały one czasy Jana Sobieskiego – wyrosłe na odwiecznym gazonie przed domem. Silne, rozrośnięte, odporne, otoczone powszechnym szacunkiem i niemal bałwochwalczą czcią, dawały osłonę przelotnym ptakom. Ściągały chmary pszczół z pobliskich pasiek, szumiały opiekuńczo i przyjaźnie, kojąc lęk i niepokój. Dosięgnął je jednak wandalizm drugiej wojny światowej. Gdy w czasie okupacji niemieckiej znalazłam się ponownie we Lwowie, postanowiłam odwiedzić „kraj lat dzieciennych” i pokłonić się odwiecznym drzewom. Na wydeptanym i rozgrzebanym gazonie pozostały jedynie ślady wyrąbanych pni. Zamilkło też ptactwo wokół naszego domu. Znak, że i my tu nie powrócimy¹².

Dziadkowie Gołuchowscy mieli trójkę dzieci, czternaścioro wnuków oraz trzydzieścioro siedmioro prawnuków, wszyscy w związkach małżeńskich, czyli w sumie ich najbliżsi do trzeciego pokolenia „w dół” to sto dwoje potomnych. Linia nadal się ciągnie – prawnuki mają własne dietne rodziny. W roku 2017 udało się zebrać osiemdziesięciu krewnych rozrzuconych po kraju i świecie (w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Norwegii, Peru, Anglii, Szwajcarii), by śladami wspólnych przodków odbyć sentymentalną podróż na dawne kresy Rzeczypospolitej (obecnie tereny Ukrainy). Jechaliśmy z intencją zanurzenia się w rodzinnej tradycji, by posmakować, jak to kiedyś bywało i porównać z tym, co zyskaliśmy w zamian. Odnajdywanie śladów antenatów jest jedyną w swoim rodzaju wyprawą łączącą i scalającą przeszłość z teraźniejszością, tych którzy odeszli z tymi, którzy żyją i jeszcze pamiętają. Zjazd był swoistą sztafetą pokoleń – od przodków spisanych w dwutomowej sadze rodzinnej

¹² Z. Libiszowska, *Moje Uniwersytety*, [w:] *Moja droga do nauki*, E. Paradowska (red.), Łódzkie Towarzystwo Naukowe, Łódź 1996, s. 186–187.

przez kuzynkę Marię z Gołuchowskich Zachorowską – po obecnie żyjące trzy generacje ich „spadkobierców”¹³.

Pierwszy postój był w Janowie (dzisiejsze Iwano-Frankowe). Ze wzruszeniem spoglądaliśmy na nadszarpnięte zębem czasu i bezmyślnym wandalizmem domostwo naszych dziadków, Wojciecha i Zofii, na staw janowski i na okoliczne lasy należące niegdyś do ich majątku. Obecnie w domu mieści się miejski ośrodek pomocy społecznej. Mojej Babuni takie wykorzystanie jej posiadłości z pewnością by się spodobało.

We Lwowie ostał się dobrze zachowany pałac zbudowany przez (prapradziadka) namiestnika Galicji, Agenora Romualda Gołuchowskiego w 1865 r. Budynek usytuowany jest obok miejskiego parku, w którym w latach 1901–1950 stał jego pomnik według projektu znakomitego rzeźbiarza Cypriana Godebskiego¹⁴. Dziś jego miejsce zajęła imponująca żeliwna waza. W nowej rzeczywistości prywatna siedziba rodu Gołuchowskich stała się dobrem publicznym. W zrewitalizowanym budynku ulokował się szpital kolejowy. Do nowych potrzeb dostosowano wnętrze, fasadę pozostawiając niezmienioną. W pobliżu pałacu wtedy i teraz stoi budynek dawnego Sejmu Krajowego, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zajął Uniwersytet Lwowski, Alma Mater mojej Mamy i jej starszej siostry¹⁵. Ich brat¹⁶ studiował leśnictwo na Politechnice Lwowskiej.

Następny przystanek był w Kołtowie, dawnym majątku Baworowskich, ślubnym wianie Babuni, gdzie po zniszczonym dworze nic nie pozostało. Nagrodą dla nas były

¹³ Opis wycieczki na internetowej stronie: <https://www.kuriergalicyjski.com/rozmailtości/6248-obowiazek-zyjacych-pamietac-o-przodkach>

¹⁴ <https://polska-org.pl/8839048,Lwow,PomnikAgenoraGoluchowskiego.html>

¹⁵ Prof. Maria Anna z Gołuchowskich Dembińska (1916–1996).

¹⁶ Mgr inż. Jan Gołuchowski (1913–1995).

urokliwe widoki kwietnych łąk oraz pole żółtych słoneczników ciągnących się aż po horyzont. Ostatnim etapem sentymentalnej podróży była Skała Podolska, ordynacja Gołuchowskich od początków XIX wieku. Także i ten pałac uległ całkowitemu zniszczeniu podczas I wojny światowej. Ocalały jedynie budynki gospodarcze, dawny szpital, kordegarda i częściowo park. Duże wrażenie zrobił na nas ciąg ocalałych murów dających wyobrażenie o wielkości i wspańiałości tego, co bezpowrotnie minęło. Zadbany, teraz już miejski, park urzekł nas starymi drzewami pamiętającymi czasy antenatów.

* * *

Moje własne domostwo, które bez mała od pół wieku dzielę z moim mężem Wiesławem, nawiązuje do stylistyki domu rodzinnego i utraconych domostw moich rodziców i dziadków. Z pietyzmem przechowuję odziedziczone po nich przedmioty. Rodzinne fotografie, których sporą kolekcję zgromadziłam na ścianach, dają namiastkę obcowania z tymi, którzy bezpowrotnie odeszli, zaś rodowe pamiątki przenoszą mnie myślami w minione lata, w dawne mody i style. Z wiekiem coraz częściej powracają sny, w których jestem małą dziewczynką w łódzkim mieszkaniu, a obok są kochający rodzice i dziadkowie. Po przebudzeniu nie pamiętam sennej scenerii i rozegranej akcji, a jedynie odczuwam duchową bliskość z tymi, których fizycznie przy mnie już nie ma.

Krystyna Romaniszyn*

Dom (nie)utracony

Dom jest wszędzie tam,
gdzie ludzie kochają się wzajemnie
(przysłowie polskie)

W niniejszym szkicu przedmiotem namysłu czynię rzeczywistość nazwaną domem oraz to, co przyczynia się do jego utraty z jednej i zachowania z drugiej strony. Podejmuję kolejno następujące wątki: czym jest dom? co go stanowi? co przyczynia się do jego utraty lub ją powoduje? W tytule zaś ukryłam tezę, której dowiedzenie jest głównym celem szkicu i która brzmi: dom jest nie-do-utracenia. Tezę tę ilustruję na przykładzie polskiego lwowskiego domu.

Dom jest rzeczywistością wielowymiarową. Dom nie zamyka się ani w przestrzeni konkretnego lokum, ani w szerszej przestrzeni najbliższej okolicy, ani w kręgu domowników, ani w szerszym kręgu powinowactwa i relacji międzyludzkich, ani w większym lub mniejszym zbiorze rzeczy. Wielowymiarowość domu można ująć za pomocą idei kręgu, ściślej szeregu kręgów. Dom więc buduje i stanowi kilka kręgów, z których cztery można uznać za podstawowe. Poniżej przedstawiam i pokrótce charakteryzuję każdy z nich.

* Prof. dr hab. Krystyna Romaniszyn, Instytut Socjologii, Uniwersytet Jagielloński.

Dom – krąg pierwszy

Dom pierwszego kręgu jest najwęższy, stanowią go domownicy i mieszkanie wraz ze sprzętami. Można zatem mówić o aspekcie (wymiarze) ludzkim i materialnym tego domu. W pierwszym z wymienionych ukryty jest, czy też mieści się, wymiar duchowy, który stanowią uczucia łączące bądź dzielące domowników, a także przedmioty o wartości symbolicznej, za takie uważane i z tego powodu przechowywane. Są to wszystkie przedmioty cenne wartością inną niż materialna, chociaż ta ostatnia też może mieć znaczenie. Także mieszkanie wraz ze sprzętami mieści ukryty – społeczny wymiar. Siedziba wraz z rzeczami, które ją wypełniają, może świadczyć o większej lub mniejszej zamożności, może być przestronna lub ciasna, własna lub wynajmowana, lepiej lub gorzej usytuowana w przestrzeni, co oddaje potoczne określenie „dobry adres”. Wskazane walory bądź braki siedziby mają znaczenie społeczne, ponieważ postrzegane i oceniane są nie tylko same dobra, lecz przez ich pryzmat oceniani i klasyfikowani są domownicy.

Dom kręgu pierwszego podlega utracie i jest nią stale i wielorako zagrożony. Zagrożeniem dla domu może być pogoń jego domowników za nowymi rzeczami, za ich ciągłą zmianą. Pogoń ta – dziś silnie wzmacniana – może się stać wręcz „imperatywem kategoriycznym” do wymieniania wszystkiego na nowe i nowoczesne: mebli, urządzeń, rzeczy. Samo uleganie modom i presji nowoczesności rozumianej jako odrzucenie zastanego nie jest niczym nowym, o czym przekonują dzieje obyczajowości. Jak zauważa Marek Ferenc, także w wiekach XVI–XVIII zmianie ulegały mieszkania polskie, bowiem „zmieniające się mody i style oraz stopień zamożności społeczeństwa wywierały wpływ na umeblowanie”¹. Novum stanowi jednak tempo, w jakim współcześnie rozstajemy się z rzeczami nabytymi wczoraj,

a uznanymi za stare już jutro. Współczesna pogoń za nowością i nowoczesnością jest stale i umiejętnie wzmacniana, sprzyjają jej też czynniki obiektywne, czyli ciągłe i często gruntowne zmiany technologiczne oraz nietrwałość rzeczy. Żyjemy w czasie, gdy rzeczy nas nie „przeżywają”, jak to było jeszcze kilkadziesiąt dekad wstecz, lecz to my je stale zużywamy, odrzucamy i wymieniamy. W rezultacie mentalnie najdosłowniej tkwimy cały czas w świecie rzeczy, nie zawsze świadomi tego faktu. Osaczeniu przez rzeczy sprzyja – dosłownie wszechobecna – reklama, nieustannie bombardująca nas informacjami o nich. Nie ulec jej nie jest łatwo, zaś ulegając zamykamy się w stworzonym przez reklamę świecie materii i oddajemy się ciągłemu analizowaniu ofert i ciągłej pogoni za przedmiotami i wrażeniami, które one mają nam zapewnić. W tym wszystkim nie pamiętamy, że ciągła wymiana rzeczy nie pozostawia nas takimi samymi. Ich bezustanne zużywanie i porzucanie przerabia i zużywa także nas samych. Ponadto w ciągłym procesie zużywania i wymieniania rzeczy ginie jedna z ich ważnych dla nas funkcji. Jest to funkcja utrwalania pamięci. Otóż ciągła wymiana sprawia, że rzeczy nie mogą już być, i nie są, nośnikami pamięci. Innymi słowy, ciągłe nabywanie i szybkie zużywanie lub wyrzucanie rzeczy niszczy ich funkcję nośnika pamięci. Pamięć zaś, jak wiemy, jest filarem naszej tożsamości, zarówno tej jednostkowej, jak i tożsamości grupy, jaką jest krąg domowników czy szerszej rodzina. Wyrzucanie rzeczy posiadanych i chwilowa zabawa nowymi niesie ze sobą niebezpieczeństwo pozbywania się pamięci, bo rzeczy to niemi świadkowie wydarzeń. Bez nich trudniej budować, zachować i przekazać kolejnym pokoleniom domowe tradycje i obyczaje. Rozumieli to nasi przodkowie, przynajmniej niektórzy.

¹ M. Ferenc, *Czasy nowożytne*, [w:] *Obyczaje w Polsce. Od średniowiecza do czasów współczesnych*, A. Chwalba (red.), PWN, Warszawa 2008, s. 143, 147.

W latach rozbiorów i w dwudziestoleciu międzywojennym bowiem „dominującym stylem pozostał klasycyzm – znak firmowy ziemiańskich i arystokratycznych siedzib budowanych już w 1 poł. XIX w. (...) W wymiarze duchowym siedziba ziemiańska doby zaborów zaczęła pełnić funkcję symbolu uosabiającego integrację społeczną”². Również wcześniej, w wiekach XVI do XVIII mimo panujących mód na cudzoziemszczyznę nie ginęły rodzime tradycje, przyzwyczajenia, obyczaje budowlane i miały one „duży wpływ na wygląd i wyposażenie domu, choć nie zawsze odpowiadały przemianom cywilizacyjnym i wymogom funkcjonalnym”³.

Z pogonią za rzeczami idzie w parze postawa konsumpcyjna. Jest „to po prostu decyzja na gromadzenie rzeczy. Decyzja taka wynika z uznania za coś cenniejszego raczej rzeczy niż człowieka. Wynika z nieumiejętności rozpoznania dobra i prawdy (...). Jest to zarazem wynik braku poczucia godności siebie jako człowieka (...). Do postaw konsumpcyjnych prowadzi więc zagubienie skali wartości”⁴. Postawa konsumpcyjna także nie jest niczym nowym w naszym społeczeństwie, podobnie jak towarzyszące jej pozbywanie się posiadanych a nieużytych rzeczy w pogoni za nowymi. Nie tyle z racji użyteczności tychże, ile dla chwilowego cieszenia się nimi samymi. Barwny opis zachowań będących dobitnym wyrazem tej postawy podają nam ich świadkowie, Jędrzej Kitowicz czy Elżbieta Drużbacka, opisują je także współcześnie badacze kultury polskiej, jak Maria Bogucka⁵. Obecnie nieporównywalna jest jednak w ze-

² D. Kałwa, *Polska doby rozbiorów i międzywojenna*, [w:] *Obyczaje w Polsce. Od średniowiecza do czasów współczesnych*, A. Chwalba (red.), PWN, Warszawa 2008, s. 250.

³ M. Ferenc, *Czasz nowożytna*, s. 143.

⁴ M. Gogacz, *Szkice o kulturze*, Michalineum, Kraków 1986, s. 71.

⁵ Jędrzej Kitowicz tak opisuje pogoń za cudzoziemszczyzną za czasów Augusta III: „ledwo dziesiąta część senatorów i urzędników koronnych zo-

stawieniu z czasami minionymi skala upowszechnienia się w społeczeństwie postawy konsumpcyjnej. Objawia się ona nie tylko w gromadzeniu i ciągłym wymienianiu rzeczy, lecz także w stałej na nie orientacji, co dotyczy i wybranych warstw, i całego społeczeństwa, niezależnie od stopnia za-
możności poszczególnych rodzin i osób.

Bardzo poważnym współcześnie zagrożeniem dla pierwszego kręgu domu jest stała niestałość ludzkiej natury skutkująca napięciami w relacjach między domownikami, a niekiedy uwiędnięciem lub rozpadem tych relacji, czego rezultatem jest rozwód małżonków i idący w ślad za tym rozpad rodziny. I domu. Czynnikiem potęgującym wskazane zagrożenie są bez wątpienia nowe obyczaje, wyrażające się w już dokonanej zmianie modelu rodziny z wielopokoleniowej na nuklearną. Współcześnie domy zamieszkałe przez kilka pokoleń należą do rzadkości, a utrzymanie silnych więzi rodzinnych z krewnymi nie będącymi domownikami jest dodatkowo utrudnione w sytuacji migracji i tej zagranicznej, i tej w obrębie kraju. Wyrazem i wzmocnieniem nuklearności rodzin w Polsce jest praktyka budowania przez nowożeńców własnego domu czy nabywania własnego mieszkania.

stała przy polskiej sukni. Nareszcie połowa narodu okryła się niemiecką suknią. Młodzież, osobliwie powracająca z zagranicy, upatrywała dla siebie w stroju cudzoziemskim jakąś dystynkcją” oraz „wszczęło się obrzydzenie w narodzie całym do starych struktur, do starych mebli, czyli ruchomości” i dodaje: „meble także staroświeckie, owe to obicia wiekuiste adamaszkowe z pokojów powyrzucano, chwycili się obiciów lekkich” (J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, t. II, Ossolineum, Wrocław 2003, s. 501–502, 551). Z kolei E. Drużbacka pisze: „Mój Borys nie chciał sprawić mi bekieszę/ Takiej jak teraz modny wiek zażywa/ Aksamit ponso podszyty marmurkiem/ Po szwach z masyfu bramowano sznurkiem/ Sukna mi kupił miasto aksamitu/ Szlamy wytarte z lamusu sprowadził /.../ Mnie przy gałganach z kuśnierzem zasadził” (Taż, *Wybór poezji*, Universitas, Kraków 2002, s. 68). M. Bogucka podkreśla pogoń za zbytkiem w urządzaniu mieszkań w czasach przedrozbiorowych (zob. Taż, *Staropolskie obyczaje w XVI–XVIII wieku*, PIW, Warszawa 1994).

Jednak tym, co przede wszystkim stwarza niebywałe zagrożenie dla domu kręgu pierwszego są zmiany zachodzące na naszych oczach: akceptacja rozwodów i zawierania kolejnego lub kolejnych małżeństw definiowanych nie jako rozpad, lecz jako rekonstrukcja rodziny. W ten sposób, poprzez nasze praktyki wraz z ich pełną i niemal powszechną akceptacją powstaje i ugruntowuje się nowa, społecznie uznana norma postępowania. Jej upowszechnienie i utrwalenie zniszczy dom kręgu pierwszego. Nowe obyczaje, w których aprobowaniu, a tym samym ugruntowaniu mamy swój udział, nie biorą się znikąd, przeciwnie – są od dawna stopniowo nam suflowane. W dziele tym walny udział mają prawodawstwo oraz kultura masowa z mediami. Pierwszy systemowy atak na dom kręgu pierwszego miał miejsce w czasach PRL, gdy podjęto próbę „usunięcia ze świadomości człowieka konieczności posiadania tradycyjnej rodziny” realizowaną „stopniowo, głównie przez struktury zastępcze”, czyli organizację partyjną, młodzieżową czy zakład pracy⁶. „Odrzucenie rodziny postrzegano jako odrzucenie autorytetów rodzinnych, ale też rodziny jako środowiska, w którym szuka się odpowiedzi na najtrudniejsze pytania”⁷. Okolicznościami sprzyjającymi tym działaniom były industrializacja, migracja ze wsi do miast i polepszenie warunków życia. W rezultacie „osłabieniu uległy więzi rodzinne i krewniacze (...). W przeszłość odeszło bogate słownictwo związane ze stopniami pokrewieństwa”⁸. W ostatnich latach jesteśmy świadkami nowej systemowej i, podobnie jak w pierwszym przypadku ponadnarodowej, próby zniszczenia rodziny, a co za tym idzie także domu kręgu pierwszego.

⁶ T. Czekalski, *Czasy współczesne*, [w:] *Obyczaje w Polsce*, s. 356.

⁷ Tamże.

⁸ Tamże.

Mobilność przestrzenna, czyli migracje, przede wszystkim zewnętrzne (zagraniczne) to kolejny ważny współcześnie czynnik potencjalnie zagrażający domowi. Migracje zagraniczne podejmowane w Polsce po 1989 r. mają charakter ekonomiczny. Mimo że w kolejnych dekadach zmieniały się wzory i kierunki migrowania, zmianie nie uległa ich ekonomiczna motywacja. Wprawdzie po początkowej migracji zarobkowej – celem podwyższenia popeerelowskiego poziomu życia lub zapracowania na utrzymanie rodziny dotkniętej „planem Balcerowicza” z jego niebywałym bezrobociem – nastąpiły migracje dla wyższych zarobków i wyższego poziomu konsumpcji, lecz ich z gruntu materialistyczny cel nie uległ zmianie (także wówczas, gdy podawane są inne pobudki, niekiedy maskujące cel zasadniczy). Zagrożenie dla trwałości domu wynikające z migracji polega na rozchwianiu lub rozbiciu więzi rodzinnych zarówno tych wzajemnych między małżonkami, jak i tych między rodzicami bądź jednym z nich a dziećmi. Dzieje się tak zwłaszcza w sytuacji przedłużającej się nieobecności migrującego członka rodziny⁹. Choć w ostatnich latach to zagrożenie może maleć, przede wszystkim za sprawą rosnącej migracji całych rodzin i dzięki dostępności technologii ułatwiających stały, codzienny kontakt „na żywo”, to jednak nigdy ono nie wygasa. Dobrobyt materialny osiągnany dzięki migracji i pracy za granicą nie kompensuje strat, jakie rodzina i dom może ponieść, i nierzadko ponosi, w ich rezultacie.

⁹ Pisałam na ten temat obszernie na podstawie swoich badań terenowych w Atenach (1993) i Wiedniu (1999), por. m.in.: *Wpływ migracji zagranicznych na formę organizacji rodziny*, „Studia Polonijne” 2000, t. 21; *Theory on Disorganization in Migrant Families in Contemporary Migration Research in Athens and Vienna*, [w:] *Contemporary Migrations in the Humanistic Coefficient Perspective*, J. Kubera, Ł. Skoczylas (red.), Peter Lang, Frankfurt/Men 2017.

Reasumując, przyczyny utraty domu pierwszego kręgu są przede wszystkim subiektywne, ale mają obiektywne uwarunkowania w przemianach w kulturze – sferze norm, obyczajów, wzorów, w instytucjach społecznych – modelu rodziny, a także w mobilności przestrzennej (migracjach zagranicznych) i upowszechnieniu się postawy konsumpcyjnej w społeczeństwie. Warunkiem zachowania domu jest świadomość tych wielorakich zagrożeń i zapobieganie im.

Dom – krąg drugi

Dom kręgu drugiego jest znacznie szerszy niż wyżej opisany i obejmuje „rodzinne strony”, tj. przestrzeń rodzinną wraz z jej współmieszkańcami. Na dom kręgu drugiego składają się zatem również dwa wymiary: ludzki i materialny. Ten pierwszy jest jednocześnie wymiarem społecznym, budują go kontakty i relacje ze współmieszkańcami: sąsiadami, znajomymi, przyjaciółmi, współpracownikami, osobistościami miejsca. W wymiarze materialnym dom kręgu drugiego stanowi przestrzeń uznaną za własną, ukształtowaną przez przyrodę i dzieła ludzi. W przypadku miast są to domy mieszkalne, a także publiczne budowle różnego przeznaczenia, ulice, parki etc. I w tym wymiarze ukryty jest pierwiastek duchowy materializowany przez różne miejsca i dzieła ludzkie o znaczeniu symbolicznym – takie, którym nadana została wymowa symboliczna. Łącznie wskazane wymiary – ludzki i społeczny zarazem, materialny i materialno-duchowy – domu drugiego kręgu budują krajobraz. Nie jakikolwiek, ale nasz własny krajobraz.

Krajobraz, rozumiany jak wyżej, jest dla każdego z nas tłem. Mówiąc przenośnie, tak jak obraz potrzebuje ram do wyeksponowania tego, co w nim najgłębsze, tak samo człowiek potrzebuje krajobrazu do pełni ziemskiego istnienia i rozwoju swego potencjału. O ile nie jesteśmy wykorzenienni,

jesteśmy z własnego krajobrazu. W badaniach poświęconych wykorzenieniu lub niezakorzenieniu należy zatem uwzględnić kwestię więzi lub jej braku z krajobrazem postrzeganym jako własny. Stwierdzenie, iż jesteśmy z własnego krajobrazu oznacza, że jest on w nas, odbijamy jego cechy i aurę. Jednocześnie nasz (własny) krajobraz jest też z nas przez fakt naszego czynnego udziału w jego kształtowaniu i podtrzymywaniu. Brak takiej aktywności, obojętność wobec rodzinnego krajobrazu może być symptomem braku zakorzenienia lub początkiem wykorzenienia. Nie jest to abstrakcja ni kwestia akademicka, lecz przypadłość rosnącej prawdopodobnie kohorty młodych ludzi, wychowanych i socjalizowanych w wirtualnym świecie smartfonów, niezainteresowanych własnym otoczeniem społecznym i przyrodniczym, nieznających go, nieczujących z nim więzi i wręcz masowo opuszczających je po dojściu do pełnoletności¹⁰. Pytaniem badawczym jest, czy i kto w społeczeństwie jest związany z krajobrazem, tzn. ma krajobraz, w którym czuje się w pełni sobą i jest tego faktu świadom. Pytaniem badawczym jest i to, czy w przypadku takich osób jest to krajobraz stron rodzinnych, czy inny, narzucony przez okoliczności bądź samodzielnie wybrany. W społeczeństwie, w rosnącym stopniu mobilnym przestrzennie, drugie z postawionych pytań jest istotne, bowiem tylko w społeczeństwie niemobilnym własnym jest z zasady krajobraz rodzinny. Z kolei krajobraz miejsca urodzenia i wychowania może nie być uważany za własny przez dzieci migrantów przymusowych. Można powiedzieć, posiłkując się przyjętym wcześniej określeniem, że są one jak obraz w niewłaściwych i z gruntu obcych im ramach. Może

¹⁰ Na temat masowego wręcz exodusu z małych miast, miasteczek i wsi osób młodych kończących szkoły por. m.in.: A. Dolińska, R. Jończy, P. Śleszyński, *Migracje pomaturalne w województwie dolnośląskim i wymóg zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Ekonomicznego, Wrocław 2020.

się też zdarzyć, że nie są one uważane w pełni za swoich przez otoczenie bliskie przez fakt urodzenia, wychowania i zamieszkania w nim. Bywa i tak, że za własny obiera się jakiś krajobraz decydując się na migrację do właśnie tego określonego i wybranego miejsca.

Podobnie jak dom pierwszego, także dom drugiego kręgu można utracić, czy to wskutek naszych wyborów i działań, czy okoliczności od nas niezależnych. W pierwszym przypadku istotną współcześnie okolicznością utraty domu kręgu drugiego jest mobilność przestrzenna prowadząca do definitywnego opuszczenia rodzinnego krajobrazu, w tym środowiska społecznego. Jak zostało uprzednio wspomniane, masowe migracje wewnętrzne stały się w Polsce faktem. Są to zazwyczaj migracje jednokierunkowe, nie towarzyszy im zamiar powrotu do rodzinnej miejscowości. Szlaki tych migracji prowadzą z małych miejscowości i wsi do kilku dużych miast, głównie Warszawy, Krakowa, Wrocławia i Poznania. Migracje są podejmowane przez młode osoby i wiążą się z osiedleniem w strefach podmiejskich wskazanych miast. Jeden z ich wielorakich skutków dotyczy krajobrazu. Sami migranci opuszczając rodzinny, bodaj formalnie, krajobraz, czyli dom kręgu drugiego, przyczyniają się do jego gruntownego przeobrażenia polegającego na postępującym wyludnianiu się tych miejscowości. Z kolei masowe napływy do wybranych dużych miast, łączące się z gwałtownym rozrastaniem się ich obrzeży, radykalnie i w szybkim tempie zmieniają tamtejszy lokalny krajobraz. W rezultacie utrata dotychczasowego krajobrazu jest także udziałem nie-mobilnych mieszkańców tych miast. Proces utraty rodzinnego krajobrazu wskutek jego niszczenia ugruntowują: nowa urbanistyka, nowe style i technologie w budownictwie (pozwalające na budowę żelbetonowych biurowców lokowanych, jak w Warszawie, w samym centrum miasta), kreatorzy krajobrazu i masowe potrzeby. Spektakularnym wyrazem skutków tych ostatnich dla krajo-

brazu jest Stadion Narodowy w Warszawie („koszyk”) niszczący panoramę Pragi. Utrata domu drugiego kręgu łączy się z uwiędnięciem więzi społecznych wskutek czy to migracji, czy rosnącej anonimowości w szybko powiększających się miastach docelowych. Przyczyną utraty rodzinnego, własnego krajobrazu, oprócz dobrowolnych działań może być przymus, jak w przypadku osób wysiedlanych. Zachowanie domu tego kręgu przedstawia się współcześnie jako zadanie niełatwe, nie zależy ono bowiem tylko od decyzji jednostkowych, lecz wymaga świadomego zespołowego działania.

Wyróżnione do celów analitycznych dwa kręgi domu w rzeczywistości często się ze sobą splatają, co wyrażają pięknie słowa wiersza:

Chlib – ten chlib Kulikowski (...)
i pachnie – jak tylko się wejdzie do kuchni
zajedzie tym zapachem, (...)
niech to ocaleje, niech to się uchowa
ta mała cząstka prawdziwego Lwowa!
Bo Lwów to nie jest tylko okolica na mapach
to ludzie – to piosenka – to ta mowa – to ten zapach¹¹

Dom – krąg trzeci

Dom trzeciego, najszerszego kręgu, to ojczyzna. Ksiądz Piotr Skarga w *Kazaniach sejmowych* przyrównuje ojczyznę do matki i odwołując się do czwartego przykazania Dekalogu nakazuje miłość do niej. Pisze: „A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka jako ojczyzna, od której imię macie

¹¹ M. Hemar, *Strofy lwowskie*, z tomu: *Tenże, Chlib Kulikowski*, LTW, Łomianki 2014, s. 184–185.

i wszystko co macie od niej jest?¹² Oprócz powinności wynikającej z Dekalogu miłość ojczyzny to także postawa najbardziej z możliwych rozumna, bowiem „ten najmilszy okręt ojczyzny naszej wszystkich nas niesie, wszystko w nim mamy, co mamy”¹³. Czym zatem jest ojczyzna, której winniśmy miłość? „Ojczyzna jest dziedzictwem po ojcach” obejmującym ziemię po przodkach, z którą związek przekazali nam ojcowie, państwo oraz „wszelkie wartości kulturowe”¹⁴. W nieco odmiennym ujęciu ojczyzna jest dziedziczonym po ojcach zasobem dóbr takich, jak ziemia, terytorium, wartości i treści duchowe składające się na kulturę narodu¹⁵. Jak widać, na dom kręgu trzeciego – ojczyznę – składają się trzy ściśle splecione ze sobą i trudne do nawet analitycznego rozdzielania wymiary: ludzki, duchowy (kulturowy) i materialny. Ten ostatni stanowi ziemia dziedziczona po ojcach. Nie zawsze jest ona tożsama z terytorium państwa, w szczególności państwa polskiego, rozbieranego i przesuwanego na mapie Europy niczym oddział wojska, jak to nazwał Norman Dawis. W polskim przypadku „dziedziczenie po ojcach” jest zatem ściśle złączone z wymiarem duchowym, symbolicznym. Jest więc i fizycznym dziedziczeniem ziemi i dziedziczeniem idei polskiej ziemi i państwowości. Podobnie wymiary ludzki i kulturowy (duchowy) pozostają w ścisłym splocie. Kultura narodowa tworzona, rozwijana i przekazywana jako element dziedzictwa stanowi odbicie twórców,

¹² P. Skarga, *Kazania sejmowe*, Ossolineum/De'Agostini, Wrocław 2003, s. 34. W innym miejscu dodawał: „Nie dlatego tylko miłujemy Polskę, Ojczyznę naszą, że nas żywi, ale iż jest z postanowienia Bożego” (cyt. za: F. Koneczny, *Polskie Logos a ethos*, reprint bez podania jego daty, Antyk, Komorów, s. 534).

¹³ Tamże, s. 41.

¹⁴ S. Ossowski, *Z zagadnień psychologii społecznej*, [w:] Tenże, *Dzieła*, t. III, PWN, Warszawa 1967, s. 207.

¹⁵ Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość*, Znak, Kraków 2005, s. 66.

pokazuje też, kim są spadkobiercy. A w szczególności to: czy dorastają oni do otrzymanej spuścizny? Czy ją rozumieją? Czy ją cenią? Czy są zdolni do jej pomnażania? Czy ją w ogóle chcą znać?

Splot wymiarów materialnego, ludzkiego i kulturowego (duchowego) uwydatnia ujęcie ojczyzny jako krajobrazu stanowiącego przez obiekty materialne, z którymi łączona jest wiedza, pamięć i kulturowane uczucia. Józef Chałasiński następująco wyliczał i charakteryzował elementy duchowe i materialne składające się na krajobraz ojczysty: „ogarnianie uczuciami i wyobraźnią ziemi ojczystej kraju przez członków narodu wiąże się z istnieniem narodowych miejsc ‘świętych’, które ziemi, tworowi przyrodniczemu, nadają charakter wspólnej wartości społeczno-narodowej. Ten właśnie charakter nadają ziemi (...) miejscowości posiadające świątynie, otoczone specjalnym religijnym kultem, jak Częstochowa (...), miejscowości historyczne (...) jak Kraków (...) miejscowości świadczące o zbiorowym wysiłku narodu, jak Gdynia. Należą tu całe regiony reprezentujące różne kierunki aktywności narodu i jego aspiracje, jak morze i Pomorze, okręgi przemysłowe, góry, itp.”¹⁶ I dodawał „krajobraz kraju ojczystego jest tworem historycznym; wiąże się ściśle z historią narodu – to jest nie tylko teren bytowania grupy narodowej, lecz także teren jej działania i twórczości. Przyswojenie sobie tego krajobrazu i utrwalenie go sobie wymaga skojarzeń historycznych, zaczerpniętych z przeszłości narodu, głównie za pośrednictwem książki”¹⁷. Jeszcze pełniej omawiany ścisły splot materialnych, duchowych i ludzkich komponentów ojczyzny oddał on pisząc, że ojczyzna to nie jest pojęcie „geograficzne, które można scharakteryzować bez odwołania się do postaw

¹⁶ J. Chałasiński, *Młode pokolenie chłopów*, t. I, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1984, s. 126–127.

¹⁷ Tamże, s. 127.

psychicznych jakiejs zbiorowości. Obszar jakiś staje się ojczyzną o tyle tylko, o ile istnieje zespół ludzki, który odnosi się doń w pewien sposób i w pewien sposób kształtuje jego obraz"¹⁸. Dodajmy, że ów zespół ludzki nie jest zbiorem jednostek, lecz wspólnotą. Ścisłej, jest to wspólnota narodowa, zaś „istotą jej odniesienia do ojczyzny jest, poparta nakazem moralnym, miłość"¹⁹. Nakaz moralny miłowania ojczyzny może być, jak każdy nakaz moralny, ignorowany. I nie bez powodu pisał biskup Ignacy Krasicki „Święta miłości kochanej ojczyzny, czują cię tylko umysły poczciwe”.

Nagrodą dla „umysłów poczciwych” za „świętą miłość kochanej ojczyzny” jest posiadanie domu kręgu trzeciego. Miłość do ojczyzny jest bowiem nie tylko imperatywem moralnym, lecz przynosi wypełniającym tę powinność dar, dar domu. W ten sposób nakaz moralny miłości ojczyzny jest jednocześnie warunkiem koniecznym posiadania ojczyzny – domu. Ponieważ dom kręgu trzeciego jest najszerszy, potrzeba wielkiego, nie skupionego na sobie serca do objęcia go.

Utrata ojczyzny – domu kręgu trzeciego – jest możliwa. Podobnie jak w dwóch pierwszych omówionych przypadkach może się to stać zarówno za przyczyną czynników zewnętrznych, czyli agresorów działających na wielorakie sposoby, jak i za przyczyną czynników wewnętrznych. Do tych ostatnich należą: niezgoda, walki wewnętrzne, a także nieposzanowanie własnej kultury i tożsamości oraz fundamentów, na których powstały. Pomimo upływu lat i gruntownej przemiany rzeczywistości społecznej brzmią jak memento i nie tracą na aktualności przestrogi księdza Piotra Skargi, który ciężkiej niemocy Rzeczypospolitej grożącej jej upadkiem

¹⁸ S. Ossowski, *Z zagadnień psychologii społecznej*, s. 203.

¹⁹ K. Romaniszyn, *Świadomość narodowa*, [w:] *Formy świadomości społecznej*, K. Sztalt, M. Zemło (red.), TN KUL, Lublin 2013, s. 229.

upatrywał w: „nieżyczliwości ludzkiej ku Rzeczypospolitej i chciwości domowego łakomstwa”, „niezgodzie i rozterkach sąsiedzkich”, „naruszeniu religii katolickiej”, „dostojeńności królewskiej i władzy osłabieniu”, „prawach niesprawiedliwych”, „grzechach i złości jawnej, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od niego wołają”²⁰. Dzieje Polski dostarczają wielu innych przykładów czynników wewnętrznych i zewnętrznych, które prowadziły do utraty Polskiego Domu, jak dotąd niedefinitywnej. Ta jednak nie jest, niestety, wykluczona współcześnie, zaś główną jej przyczyną byłaby utrata narodowej kultury i tożsamości spowodowana odrzuceniem fundamentu, na którym powstały, czyli katolicyzmu.

*

Wszystkie wymienione trzy kręgi domu – prywatny, lokalny i ojczyźniany – znajdują spełnienie w kręgu czwartym, najszerszym i czysto duchowym. Jest nim miłość. Wymieniona *expressis verbis* i wyeksponowana w trzecim, ojczyźnianym wymiarze domu, jest istotą każdego z jego trzech wskazanych kręgów. To miłość do miejsca, ludzi, krajobrazu, do ojczyzny buduje nam nasz Dom. Miłość – to za św. Augustynem – pragnienie dobra dla obdarowywanych miłością, co wypada wyjątkowo mocno podkreślić w dobie szczególnego sponiewierania i profanowania pojęcia „miłość”. Bez kręgu czwartego, tj. miłości, dom we wszystkich wskazanych wymiarach jest tylko przemijającą formą, czyli gospodarstwem domowym (w kręgu pierwszym), tujejszością (w kręgu drugim), „tym krajem” (w kręgu trzecim) – w istocie zatem nie istnieje. Samo istnienie, trwanie, niezniszczalność, niemożność utraty domu – w każdym jego wymiarze (kręgu) – zależy od miłości. Ona sprawia,

²⁰ P. Skarga, *Kazania sejmowe*, s. 31.

że dom jest i że jest nieprzemijający, nie-do-odebrania, nie-do-utracenia. I jak każda miłość, jest wieczny. W tym sensie domu, jeśli powstał, czyli jeśli zbudowała go miłość, nie można utracić. W żadnym z jego wymiarów. Innymi słowy, dom jeśli jest, to w wymiarze najwyższym, duchowym, jest nie-do-utracenia. Dom bowiem to Duch z nieodzownym, lecz drugorzędnym, materialnym korelatem. To dotyczy każdego, nie tylko lwowskiego domu. /Co było do udowodnienia/.

Polski, lwowski dom (nie)utracony

My jesteśmy z polskiej Florencji.
 Z miasta siedmiu
 pagórków fiesolskich,
 Z miasta muzyki, inteligencji (...)
 My jesteśmy z miasta poezji
 Co się u nas rodziła na bruku

Hemar, *Strofy lwowskie*

Polski lwowski dom kręgu pierwszego stanowiły „pomieszkania”, czyli mieszkania. Jakie one były? „Lwowskie mieszkanie było niewygodne, zatłoczone, urządzone chyba dla utrapienia mieszkańców. (...) Nie wyrzucano niczego... (...) wszystko było na wierzchu, jak serce lwowskie. (...) Ściany same były mało widoczne, bo okrywano je od sufitu do podłogi”²¹. Były to domy pełne rzeczy trzymany często tylko i wyłącznie dla ich wartości symbolicznej, bo przypominały o czymś, wiązały się z czymś lub z kimś. I tak tworzyły one i podtrzymywały ciepły, bo własny, świat tkany ze zmaterializowanych w rzeczach między-ludzkich relacji. „Na półkach, postumencikach, we wnę-

²¹ K. Schleyen, *Lwowskie gawędy*, Literackie Towarzystwo Wydawnicze, Warszawa 2002, s. 34.

kach kanapy, stoliczkach, gzymsach kaflowego pieca, wszędzie gdzie można było coś postawić, stały wazy, wazony, tace, kryształ, barometry, klepsydry przesypujące piasek, zdobne pudełka, szkatułki, dzbanki, lichtarze, albumy i niezliczona ilość figurek. (...) Wszystko to wtłoczone wśród nadmiernej ilości mebli, wielkich luster, ciężkich stołów, stolików, taburetów, niewygodnych krzeseł, fotelików, trymudek, psych, etażerek, sof, kanap i tapczanów”²². Tak wyglądały pomieszkania „łytów”, czyli zamożniejszych mieszkańców i ich latorośli, „ciamkaczów” (dzieci), „migłanców” (chłopców) i „biń” (dziewcząt).

Polski lwowski dom kręgu drugiego, mówiąc za Szolgnią, „krajobraz serdeczny” budowały – zgodnie z przyjętym uprzednio rozumieniem określenia – wymiary: społeczny, materialno-duchowy i materialny. Lwowianie opisywani są w literaturze przedmiotu następująco: Lwów zamieszkiwała „specyficzna społeczność. (...) Nie było to mieszczaństwo, nie był to proletariats miejski, te grupy spotykało się we wszystkich miastach. We Lwowie żył prawdziwy lud miejski, którego przedstawiciele to jednostki mocne i bitne, często niewyparzone w gębie. (...) Ludność była mieszaniną różnych narodowości, które tędy przez wieki przepływały”²³. Miasto okazało się „magnesem przyciągającym ludzi różnych ras, kultur i wyznań: Rusini, bliżsi i dalsi Ormianie, Niemcy, Karaimowie, Grecy, Tatarzy, Bułgarzy, Turcy i Żydzi. Każda z nich coś specyficznego wносиła do tego wspólnego tygla lwowskiego i ten aliaż stworzył inność Lwowa”²⁴. Jak o *homo lepoliensis* pisał Stanisław Wasylewski: „dusza Lwowa kształtowała się i urastała na tem bezimiennem i sza-

²² Tamże, s. 37–38.

²³ S. Machowski, *Bernardyński mijam plac*, Ossolineum, Wrocław 1989, s. 49.

²⁴ Cz. Halski, *Polskie radio Lwów*, Literackie Towarzystwo Wydawnicze, Łomianki (brak daty reprintu), s. 62.

rem podłożu, któremu na imię lud lwowski”, zaś działający dobrze lwowski „piec topny” sprawnie przetapiał przybyszów²⁵. Osobowość podstawową²⁶ *homo leopoliensis* cechowała, wynikająca zapewne ze wspomnianej wielokulturowej i wieloetnicznej mozaiki – otwartość na innych i spontaniczność²⁷. „U lwowiaka białe jest białe, czarne jest czarne, lubię albo nie lubię, chcę lub nie chcę – ta już! (...), a z decyzją nie zwleka, bo ‘jak robić to robić, ta na co czekać?’ (...) Więc myśl we Lwowie szybko zamieniała się w czyn, lekko bez pozy i blagi. (...) Lwów pierwszy zerwał się do pracy wspinałym rozmachem ‘Targów Wschodnich’ (...) i stanęły pawilony dla całej Polski”²⁸. Ci ludzie, pełni werwy i chęci życia, lubili ludzi²⁹. Chociaż „Lwowiak niby gołąbek był grzeczny, uprzejmy, dobre serce miał, ale zaczepiać z nim niebezpiecznie. Obojętnie czy trafiło to na buńczuczego kawalera przedmieścia, czy na profesora uniwersytetu. Zaczepka nie

²⁵ S. Wasylewski, *Lwów*, seria Cuda Polski, reprint Ossolineum, Wrocław 1990, s. 33, 23; tamże na s. 22 czytamy: „Typ człowieka lwowskiego to typ w zasadzie jasny. Gamma i alfa wedle terminologii Czekanowskiego. Gamma znaczy typ sarmacki: okrągła twarz, zielonkawe oczy, ambicją, rozmach, spostrzegawczość; alfa – typ północnoeuropejski: długogłowy, wytrwały, zawzięty blondyn”.

²⁶ Koncepcja osobowości podstawowej powstała w nurcie refleksji antropologicznej nazwanym psychokulturalizmem; w sensie statystycznym, który tutaj przyjmuję, „osobowość podstawowa to osobowość modalna, czyli najczęściej występujący w danej zbiorowości kompleks cech osobowościowych” (por. E. Nowicka, *Świat człowieka, świat kultury*, PWN, Warszawa 1991, s. 100).

²⁷ *Notabene*, otwartość na innych, spontaniczność związana jest „z polską wiernością przyjaźniom, zaufaniu, gościnności, otwartości na ludzi i ich umiłowaniu” (M. Gogacz, *Szkice o kulturze*, Michalineum, Kraków 1985, s. 156).

²⁸ K. Schleyen, *Lwowskie gawędy*, s. 137–139.

²⁹ Nie oddzielali się murem nienawiści nawet w czasie krwawych walk o Lwów w 1918 r., popularne wówczas przyśpiewki o wrogu nie były nienawistne.

uchodziła bezkarnie”³⁰. W gwarze lwowskiej była „olbrzymia ilość wyrazów zlwowszczonych, pochodzenia łacińskiego, greckiego, niemieckiego, ruskiego, tureckiego, rumuńskiego, węgierskiego i niedocieczonego”, zaś jej osobliwością była powszechność, „bo nawet profesor uniwersytetu wołał jeść jajecznicę z trembulką niż ze szczypiorkiem”³¹.

Wymiary materialno-duchowy i materialny miasta Lwowa tworzą przede wszystkim: „Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa” z Katedry Łacińskiej obrana za Królową Korony Polskiej przez króla Jana Kazimierza³², „Bernardyny” – „budowla na pewno na świecie najpiękniejsza” (Szolginia) – klasztor i kościół O.O. Bernardynów, którego szczyt obok posągów zdobią herby Polski i Litwy, Katedra Ormiańska z freskami Jana Henryka Rosena, uczęszczana także przez łacińskich katolików, Lwy pod Ratuszem, pomnik Adama Mickiewicza („Adaśka”), pod którym kończyła się każda uroczystość i każdy pochód, tak że „nasłuchał się Mickiewicz mów tysiące”³³, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, uniwersytet Jana Kazimierza (z kostką drewnianą przed frontem dla tłumienia hałasu), Politechnika Lwowska z malowidłami w auli wykonanymi wedle szkiców Jana Matejki, Teatr Wielki – „śliczny salon Lwowa”, jak pisał Szolginia³⁴, a także nekropolie: Cmentarz Orłąt i Łyczakowski.

³⁰ K. Schleyen, *Lwowskie gawędy*, s. 136.

³¹ Tamże, s. 119–129.

³² W wizji Stanisława Wyspiańskiego, powstałej w 1893 r. w Paryżu, śluby Jana Kazimierza przebiegały następująco: „Potop. Rok 1656. Za chwilę wyjdzie król z łoża i wszystko przeinaczy. (...) Król przysięga. Cały tłum na kościele rumotem powstaje, dobywa szabel. Słońce świeci. Tłum modlący się śpiewa: »Śliczna gwiazda miasta Lwowa, Maryja! / Matko nasza i Królowa, Maryja! / Maryja, Maryja, o Maryja Królowa!«” (za: S. Wasylewski, *Lwów*, Literackie Towarzystwo Wydawnicze, Łomianki 2009, s. 87–88). *Notabene*, ułożona przez Wyspiańskiego pieśń, przejęta przez Lwowian, jest przez nich stale śpiewana.

³³ Tamże, s. 88.

³⁴ Zaś cytowany już wielokrotnie Kazimierz Schleyen tak o nim pisał:

Lwowską miejską przestrzeń prócz domów i gmachów stanowiły ulice. „Lwowskie ulice cicho w pamięci wyliczam/ Kalecza, Lelewela i Romanowicza/ I plan miasta w myślach powoli układam/ Tu biegła Potockiego a tam Listopada /.../ Czasem się jakaś nazwa z pamięci wymyka/ Lecz pomnę Batorego, Kubali, Asnyka/ I taki żali się budzi, takie chęci szczerze/ By po Akademickiej przejść wolno spacerem”³⁵. Nie tylko Akademicka, czyli lwowskie Corso, lecz w ogólności „barwna była lwowska ulica, gwarna, tętniąca życiem, zawsze szczerza i naturalna”³⁶. Lwowskie ulice miały swoich wielkich patronów: „Święci mają chyba więcej ulic we Lwowie niż w jakimkolwiek innym mieście. Te nazwy ulic są niezmiennie. Tak samo nienaruszalnie są związane z nazwiskami zasłużonych lwowiaków (...) Utrzymują się jeszcze takie nazwy, których absolutnie zmieniać nie można jak Na Bajkach”³⁷. Po lwowskich ulicach „hulały” w pierw „trambale” później „balony”: „Tramwaj nazywano trambalem, nowe zaś elektryczne balonami nie dlatego, że się tak szybko poruszały, lecz że były tak pięknie pomalowane na czerwono”³⁸. I tylko na lwowskich ulicach stale rozbrzmiewały powitalne: „Cyrączki” i „Padam do nóg”, pełne humoru, nie uniżenia czy schlebiana.

Wspólna miejska przestrzeń Lwowa to także lokale. „Typowym dla Lwowa lokalem był sklep ‘delikatesów’ z po-

„Najpiękniejszy teatr w Polsce. Wnętrze i rozwiązanie przestrzeni imponuje jeszcze bardziej. Po wysłanych marmurowych schodach wejście na pierwsze piętro (...) olbrzymie lustra między kolumnami powielają postacie [wszędzie – KR] tylko złoto, biel i purpura. Kolory nie rażą przesadą, lecz podnoszą dostojeństwo przybytku. Imponujący żyrandol rzuca blaski na kurtynę: arcydzieło Siemiradzkiego” (*Lwowskie gawędy*, s. 97–98).

³⁵ M. Kurzówna, *Lwowskie ulice*, [w:] W. Szolginia, *Tamten Lwów. Ulice, place*, t. 2, Oficyna Wyd. Sudety, Wrocław 1993, s. 14–15.

³⁶ K. Schleyen, *Lwowskie gawędy*, s. 49.

³⁷ Tamże, s. 45.

³⁸ Tamże, s. 57.

kojem do śniadań w pierwszej, restauracją w drugiej sali. (...) Szyneczków, restauracyjek, pokoi do śniadań zatrzęsienie. Sam Rynek liczył ich osiemnaście”³⁹. Szczególnym miejscem w Rynku była literacko-artystyczna restauracja „Atlas” otwarta do trzeciej nad ranem, której ściany zdobiły obrazy, karykatury, wiersze i aforyzmy tworzone przez stałych bywalców⁴⁰. Osobne miejsce na mapie lwowskich lokali zajmowały cukiernie, ich „cugowa para”, jak to ujął Schleyen, Zalewski i Welz. „W owym czasie z osobliwości Lwowa moją uwagę przykuwała cukiernia Zalewskiego przy ulicy Akademickiej (...), a szczególnie już przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą działały się za szybami zakłete w masę migdałową i kakaową dziwy”⁴¹. Nie dziwi więc, że ciastka od Zalewskiego „wysyła się każdego dnia samolotami do Warszawy, Poznania, Katowic i Wiednia”⁴².

Lwów był bardzo zielony, z mnóstwem ogrodów i parków, z najwspanialszym Parkiem Stryjskim. „Twierdzenie, że Park Stryjski jest najpiękniejszym na świecie, może kwestionować ktoś, kto go nie widział. (...) Park świątynia. Biegnie szerokim pasem na geograficznej granicy płaskowyżu podolskiego”⁴³. Wszechobecność zieleni to jednocześnie wszechobecność zapachu:

³⁹ Tamże, s. 92–93.

⁴⁰ W jej regulaminie kierowanym do PT gości czytamy m.in.: „Goście, którzy przypadkowo, przez pomyłkę, rachunek gotówką płacą mają 100% upustu; & Po wymówieniu kredytu – potrawy i trunki będą podawane tylko po złożeniu zastawu (zegarek, palto – niekoniecznie swoje własne); & Gościom nie wolno zabierać do domu noży i widelców, a jeżeli tak, to nie więcej jak jedną parę na miesiąc; & Gospodarzowi, choć władza wszystkimi językami Małopolski Wschodniej, wolno mówić po swojemu; & Za nazywanie lokalu mordownią gospodarz bezwarunkowo wdraża kroki sądowe” (W. Szolginia, *Tamten Lwów. Życie miasta*, t. 5, Oficyna Wyd. Sudety, Wrocław 1994, s. 194–195).

⁴¹ S. Lem, *Wysoki Zamek*, [w:] W. Szolginia, *Tamten Lwów. Ulice, place*, s. 32.

⁴² K. Schleyen, *Lwowskie gawędy*, s. 91.

⁴³ Tamże, s. 52.

A kwiaty lwowskie – śliczne, wonne
A lwowski bez tak pachniał w maju
Ach jak pachniały sosny Lwowa
Prażone słońcem w czas pogody
Wonne też były w czas zimowy
Aż pachniał nimi śnieg grudniowy

– wspominał w swoim wierszu Witold Szolginia⁴⁴.

Latem Lwowiak „jeździł na ‘świeże powietrze’”: „na drugi rok, gdy Pan Bóg da doczekać pojedziemy na świeże powietrze do...’ Bez tego doczekania nikt nie snuł planów na przyszłość. (...) „Lwowskie mieszczuchy wyciągały jak ptaki utartym szlakiem na południowy wschód na barwną Huculszczyznę, w dolinę Prutu, do uroczego Jaremca, Tatarowa lub Worochty”⁴⁵. W Jaremczu „na dworcu usłyszymy dziwne wołanie. Otóż z początku XX wieku wbiegła na ten dworzec niejaka pani Huellesowa (...) Biegnie więc wzdłuż pociągu i woła ‘Hulles, Hulles!’ W pociągu i na dworcu podchwytyją ten zew i wkrótce wszyscy chóralnie wołają ‘Hulles, Hulles!’ Od tego czasu przez lat dziesiątki wołano tak przy każdym pociągu”, aż kiedyś francuska dziennikarka odwiedzająca te strony po powrocie w reportażu napisała: „Wzruszające jest przywiązanie Polaków do tradycji (...). Na południowo-wschodnich kresach do dzisiaj przywołują się staropolskim, rycerskim zawołaniem ‘Hulles, Hulles’”⁴⁶.

To był tamten Lwów, w czasie już miniony. Ziściły się słowa piosenki 30. Pułku Lwowskich Dzieci: „szeregami lwowskie dzieci/ idą tułać się po świecie”. Lecz w sercu lwowian, również tych urodzonych poza nim, stale jest on ten sam – żywy i obecny. Miłość do tamtego Lwowa czyni go nieśmiertelnym i obecnym. Domem nie utraconym.

⁴⁴ W. Szolginia, *Tamten Lwów. Oblicze miasta*, t. 1, Oficyna Wyd. Sudety, Wrocław 1992, s. 107–109.

⁴⁵ K. Scheleyn, *Lwowskie gawędy*, s. 101–102.

⁴⁶ Tamże, s. 105–106.

Postscriptum

Należy jeszcze odnieść się do kwestii: utrata a zmiana. Utrata to nie to samo co zmiana, ta druga jest nieuchronna, bowiem „przemija postać tego świata”: ludzie odchodzą, budowle i rzeczy niszczeją, drzewa schną. Wymiana pokoleń i zmiana z tym związana jest nieuchronna. Kwestią zasadniczą pozostaje wobec tego, czy zmiana prowadzi do utraty? Czy mimo nieuchronności zmiany pozostaje zachowana ciągłość? Rezultat procesu przemijania zależy od ludzi, od tego, czy z zasady lub (tylko) bezmyślnie odrzucają to, co zastane (stare) na rzecz tego, co nowe i „nowoczesne”. Czy przeciwnie, z pietyzmem chronią, zachowują i przekazują okruchy minionego utrwalone w materialnych i duchowych dziełach przodków. W jakiejś mierze ten wybór należy do każdego z nas. To my decydujemy o tym, jaki jest i będzie nasz dom pierwszego kręgu, to my możemy współdecydować o kształcie naszego domu dwóch pozostałych kręgów, a więc najbliższego otoczenia i ojczyzny.

Nasz dom w każdym z wyliczonych kręgów jest naszym odbiciem. Jeśli jego utrata jest naszym dziełem, także przez zaniechanie, pokazuje to, kim jesteśmy. Utrata domu – zwłaszcza jego drugiego i trzeciego kręgu – przez odebranie lub (z)niszczenie może też być, i bywa, dziełem nie naszym, dokonywanym wbrew nam przez ludzi dzierżących władzę i pieniądze. Jeśli jednak nie mamy powtarzać za poetą:

Gdzie są te ręce, w które my
oddamy nasze gwiazdy, szarfy
pieśni, marzenia, struny, harfy
przysięgi, krzyże, wiersze
Lwy?⁴⁷

⁴⁷ M. Hemar, *Strofy lwowskie*, s. 86.

– to naszym zadaniem jest stałe czuwanie, ochrona i umacnianie domu we wszystkich jego kręgach. Oznacza więc zabieganie o to, by nieuchronna zmiana nie oznaczała utraty ciągłości.

Eugeniusz Sakowicz*

Dom polski utracony

Refleksja niniejsza jest poświęcona „Domowi polskiemu utraconemu”. Pierwsza jej część ma charakter bardzo osobistego świadectwa. Na podstawie przywołanych z pamięci wspomnień bliskich krewnych (przede wszystkim mojej babci Stanisławy Janowskiej z domu Bojarun) zatrzymałem się przy naszych „Domach, których nie ma, a które są”. Dalsze refleksje – już mniej osobiste – zrodziły się dość dawno temu. Niektóre podane przeze mnie myśli były publikowane we wcześniejszych opracowaniach wskazanych poniżej tekstu. Nie zostały one wprost „wklejone” do tekstu, lecz doń dostosowane. Fragmenty pt. „Polskość – znak domu polskiego”; „Wychowanie do polskości” oraz „Sens cierpień za »dom polski« – Polskę” uzupełniają główne, kluczowe wspomnienia podane w opracowaniu.

Domy, których nie ma, a które są

Dzieje Polski to nie tylko „budowanie domów” – zakładanie rodziny, wychowywanie dzieci, życie codzienne przeplatane świętowaniem, ale też dramat polskich domów

* Prof. dr hab. Eugeniusz Sakowicz, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

utraconych. Dom z natury swojej stanowi przestrzeń bezpieczeństwa, miejsce, w którym domownicy nie obawiają się być sobą, nie kryją swoich emocji, bólu, łez szczęścia i łez cierpienia. Jest on miejscem azylu, swoistej ucieczki przed zgiełkiem ulicy, hałasem przestrzeni publicznych, chaosem powszedniości, również przed nieuczciwymi ludźmi. Przestrzeń domu ubogacona jest nade wszystko osobowościami jego mieszkańców, kiedyś kilkupokoleniową obecnością domowników.

Katalog domów polskich utraconych w wieku XX liczyłby setki tysięcy danych. Kilka informacji w tymże hipotetycznym spisie na pewno dotyczyłoby domów mojej najbliższej rodziny. W 1949 r. Stanisława Janowska (ur. 1889), matka mojej matki, Reginy, utraciła swój dom polski w majątku Kapituła w parafii Rzesza (wcześniej Kalwaria Wileńska) nieopodal Wilna. Stratę przeżyły bezpośrednio jej dzieci – Antoni i Benedykta. Deportacja ominęła jej męża i ojca rodziny – Józefa Janowskiego, który tego samego roku zmarł, oraz inne dzieci, w tym moją matkę Reginę, która odważyła się tuż po zakończeniu wojny opuścić Wileńszczyznę, nazywaną przez bolszewików Litwą Sowiecką, wybierając Olsztyn jako swoje miasto. Ono w jakimś sensie rekompensowało Wilno. W katedrze olsztyńskiej pod wezwaniem św. Jakuba czczony był obraz Matki Bożej Ostrobramskiej – Matki Miłosierdzia, Niewiasty Ciężarnej, a zatem „przy Nadziei”, ale też patronki wygnanych i przepędzonych z Wilna i Wileńszczyzny. W każdym kościele w Polsce powojennej, od Olsztyna i Białegostoku poczynając na Jeleniej Górze, Zielonej Górze i Szczecinie kończąc, znajdował się bądź znajduje obraz Matki Bożej, która „w Ostrej świeci Bramie”, przed którym modlili się wypędzeni ze swoich domów na Kresach, próbujący je odbudować w innych miejscach.

Moja rodzina, która pozostała po II wojnie światowej „u siebie”, czekała przez pierwsze lata powojenne na zmianę biegu historii. Wierzyli moi krewni w powrót Polski, która

z Wilna i okolic została brutalnie przepędzona. Oczekiwanie nie ziściło się. Rodzina utraciwszy swój dom została zesłana do wioski Użur w Krasnojarskim Kraju. Jej los przez kilka lat nie był znany nikomu, kogo koleje wydarzeń przywiodły do Polski. Moja matka przez kilka lat nic a nic nie wiedziała o swojej matce. W 1957 r. zesłańcy powrócili „na Ojczyzny łono” – nie do Wilna, gdzie nowa władza – sowiecka zaczęła rugować ślady polskości (zaczynając od unicestwiania języka polskiego i zamykania kościołów), lecz na Pomorze, Mazury i na Mazowsze.

Babcia Stanisława, której domem stał się mój dom rodzinny w Grudziądzu, nieczęsto wspominała Wileńszczyznę, a jeszcze rzadziej Krasnojarski Kraj, w którym na początku ziemianka, a później lepianka była jej domem, domem polskim. Czasami jednak dzieliła się opowieścią o swoim losie...

Od pierwszych chwil utraty domu pod Wilnem, przez lata niewolniczej obecności na Syberii, aktem strzelistym mojej babci, codziennie wypowiedanym w duchu ufności, były słowa: „Pomoc Boska i Opieka niech zawsze będzie z nami!” Wspomniała kiedyś babcia o kimś z sąsiedztwa pod Wilnem, kto utraciwszy dom postradał jednocześnie zmysły. Wcześniejszy stateczny gospodarz biegał po polach z krzykiem rozpacz. Obłąkanego bolszewicy na Syberię nie wywieźli. Przed desperacją i załamaniem ducha ochroniła babcię głęboka wiara w Boga. Wierzyła, że Bóg „widzi” wszystko, co spotyka ją i jej rodzinę. Wbrew nadziei ufała nadziei.

To wręcz niewiarygodne: w wiosce, w której mieszkała przez osiem lat moja rodzina, była cerkiew. Kapłan prawosławny niejednokrotnie rozmawiał z moją babcią Stanisławą, chodzącą do cerkwi na niedzielną mszę świętą przez wszystkie lata pobytu na Syberii. Batuszka pytał niejednokrotnie babcię: „Dlaczego nie przyjmujecie komunii świętej?” Nie chciał ochrzcić mojej rodziny w cerkwi. Kto wie, jakie by

poniósł konsekwencje, jakie kary by spotkały jego i jego rodzinę, gdyby taki zamiar powziął... Raz czy drugi szeptem mówił do babci: „Wróćcie do Polski. Nie traćcie nadziei. Na pewno wróćcie”. Świadeństwo, którym kilkadziesiąt lat temu podzieliła się ze mną babcia, brzmi wręcz zadziwiająco. Czy w ogóle taka rozmowa się odbyła? Czy na pewno takie słowa przekazywał ksiądz prawosławny mojej rodzinie? Jestem przekonany, że tak.

Każdego dnia, wspominała kiedyś babcia, mieszkańców wioski Użur budził rozbrzmiewający z megafonów rozstawionych wokół domów zesłańców hymn Związku Radzieckiego. Chwile tej melodii rodziły wielki smutek w sercu babci... Zapewne podobne uczucia żywili inni Polacy. Potęgowała się zapewne wówczas głęboka nostalgia za utraczonymi domami, za Polską.

Pamiętam z dzieciństwa niezwykłą, malutką kromkę chleba – zwaną chlebem św. Agaty – którą miała przy sobie jako swój „skarb” babcia. Było to wysuszone ciemne pieczywo, wypieczone zapewne według tej samej receptury stosowanej przez wieki, a może nawet i dziś, na Wileńszczyźnie. Zawinięte było w skrawek lnianego białego płótna, jak w całun. Chleb św. Agaty był z babcią przez wszystkie dni jej życia, od dnia wywózki na Sybir aż chyba do śmierci w 1980 r. I chociaż brakowało na Syberii podstawowego jedzenia, a rodzina cierpiała głód, to chleb św. Agaty zawsze był z nimi. Święta Agata nie pozwoliła im umrzeć z braku pożywienia.

Ten ułamek bochenka chleba, będący ważnym *sakramentalium*, poświęconym w czasie ludowych obrzędów w pobliżu Wilna, był dla mnie wielkim wyzwaniem, niezwykłym znakiem dającym do myślenia. Ów chleb, który przeszedł drogę „tułacza” od Wilna przez Krasnojarsk na Północ, nauczył mnie wielkiego szacunku dla chleba i pokarmu w ogóle. Chleb, który wypadł mi z ręki na podłogę czy ziemię, zawsze był podniesiony i ucałowany. Nigdy

w życiu nie wyrzuciłem chleba do śmietnika, a ten leżący na drodze zawsze podnosiłem, kładąc następnie w miejscu, skąd skorzystają z niego ptaki i gdzie nikt nań nie nadeptanie. Napoczynany bochenek znaczyłem krzyżem. To jedna z największych lekcji wychowawczych otrzymanych w życiu, a którą dała mi prosta i niezwykle mądra, szlachetna – ośmielę się powiedzieć „święta” – kobieta, moja babcia Stanisława.

W domach polskich wszyscy żywili wielki szacunek dla chleba. Szacunek dla chleba to solidarność z tymi, którzy cierpią, którzy głodują, to wdzięczność wobec osób podejmujących trud pracy przy wypieku chleba, to ufność w przyszłość, to wiara w prawdziwość słów Modlitwy Pańskiej – „Ojcze nasz”.

Warto w kilku słowach wspomnieć ludową pobożność, w tym praktykę święcenia chleba św. Agaty w dniu jej wspomnienia (5 lutego). Tego dnia błogosławiono też sól i wodę. Chleb pobłogosławiony w dniu wspomnienia żyjącej w III w. męczennicy za wiarę miał wiele znaczeń. Wierzono, że chroni przed ogniem, pożarem. Spożywany w czasie burzy miał bronić przed tym żywiołem. Wierzono zawsze, iż mając przy sobie kromkę tego chleba nigdy nie zazna się śmierci z głodu. Do św. Agaty uciekały się kobiety w chorobach, zwłaszcza piersi. Mądrość ludowa stwierdzała wprost: „Gdzie święta Agata, bezpieczna tam chata”. Chleb był znakiem Bożej opieki nad rodziną w ich domu polskim pod Wilnem. Był nim w „domu niewoli” pod Krasnojarskiem.

Zapytałem kiedyś babcie – będąc jeszcze dzieckiem – czego najbardziej żałowała, kiedy była przez tyranów komunistycznych wypędzana z własnego domu. Odpowiedź mnie poruszyła. Największym skarbem, który pozostał w domu polskim utraconym przez moją rodzinę, było monumentalne, „dostojne” dzieło *Żywoty świętych Pańskich*. Nie żałowała rozpaczliwie 30 hektarów ziemi, która odtąd zawłaszczona została przez kołchoz. Z wielkim smutkiem „żegnała się” na-

tomiast ze zwierzętami w stajni, oborze, w innych gospodarskich budynkach.

Na Syberii towarzyszem rodziny był pies przybłąda, który przypałał się i stał się niejako „domownikiem” pozostając przez wszystkie lata niedoli z moimi najbliższymi. W 1957 r. w dniu, w którym rodzina wyruszyła pociągiem w drogę powrotną do Polski, pies „pożegnawszy się” ze swoimi „wybawicielami” i gospodarzami pozostał na stacji patrząc w kierunku, w którym jej „pani” oraz jej dzieci odjechały. Ktoś z zesłańców, kto nie powrócił do ojczyzny, pisał w liście do moich bliskich, że pies ten przez dwa tygodnie nie ruszył się z miejsca, wciąż patrząc w kierunku odjazdu pociągu, aż zdechł, „oddając ostatni dech” swego zwierzęcego żywota.

Któregoś dnia babcia powiedziała mi, że jej dom, w którym przez lata żyła z mężem Józefem i gdzie urodziła sześćcioro dzieci, przez kilka dni po jej wywózce był płađrowany, rozkradany przez ludzi, których różnie można byłoby nazwać... Na pewno byli to ludzie bez honoru i wstydu, nędzarze, którym komunizm dał okazję chwilowego wzbogacenia się na „pobojowiskach”, jakimi były domy ograbione po wypędzeniu z nich ich właścicieli. Taką informację po latach ktoś babci przekazał.

Kiedy na początku lat siedemdziesiątych XX w. nawiedziłem strony rodzinne mojej matki, z Wilnem jako ich centrum, pielgrzymowałem do majątku rodzinnego, przed wojną zwanego Kapitułą. Bardzo prosiłem, by moja matka pokazała mi miejsce, na którym stał jej dom rodzinny. Widzę i dziś emocjonalne poruszenie jej serca, kiedy rozglądając się po polach chciała wypatrzeć swój dom, którego nie ma, a który przecież był we wspomnieniach... Doszliśmy do miejsca „obrysowanego” kamieniami polnymi oraz fragmentami podmurówki wyznaczającymi fundament budynku mieszkalnego. Nieopodal domu, którego nie było, a który przecież – powtórzę – był, wybijało z ziemi źródło, ta sama „krynica”

(tak o źródle tym mówiono), dająca wodę ludziom i zwierzętom. Być może tu była jedna z tajemnic bliskości gospodarzy wobec zwierząt i żalu związanego z ich opuszczeniem, z rozstaniem się z nimi. W Starym Testamencie bardzo często przedstawiane są obrazy solidarności ludzi i zwierząt, którzy razem cierpieli, a nawet razem, w jednakowy sposób, pokutowali. Chyba tylko mistycy wsi mogą to zrozumieć. Rozumiała to moja babcia.

Dom polski mojej rodziny „po kądzieli” nie był domem w małym mieście, lecz w majątku podobnym do tysięcy innych posiadłości, których właściciele – określani przez komunistów jako: kułaki, burżuje, panowie oraz imperialiści – okazali się wyjątkowo niebezpieczni dla nowego porządku świata, „strojonego” przez funkcjonariuszy państwa sowieckiego.

Kilka lat wcześniej podobny los spotkał rodzinę mojej matki chrzestnej, Marii Sawickiej z domu Roycewicz. Dostojna rodzina Roycewiczów, jak głosiły rodzinne podania, miała być wspomniana w polskiej literaturze pięknej czasu zaborów. Po deportacji z ich polskiego domu i „wykorzeźnieniu” z 300 hektarów ziemi niedaleko Kowna, rodzina została zesłana w głąb tundry syberyjskiej. Zadaniem mieszkańców wcześniejszego dworku było teraz karczowanie odwiecznych lasów. Niektórzy z nich zmarli; ich prochy pozostały na Syberii.

Krewni moi utracili to, co po ludzku miało wielką wartość, dobytek pokoleń, dom, ziemię. Wyrwani zostali z korzeniami z miejsc urodzenia, wzrastania, dojrzałego, a nawet prawie sędziwego już życia. Nie zabrali ze sobą cmentarzy. Miejsca pochówków ich przodków zostały opuszczone. Rozstali się też z krewnymi i powinowatymi, czy po prostu – pobratymcami, krajanami, których ominęło zesłanie.

To zaledwie kilka faktów, zapamiętanych z powściągliwej opowieści babci. Fakt milczenia nie oznaczał – tak czuję – wyzwolenia się ze wspomnień z domu rodzinnego. Cierpie-

nie nauczyło babcie milczenia, dyskrecji, respektu dla drugiego człowieka. Cóż można powiedzieć o tym, czego się nie rozumie? Trudno było wszak pojąć sens przepędzenia z własnego domu z węzełkiem na plecach i walizką w rękę. Największym skarbem, który babcia zabrała ze sobą na Syberię, był różaniec, książeczka do nabożeństwa oraz niewielka, a jakże wymowna w swoim symbolicznym przesłaniu, figurka gipsowa Matki Bożej Ciężarnej. Twarz figurki była uszkodzona. Odprysnął jej fragment, być może w czasie pospiesznego pakowania „skarbów”, na co pozwolili komuniści pacyfikujący dom.

Zarówno figurkę Matki Bożej Brzemiennej jak i książeczkę do nabożeństwa „zabrała” babcia ze sobą do trumny. Razem z tymi świętymi rzeczami „oczekuje” babcia Dnia Zmartwychwstania... Na nagrobku została wyryta myśl streszczająca całe jej życie: „Z Wilna wyszłam, przez dwie wojny, Syberię, tu spocząć przyszłam. Bóg tak chciał”. Babcia umierała świadomie. Mówiła wtedy m.in., iż żyć było ciężko, ale umierać jest jeszcze ciężej. Konając prosiła, by ją pochować nieopodal jej domu polskiego utraconego – w Wilnie...

*

Utrata domu była wielkim ciosem zadany polskości. W każdym bowiem domu polskim – dworku czy skromnej chacie wiejskiej było miejsce dla najważniejszych gospodarzy – Pana Jezusa i Jego Najświętszej Matki. Na mieszkańców tych, dzielących radości i smutki rodziny, wskazywały święte obrazy. Nie brakowało ich w domach. Były one w tej ikonograficznej scenerii swoistymi świątyniami. Postaci świętych patronów domu wraz z jego mieszkańcami to była jedna rodzina. W domach Wileńszczyzny królowała Matka Boża, nie tylko Ostrobramska, ale i Częstochowska. Dla miłości matczynej nie ma przecież granic. Zresztą, Jasna Góra promieniowała na całą Rzeczpospolitą.

W teologii katolickiej dość późno zaczęto głosić naukę o tzw. Kościele domowym, chociaż jego przykłady wyraźnie jawią się na kartach Nowego Testamentu. W domach polskich przez wieki kultywowana była tradycja obrzędowa, będąca odwzorowaniem tradycji kościelnej, tej oficjalnej, którą określić można jako „kanoniczną”. W licznych domach przy drzwiach wejściowych, od strony wewnętrznej były umieszczone kropielniczki z wodą święconą. Zresztą, pobłogosławiona woda bardzo była w domostwie potrzebna. Kropiło się nią ludzi, zwierzęta, pola, ziarna siewne i plony. U powały zawieszano święcone wianuszki mające chronić przed pożarem czy innym niebezpieczeństwem bądź kataklizmem. Przy obrazach świętych umieszczano palmy poświęcone w Niedzielę Palmową i gałązki brzozy zabrane sprzed ołtarzy ustrojonych na Boże Ciało.

Dom, jego ściany, „kąty” omadlano wspólną rodzinną modlitwą, kierując się w niej formalnym kalendarzem liturgicznym, a także zwyczajowym kalendarzem agrarnym. Nie można było pomijać sposobności do sakralizowania przestrzeni domu i wokół domu.

Przepędzenie mojej rodziny (jak i innych rodzin) z jej – z naszego domu nie oznaczało tylko wymuszonego opuszczenia miejsca zamieszkania i wywiezienia jej w wagonach dla bydła (wraz z innymi deportowanymi) do miejsca odległego o dwa tygodnie nieustannego przemieszczania się pociągu. Dystans miał oznaczać, że jest to rozstanie się z domem na zawsze. Fakt utraty domu oznaczał rozerwanie rodzinnych i rodowych więzi, był nadto rozerwaniem odwiecznej tradycji, wykorzeniem z kultury rodzimej, na sposób której żyły wcześniejsze spokrewnione pokolenia. Było to oderwaniem od Kościoła katolickiego, zawsze stojącego na straży polskości. Oprawcy wykorzeniając setki tysięcy rodzin z ich domów – z miast dużych, takich jak Wilno, i miast mniejszych oraz małych, z wiosek i majątków – doskonale o tym wiedzieli. A wioski zawsze oscy-

lowały ku miastom, czy to dużym, czy małym. Cotygodniowa „wędrówka” z wiosek na targowiska w miastach była przecież wyrazem silnego aliansu, niemal organicznego powiązania między tymi ludzkimi „osadami” – miejskimi i wiejskimi.

Polskie rodziny, wygonione przez bolszewików z jednego „gniazda”, w nowych realiach nie zbudowały już jednego domu. Członkowie jednej rozbitej rodziny zamieszkali po powrocie „na ojczyzny łono” w różnych miejscach, oddalonych od siebie setki kilometrów. W takich okolicznościach pielęgnowanie tradycji przy współdziałale „rodziny rodzin” okazało się niemożliwe. Nie było cmentarzy, na które można było się udać, by oddać cześć przodkom i za nich się pomodlić. Nowa topografia bardzo często różniła się od tej wcześniejszej, jedynej w swoim rodzaju. Nie przystawała w ogóle do wspomnień.

*

Z dzieciństwa i lat młodości pamiętam szczególnie jeden dzień w roku, który dziś interpretuję jako dzień rodzinnej pamięci o domach utraconych i opuszczonych, zarówno przez babcię pod Wilnem, jak i przez mojego ojca Bronisława pochodzącego z okolic Głębokiego na Wileńszczyźnie. Wigilię „odczuwałem” jako dzień wspominania domów rodzinnych moich rodziców, których to domów już nie było, ale przecież były. Po latach dowiedziałem się od pewnego uczzonego badającego przejawy i znaki polskości w życiu Polaków, iż najważniejsza jest tu Wigilia Bożego Narodzenia. Tego dnia rodziny nie tylko przeżywają tajemnicę narodzenia Pana Jezusa, lecz także wyrażają polskość poprzez łamanie się opłatkiem i składanie sobie wzajemnie życzeń, przez wierność zwyczajom i obrzędom, wreszcie przez śpiew kolęd, tak bardzo polskich i będących jednocześnie pieśniami patriotycznymi. Wigilia to apogeum polskości!

Polskość – znak domu polskiego

Myśli poniżej podane mają charakter ogólny. Skoro tak, to mogą być odniesione i do domu polskiego utraconego przez moją rodzinę, o którym była mowa wyżej. Polskość definiowana jest zwykle jako „zespół cech polskich”. Polską cechą pielęgnowaną w domach rodzinnych była wspaniałomyślność i tolerancja. W imię respektu do własnej tożsamości – do polskości mieszkańcy domów okazywali szacunek wobec innych, wobec sąsiadów wyznających różne religie bądź należących do różnych Kościołów. Był to specyficzny kontekst Wileńszczyzny! Tolerancja z kolei wyrażała wprawdzie cierpliwe znoszenie innego, jego „tolerowanie”, lecz zarazem głęboką radość z faktu, że jest ktoś, kto inaczej myśli, inaczej postrzega świat, inaczej (ale zawsze w granicach zwykłej przyzwoitości) postępuje.

Polskość nie jest żadną miarą „nacionalizmem”. Nie jest synonimem „ksenofobii” ani też „antysemityzmu”. Oznacza ona tradycyjne wartości, uznawane jako znaki rozpoznawcze Polek i Polaków. Podstawową cechą polskości jest umiłowanie wolności. Inny jej wyraz stanowi wspomniana wyżej tolerancja, wyrażająca głęboki szacunek względem wrażliwości drugiego człowieka, systemu wartości, którym on kieruje się w życiu. Polskość oznacza ostatecznie afirmację, akceptację Polski jako swojej ojczyzny.

Polskość to również „polski charakter czegoś”. Ważne jest pielęgnowanie polskiego charakteru, wyrazu, specyfiki świąt, zwyczajów, obrzędów. Zrywanie z tradycją, właściwą dla określonych świąt, nade wszystko odrzucanie elementów lub całej tradycji Wigilii Bożego Narodzenia (szanowanej również przez niewierzących w Boga, lecz czerpiących życiowe impulsy z chrześcijańskiego kulturowego podglebia) ostatecznie jest zamachem na polskość. Polskość to życzliwość, otwartość umysłu i serca, wspaniałomyślność, respekt wobec słabszych, społecliwość, pomocniczość.

Wychowanie do polskości

Wychowanie do polskości oznacza wydobywanie bezcennych wartości ze skarbcza ducha narodowego. Skarbiec ten zawsze znajdował się w domach polskich. Wychowywanie do polskości realizowane jest na drodze uwrażliwiania młodego pokolenia (i starszej generacji również) na własną historię. Jest to lekcja szacunku do przeszłości, do przodków, do dziedzictwa narodowego i jednocześnie kulturowego. Własnym korzeniom należy szacunek, bowiem czerpią one ożywcze soki z dziejowego podglebia dla przyszłości, dla pokoleń, które nadejdą. Wychowywanie to polega na uczeniu się „przywiązania” do pamięci historycznej. Warunkiem tegoż jest respekt do samego siebie. Ważne jest oczyszczanie pamięci z resentymentów, irracjonalnych tęsknot za czasem mitycznym, za wydumaną pychą narodową, za fikcją i utopią. Nie może zdrajca polskości być uważany za jej symbol, co więcej i co gorsza – za symbol niezłomności czy to na arenie międzynarodowej, czy na gruncie kościelnym. Nie można profanować „ołtarzy” narodu. Nie można na ołtarzach tych stawiać tronów bezbożnych władców.

Ważną przestrzeń wychowania do polskości wyznacza religia. Przez wieki była ona motywem polskości; służyła jej, kształtowała jej ducha. Niemal organicznie zrosła się z narodem. Wykpiwane i ośmieszane przez dzisiejsze pseudoautorytety powiedzenie: „Polak – katolik” daje wiele do myślenia. Kościół nie zawłaszczył sobie polskości! Prawdziwy, a nie tylko deklaracyjny „Polak – katolik” szanował zawsze współobywateli tego samego państwa, tej samej Rzeczypospolitej: Litwinów, Żydów, Ormian, Białorusinów, Ukraińców, tych wszystkich, których znakiem rozpoznawczym była ich religia czy wyznanie.

Wyśmiewanie wartości patriotycznych, profanowanie świętości, ogłaszanie i jednocześnie zmuszanie społeczeństwa do akceptacji antyreligijnych praw, godzących w po-

rząddek natury (jak np. przyzwolenie na aborcję, popieranie eutanazji, w końcu nachalne, brutalne i bezwzględne promowanie homoseksualizmu jako normy pożycia intymnego w ogóle) jest niszczeniem polskości. Mając na uwadze polskość jako cel pedagogicznego trudu i zaangażowania stwierdzić należy, że nie może mieć ono nic wspólnego z deptaniem wartości religijnych, profanacją transcendencji, naigrawaniem się z prawa naturalnego, wykpiwaniem moralności.

Wielkim „obszarem”, „połem” pracy na rzecz polskości jest kultura słowa, słowo mówione (w przekazach medialnych) i zapisane (w literaturze pięknej). Funkcjonariusze szerzącego się, zataczającego coraz większe kręgi fundamentalizmu laickiego (niezwykle niebezpiecznego, jak każdy fundamentalizm) upodobali sobie działanie mające na celu niszczenie słowa, jego sensu i znaczenia.

Wychowanie do polskości polega na takim prowadzeniu młodego, a także dojrzałego pokolenia Polek i Polaków, by czuło ono silne więzi z całym narodem polskim i sens tych więzi rozumiało. Nie mogą to być więzi zewnętrzne – takie są tylko więzami, krępującymi wolność, pierwszą wspomnianą cechę polskości. Więzy motywowane od wewnątrz uczynią człowieka – będącego w relacji do drugiego i drugich – wolnym i szanującym wolności innych.

Ważnym elementem wychowania do polskości stała się pamięć o przeszłości. Generowała ona postawę ludzi dumnych z Ojczyzny, a nie upokorzonych przez propagatorów socjalistycznego, czy też innego patologicznego stylu życia. Miejscem wychowania jedynym w swoim rodzaju był zawsze dom polski i miejscem tym pozostanie.

Sens cierpień za „dom polski” – Polskę

„Res Publica” – Rzeczpospolita ma być tym, czym jest: „rzeczą publiczną”, powszechnym dobrem wszystkich i każ-

dego, powszechnym domem wszystkich domów polskich. Nie można dopuścić, by jednostki czy też „grupy trzymające władzę” okradły z tego dobra naród, by lekcewały innych, uczciwych bądź mniej zaradnych, by niszczyły domy polskie. Rzeczpospolita to społeczność obywateli równych w godności, będących równoprawnymi dziedzicami polskości. Nie można dopuścić, by ideologia wroga człowiekowi i Bogu wtargnęła do domu, na wzór złego ducha opisanego w Nowym Testamencie, który nachodzić potrafi domy „czyste” i „wymiecione” po to, by je zniszczyć.

W czasie prześladowań i cierpień narodu polskiego rozdziły się, kształtowały charaktery wielkich Polaków. W polskim „domu niewoli” polskie domy nie były zniewolone. W wiejskich chatach i zagrodach oraz w dworach szlacheckich i siedliskach upadłej szlachty Polacy uczyli się i pielęgowali miłość do Boga i Ojczyzny, zaufanie do Matki Najświętszej, Tej „która Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie”. Wybierali patriotyzm poświadczając tym samym przywiązanie do wartości, które o Polsce stanowią, do wiary ojców, do cnót chrześcijańskich, do tego, co polskie i katolickie. Kochali swój język, który znienawidzony był przez wrogów. Wiedzieli co znaczą słowa: „Bóg – Honor – Ojczyzna”.

Językiem cierpienia, bólu był zawsze język polski. Podobnie językiem modlitwy była polska mowa. Polskość przetrwała przy ołtarzach, w kościelnych nawach i kruchtach, na przykościelnych cmentarzach. Ściany polskich domostw zawsze znaczone były wspomnianymi już wcześniej obrazami Matki Bożej i świętych. Postaci te pozwalały poprawnie odczytywać sens cierpień i wierzyć w zmartwychwstanie.

Pamięć o cierpieniach narodowych została uwieczniona w dziełach kultury i sztuki, pomnikach literatury pięknej, w pieśniach religijnych, w rzeźbach i monumentach. Trzeba tę pamięć podtrzymywać, ożywiać, pielęgnować. Ona kształtuje ducha narodowego. Było to zadanie każdego

domu polskiego utraconego, a jest to też zadaniem każdego domu polskiego, który pragnie odbudowy, odnowy, powrotu do życia.

* * *

Wspominanie przeszłości zapewne jest rodzajem uwiecznienia doświadczeń i przeżyć minionych pokoleń. Świadkowie domów polskich utraconych odeszli do wieczności. Moi krewni nie spisali wspomnień, nie prowadzili pamiętników, nie nagrywali swych retrospekcyjnych refleksji. Pamięć o nich wszakże pozostała, czego świadectwem jest przedstawiona – i uzupełniona o inne myśli związane z tematem – bardzo osobista refleksja.

Nota bibliograficzna

- E. Sakowicz, *Aspekt wychowawczy zwyczajów i obrzędów ludowych*, [w:] *Wychowanie i edukacja w kulturach, religiach i światopoglądach*, E. Sakowicz (red.), Warszawa 2020, s. 225–237.
- E. Sakowicz, *Pedagogiczny wymiar polskiej ludowej teologii i pobożności według Edmunda Bojanowskiego. Szkic do badań pedagogiczno-etnologiczno-religijnych*, [w:] *Wychowanie i edukacja w kulturach, religiach i światopoglądach*, E. Sakowicz (red.), Warszawa 2020, s. 239–251.
- E. Sakowicz, *Polska Droga Krzyżowa – Golgota Wschodu*, „Człowiek w Kulturze. Pismo Poświęcone Filozofii i Kulturze” 2002, nr 14, s. 257–264.
- E. Sakowicz, *Sens cierpień narodowych*, „Cywilizacja. O Nauce, Moralności, Sztuce i Religii” 2006, nr 14, s. 61–66.
- E. Sakowicz, *Wychowanie do polskości*, [w:] *Literatura, kultura religijna, polskość. Księga jubileuszowa dedykowana prof. dr. hab. Krzysztofowi Dybciakowi w 65. rocznicę urodzin*, K. Kohler, W. Kudyba, J. Sikora (red.), Warszawa 2015, s. 565–573.
- Patriotyzm*, E. Sakowicz (red.), „Ateneum Kapłańskie” 2018, nr 170, z. 3, s. 420–525.

Stanisław Remiszewski*

Dom Polski na wygnaniu w Kazachstanie

W niniejszym artykule poruszam kwestię deportacji ludności polskiej z Zachodniej Ukrainy do Kazachstanu w 1936 r. Poniższy tekst w większości składa się ze wspomnień osób skazanych na wysiedlenie, mianowicie rodziny Rudkowskich – moich dziadków. Reminiscencje stanowią część zesłańczych opisów Feliksa, Bronisławy i Pawła Rudkowskich, a również moje własne refleksje, oparte na osobistym doświadczeniu wśród Polonii z Ałma-Aty w latach dziewięćdziesiątych XX w. Stworzenie „małej Polski” w południowo-wschodnim Kazachstanie było niezmiernie trudnym wysiłkiem w niesprzyjającej rzeczywistości. Mimo wszystko, do tej pory przetrwały pokolenia aktywnie uczestniczące w życiu polskiej diaspory, kultywujące tradycje swoich przodków, z dumą i zamięłowaniem odnoszące się do swego pochodzenia i wiary.

Ludzie opuszczają swoją rodzimą ziemię, wyruszają w emigrację, na przykład w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Emigracja jest dobrowolnym wyborem i emigrant może powrócić do swego miejsca. Z kolei wygnanie takiej możliwo-

* Stanisław Remiszewski, Muzeum Rolnictwa im. ks. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu.

ści nie daje, ponieważ ma charakter przymusowy. Życie na wygnaniu oznacza znalezienie się w sytuacji wewnętrznego rozdarcia duchowego. Wygnaniec zabiera ze sobą część swojej ojczyzny bądź otoczenia, z którym się zrósł, natomiast wokół siebie znajduje świat obcy albo wrogi¹.

W latach 1927–1933 liczba gospodarstw wiejskich w Kazachstanie zmniejszyła się z 1,35 mln do 630 tys. Na skutek klęski głodu i towarzyszącej jej epidemii tyfusu zmarło w latach 1932–1933 ok. 1,75 mln osób, ponadto doszło do znacznej emigracji Kazachów do innych republik ZSRR i sąsiednich państw – Chin i Mongolii. Według oficjalnych danych, liczebność mieszkańców republiki od czerwca 1930 do czerwca 1933 r. zmniejszyła się z 5,9 mln do 2,5 mln. Ponadto próba usilnej kolektywizacji i restrykcji wymuszana na rdzennej ludności koczowniczej nie przynosiła skutku. Sposobem na zasiedlenie mało zaludnionych i nierolniczych terenów była przymusowa translokacja ludności z Zachodniej Ukrainy. Kazachstan wybrano jako miejsce przesiedleń ze względu na szczególnie tragiczne następstwa kolektywizacji w tej części ZSRR. Naszych rodaków wysiedlano z rejonów wzdłuż granicy z Polską, bo uznano ich za grupę niepewną i potencjalnie wrogą w razie przewidywanego konfliktu zbrojnego. Po odzyskaniu przez Polskę Niepodległości w 1918 r. i po zawarciu pokoju ryskiego w 1921 r. na wszystkich Polaków mieszkających przy granicach państwa sowieckiego padły podejrzenia. Akcję wysiedleńczą przeprowadzono w dwóch etapach. Pierwszy etap w 1936 r. trwał od 20 maja do 5 czerwca, wówczas zostało przymusowo przesiedlonych 5567 rodzin (27023 osoby). Drugi etap zesłań przeprowadzono we wrześniu–październiku 1936 r., wtedy wywieziono 9433 rodziny (42 954 osoby)². Łączną

¹ A. Głowacki, *Sybir. Doświadczenia – Pamięć*, Muzeum Pamięci Sybiru, Białystok 2015, s. 16.

liczbę osób poddanych przymusowej deportacji szacuje się na miliony. Między 1920 a 1956 r. przeprowadzono około 130 akcji przesiedleńczych, w wyniku których wywieziono około 12 mln osób³. Polacy byli pierwszą grupą w historii ZSRR prześladowaną nie z powodów klasowych, a narodowościowych⁴.

W niektórych miejscowościach wiadomość o przesiedleniu przekazywano o dobę, a czasami kilka dni przed akcją, tak żeby wszyscy mogli przygotować się do zebrania najpotrzebniejszych rzeczy. Władze pozwalały czasami zabrać ze sobą mienie domowe, łącznie z żywym inwentarzem, a w częstych przypadkach ograniczoną ilość towaru. Przesiedlani byli transportowani do Kazachstanu w pociągach towarowych, wraz ze zwierzętami, przy czym żywy inwentarz częściowo lokowano do wagonów z ludźmi, a pozostała część znajdowała się w ostatnich wagonach pociągu. Przed rozpoczęciem masowych wywozków do Kazachstanu zapadły stosowne decyzje dotyczące akcji deportacyjnej oraz rozmieszczenia przesiedleńców w nowym miejscu ich osiedlenia, dekretowane stosownymi decyzjami „Sovnarkomu” z dnia 23 stycznia 1936 r., Kazachskiego Komitetu Krajowego WKP(b), Rady Komisarzy Ludowych Kazachskiej SSR z dnia 16 lutego 1936 r. i innych uchwał podejmowanych później⁵. Ludność polską wywożono z tzw. rejonu narodo-

² D. Panto, *Deportacja Polaków i obywateli polskich do Kazachstanu w latach 1936–1941*, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, Gdańsk 2019, s. 22–23.

³ А. Н. Яковлев, *Сталинские депортации. 1928–1953*, сост. Н.А. Побол, П.М. Полян, Москва 2005, s. 11–12.

⁴ A. L. Szcześniak, *Deportacje XX wieku*, Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne Polwen, Radom 2002, s. 26.

⁵ *Z dziejów Polaków w Kazachstanie 1936–1956. Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu*, Warszawa 2006, s. 19–53; A. Korprowski, *Na gruzach Marchlewszczyzny. Skazani za polskość*, Biały Dunajec–Ostrów 2014; A. Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie. Zestawienia – Dziedzictwo – Nadzieje – Powroty*, Wydawnictwo Kubajak, Krzeszowice 2014, s. 86.

wościowego im. Juliana Marchlewskiego (tzw. Marchlewszczyzna) na terenie Ukrainy (rejon Żytomierza, Winnicy i Kamieńca Podolskiego) oraz w mniejszym stopniu z drugiego rejonu narodowościowego im. Feliksa Dzierżyńskiego (tzw. Dzierżyńszczyzna) na Białorusi. Wówczas wywożono całe rodziny, przede wszystkim ludzi „niepewnych”, kultywujących wiarę katolicką, utożsamiających się z polskością, rodziny mające krewnych za granicą, rodziny tzw. „białobandytów” i wszystkich tych, którzy według uznania miejscowego aktywu partyjnego wykazywali wrogą postawę wobec państwa sowieckiego. Jechali na Wschód z piętnem wrogów ludu, szkodników politycznych i szpiegów faszystowskiej Polski. Przesiedlenia wyznaczały deportowanym rolę pionierów kultury agrarnej na stepowych terenach; miejscowa ludność – Kazachowie, nie byli przygotowani do racjonalnej uprawy ziemi⁶.

W maju 1936 r. w wiosce Henrychowka (obecnie Adrzejewka), w powiecie Baranowskim, i w sąsiednich miejscowościach, wydano rozkaz Polakom i Niemcom spakowania dobytku w ciągu 24 godzin. Na zbierających się w pośpiechu ludzi czekała długa droga w nieznaną, odległy kraj, miejsca położone na północy i południu Kazachskiej SRR (Tajynsza, Karaganda, Ałma-Ata). Feliks Rudkowski wraz z rodziną znalazł się na nieszczęsnej liście osób wyznaczonych do deportacji.

Oto jak wspominał swoje przeżycia Feliks Rudkowski:

Pracowaliśmy rano z ojcem i bratem przy obrządku w gospodarstwie, gdy zobaczyliśmy biegnącego z sąsiedniej zagrody w naszą stronę sąsiada Wincentego Sobolewskiego, który powiedział nam, że po wsi chodzą mundurowi i wyczytują nazwiska osób, które mają gdzieś jechać, ale nie wiadomo dokąd, jeden z nich mówił o Wschodniej Ukrainie, niby tam mamy

⁶ A. Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie*, s. 86–87.

zakładać nowe kołchozy. Ojciec powiedział nam, że według niego chodzi o ponowne nieodpłatne użyczenie koni, wozów i zorganizowanie tłoki na rzecz miejscowej władzy. Po chwili pokazali się gromady, śpieszące z jednego końca wsi do drugiego, zapłakani i zmieszani, biegli do krewnych i znajomych powiadomić o decyzji żandarmów NKWD. Gdy kolej doszła do nas, na podwórko weszło 2 uzbrojonych enkawudzistów, poprosili ojca zwołać wszystkich domowników na podwórko i przedłożyć dokumenty tożsamości. Odczytano nam z listy postanowienia Rady Komisarzy Ludowych, w którym było powiedziano, że rodzina ma do rana zebrać najpotrzebniejsze rzeczy, po czym zabrano u ojca zwitek dokumentów. Tak samo uczyniono z pozostałą naszą rodziną, mieszkającą w tejże wsi. Nie poinformowano nas o prawnych podstawach aresztowania ani o tym, na jaki czas zostaniemy wywiezieni i dokąd pojedziemy. Gospodarstwo, w skład którego wchodziło: drewniana zagroda z zabudowaniem, 2 konie, 2 krowy, zapasy zboża, pożywienie, świnie, kilka owiec, drób, uprawna ziemia 14 hektarów, staw, zagajnik i pozostały inwentarz zostało konfiskowane. Pod wieczór do naszego domu zaczęła się wprowadzać rodzina jakiegoś urzędnika. Przykro było patrzeć na samowolne rozgoszczenie się obcych ludzi w naszym domu i korzystania z naszej spiżarni. Przez całą noc pakowaliśmy do komód, skrzyń i worków to, co pozwolono nam wziąć ze sobą (koce, ubrania, worek żyta, otręby, podręczny młyn, chleb, sól, worek ziemniaków, słoninę, kilkutygodniowego prosiaka w skrzynce i osiem kur. Ludzie z żandarmerii upewniali nas, że na nowym miejscu zamieszkania sołtysi wydadzą nam wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy do prowadzenia przyzwoitego życia; dom, godziwą pracę, zwierzęta hodowlane, ciepłe ubrania, maszynę do szycia i inne. Przekazano nam, że musimy wziąć wyłącznie niezbędne rzeczy na pierwszy czas pobytu, ponieważ dobre życie, o wiele lepsze niż tu już czeka na nas. Powtarzano nam o przygotowanych specjalnie dla nas zwierzętach rolnych, sprzęcie gospodarczym, zbożu w niezmiernych ilościach i ziemi uprawnej⁷.

⁷ Relacja Feliksa Rudkowskiego.

Dezinformacja panująca wśród ludzi uniemożliwiała dobrze przygotować się do wywózki. W punkcie trzecim przyjętego projektu uchwały Kazachskiego Krajowego Komitetu WKP(b) z 16 stycznia 1936 r., dotyczącej deportowanych z Ukrainy do obwodu ałmackiego, mówiło się o następującej decyzji: „Prośba do KC WKP(b) [i] Rady Komisarzy ZSRS o decyzję, żeby przesiedleńcy przybyli z bydłem roboczym i konsumpcyjnym, maszynami rolnymi, uprzężą i innym inwentarzem, a także żeby przesiedlanym kołchoźnikom zagwarantowano wystarczającą ilość produktów do nowego urodzaju”⁸. Organy kierujące wysiedleniem obiecywały zwolnienia z podatków na nowym miejscu zamieszkania, prawo do swobodnego przemieszczania się i pożyczek. Prawie wszystkie obietnicy były oszustwem, ponieważ deportowani do Kazachstanu nie mieli prawa opuszczać wskazanego miejsca osiedlenia do 17 stycznia 1956 r., a przedmioty codziennego użytku i produkty ograniczono do minimum albo wcale nie były wydawane⁹.

Nieraz komsomolskie grupy agitacyjne pojawiały się w domach gospodarzy z informacją, że zmiana miejsca zamieszkania następuje z powodu konieczności oczyszczenia pasa przygranicznego, ponieważ Polska szykuje się do napaści na ZSRR. Powtarzano o hucznie zakładanych polskich autonomiach w Kazachstanie, gdzie już od dłuższego czasu masowo powstają kościoły, a księża z niecierpliwością czekają na katolików na wolnej i urodzajnej ziemi. Władza starała się wykonywać akcje przesiedleńcze w jak

⁸ 16 stycznia – 23 lutego 1936, Ałma-Ata, Projekt uchwały Kazachskiego Krajowego Komitetu WKP(b) dotyczącej deportowanych z Ukrainy, [w:] D. Panto, *Deportacja Polaków i obywateli polskich do Kazachstanu w latach 1936–1941*, s. 34.

⁹ H. Stroiński, *Represje stalinizmu wobec ludności polskiej na Ukrainie w latach 1929–1939*, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Warszawa 1998, s. 190–191.

najskrytszy sposób, żeby nie siać paniki w okolicznych miejscowościach. Deportowani dowiadywali się o kierunku wywózki po kilku dniach podróży lub dopiero na miejscu, po wyjściu z pociągu¹⁰.

Dalsza relacja Feliksa Rudkowskiego:

Około godziny 6 rano zobaczyliśmy samochód ciężarowy. Razem z dobytkiem wsiedliśmy na przyczepę i powieźli nas w stronę stacji kolejowej. Na miejscu zobaczyliśmy tłum ludzi, wśród których była nasza bliższa i dalsza rodzina. Przy pociągu towarowym sprawdzali obecność, po czym zwrócono nam z powrotem dokumenty tożsamości. W wagonie towarowym zajęliśmy miejsce, obok postawiliśmy skrzynkę z prosiankiem i drobiem, a pozostały inwentarz załadowali do ostatnich wagonów. Palić lampy naftowe nie pozwalano, tylko świece. Na końcu wagonu towarowego był zrobiony otwór w podłodze, który pełnił funkcję ubikacji. Kobiety zrobiły kotarę ze szmat, przysłaniając to miejsce. Jechało nas w jednym wagonie ok. 20 osób, rozmieszczeni byliśmy na narach (pryczach). W ścianach było kilka zakratowanych okienek, przez które po kolei oglądaliśmy życie na zewnątrz. W ciągu pierwszych kilku godzin czytaliśmy nazwy miejscowości przez szczeliny w ścianach, mniej więcej wiedzieliśmy, w którym kierunku zmierzamy, ale im dalej oddalaliśmy się od domu, tym bardziej świadomość geograficzna zacierała się, ponieważ ukazywały się nazwy w języku rosyjskim, które były nam obce. W kolejnym wagonie, za nami jechała znana w rejonie Dzierżyńskim zamożna rodzina ziemiańska, u których nasz ojciec pracował jako woźnica. Kobiety z tej rodziny jechały w futrach, pod którymi chowały biżuterię. Niestety, nie wszyscy z tej rodziny dotarli do miejsca docelowego, część z nich zaginęła po drodze w nieznanach okolicznościach. Jechaliśmy długo, wydaje się, że nie mniej niż 3 tygodnie. Jedliśmy bardzo mało i cały czas brakowało nam wody. Gdy pociąg towarowy zatrzymywał się, wówczas wszyscy zrywali trawę dla

¹⁰ Relacja Bronisławy Rudkowskiej (z domu Sawickiej).

zwierząt i zafatwiali swoje potrzeby, gdyż nie wiadomo było, kiedy następnym razem zatrzyma się pociąg. Z wody, którą otrzymywaliśmy, robiliśmy nawary z zebranych na postojach ziół. Przydzielano nam wiadro wody na jeden dzień, z której wszyscy musieli skorzystać, a przecież w wagonie jechało kilka licznych rodzin. Powiedziano nam, żebyśmy na przystankach zrywali pokrzywę i gotowali z niej zupę, ponieważ przydziału żywnościowego nie otrzymywaliśmy. Szczególnie ciężko znosili podróż dzieci i starcy. Kilka osób zmarło w pociągu i nikt nie mógł zapewnić im godnego pochówku. Ciała zostawiano na poboczu i pociąg ruszał dalej. Gdy dotarliśmy na miejsce (w Obwodzie Ałmackim), sołtysi z różnych wiosek zabierali całe rodziny na teren swoich punktów, jako tanią siłę roboczą. Przywieziono nas do punktu Nowy Put.

Na miejscu nie było ani domów, ani obiecanego jedzenia, byliśmy niesamowicie wycieńczeni. Znowu zabrano nam dokumenty, żebyśmy nie mogli uciec. Bez specjalnej przepustki zabraniano oddalać się od wioski na odległość więcej jednego kilometra. Otrzymaliśmy status specjalnych przesiedleńców i w ciągu pierwszego roku musieliśmy codziennie się meldować w miejscowym oddziale komendatury. Nie mieliśmy prawa głosu, zabroniono pobierać naukę, a pracować musieliśmy wyłącznie w kolchozie, wykonując różne prace. Powiedziano nam, że musimy do października zbudować sobie gliniane domy, ponieważ zima w tych rejonach nadchodzi wcześniej. Sołtysi uprzedzali nas, żebyśmy budowali gliniane chałupy solidnie, bo inaczej przy pierwszej ulewie wszystko się rozpadnie. Na początku robiliśmy ziemianki pokryte sitowiem, pomagali nam miejscowi. Tereny te zamieszkiwali Kazachowie, był to naród koczowniczy. Gdy oni przyjeżdżali, stawiali jurty, byli lubiani, gdyż pomagali Polakom. Zimy były bardzo mroźne, temperatura dochodziła do -40°C , nawet zamarzały rzeki i były duże opady śniegu z silnym wiatrem i zawieją. Dzięki uprzejmej pomocy miejscowych Kazachów udało nam się zbudować chaty z cegieł glinianych (samany), wymieszanych ze słomą i odchodami zwierząt hodowlanych (kiziakiem) w kolchozie. Suchy kiziak był rów-

nież podstawowym surowcem opałowym. Miejscowi przyjmowali nas w swoich domach, dzielili się żywnością i ubraniem, przy czym dosyć często przydzielali więcej jedzenia przyjętym do siebie polskim dzieciom, aniżeli swoim. Kazachowie mieli opanowaną sztukę polowania na stepach, gdzie zdobywano zające i borsuki. Dzielili się z nami upolowaną zdobyczą. Z futer robiliśmy buty, rękawiczki i czapki. Leczyliśmy się kumysem¹¹, który naprawdę był skutecznym środkiem leczniczym. Rdzenna ludność nie znała technik ciesielskich, więc uczyliśmy ich wyrabiać różne przedmioty z drewna (deficytowego materiału na stepach), za co otrzymywaliśmy jedzenie. Życzliwie podchodzili do naszych praktyk religijnych, interesowali się językiem polskim, nie zabraniali nam modlić się wieczorami, a nawet stawiać krzyż na stole pod wspólnym dachem. Byliśmy przerażeni tym, że już nigdy nie powrócimy do naszych domów, a codzienna praca ponad siłę i wysoka śmiertelność z powodu tyfusu brzuszego, infekcji przewodu pokarmowego i zapalenia płuc siały panikę wśród nas.

Tak było w pierwszym okresie przybycia do Kazachstanu przesiedleńców z Ukrainy w 1936 r., a na powstałych cmentarzach, z których część dotrwała do dziś, spotyka się najwięcej grobów z tego pierwszego okresu osiedlenia. Brak opieki lekarskiej był jedną z głównych przyczyn dużej zachorowalności, co powodowało znaczną śmiertelność. Chorzy bezskutecznie szukali pomocy, a w osiedlowych tzw. posiołkach w ogóle nie było lekarzy. Chcąc dotrzeć do lekarza trzeba było pokonać spore odległości, ale nawet tego nie mogli zrobić z powodu komendanckiego czasu. Warunki zamieszkania, początkowo w namiotach, a później w samanach, brak wody pitnej, plaga insektów i niedożywienie były przyczyną wielu chorób zakaźnych¹². Potwierdzenia

¹¹ Kumys jest tradycyjnym napojem koczowniczych ludów centralnej Azji (kazachskich, mongolskich, kirgiskich, tatarskich, baszkirskich). Podstawą napoju jest mleko kłaczy.

¹² A. Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie*, s. 95.

tego znajdują się w raportach do władz, a w jednym z nich, z września 1936 r., czytamy:

Sanitarne warunki życia przesiedleńców w chwili obecnej tworzą przesłanki dla rozwoju zachorowań epidemicznych, w pierwszym rzędzie na tyfus brzuszny i infekcje przewodu pokarmowego. Mieszkańcy częściowo są zawszeni, nie prowadzi się planowej sanitarnej dezynfekcji, a rozmieszczenie zrealizowano tak, że nastąpiło przeludnienie niektórych obszarów. Zamieszkiwane terytorium jest silnie zanieczyszczone i brudne. Sieć medyczno-sanitarna nie zapewnia opieki medycznej nad ludnością, a także przeprowadzanie działań epidemiologicznych. Istniejące punkty izolacji epidemiologicznych rozlokowano w niedostosowanych do tego celu pomieszczeniach. Niedostateczna jest ilość materiałów opatrunkowych i instrumentów medycznych¹³.

Po przyjeździe na stepy Polacy najpierw zakładali katolickie cmentarze, a dopiero później budowali domy. Głód był powszechną sprawą, jeżeli nawet ktoś miał krowę, musiał oddawać mleko, śmietanę, masło do kołchozu. Żywili się tym, co udało się zdobyć, a więc pierogami robionymi z żołądździ i podpłomykami z mąki żołądziowej. Jeżeli udało się zdobyć mleko, to tylko chude, przeznaczone wyłącznie dzieciom. Udało się przeżyć kolejne lata dzięki Kazachom. Z czasem przydzielano kawałek ziemi, na której sadzono ziemniaki i warzywa. Kobiety pracowały w kołchozach i sowchozach, przy sadzeniu i pielieniu buraków cukrowych, lecz za pracę nie otrzymywano pieniędzy, wynagrodzeniem był cukier lub pszenica przydzielane jesienią. Gdy przychodziła policja, wiele osób nie przyznawało się do narodowości polskiej, przyjmowali imiona rosyjskie, gdyż często z błahego powodu właśnie Polaków wtrącano do więzienia lub zsyłano na step i tam musieli radzić sobie bez budyn-

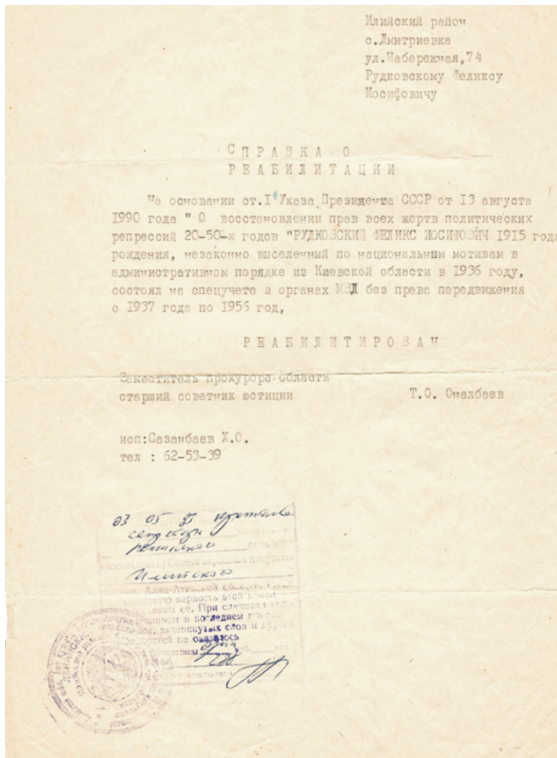
¹³ Tamże.

ków. Kobiety nocami wypiekały chleb, gdyż w dzień pracowały ciężko w polu. Czasami udawało się urwać kukurydzę i ugotować zupę dzieciom, a gdy kogoś przyłapano na takiej czynności, to wsadzano do więzienia. Pewnego razu, późną jesienią matka poszła na skoszone pole pozbierać osypane ziarna kukurydzy. Z zmarzniętej ziemi udało się zbierać około 300 g kukurydzy, ale do domu nie doszła, gdyż została schwytana przez objeżdżającego na koniu dozorcę. W komendanturze spędziła całą noc, lecz na szczęście nie została zamknięta w więzieniu, za karę ograniczyli jej wydawaną ilość dziennego pożywienia. Za kradzież butelki mleka lub innego pożywienia również groziło więzienie. Pewnego dnia wywieziono wszystkich mężczyzn z sąsiedniej rodziny Andruszewskich do Gułagu za kradzież owsa. Żyliśmy w ciągłym strachu. Gdy zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana, wszystkich mężczyzn zabrano do Trudarmii¹⁴.

Od tego czasu kobiety wykonywały dodatkowo męską pracę, przy czym ciągle odczuwaliśmy głód, który nie mieliśmy za bardzo czym zaspokoić. Mężczyzn z naszej rodziny zabrano do kopalni węgla w obrębie miasta Karaganda. Polaków nie powoływano do wojska, musieli pracować przy zaopatrywaniu frontu. W warunkach trudnych, na stepie stworzono więzienia i tam osadzano wszystkich zesłanych.

Po wojnie, w 1956 roku odwołano zakaz poruszania się, można było osiedlać się w innych miejscach, handlować i kupować w większych ilościach. Chodziło się do miasta Ałma-Aty, które znajdowało się w odległości ok. 30 km. W języku polskim rozmawiano u babci, ponieważ nie pozwalała nam mówić w języku rosyjskim. Babcia uczyła nas modlitw w języku polskim. W obejściu i wobec innych rozmawialiśmy po rosyjsku, bo to był język urzędowy, szykanowano osoby mówiące w języku polskim. Zawierano śluby cywilne, ponieważ nie było kościołów i księży. Chociaż przyjeżdżali

¹⁴ Tymczasowe zespoły pracy.



II. 1. Zaświadczenie o rehabilitacji Feliksa Rudkowskiego z 1990 r.,
dokument ze zbiorów prywatnych

do nas księża, którzy również zostali zesłani i udzielali ślubu w porze nocnej, za każdym razem w innym domu, żeby nie było podejrzeń wśród sąsiadów. Obchodzono Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc, Trzech Króli, Zielone Świątki, ale również czyniono to nocą. Nawet gdy nastąpiła tzw. odwilż, nie mieliśmy swobody, trzeba było uważać na nieżyczliwych sąsiadów, którzy chętnie donosili na nas miejscowej władzy¹⁵.

¹⁵ Relacja Bronisławy Rudkowskiej (z domu Sawickiej).

Na deportacji wszyscy stanowili jedną wspólnotę, nie zważając na fakt, że wśród zesłanych byli przedstawiciele polskiej szlachty, ziemiaństwa i chłopów. Wspólnotowość pomogła przetrwać i zachować wyniesione z rodzimej ziemi wartości. Pomimo trudności, usiłowaliśmy stworzyć Dom Polski na obczyźnie, co nie było takie łatwe pod względem prawnym. Spotykaliśmy się ukradkiem w różnych domach, gdzie modliliśmy się i rozmawialiśmy o Polsce. Zakazywano nosić krzyżyki, więc chowaliśmy je do specjalnie uszytych wewnętrznych kieszeni. Z nastąpieniem odwilży Polacy mogli zajmować urzędnicze stanowiska, ale tylko ci, którzy poddali się komunizacji i zrezygnowali z polskich wartości. Uwarunkowania społeczno-polityczne zmieniały zachowania osób na stanowiskach urzędniczych.

Pewien Polak z naszej miejscowości, niejaki Witkowski, również deportowany w 1936, powołany w latach 60-tych na dyrektora średniej szkoły, zakazywał polskim dzieciom nosić krzyżyki, a za nieposłuszeństwo zrywał je bezpośrednio z szyi na oczach wszystkich i zawiązywał czerwone chusty. Ten sam dyrektor wzywał do swego gabinetu tych samych uczniów i wypytywał o miejsca spotkań i modlitw, w których gromadzili się Polacy. Dyrektor częstował wezwanych do siebie uczniów cukierkami, żeby w zamian opowiedzieli o „tajnych polskich domach”. Jeżeli ta metoda nie pomagała, zaczynał zastraszać. Większość dzieci nie odpowiadała na postawione pytania, nie zważając na czekające ich konsekwencje. Apel szkolny zawsze zaczynał się od sprawdzenia, czy przypadkiem któryś z uczniów nie ma uwiązanego lub schowanego krzyżyka¹⁶.

Na wigilię chodziliśmy do babci – całą rodziną, śpiewaliśmy kolędy, starając się zachować polską tradycję, szykowaliśmy 12 postnych potraw i przestrzegaliśmy post. Babcia i jej koleżanki (wędrujące katechetki) zbierały się i modliły razem

¹⁶ Relacja Pawła Rudkowskiego.

w odpowiednio wyznaczonym domu, w ukryciu. Opłatek przysyłano z Ukrainy, a gdy go nie było, dzieliliśmy się chlebem. Pewnego razu przyjechał do nas ksiądz, zwolniony z łagru, i wówczas nocą udzielił wielu osobom ślub, jak również ochrzcił wielu dzieci. Nie mógł udzielić chrztu wszystkich za jednym razem, dlatego przechodził ukradkiem od jednego domu do drugiego, starając się nie budzić podejrzeń wśród innych mieszkańców wsi. Niestety, ktoś podejrzwał posługi księdza i opowiedział miejscowemu sołtysowi, co spowodowało zesłanie go do Tobolska. Wcześniej, z uwagi na to, że nie było księdza, dzieci chrzczono z wody, czyniła to najstarsza osoba w rodzinie. Wszystkich Świętych obchodzono w tydzień po Wielkanocy i chodzono na cmentarz przez tydzień modlić się za zmarłych¹⁷.

Dzisiaj wspominam życie Polaków w swoim powiecie z wielką radością, bowiem jaskrawe barwy codziennego życia stanowiła wspólnota Domu Polskiego. Po rozpadzie Związku Radzieckiego mogliśmy otwarcie organizować spotkania religijne. Spotykaliśmy się raz w miesiącu w domu Pani Antoniny. Co miesiąc przyjeżdżał ksiądz, na którego czekaliśmy z wielką niecierpliwością, ponieważ Mszę Świętą odbieraliśmy jako wielką uroczystość patriotyczną. To było jedyne miejsce, gdzie przed mszą i po niej trwały ożywione dyskusje w języku polskim, o codziennym życiu, o nowych wieściach z Polski, o życiu w Polsce, a najczęściej o wspomnieniach deportowanych osób z czasów przedwojennych na Żytomierszczyźnie. Miejsce było przesiąknięte patriotyzmem, duchowością i ciepłem wszystkich gości. Przed mszą najstarsi zaczęli śpiewać Mazurka Dąbrowskiego, po czym podchwytywali tekst melodii młodszy. Zawsze witaliśmy się słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, ze zwrotną odpowiedzią: „Na wieki wieków, amen”, nawet gdy mijaliśmy się przypadkiem na ulicy. W trakcie

¹⁷ Relacja Bronisławy Rudkowskiej (z domu Sawickiej).

mszy ksiądz przekazywał nam najnowsze wiadomości z Polski, którym przysłuchiwaliśmy się z zachwytem. Księdza spostrzegaliśmy nie tylko jako osobę duchowną i autorytet, ale również jako filozofa i pośrednika między Polską a dalekim Kazachstanem. Każde dziecko marzyło o zostaniu ministrantem, odnosiliśmy się do tego z wielkim szacunkiem. Po zakończeniu mszy trwały dyskusje, a żegnali się starsze osoby słowami „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

Polonia w naszym obwodzie stanowiła swego rodzaju Dom Polski, byliśmy związani emocjonalnie i duchowo z Polską. W domu dziadków zawsze obchodziliśmy polskie święta w sposób patriotyczny, przy śpiewaniu narodowych pieśni. Dziadek własnoręcznie wykonywał szopkę Bożonarodzeniową, Wielkanocną. Modliliśmy się do wspomnianego drewnianego krzyża mojego pradziadka. Wyjeżdżając z Ukrainy, dziadek trzymał w ręku wspomniany krzyż, modlili się przed nim wszyscy w wagonie podczas długiej podróży, na stepowych przestrzeniach, a następnie podczas repatriacji do Polski. Krzyż jest „świadkiem” martyrologii wielu Polaków, symbolem niezłomności i silnej wiary w Odkupiciela. Do domu Polskiego Pani Antoniny chodziliśmy całą rodziną. Z rana zbieraliśmy się u babci, skąd wszyscy razem wyruszaliśmy na wspólne święto – spotkanie z księdzem i Polonią. Po latach zmieniło się kilku księży. Msze Święte w Dmitriewce odprawiali: biskup Henryk Teofil Chowaniec, o. Kalikst Salak (5 lat), o. Klaudiusz Michalski (3 lata), o. Józef Trela (9 lat) i inni kapłani. Każdy z nich wniósł swój wkład do rozwoju duchowego i każdy pozostawił w sercach ludzi część swej miłości i dobroci. Kościół w domu, w miejscowości Dmitriewka nazwano imieniem Świętego Franciszka.

W 1997 r. parafie w Kazachstanie przyjęły figurę Przenajświętszej Matki Bożej Fatimskiej, to wydarzenie bardzo ożywiło naszą polską społeczność. Pierwszym domem, który przyjął figurę Matki Bożej, był właśnie dom Pani Antoniny.

Figura znalazła się jeszcze w kilku innych domach w tej samej miejscowości. W listopadzie 2000 r. parafianie pojechali na święcenia biskupie ojca Henryka Teofila Chowańca w Katedrze Trójcy Świętej w Ałma-Acie, a we wrześniu 2001 r. grupa parafian otrzymała zaproszenie na spotkanie z Papieżem Janem Pawłem II w Astanie (obecnie Nur-Sułtan). To wydarzenie spowodowało zacieśnienie mocniejszych więzi pomiędzy Kazachstanem a Polską.

Z przyzwyczajenia, na co dzień miejscowi Polacy rozmawiali w języku rosyjskim, ale przy spotkaniu osób starszych starano się używać mowę polską. Był to język przedwojenny, więc niektóre wyrazy brzmiały dosyć archaicznie czy nieco przesiąknięte dialektem ukraińskim. Czekaliśmy na coraz to nowe spotkania z niecierpliwością w Domu Polonii (dom modlitw), we wspomnianej wcześniej miejscowości. Religia była ważnym czynnikiem na przestrzeni całego pobytu w Kazachstanie. Trwanie w wierze dawało chwilowe ukojenie i oddalenie od trudnej codzienności materialnej. To ona stanowiła istotny węzeł struktury psychiczno-kulturowej wiążący wygnańców, pozwalający opierać się narzuconym siłą normom programowej ateizacji, bezbożnictwa i wynarodowienia. Modlitwa i wiara były warunkiem przetrwania języka ojczystego wśród dzieci i młodzieży. To właśnie ich najbardziej dotykała ateizacja realizowana przez programy szkolne. Nie poddawali się jej tak łatwo. Dom rodzinny był ostoją wiary i polskości. Polacy samoorganizowali się, by trwać w wierze i modlitwie, bowiem w pierwszym okresie nie mieli nawet kontaktu z księżmi, których nie było wówczas w Kazachstanie.

Dzięki wielkim staraniom mojego wujka – Pawła Rudkowskiego, na początku lat dziewięćdziesiątych XX w., w pobliskiej miejscowości Otiegien-Batyr, wydzielono kilka pomieszczeń w średniej szkole do nauczania języka polskiego. Wystarano się w Ambasadzie RP o wydelegowanie z Polski do tej miejscowości nauczyciela języka polskiego.



Il. 2. Dom modlitw, składający się z 3 pokoi. W pierwszym pomieszczeniu mieściły się najstarsze osoby (wędrujące katechетки), a w kolejnych średnie pokolenie, młodzież i dzieci, fot. ze zbiorów prywatnych



Il. 3. Msza Polskiej Społeczności w tzw. Domu Polskim. Mszę odprawia o. Kalikst Salak, fot. ze zbiorów o. Kaliksta Salaka



Il 4. Krzyż, z którym wyjeżdżano na deportację w 1936 r. Krzyż przywieziono do Polski po powrocie rodziny Rudkowskich do ojczyzny, fot. ze zbiorów prywatnych

Pani Janina Dłużewska w latach 1990–2006 była nauczycielką języka i kultury polskiej w miejscowościach z regionu ałmatyńskiego, w miastach Ałma-Ata, Tałdykurgan, Kapczagaj, Tałgar. Po długich procedurach miejscowej biurokracji udało się oficjalnie otworzyć pierwszą w obwodzie ałmackim szkołę języka polskiego. W roku 1992 miejscowa Polonia dokonała uroczystego otwarcia szkoły do nauczania języka polskiego i krzewienia polskiej tradycji. Na tę okazję została zaproszona oficjalna delegacja z Polski, ambasador RP w Ałma-Acie, duchowni i liczni przedstawiciele polskiej mniejszości narodowej. Polskie nauczanie było bardzo ważnym czynnikiem w naszym codziennym życiu, bowiem przez język, historię i religię czuliśmy niesamowitą więź z dawną ojczyzną naszych przodków. Udział w zajęciach pozwalał młodzieży wyjeżdżać na coroczne kolonie do Polski, a także na kontynuację nauki w polskich uniwersytetach.

*

Podsumowując relacje członków mojej rodziny oraz moje subiektywne doświadczenie w Kazachstanie należy podkreślić, że kult przodków, trwanie w wierze i determinacja stanowią niezłomną siłę Narodu Polskiego, nawet w tak odległych zakątkach świata. Przekonaliśmy się, że narastające co chwila trudności na zesłaniu nie zniewalają cierpiących dusz, lecz odwrotnie, hartują je i jednoczą. Dom Polski na obczyźnie – to kawałek Ojczyzny, bliski, bowiem skupia pod skromnym dachem rodaków dzielących wspólny los, a jednocześnie tak daleki, oddalony o tysiące kilometrów od Azji Środkowej. Niektórzy z czasem zżyli się z otaczającą ich rzeczywistością, ale wiele pragnęło i do tej pory marzy o powrocie do Polski, podtrzymując się wzajemnie na duchu słowami z wiersza „Powrót”:

Wracam do Ciebie, Ojczyzno, stepem srebrnego burzanu,
Idę przez pustkę złych nocy, dni obłąkanych tęsknotą...
Chcę ucałować Twą ziemię, bólem i męką zoraną,
Chcę ucałować Twą ziemię zlaną krwią, łzami i potem.
W smutnej tułaczey wędrowce długie miesiące i lata
Ty mi świeciłaś w ciemnościach gwiazdą złocistej latarni,
Wolno mijały godziny, smutek z nadzieją się bratał,
Ty gdzieś czekałaś daleko, Ty gdzieś walczyłaś ofiarnie.
Wracam do Ciebie, Ojczyzno... To co mi było tak drogie,
To co się stało dalekie – może już wkrótce się zbliży...
Spotkasz mnie słońcem wolności, szeptem skarżących się mogił,
Szumem zwycięskich sztandarów, jękiem chylących się krzyży,
Przyjdę do Ciebie, Ojczyzno, stanę na progu Twych granic,
Klęknę, jak pielgrzym strudzony, w jasnym obliczu świętości
I żem nareszcie wróciła z dróg dalekiego wygnania
Tylko to jedno Ci powiem, powiem, jak można najprościej...¹⁸

¹⁸ A. Rudawcowa, [w:] A. Kuczyński, *Polacy w Kazachstanie*, s. 417.

Marzena Sylwia Kruk*

**Dom pogranicza.
Rodzina drobnoszlachecka
na pograniczu polsko-ukraińskim
w dramatycznych odmianach historii**

Polacy, o których w niniejszym tekście będzie mowa, wywodzą się z rodzin o wielowiekowych tradycjach, często od pokoleń naznaczonych „piętnem” pochodzenia. Choć losy rodziny były zdeterminowane dziejami Polski, a szczególnie czasami zaborów i wojen, to wspólne pochodzenie, tradycja, kultura, szacunek były nicią łączącą przez wieki. W życiu domu mojej rodziny od pokoleń była jakaś nić nie tylko genetyczna, lecz żywa historia przekazywana, aby kolejne i kolejne pokolenia pamiętały, jaką cenę trzeba było zapłacić za wolność życia w domu rodzinnym – domu polskim. Co było tym elementem łączącym, spajającym rodzinę od pokoleń? Niniejszy tekst zwraca uwagę na postawy rodzin drobnoszlacheckich lub posiadających własny majątek, których członkowie wobec dramatycznych zmian historii potrafili walczyć o swoją ziemię, dom, o tradycję i kulturę polską.

* Dr Marzena Sylwia Kruk, Instytut Socjologii, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Ziemia Chełmska

Chełm, miasto pogranicza wschodniej i zachodniej Słowiańszczyzny, to w przeszłości miejsce wielu narodów, wyznań i kultur. Od średniowiecza na ziemi chełmskiej mieszkali katolicy, prawosławni, protestanci, grekokatolicy oraz żydzi, którzy w czasie II wojny światowej stanowili 50% ludności miasta. Już 8 września 1939 r. nastąpił pierwszy nalot samolotów niemieckich, a 25 września wkroczyła Armia Czerwona. W dniu 22 lipca 1944 r. ogłoszono Manifest Lipcowy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i rozpoczęły się nowe represje władzy stalinowskiej. Obecnie Chełm, który zajmuje powierzchnię 32 km² i liczy około 70 tys. mieszkańców, jest stolicą powiatu, należy do największych miast Lubelszczyzny.

Na przełomie XIX i XX w. drobna szlachta byli to posiadacze ziemscy, którzy mieli gospodarstwa złożone z kilkunastu części, nawet do 20 mórg, porozrzucane w różnych częściach wsi. Rodzina mojego Dziadka od pokoleń zamieszkiwała obrzeża miasta Chełm – Pokrówkę; posiadała liczne obszary rolnicze i lasy w okolicach Pokrówki i lasów Borka.

Dom Prapradziadka Antoniego (ur. 1822 r.) stał w miejscu, w którym były zabudowania dworskie. W ich skład wchodziło kilka budynków, w tym dwór oraz obiekty gospodarcze. Za domem w ogromnym sadzie rosły wszelkiego rodzaju drzewa owocowe. Obszerny i wygodny, mający ok. 150 m² dom składał się z trzech dużych pokoi, kuchni, spiżarni i dużej piwnicy. Okna miał typu weneckiego i drzwi obustronne. Drewniane były podłogi i wszystkie meble były z drewna. Jego centrum stanowiła ogromna kuchnia z piecem, w którym przygotowywano wszystkie posiłki dla rodziny. Kuchnia, stół i piec to główne miejsce spotykania się w nim rodziny.

Obok domu była pasieka. Pszczoły i miód to było hobby Pradziadka, a potem Dziadka. Przed nakrytym strzechą



Il. 1. Prapradziadek Antoni i Praprababcia Agnieszka z wnukiem Władysławem (mój Dziadek), źródło: zbiory rodzinne

domem zbudowanym jeszcze przez Pradziadka stał stolik, przy nim ławka. Pradziadek siadywał tam zwłaszcza latem, aby porozmawiać z innymi gospodarzami. Dziadek zbudował już nowy dom z drewna ze swojego lasu, a że był stolarzem, wszystkie prace wykonywał z pomocą ludzi, którzy u niego pracowali „za kawałek ziemi do uprawy”.

Mężczyźni odpowiadali za pracę na roli, organizowali pracę całej rodziny. Dużą rolę spełniały też kobiety – zajmowały się domem, dziećmi, pomagały w pracach rolnych. Dzieci od najmłodszych lat miały swój udział w pracach gospodarskich. Najważniejszą postacią w domu był ojciec – głowa rodziny. W wolnym czasie w niedzielę zbierano się i spędzano czas głównie na rozmowach, czytaniu. Zabawy dla dzieci to była nauka wierszy, uczono dobrych zachowań przy stole i szacunku do starszych. Ten obszerny dom



Il. 2. Mapa Chełma i okolic – położenie domu rodzinnego,
źródło: Biblioteka w Chełmie

służył na spotkania partyzanckie, dał schronienie rodzinie żydowskiej (głównie w lochach, pamiętających powstanie styczniowe).

Dom Prapradziadka odziedziczył najmłodszy jego syn Kazimierz (Pradziadek), a potem jego syn, Władysław Czepiel (1904–1974), mój dziadek. Rodzina była bardzo gościnna i zawsze przyjmowała tych, którzy potrzebowali pomocy. Podczas Świąt Wielkanocnych i Bożego Narodzenia przyjmowano gości z rodziny bliskiej i dalszej. Dziadek stwarzał możliwość czytania książek, wykonywania ozdób i innych dzieł. Nie było w domu gry w karty, nie było chodzenia po karczmach. Dziadek był człowiekiem wierzącym. Co niedzielę zaprzęgał wozy i cała rodzina jechała na nabożeństwo do bazyliki na Górcie chełmskiej lub tzw. ma-

łego kościółka, to jest kościoła zakonników kapucynów. Takie wyprawy trwały od rana do południa, a po obiedzie był czas na odpoczynek – taki połączony z pracą przy pasiece.

Dom w czasach Powstania Styczniowego i zaboru rosyjskiego

W czasie Powstania Styczniowego zasadnicze centrum z Chełmem i otaczającego go terytorium wchodziło w skład okręgu chełmskiego, należącego od 1842 r. do obwodu krasnostawskiego guberni lubelskiej. Okrąg, który wcześniej był także powiatem i stał się nim później po 1867 r., obejmował terytorium między górnym i środkowym Wieprzem i środkowym Bugiem. W skład okręgu chełmskiego wchodziły następujące gminy: Puchaczów, Cyców, Olchowiec, Sawin, Siedliszcze Staw, Świerże, Żulin, Rejowiec, Chełm, Turka, Horodysko, Żmudź, Wojsławice. Chełm był niewielkim miastem, w 1863 r. liczył 4034 mieszkańców, z których chrześcijanie, głównie katolicy i niewielu unitów oraz prawosławnych, stanowili 28% ogółu, przeważającą większość (72%) tworzyła społeczność żydowska¹.

Część ziem na Depułtyczach (obok Pokrówki) należała do Prapradziadka Antoniego. Jeden z jego braci brał udział w bitwie z moskalami w Depułtyczach. „Powstańcy wyruszyli w stronę Depułtycz i tuż za miejscowością Pokrówka o godzinie 10.30 natknęli się na żołnierzy rosyjskich. W trakcie kilkugodzinnej bitwy wyparli Rosjan do Depułtycz, a następnie zmusili do odwrotu w kierunku Wierzchowin. W bitwie poległo 23 żołnierzy rosyjskich i 11 powstańców. Bi-

¹ W. Śladkowski, *Chełm i ziemia chełmska w Powstaniu styczniowym*, [w:] *Powstanie styczniowe na ziemi chełmskiej. Tradycja i dziedzictwo*, Z. Lubaszewski (red.), Wydawnictwo TAWA, 2013, s. 10.

stwa pod Deputytaczami należała do największych na Ziemi Chełmskiej, zakończona polskim sukcesem. Po upadku powstania wielu powstańców zostało uwięzionych w Stalagu w Chełmie² i zesłanych na Syberię³.

Prapradziadek w czasach, gdy nie było jeszcze światła, w zimowe wieczory opowiadał różne historie, zwłaszcza te z powstania. Opowieści powstańcze mocno utkwily w pamięci jego syna. Jedna z nich mówiła o roli lochów w przygotowaniach do zbrojnego wystąpienia. Lochy były niedaleko dworu. W nich miały znajdować się kuźnie: zbliżało się powstanie, a nie było broni, więc tam zorganizowano kucie kos na sztorc i innego rodzaju broni. Nie było to łatwe, bo krążyli szpicle mający baczenie na każde spotkanie i co się działo wokół dworu. On (Prapradziadek Antoni) mimo grożącego niebezpieczeństwa w tajemnicy pomagał w przygotowaniu broni, wykorzystując do tego lochy ciągnące się daleko od dworu. Położone głęboko w ziemi, niwelowały odgłosy stuku młotów. Praca ta była ciężka; pomagali inni zaufani mieszkańcy wioski, którzy nocą przyjeżdżali do owych lochów, a nad ranem wracali do swoich dworów, w tym „parobki” (parobcy). Kucie trwało całe noce. Po upadku powstania – opowiadał Dziadek – miejscowi chłopcy nie mieli czym kosić zboża, ponieważ wszystko oddali na przekucie albo carscy żołdacy skonfiskowali.

Jedną z najpowszechniejszych form represjonowania Polaków przez carat były zsyłki, dość często stosowane jako złagodzenie kary śmierci. Władcy Rosji od połowy XVII w.

² Stalag w Chełmie składał się z obozu głównego – Stalagu 319 A, B na ul. Lwowskiej, 319 C Stalagu na Rampie Brzeskiej, Stalagu 319 D, Stalagu 319 E we Włodawie. Obozy obejmowały około 185 h więcej niż obóz na Majdanku. Przez Stalag przeszło około 200 000 jeńców wojennych z 32 narodowości, a połowa poniosła śmierć w Stalagu (<https://chelm.naszemiasto.pl/chelm-stalag-319-miasto-i-mieszkanicy-pamietaja/ar/c1-3739450>).

³ Tamże.

traktowali Syberię jak wielką kolonię karną, zsyłając tam mieszkańców podległych im ziem za rozmaite przestępstwa – od pospolitych kradzieży po bunt przeciw władzy⁴. Nie zawsze miejscem zesłania była Syberia rozumiana jako kraina geograficzna, dlatego w tradycji historycznej utrwalił się termin „Sybir” jako określenie miejsca zesłań więźniów politycznych⁵. W potocznej świadomości Polaków obydwie nazwy kojarzone są ze zsyłką, z katorżniczą pracą, grozą, śmiercią i niewyobrażalnym cierpieniem przodków. W wieku XIX na Sybir byli zsyłani powstańcy z 1830 i 1863 r.

Wywózki na „niełudzką ziemię” trwały również w wieku XX. „Polacy zsyłani na Syberię bardzo często należeli do elit społecznych patriotów angażujących się w powstanie narodowe, rodzin oficerów nagrodzonych majątkiem ziemskim na Kresach Wschodnich za zasługi w wojnie polsko-bolszewickiej czy też ‘kułaków’ posiadających zbyt bogate gospodarstwa, by bez sprzeciwu przystąpić do kołchozu”⁶.

W polskich powstaniach narodowych brali udział mężczyźni wszystkich warstw społecznych. Żadne z powstań w zaborze rosyjskim nie powiodło się, toteż konsekwencją każdego zrywu narodowego były silne represje wymierzone przede wszystkim w szlachtę i rodziny drobnoszlacheckie. Władze carskie dążyły do zniszczenia kulturalno-społecznej roli tej warstwy społecznej⁷. Wywieziony w grudniu 1862 r. Bronisław Szwarce w swoim *Dzienniku* pisze:

⁴ J. Buszko, *Wielka historia Polski*, t. 8. *Od niewoli do niepodległości*, Kraków 2000, s. 73.

⁵ *Encyklopedia popularna PWN*, Warszawa 1993, s. 826.

⁶ A. Gancarz, *Noblesse oblige – losy polskich arystokratów na Syberii w perspektywie pedagogicznej*, „Ruch Pedagogiczny” 2012, nr 4, s. 2.

⁷ K. Ślusarek, 1796–1914, [w:] *Historia Polski*, t. 2, A. Nowak (red.), PW „Rzeczpospolita”, Kraków 2010, s. 331.

Wszystkie legendy o kazamatach, o podziemiach, o torturach są prawdziwe. W czasie powstania w zimowy śnieżny dzień zjawił się w dworze 20-osobowy konny oddział powstańczy. Byli to rozbitkowie z jednej z bitew, których na ziemi chełmskiej było dużo. Byli bardzo zmarznięci i głodni. Przyjąłem ich i zakwaterowałem w domu, stodole, na strychu itd. Po podjęciu ich posiłkiem, nad ranem opuścili dwór. Niedługo na jechali na dwór Kozacy i robili rewizję wszystkich pomieszczeń. Przeszukiwali cały dom i wszystkie budynki. Kolbami bili i straszili czy udzielali oni pomocy powstańcom. Kozacy słynęli z okrucieństwa wobec Polaków. Nie przyznałem się, kto był. Niestety, Kozacy nie dawali za wygraną i szukali śladów, ledwom co uszedł z życiem, a potem zostałem wywieziony na Sybir⁸.

W wyniku Powstania Styczniowego 4/5 polskiej szlachty utraciło dotychczasowy status, a 5 tys. rodzin szlacheckich z Podola przeniesiono na Kaukaz, aby zdepolonizować teren zaboru⁹, którą to tragiczną prawdę w dzienniku z tamtych dni S. Witwicki ujął w jednym zdaniu: „Został on feldmarszałek Sacken upoważniony do odbierania najznaczniejszym obywatelom szlachectwa, do konfiskowania ich majątków i do zsyłania ich samych na resztę życia do robót kopalnych¹⁰. Nigdy już swoich majątków nie odzyskali.

Rusyfikacja w zaborze rosyjskim po Powstaniu Styczniowym nasiliła się:

- na Syberię zesłano około 40 tysięcy powstańców,
- zlikwidowano odrębność Królestwa Polskiego, które zostało zamienione na prowincję rosyjską podzieloną na 10 guberni,

⁸ B. Szwarce, *Siedem lat w Szlyselburgu*, Towarzystwo im. Stanisława Staszica, Lwów 1893, s. 6.

⁹ K. Ślusarek, *1796–1914*, s. 331.

¹⁰ S. Witwicki, *Edmund*, Warszawa 1829, [w:] S. Witwicki, *Edmund*, M. Sokołowski (wstęp i opracowanie), H. Krukowska, J. Ławski (red.), Białystok 2015, s. 10.



Il. 3. Dziadek Władysław Czepiel w okresie międzywojennym.
Źródło: Album rodzinny

- zrusyfikowano administrację, a urzędy powierzono Rosjanom,
- wprowadzono stan wojenny,
- Kościół katolicki podporządkowano władzy w Rosji i skonfiskowano majątek,
- od 1864 r. wprowadzono obowiązkową rusyfikację szkolnictwa. W szkołach posługiwano się wyłącznie językiem rosyjskim, mowa polska była surowo karana (nawet dzieci), taki dekret wprowadził kurator Aleksander Apuchtin.

Z punktu widzenia antypolskiej polityki najważniejsze dla władz rosyjskich było nauczanie elementarne, jako ważny instrument wychowania mas ludowych w duchu pod-

daństwa carowi i Rosji¹¹. Nauka języka polskiego została przeniesiona do domów rodzinnych. To w domach mówiono w zakazanym języku polskim i czytano polskie książki, zwłaszcza z historii. Dziadek Władysław mając 12 lat uczęszczał do szkoły elementarnej (sześć lat szkoły podstawowej) polskiej. Historię Polski czytał siadając pod piecem, tak by zza okna nie mogli go dostrzec rosyjscy żołdacy, którzy chodząc pod domami zaglądali do okien sprawdzając, czy Polacy nie spiskują przeciwko „prawowiernej” carskiej władzy. W innych miejscowościach organizowano nielegalne polskie szkoły, nauczyciele zbierali się w domach, by dzieciom przekazywać wiedzę z historii i języka polskiego. Polskie szkoły powstające w konspiracji działały m.in. w guberniach wileńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, witebskiej, mińskiej¹².

Dom w czasach wojen i okresu stalinowskiego

Przysięga żołnierzy polskich (Obóz Stalag 319A)

W obliczu wiekiistości minionych pokoleń ojców i praojców, w obliczu nieśmiertelnego ducha ojczyzny mojej – Polski, w obliczu zakutego w kajdany niewoli narodu polskiego – postanawiam i ślubuję w swym sumieniu człowieczym i obywatelskim, że na każdym miejscu i we wszystkich okolicznościach walczyć będę z najeźdźcą o przywrócenie całkowitej godności narodu polskiego i niepodległości państwowej Polski...

Stalag 319 w Chełmie składał się z obozu głównego – Stalag 319A (ul. Okrzowska) i z podobozów: stalag 319B

¹¹ S. Walasek, *Edukacja w społeczeństwie wielokulturowym: na przykładzie zaboru rosyjskiego na przełomie XIX i XX wieku*, „Prace Naukowe. Pedagogika” 2003, nr 12, s. 50.

¹² Tamże, s. 53.

przy ul. Lwowskiej, Stalagu 319C przy Rampie Brzeskiej oraz Stalagu 319D. Na skraju lasu Borek cmentarz wojenny kryje prochy jeńców stalagu 319B, jeńców żołnierzy zarówno z I jak i z II wojny światowej, głównie rosyjskich i polskich. Przez stalag w Chełmie przeszło ok. 200 000 jeńców wojennych z ponad 32 narodowości. A około 90 000 jeńców poniosło śmierć na ziemi chełmskiej, czego najczęstszą przyczyną było planowe głodzenie, brak jakiegokolwiek opieki medycznej, niehumanitarne warunki.

Z dramatycznymi wydarzeniami II wojny światowej związane są miejsca masowych egzekucji. Jednym z nich jest tzw. „Targowica”, położona przy murze cmentarza parafialnego przy ul. Armii Krajowej. W dwóch egzekucjach w 1944 r. Niemcy rozstrzelali tu około 40 osób związanych z polskim podziemiem. Inne miejsce egzekucji znajdowało się w lesie Borek – tam mordowano przede wszystkim jeńców wojennych (m.in. około 2 tys. żołnierzy włoskich oraz Żydów). W roku 1943 w lesie zainstalowano prowizoryczne krematorium do palenia zwłok. Na miejscu straceń w Borku w 1984 r. odsłonięto pomnik poświęcony ofiarom. O tym miejscu była mowa w domu Dziadka i Babci – często opowiadali oni różne historie związane z tym miejscem i ludźmi, którzy doświadczyli okrucieństwa hitlerowców.

Obok lasu Borku, przy drodze łączącej dom dziadków z miastem Chełm, stoi stary krzyż, który wrósł jakby w cały obraz domu i okolicy. Krzyż z grubego drewna okalają konary wysokiego kasztanowca, jakby chroniącego przed zniszczeniem. Z opowieści Dziadka pamiętam, że krzyż został postawiony po powstaniu styczniowym i przetrwał aż do dziś. Obok krzyża szli zesłańcy powstania styczniowego, jeńcy wojenni z obu wojen i ludność żydowska stracona w Borku.

Obok krzyża w latach wojny i po niej codziennie świętem Babcia szła do miasta, by sprzedać mleko, chleb i inne



Il. 4. „Stary Krzyż” przy wejściu do lasu Borek od strony domu Dziadka, postawiony pamięci powstańców styczniowych.
Źródło: Chełmska Biblioteka Publiczna

wyroby, aby wyżywić rodzinę po tym, jak poborcy za czasów stalinowskich skonfiskowali dużą część majątku Dziadka.

Życie w domu w czasie II wojny światowej

Losy wojny przeplatały się z odwagą i poświęceniem rodziny. W związku z potrzebami frontu wschodniego, w który strona niemiecka zaangażowała miliony ludzi, rosło zapotrzebowanie na zboże i mięso. W Chełmskim w 1942 r.

przy pacyfikacyjnych metodach terroru ściągnięto od ludności znaczne ilości zboża, ziemniaków, trzody chlewnej i tytoniu. Niemieckie wojska wybrały dom Dziadków. Rodzina pod groźbą rozstrzelania musiała dostarczać jedzenia i opału. Było to dużym obciążeniem, gdyż jedzenia wystarczyło ledwo dla niej samej.

Dziadek w starych lochach przechował rodzinę żydowską, której pomagał przetrwać. Rodzina ta pochodziła z Chełma. Niemcy z czasem już wiedzieli, że gospodarstwo Dziadka było dobrze prowadzone i zaopatrzone, postanowili zająć sad znajdujący się obok domu i korzystać z kuchni Babci „w zamian za życie”. Na ogół wszyscy starali się żyć „normalnie” i wykonywać swoje obowiązki. Jedną z metod walki z Polakami i partyzantami było podpalanie całych wsi, co było tragiczne dla wielu rodzin. Wiele rodzin utraciwszy swoje domy stawało się bezdomnymi. W takich tragicznych sytuacjach pomagała jedynie rodzina lub sąsiedzi. Więzy sąsiedzkie i rodzinne były bardzo silne.

W czasach powojennych, w okresie stalinowskiego terroru, Dziadek wielokrotnie był nękanym przez władze komunistyczne, bo nie chciał ulec i oddać ziemi. W więzieniu był bity; kolbą uderzony w oko, od rany, która nie mogła się wygoić i stała się źródłem zakażenia organizmu, zmarł w 1965 r.

*

Rodzina i dom w znaczeniu miejsca położenia geograficznego i własna ziemia były najważniejszymi wartościami, dla których poświęcenie od wielu pokoleń budzi podziw i zobowiązanie tych, którzy to dziedzictwo otrzymali. W Polsce wschodniej wiele rodzin, które przeszły tragiczne dzieje, zachowało do dziś pamięć o bohaterach minionych pokoleń. Do tych rodzin należy również moja rodzina. Pamięć o przeszłych pokoleniach jest w niej żywa, aby nigdy nie zapomnieć, jaką cenę zapłacili Przodkowie dalsi i bliżsi za naszą wolność i życie w wolnym Domu. Odwaga życia co-

dziennego w trudnych warunkach wojennych i powojennych jest świadectwem tego, jaką wartość ma życie i czym dla tamtych ludzi była wiara i miłość, które potrafili przekazać przyszłym pokoleniom.

Krystyna Maria Dzuła*

Dom polski na wsi – okruchy dziecięcych wspomnień

Zasanie – rodzinne strony

Zasanie koło Dynowa (powiat rzeszowski) w pierwszej połowie XX w. było bardzo biednym regionem, bo do czasu wybudowania mostu na Sanie i oddania go do użytku w 1961 r. łączyło się z „szerokim światem” tylko przeprawą promową lub chybotliwą łódką, zwaną przez miejscowych krypą. Dotarcie do Dynowa oznaczało dostęp do lekarza, urzędu, szkoły średniej, stacji kolejowej, połączenia autobusowego. W latach pięćdziesiątych, a nawet jeszcze sześćdziesiątych jedynym źródłem utrzymania chłopskich rodzin była uprawa ziemi, w tym górzystym terenie szczególnie utrudniona, a w nadszańskim dolinie niszczone przez wylewy Sanu zdarzające się wówczas nawet trzy – cztery razy w roku. Po wojennych zniszczeniach i dwóch okupacjach (sowieckiej i niemieckiej z granicą na Sanie w latach 1939–1941) wiejskie domostwa były drewniane, kryte słomą – pocziwe chałupy (według powszechnego tu określenia). Część

* Krystyna Maria Dzuła, prezes Towarzystwa Gimnastycznego „Sokol” w Dynowie, reżyser niezawodowego teatru działającego w Dynowie od 1978 r.



Il. 1. Widok na Zasanie z Baraniej Góry, fot. J. Prokop

mieszkalna, bardzo często oddzielona od pomieszczeń dla inwentarza tak zwaną sienią – rodzajem podręcznego magazynu, składała się z izby i kuchni, w której rzadko była podłoga drewniana, a częściej gliniana polepa. Podwórze, stodoła, własna studnia, piwnica na kartofle i czasem kilka drzew owocowych to stałe elementy chłopskiej zagrody. Dachy słomiane wymagały systematycznego odnawiania, dlatego żyto żęto sierpami, bo równe snopy pozwalały na szybkie wykonanie „kiczek” (elementów słomianego pokrycia). Miejscowi rzemieślnicy i cieśle stworzyli własne wzory zdobnictwa drewnianego zachowane jeszcze w kilku budynkach do czasów współczesnych.

Domy wyróżniały się kwiatowymi ogródkami – dumą każdej szanującej się gospodyni. W ogródkach pyszniły się malwy, maki, astry, lilie i wysokie dalie (w gwarze miejscowej zwane giergoniami). O te ostatnie trwała niepisana rywalizacja: kto ma więcej gatunków, a kto bardziej kolorowe?



Il. 2. Dom z okolic Dynowa z charakterystycznymi zdobieniami,
fot. K. Dżuła

Podwórko to było „królestwo” dzieci i ptactwa. Tu odbywały się dziecięce zabawy, gonitwy, gry w klasy lub dwa ognie (gumową piłką), tu także rodzice zostawiali dzieci, gdy wychodzili do pracy w pole. Istniało niepisane wiejskie prawo, że nawet dorośli obcy ludzie mogli dzieciom zwracać uwagę, gdy się źle zachowały. Rodzice bardzo poważnie traktowali każdą skargę i nie przeprowadzali dochodzeń, czy skarżący miał rację, bo uważali, że zawsze tak było. Nie mieli czasu na powtarzanie nakazów, a spojrzenie Taty, surowego i sprawiedliwego, wystarczało w zupełności na dyscyplinowanie dziatwy. Skąd brał się taki posłuch – do dziś się zastanawiam, bo rodzice nie karali nas fizycznie. Dzieci przyjmowały polecenia bez dyskusji, inaczej niż to się



Il. 3. Wyjazd furmanką do miasta, fot. ze zbiorów rodziny

odbywa obecnie. Ambitne, bardzo ceniły sobie tzw. „opinię publiczną”, bo od niej zależało też znaczenie rodziny w całej wiejskiej społeczności.

Praca na roli ogniwem łączącym pokolenia wiejskiej społeczności

Na roli pracowali wszyscy, całe trzypokoleniowe rodziny: dziadkowie, rodzice i starsze dzieci. Kto nie mógł orać, siać, żąć, kosić, ten obrządzał inwentarz, pasł krowy i aby ratować domowy budżet na polnych miedzach zbierał zioła. Przykład wiecznie zapracowanych rodziców w sposób naturalny oddziaływał na dzieci, które włączały się w domowe obowiązki. Chociaż ranne pasienie bydła przez dzieci na oddalonej od wsi wspólnej gromadzkiej łące było zmurą niejednego 10-letniego śpiocha, to już popołudniowe

„wygony” dawały wiele korzyści, a nawet przyjemności – szczególnie latem, gdyż pasienie na łące położonej nad Sanem umożliwiało korzystanie z kąpieli. Ale lato to przede wszystkim czas żniw, dni i tygodnie wytężonej pracy, przeważnie ręcznej, bo w latach pięćdziesiątych o kombajnach w tej okolicy mało kto słyszał, a konne kosiarki należały do rzadkości (w pegeerze na polach pracowały traktory). I znów udział dzieci w tych pracach był konieczny. Kiedy rodzice żęli zboże sierpami lub kosili kosą, małe dzieci zostawały przed domem na podwórzu ze stanowczym nakazem: bawcie się grzecznie i nigdzie nie chodźcie od domu. Żniwa trwały dwa, trzy tygodnie, zależnie od pogody. Kiedyś moja 6-letnia siostra z dziecięcą naiwnością i pretensją zapytała rodziców: „po co wy tak zawsze chodzicie w to pole?” Teraz, po latach, zastanawiam się, jak rodzice mając czwórkę małych dzieci potrafili uprawiać trzy hektary ziemi w trzynastu kawałkach, położonych w dwóch wsiach? Starsze dzieci, te dziesięcio- jedenastoletnie pomagały przy żniwach robiąc powrósła, zbierając kłosa, bo „każdy kłos był na wagę złota”. Pamiętam, gdy tato kosił pszenicę na wysokiej górze, z której widać było San, a my zgarbione, z nosami przy ściernisku, zbierałyśmy kłosa, największym marzeniem moim i młodszej siostry było wykąpanie się w Sanie. W naszym Sanie! On dzielący i łączący, straszny i przyjazny, był po prostu: nasz! Tylko przez chwilę, gdy w południe mama obrządzała inwentarz, mogłyśmy pogonić do Sanu, wykąpać się i szybko wracać, by zdążyć z obiadem dla Taty, który w czas naszej „sje-sty” klepał kosę (ostrzył ją) lub składał snopy zboża w półkopi. Po żniwach następowały omłoty. Przy jednej młockarni zatrudniało się około 14–15 osób, więc sąsiedzi pomagali sobie, odrabiając udział innych u siebie. I znów San „zmywał” całodzienny trud młocki i przynosił ulgę zmęczonym. Zakurzeni i zmęczeni ożywali w czystej narzanej wodzie.



Il. 4. Rodzice z dziećmi po omłotach, fot. ze zbiorów autorki

Zwyczajowo wielkie pranie gospodynie też urządzały w Sanie i wtedy w dół rzeki niosło się klaskanie drewnianych kijanek. Pod koniec lata tu moczyły konopie, by potem wymiędlić je, uprząść i wyrobić na zgrzebne płótno. Dzieci pomagały i znowu miały okazję do zabawy i nauki przez wspólną pracę.

Gdy na łące pasłam krowy, widziałam, jak „wielka woda” niosła ogromne drzewa wyrwane z korzeniami, kopy siana, deski, domowe sprzęty – porwane chyba z jakiegoś zalanego domu. Wtedy w dziecięcej duszy budził się straszny lęk i pretensja do ukochanego Sanu, że może być taki „niedobry”. Pamięć o jednym zdarzeniu z udziałem małej pastuszki nie zacierą się w mej pamięci mimo upływu lat. W pobliżu nadszańskej łąki, na środku rzeki, była wysepka zwana przez

wszystkich kępą. Rosły na niej zielone łoży, szczególnie ulubione przez niektóre krowy odwiedzające kępę podczas niskiego poziomu wody w Sanie. Pasłam dwie krowy i cielę. W pamiętnym dniu, po ulewie, woda niemalże występowała z brzegów, a Łysa (krowa wielka jak koń, której nigdy nie mogłam upilnować) zapragnęła jak zwykle poskubać gałęzi łoży. Wskoczyła w kotłującą się wodę, nurt porwał ją i niósł w dół. Pastuchy zbiegli się nad sam brzeg i stali jak wryci, a ja krzyczałam na cały głos, że moja Łysa się topi. Brunatna woda niosła krowę, a ona chyba instynktownie poddała się prądowi, który kierował ją do zatoki poniżej kępy. I tam uratowała się! Z ogromnym trudem wygrzebała się na brzeg. W tym czasie druga krowa ryczała jak opętana, jakby rozumiała grozę sytuacji.

Gdy Łysa wreszcie wydostała się na brzeg, a ja zrozumiałam, że rodzinę i mnie – jedenastoletnią pastuszkę – ominęło nieszczęście, cała wcześniejsza złość na pasienie krów mi minęła. Wyczyn Łysej zapewnił mi na długo uznanie nawet najstarszych pastuchów.

Którejs wiosny San wylał, gdy zakwitły już kartofle. Całe pola przestały być łądem, a stały się szeroką rzeką, potem jeziorami, tylko gdzieniegdzie przedzielonymi jakimś wystającymi krzakami. Wody opadały po kilku dniach, a wtedy na polach potworzyły się mniejsze jeziora i stawy. Ktoś odkrył, że są w nich ryby, które nie zdążyły uciec z nurtem wody. Dzieciska z całej wsi pędziły na te pola z koszami od kartofli, by łowić ryby. Dużych ryb nie było, a małe dały się przenosić do wysychających stawków, choć szczęśliwe zapewne nie były z tej dziecięcej troski. Po tygodniu żółte wody stawów zamieniły się w bajorka, a te w gorącym słońcu szybko... w twardą pękającą skorupę. I znowu dzieci miały zabawę, bo patykami na niej można było wyrysować wszystko, niestety, rodzice nie cieszyli się z tych „niezwykłości”. Stracili uprawy, a niewywiązanie się z tzw. obowiązkowych dostaw zboża i mięsa wtedy groziło surowymi karami.



Il. 5–6. Nasz kochany i groźny San – latem i podczas powodzi,
fot. A. Iwański

Po powodzi San stawał się grzeczny jak najspokojniejszy osesek. Rozlewał się po kamieniach, ledwie je kryjąc, a na gorącym dniu codziennie oddawał pas mokrych i schnących kamieni i żwiru. Znów było wiadomo, gdzie można się kąpać, gdzie bród i woda o zachodzie sieje się srebrnożłota, to znów złotoniebieska, bo słońce na wietrzny dzień zachodziło. Mrok zapadał, woda granatowiała i pachniała, oddawała światu zabrane ciepło. Późnym wieczorem nad wodą unosiły się mgły, czasem płynęły w dół rzeki, przybierając fantastyczne kształty, dzieci wierzyły, że to są nocne strachy, by one wieczorami nie chodziły nad San. Zakaz obejmował także miejsce, gdzie stały flisy (tratwy drzewa przygotowane do spławiania), bo stały na bardzo głębokiej wodzie. Dzieci mogły bawić się koło promu, tam było dużo małych rybek, ciepła woda i kacze mydło. Ile radości dawało wysmarowanie się miękkim, granatowym kamieniem, a potem wskakiwanie do ciepłutkiej wody przy burcie promu! Woda zmywała ten naturalny kosmetyk i nie tylko. Leczyła rozbite palce, gdy boso szło się po żwirowanej drodze za krowami i o wypadek nie było trudno. Niestety, po zapędzeniu była do stajni na starsze dzieci czekały różne obowiązki.

Akcja „Stonka”

W latach pięćdziesiątych jedną z powszechnie organizowanych akcji było „szukanie stonki”, bo podobno imperialiści amerykańscy zrzucili ją na nasze pola ziemniaczane. Na słupach ogłoszeniowych wisiały plakaty informujące o tym sabotażu, więc każda rodzina ze wsi musiała wziąć udział w tropieniu tej „piekielnej zrzutki”. Ponieważ dorośli mieli mnóstwo innej roboty w polu: a to przy burakach, a to przy sianie, więc... dzieci! Grupami, z butelkami w rękę, bo za przyniesienie stonki czekała nagroda, wyruszały na pola ziemniaczane dziecięce brygady. I znowu

była okazja do niezwyklej zabawy i żartów, najdzikszych wygłupów! Ktoś kogoś potrącił, ktoś zaplątał się w wysokie ziemniaczane badyle i... gotowe leżenie w głębokim rzędzie. Stonki nikt wtedy nie znalazł, więc upragniona nagroda w niebotycznej dla dzieci wysokości 100 złotych nigdy nie została wypłacona. Szkoda, że współcześnie nie organizuje się takich akcji, bo nie tylko dzieci, ale i emeryci przy obecnej inwazji tego szkodnika mogliby podreperować domowe budżety.

O strachach i nie tylko...

Starsze kobiety pilnujące swojego bydła często snuły różne opowiadania, wspominały przeszłość. Tematem najbardziej interesującym dzieci były opowieści o strachach, o pracy na folwarku, który we wsi funkcjonował do czasów II wojny światowej. Hrabiowie Starzeńscy (od 1789 r. właściciele Dąbrówki i całego klucza dąbrówkowego) w okresie międzywojennym wspomagali miejscową szkołę, a stara pani hrabina została zapamiętana przez wszystkich jako opiekunka powstańczej mogiły, która dotąd znajduje się na Baraniej Górze (nazwa góry w Dąbrówce Starzeńskiej). Za okupacji sowieckiej stojący na mogile krzyż został przez żołnierzy sowieckich zniszczony, ale pamięć o nim i mogile przetrwała. Wprawdzie babka opowiadająca o tym pastuszkom nie wiedziała, o jakiego powstańca chodziło w staraniach pani hrabiny Starzeńskiej, ale po latach na podstawie dokumentów historycznych udało się to sprawdzić. I teraz znów nad kurhanem powstańca styczniowego stoi krzyż, a dawna pastuszka każdej wiosny sadi tam kwiaty, inny słuchacz babcinej opowieści dba o biało-czerwoną flagę i pamiątkową tablicę.

„Strachy” to był temat o znaczeniu wychowawczym. We wsi wszędzie coś straszło. Nad Sanem, u ujścia rzeki Kru-

szelnicy pod zamkiem, straszyły duchy młodych państwa Starzeńskich, którzy latem 1934 r. utopili się tam podczas letniej kąpieli. W jednym wiejskim ogródku, przy samej drodze, o północy z ziemi podobno ukazywała się trupia ręka, a na drewnianym moście diabeł ściągał z wozu jadących. Gdy we wsi na początku lat sześćdziesiątych nie było jeszcze prądu elektrycznego, jesienne wieczory, długie i ciemne, sprzyjały pojawianiu się „niezwykłych zjaw”. Pod zamkową basztą słyszano podobno jęki skazańców zamkniętych w podziemnych lochach, a wyobraźnię niejednego małego odkrywcę rozbudziły opowieści o kanałach prowadzących ponoć pod korytem Sanu z zamku w Dąbrówce aż na rynek w Dynowie. Próby wejścia do zrujnowanych piwnic zamkowych ostatecznie udaremniłi rodzice, grodząc wszystkie zapadliska, a w latach siedemdziesiątych XX w. spenetrowała je ekipa archeologów z Lublina.

Na szczęście nasi rodzice lubili czytać!

Późną jesienią i zimą po wszystkich inwentarskich robotach Mama zasiadała do czytania. Oszczędzając naftę, którą kupowało się za jaja sprzedawane w punkcie skupu, mama otwierała drzwi od kuchennego pieca i czytała. Trudno byłoby znaleźć lepsze warunki do rozwoju dziecięcej wyobraźni i fantazji. Mama czytała pięknie! Bo nauczycielka przedwojennej szkoły powszechnej – miejscowa Siłaczką, Bronisława Podgórska – prowadziła w szkole teatrzyk i mama chociaż nie miała swoich butów, występowała na akademiach, recytowała wiersze, śpiewała. Nam w obecności Taty czytała całą *Trylogię*. Połowy rzeczy nie rozumiałam, ale Tato znał historię, był jej pasjonatem (tu znów uznanie należy się wiejskiej Siłaczkę), więc wszystko nam wyjaśniał. Obydwoje rodzice czytali bardzo dużo, nie tylko *Trylogię*, lecz i całego Kraszewskiego, Bunscha, Orzeszkową

i Prusa, Konopnicką i Reymonta – wszystko, co znaleźli w szkolnej bibliotece. Ciągłe po latach wspominamy te wieczory, bo miały cudowną siłę, nauczyły nas kochać książki i wszystko, co nasze, polskie. W szkole podstawowej czytałam zachłannie wszystko, co wpadło mi w ręce, nawet wtedy gdy powinnam była zajmować się młodszym rodzeństwem, a także przy pasieniu krów. I wtedy zdarzyła się straszna rzecz: krowa zjadła mi kawałek książki pt. *Rajska jabłoń*. Smakowała jej nie tylko trawa, zielone liście buraków, które na moje zmartwienie rosły obok łąki i przy każdej drodze na pastwisko, ale też moja kromka chleba zawinięta w chustkę albo papier. Opinia, że mała pastuszka nie umie nawet paść krów, była niczym w porównaniu ze zmartwieniem: jak ja podartą książkę oddam do szkolnej biblioteki? Z różnych powodów o odkupieniu książki nie było mowy, dlatego Mama musiała mnie i siebie tłumaczyć przed dyrektorem szkoły. Rozżalona, wychodząc ze szkoły rzuciła: „tak czytasz, jakbyś miała być nauczycielką”. I tak się, Mamo, stało! Przez prawie 40 lat pracowałam z młodzieżą różnych szkół.

Opowieści jesiennych wieczorów

Często przychodzili do nas sąsiedzi i wtedy nie było już czytania, ale „gadki”, opowiadania o wojnie – temat stale obecny we wspomnieniach dorosłych. Opowieści pouczające, choć niespisane. Chociaż nie mówiły o tym podręczniki historii, wiedziałyśmy, dlaczego na naszym Sanie w 1939 r. ustalono granicę sowiecko-niemiecką, dlaczego wieś wysiedlono na południowe parcele pod las, a do „naszego” Sanu pod groźbą kary śmierci nie wolno było się zbliżyć. Wiedzieliśmy, że władza sowiecka najpierw splądrowała zamek, spaliła hrabiowski księgozbiór, sprofanowała dworską kaplicę i kaplicę-mauzoleum Starzeńskich, a potem parcelowała folwark. Ludność bez entuzjazmu przyjmowała nadania ziemi

i obietnice wspaniałej „rodzinnej komuny”. Dziś powszechnie już znane fakty historyczne poznawaliśmy w latach naszego dzieciństwa z opowiadań rodziców i starszych sąsiadów. Były też tematy drażliwe i dla nas dzieci niezrozumiałe: dlaczego kilku mieszkańców wioski ciągle ‘siedzi’ w więzieniu, dlaczego rodzice nie chcą przy dzieciach o tym mówić?! Podśłuchane „długie rodaków rozmowy” znacznie później wyjaśniły wiele wątpliwości i na długo w dorosłym życiu określiły poglądy polityczne. Zdarzały się i „śpiewane wieczory”, bo nasz Tato miał piękny, donośny głos i chętnie intonował różne piosenki. Pamiętam słowa tej bardzo smutnej:

Samotny stoję nad Sanem i patrzę na drugi brzeg,
Wiatr zawiął nad samym ranem
A w oczy prószy mi śnieg.
Jak smutno stać nad tą rzeką, co rozłączyła kraj nasz,
choć nie jesteś daleko,
do ciebie nie puści mię straż.

Niestety, tak było, gdy na Sanie ustalono granicę między III Rzeszą a Związkiem Radzieckim.

Przygotowania przedświąteczne i inne

Już w listopadzie rozpoczynały się przygotowania do Godów. W latach mizერი finansowej i z powodu braków w zaopatrzeniu wiejskich sklepów, w rodzinach chłopskich wiele artykułów pierwszej potrzeby i ozdób robiło się ręcznie. Dzieci uczyły się od swoich babć i mam robienia ozdób choinkowych albo czym zastąpić brak cukierków. W „zdo-byty” gdzieś na jarmarku w Dynowie celofan lub kolorową bibułę zawijało się ziarna fasoli jaśka, a czasem nawet cukier w kostkach. Było więc o co rywalizować pod drzewkiem (słowo „choinka” pojawiło się później i wyparło z potocznego języka dobrze znane „drzewka”). W szkole nauczy-

liśmy się wycinać ozdobne kolorowe koszyki i papierowe owoce. Obowiązkowe łańcuchy choinkowe ze słomy i papieru wieczorami robiły całe rodziny (nasz Tato nie pomagał nam, bo miał poważniejsze zajęcia: wtedy plół wiklinowe kosze na ziemniaki lub półkoszki na wóz).

Cały adwent dzieci uczyły się kołęd i tekstów dla kołędników. Zbieraliśmy się u naszej sąsiadki (nazywaliśmy ją Babką). Miała bezcenny skarb – kantyczki przywiezione aż z Ameryki – takie grubachne i w złoczonej oprawie (tak nam się wtedy wydawało). Czasem pozwalała nam czytać tekst kołеды, ale zazwyczaj słowa powtarzaliśmy za nią, bo wymagała od nas posłuszeństwa przez umiejętne podsycanie dziecięcej ambicji. Chcieliśmy zasłużyć na nagrodę w postaci opowiadań o tym, jak to było w Ameryce, do której Babka jeszcze przed II wojną światową dwa razy wyjeżdżała. Te wspólne pierwsze wyprawy za ocean były dla nas ciekawymi lekcjami geografii. Lubiliśmy Babkę, chociaż czasem używała palicy (laski), by nas poskromić. Przed wojną wróciła do Polski, zbudowała ładny drewniany dom, ale straciła rodzinę. Samotna, kusiła dzieci opowieściami, wspólnym śpiewaniem u niej w izbie, bo nie mogła chodzić z powodu postępującej choroby reumatycznej. To u niej zbierali się mali kołędnicy i uczyli się ról, by iść w Wigilię „po szczodrakach” („szczodrak” to zapłata za złożenie gospodarzom życzeń). Początkowo była to specjalnie pieczona mała biała bułka, obecnie tylko drobne pieniądze). Ranek wigilijny należał do mężczyzn i chłopców, kobietom nie wolno było wtedy nikogo odwiedzać, bo ich przyście oznaczało same niepowodzenia i kłopoty. Naszemu dziadkowi po żniwach wywrócił się wóz ze zbożem, więc uważał, że winna była sąsiadka, która w Wigilię zapomniała o zakazie odwiedzin. Dopiero wieczór wigilijny znosił ten niepisany zakaz i wszyscy po wieczery u siebie odwiedzali sąsiadów i rodzinę. Zdarzało się tak, że tego wieczoru spotykaliśmy się przy stole wigilijnym aż w trzech, a nawet czterech domach.

Wigilia

Po życzeniach szczodraczników gospodynie mogły spokojnie przygotowywać 12 wigilijnych potraw: kaszę, ryż na słodko, zupę grzybową, kwasówkę (zupa z kwasu kapuścianego z kaszą), barszcz, groch, kapustę mieszaną (z grochem), dwa rodzaje gołąbków, przynajmniej dwa rodzaje pierogów i tzw. juskę, czyli kompot z suszonych owoców. Chociaż czasem łowiono ryby w Sanie, na stole wigilijnym ich nie było. Gdy zbliżał się wieczór, po ubraniu drzewka wszyscy niecierpliwie czekali na przyniesienie siana na stół. Zawsze robił to gospodarz. Gdy wchodził do izby, mówił: „Na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie”, a Mama odpowiadała: „Witamy Nowoletnika”. Tato z pomocą dzieci rozkładał siano na stole, a było go tak dużo, że talerz z potrawą ledwie się na obrusie utrzymywał. Po wspólnej modlitwie Tato dzielił się z nami opłatkiem. Oczywiście, zaczynał życzenia od Mamy, którą zawsze całował w obie ręce, a potem podchodził do dzieci (które z szacunkiem całowały ręce Taty). Jeżeli w Wigilii brali udział krewni, to ich honorował przed domownikami. Jak każdy gospodarz, zanosił też opłatek zwierzętom gospodarskim. Wigilia była dniem postu, więc dwanaście potraw szybko znikało z jednego talerza. Pod każdy zaś wkładano opłatek i sprawdzano, czy się przykleił, bo to oznaczało urodzaj zboża, grochu czy kapusty. Wszystkie potrawy jadło się łyżkami, które na końcu wiązało się źdźbłami siana i wkładało pod obrus. Wiązanie łyżek oznaczało pilnowanie bydła na pastwisku, a robił to ten z domowników, który najczęściej pał krowy. Dziewczęta wróżyły sobie, rzucając pod sufit małe kluski zrobione z ciasta na pierogi. Jeżeli kluska przyczepiła się do powały, szczęściara w przyszłym roku wychodziła za mąż. Podobnie magiczne znaczenie miało karmienie kota kluskami (kokutkami).

Prezentów pod drzewkiem nie było, ale kolędowanie zawsze. Kilka kolęd u siebie, a potem rodzina ruszała do bliż-

szych krewnych lub do sąsiadów. Kolęda „Stała nam się dziś nowina”, tak przez dzieci lubiana, znana jest dotąd na całym Zasianiu. Śpiewano ją przed wejściem, pod oknem odwiedzanego domu. Wędrujący od domu do domu kolędnicy śpiewali kolędy i grali na akordeonie. Dzieci z piskiem uciekały przed Śmiercią szalejącą z kosą lub przed Diabłem grożącym widłami. Wszyscy cieszyli się z tych odwiedzin, nikt nie protestował, gdy wchodzili w butach, niosąc śnieg, a czasem błoto. Zresztą, w tamtych czasach w izbach przeważnie nie było podłóg, o płytkach nikt nie słyszał, dzieci baraszkowały na słomie rozrzuconej w izbie, w kącie stał ustrojony ostatni snop zboża zżęty w ostatnie żniwa, a drzewko wisiało u powały, nikomu nie przeszkadzając. Porządek w izbie robiło się dopiero przed Św. Szczepanem, najstaranniej w rodzinach, w których były dorosłe dziewczęta. Tego wieczora po wsi chodzili przebierańcy „Śmieciarze” i zamiatali w domach – to znaczy sprząтали u pańien, które musiały sownie za to zapłacić. Do ładnych, sympatycznych dziewcząt chłopcy przychodzili szczególnie chętnie. Niestety, po ich „odwiedzinach” sprzątanie musiało trwać nieraz cały dzień. Wieczorami aż do Gromnicznej kolędowały całe rodziny.

Jak wyjaśniałyśmy tajemnicę Świętego Mikołaja...

Często do zdyscyplinowania niesfornych dzieci rodzice używali słownego argumentu: „Zobaczysz, że do ciebie w tym roku nie przyjdzie św. Mikołaj!” Groźba skutkowała nie na długo, trochę skuteczniejszą była dopiero na początku Adwentu. Zdarzyło się! Już chodziłyśmy z młodszą siostrą do szkoły, „pozjadałyśmy wszystkie rozumy”, toteż postanowiłyśmy wyjaśnić tajemnicę pozostawiania przez Mikołaja prezentów pod poduszką. Spałyśmy razem, więc umowa stała taka: nie będziemy spać i przyłapiemy u nas Do-

bręgo Mikołaja. Czytać nie wolno nam było całą noc, bo nafty do lampy szkoda, pozostało „gadanie”. Coraz głośniejszymi szeptami zbudziłyśmy młodszego brata, dopiero co uśpionego w kołysce i znów dostałyśmy „burę”. Schowane pod pierzyną czekałyśmy, czekały na przyjście oczekiwanego gościa, a on jakoś nie nadchodził. Za oknem ciemna noc, w izbie nic nie widać i jakoś odwaga nas opuściła. Sen dopadł nas niespodziewanie, przebudzenie też było szybkie. W pierwszym odruchu sięgamy pod zagłówek, a tu ...nic! Nie ma najmniejszego prezentu, najmniejszej nawet torebki! Rozpacz! Mikołaj się na nas obraził na dobre! Urządziłyśmy taki ryk, że rodzice zerwali się na równe nogi. Beczałyśmy, niepomne swoich planów przyłapania Mikołaja! Już nieważne było, czy wchodziłby oknem, czy kominem, bo do nas nie przyszedł! Dlaczego, dlaczego!!! Za chwilę odezwał się Tato: „Mikołaj był u nas, ale nie widział w nocy, gdzie śpicie i chyba gdzieś prezenty zostawił!” Boso i w koszulinach przeszukałyśmy każdy kąt, aż dotarłyśmy do drewnianej skrzyni, która wtedy zastępowała nam szafę. (Mama otrzymała ją jako wiano w kilka lat po swoim ślubie. Miała bardzo ciężkie okute wieko i dlatego dzieciom nie wolno było jej otwierać). Z pomocą Taty zaglądnięłyśmy do jej przepastnego wnętrza i... co za radość! Są dwie torebki! Są prezenty! Mikołaj o nas nie zapomniał! Dopiero po latach w pełni zrozumiałam, jak rodzice mądrze wybrnęli z kłopotliwej sytuacji, a nas utwierdzili w przekonaniu, że warto słuchać rodziców i starszych.

Mały słownik gwary dąbrowskiej

giergonie – dalie

kacze mydło – stwardniały granatowy osad wybierany z podmokłego brzegu Sanu

kępa – mała wysepka na Sanie porośnięta krzakami wikliny, łoży

kiczki – elementy słomianego pokrycia dachu

- kokutki – kluski z ciasta pierogowego rzucone podczas wrózenia pod powałę lub dawane kotu do zjedzenia, dla wskazania, która panna pierwsza wyjdzie za mąż
- Kruszelnica – rzeka płynąca przez Dąbrówkę i wpadająca do Sanu pod zamkiem hr. Starzeńskich
- krypa – drewniana łódka do przewożenia ludzi
- kwasówka – postna zupa wigilijna z kwasu z kiszanej kapusty i kaszy
- nowoletnik – gospodarz przynoszący siano na stół wigilijny
- szczodraki – małe bułki wręczone kolędnikom podczas ich odwiedzin w poranek wigilijny
- szczodraczniki – chłopcy, mężczyźni przychodzący z życzeniami w wigilijny poranek
- śmieciarze – kolędnicy chodzący po domach wieczorem na Św. Szczepana

Wiesława Rybka*

Tradycje futomskiego domu

„Tradycja” według słownikowej definicji jest to przekazywanie z pokolenia na pokolenie obyczajów, obrzędów, wierzeń, norm postępowania itp. Futoma niegdyś znajdowała się na granicy trzech województw: rzeszowskiego, przemyskiego i krośnieńskiego. Jako wieś – można powiedzieć – jest niezwykła, nie dlatego, że położona w pięknym, malowniczym Pogórzu Strzyżowsko-Dynowskim, lecz przede wszystkim dlatego, że zamieszkująca wioskę społeczność chce zachować dawną tradycję, pogłębiać ją i kultywować.

Opowiem o tradycjach futomskiego domu. W Futomie obecnie prawie każdy ma swój dom, jest on na ogół murowany, pięknie urządzone, zadbane z zewnątrz i wewnątrz z pięknym ogrodem, gdzieś tam sadem owocowym.

Dawniej futomski dom to zazwyczaj była chałupa zbudowana z drewnianych bali, omszona, przykryta strzechą słomianą, a wewnątrz znajdowała się duża izba z klepiskiem zamiast podłogi. Wchodząc do izby trzeba było pokonać wysoki próg, na którym chętnie siadały dzieci. Ważną rolę w domu odgrywał duży piec, podzielony jak gdyby na dwie części. W jednej części był piec chlebowy z zapiekiem, zrobiony ze słomy i gliny, z tzw. wali. Druga część to część

* Wiesława Rybka, przewodnicząca Stowarzyszenia Kultywowania Kultury i Tradycji Ziemi Futomskiej.

kuchenna z paleniskiem i blachami, w których znajdowały się otwory, które przykryte były kręgami. Tymi kręgami regulowano otwór, a uzależnione to było od wielkości żeliwnego sagana, który do niego wkładano, aby szybciej ugotować strawę. Na zapiecku było miejsce do spania zimową porą i nie tylko zimową. Spały na nim starsze osoby, a także dzieci. U powały wisiała lampa naftowa, jej nikły promyk światła oświetlał izbę w zimowe długie wieczory. Ważną rolę odgrywał duży stół, przy którym spożywano wspólnie posiłek. Pod ścianą stały ławy do siedzenia, które służyły również do spania, były to tzw. piórniki. Na ścianach wisiały święte obrazy przybrane bibułkowymi kwiatami. Przez małe okienka ledwie wślizgiwały się promienie słońca. Drzwi domów zamykano na drewniany skobel, a przed domem była tzw. pogródka – o, jakże lubiłam na niej siadać latem! Przy każdym domu znajdował się niewielki ogródek ogrodzony kołkami, jedliną lub płótem plecionym z wikliny. Wychylały się z niego piękne malwy, słoneczniki, montewki, kawalery, pantofelki, pajączki lub giergony. Obok domu znajdował się również sad. Rosły tam śliwy, tzw. skronotki, grusze gdule albo pachniączki, które suszono w piecu, aby gotować z nich kompot w zimie zwany „juszka” lub „winkiem”. W każdym sadzie obowiązkowo rosła jabłonka papierówka i szara renetka zwana burką.

Ale dom to nie tylko budynek mieszkalny – dom to przede wszystkim ludzie, którzy go zamieszkują. Dawniej rodziny były duże, wielopokoleniowe. W jednej izbie mieszkali dziadkowie, rodzice oraz dzieci, a było ich sporo. I tu trzeba powiedzieć o wielkim szacunku okazywanym ludziom starszym, który wpajano dzieciom już od najmłodszych lat.

Ludność futomska żyła ubogo, zajmowała się uprawą roli. Gospodarstwa chłopskie były drobne, składały się nawet z kilku niewielkich kawałków. Uprawiano żyto, pszenicę, proso, jęczmień, kukurydzę oraz len i konopie. Zboże

żęto sierpami, młócono cepami i według potrzeby mielono w żarnach. Żarna były w każdym domu, stały w sieni za kominem. Z mąki żytniej wypiekano chleb w piecu chlebowym. Taki chleb, tylko nie z mąki mielonej w żarnach, pieczony jest do tej pory przez niektóre gospodynie i cieszy się wielkim popytem. Z mąki pszennej pieczono placki drożdżowe, tzw. bułki, jabczoki, kapuśnioki, kakaloki, śliwioki. Proso, jęczmień, kukurydzę tłuczono w tzw. stępach na kaszę. Z włókna lnu i konopi wyrabiano worki, płachty, prześcieradła, a także zgrzebną odzież. Z ziarna lnu i konopi wytłaczano olej – u tzw. olejarza, który mieszkał w Baryczy. Mówiono, że „jadą do oleja”.

Jadłospis mieszkańca Futomy był skromny; gotowano zupę z mąki żytniej zwaną żurem lub boszczem, z mąki pszennej polewkę, kulaszkę, z dyni baniankę, kapustę z grochem omaszczoną szpyrką lub olejem. Robiono również pierogi z kapustą kiszoną z grzybami lub z kapustą słodką z dodatkiem sera białego. W każdym domu robione były również pierogi nadziewane farszem ziemniaczano-serowym z dużą ilością mięty. Mięty było dużo, rosła w każdym przydomowym ogródku. Tradycja robienia pierogów z miętą trwa do dzisiaj. Panie ze Stowarzyszenia Kultywowania Kultury i Tradycji Ziemi Futomskiej (SKKiTZF) serwują te pierogi na kiermaszach i konkursach; otrzymują za nie liczne nagrody. Drugim wyrobem kulinarnym, który cieszy się dużą popularnością, jest bulwiok: placek drożdżowy nadziewany farszem ziemniaczano-serowym, też z dodatkiem mięty. Placek ten pieczony był zwłaszcza w okresie wykopków. Gospodyni piekła go na liściu kapusty w piecu chlebowym i wyносиła go w pole jako tzw. jurzynę – poczęstunek dla pracujących w polu najemników. Najlepiej smakował jeszcze ciepły z kawą zbożową zabielaną mlekiem. Przepis na ten placek mamy z przekazów ustnych, a ma on już ponad sto lat. Futomski bulwiok w 2007 r. otrzymał prestiżową nagrodę na Targach Polagra-Farm w Poznaniu – jest to imitacja

perły oraz certyfikat. Bulwiok wpisano również na Listę Ministerialną „Produktów Tradycyjnych”. Placek jest pieczony do dnia dzisiejszego, i to nie wyłącznie w okresie jesiennym, kiedy kopie się kartofle, a w ciągu całego roku. Cieszy się dużą popularnością na wszelkich konkursach i kiermaszach. Po proziakach i pierogach jest on następną wizytówką kulinarną futomskich gospodyń, a zarazem futomskiego domu. Nasze mamy, babcie i prababcie były znakomitymi kucharkami, z niczego potrafiły wyczarować wspaniałe przysmaki – potrawy, których przepisy przechodzą z pokolenia na pokolenie w przekazach ustnych. Każda dziewczyna – panienka na wydaniu – musiała umieć upiec chleb – bo cóż to inaczej za gospodyni by była.

Każdy posiłek jedzono wspólnie przy stole lub ławie, z jednej miski. Starsi siedzieli, a młodszy stali. Każdy posiłek był poprzedzony modlitwą, dopiero potem zabierano się do jedzenia. Tu również przestrzegano kolejności: najpierw starsi, a później młodszy. Każdy bochen chleba przed ukrojeniem pierwszej kromki był znaczone znakiem krzyża świętego przez gospodynię. Zwyczaj ten zachował się do dziś. Gdyby, nie daj, Boże, upadł okruszek na podłogę, wtedy podnoszono go z wielkim szacunkiem i całowano – bo to dar Boży. Podczas posiłku przestrzegano również, i trwa to wciąż, aby szczególnie mężczyźni nie mieli czapek na głowach.

Czapkę lub kapelusz zaraz po wejściu do izby ściągano z głowy i wieszano na gwoździu u tragarza lub na ścianie przy oknie. Przy wejściu do izby na futrynie drzwi wisiała kropielniczka – naczynie na święconą wodę. Domownicy wchodząc i wychodząc moczyli palce w wodzie święconej i znaczyli na sobie znak krzyża. Zwyczaj ten trwa w niektórych domach i obecnie.

Gdy wchodziło do domu, zawsze chwalono Pana Boga, mówiąc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Starsze kobiety, które należały do „Róży różańcowej”, witały się

również różańcowymi tajemnicami, które w danym miesiącu odmawiały. Wychodząc z domu żegnano się w imię Boże, mówiąc „Zostańcie z Bogiem”, a gospodarze odpowiadali „Idźcie z Bogiem” lub „Boże, prowadź”. Bóg był zawsze na pierwszym miejscu – mówiono, że „bez Boga ani do proga”. Ten chrześcijański sposób przywitań i pożegnań pomалу zanika, kultywowany przeważnie przez starsze osoby, chociaż są jeszcze rodziny, które wpajają młodszemu pokoleniu ten piękny zwyczaj.

Piękne jest staropolskie pozdrowienie pracujących np. na roli, w ogrodzie lub wykonujących inne prace, gdy przechodzimy obok: są to słowa „szczęść Boże” lub „Boże, dopomóż”. Pracujący odpowiada „Daj Boże” lub „Boże, dopomóż”. Pozdrowienia te nadal są praktykowane, lecz w mniejszym stopniu.

Przekazami kultywowanymi z pokolenia na pokolenie są tradycje związane ze świętami; Bożego Narodzenia, Zmartwychwstania Pańskiego oraz innymi świętami kościelnymi. Święta Bożego Narodzenia poprzedza Adwent – czas oczekiwania na przyjście Mesjasza. W dalszym ciągu żywą jest tradycja chodzenia do kościoła na mszę zwaną Roratami, z tą jedną zmianą, że msze te są odprawiane wieczorem, nie zaś bardzo wcześnie rano, jak to bywało dawniej. We mszy roratniej uczestniczą również dzieci z pięknymi lampionikami.

Robienie ozdób choinkowych, które później są zawieszane na drzewku (tak dawniej nazywano choinkę), trwa do dzisiaj. Obecnie są inne materiały, nowocześniejsze, nie tylko bibuła, papier czy słoma lub wydmuszki z jajek, z których robiono piękne pajacyki. Panie ze Stowarzyszenia Kultury i Tradycji Ziemi Futomskiej i Koła Gospodyń Wiejskich organizują spotkania, na których uczą praktycznie, jak zrobić piękną bombkę, gwiazdkę, aniołka czy stroik. Dzieci bardzo chętnie uczestniczą w takich spotkaniach.

Wieczera wigilijna z zachowaniem 12 potraw, śpiew kołęd. W niektórych domach trwa jeszcze zwyczaj jedzenia potraw wigilijnych z jednej miski. Wyjście z całą rodziną na pasterkę o północy. W okresie świątecznym przyjmowanie do domu grup kołędniczych, które przedstawiają scenki związane z z narodzeniem Pana Jezusa. Na św. Szczepana w dalszym ciągu święci się w kościele owies, który później gospodarz dodaje do wysiewanego ziarna.

Dawniej był zwyczaj chodzenia tzw. „zamiataczy”, którzy już w nocy z Bożego Narodzenia na św. Szczepana chodzili po wsi i robili różne psikusy, a najchętniej tam, gdzie były ładne dziewczęta. „Zamiatacze” powoli zanikają.

W Nowy Rok już od rana dzieci chodziły do sąsiadów, składały życzenia noworoczne mówiąc: „Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok! Niech się wom tu rodzi kapusta i groch, ziemniaki jak pnioki, buroki jak chodoki...” Życzenia są bardzo długie. Zwyczaj ten trwa, ale przeważnie w gronie rodzinnym i zamiast „szczodroków” dzieci dostają pieniądze.

W święto Trzech Króli w kościele jest święcona kreda. Poświęconą kredą na drzwiach wejściowych do domu pisze się pierwsze litery imion Trzech Mędrców. Niektóre gospodynie w swoich ogródkach mają zioło zwane mirrą, które dodają do bukietów zielnych, a po zasuszeniu święcą właśnie w kościele na Trzech Króli. Po przyjściu do domów odrobinę rzucają na rozgrzaną płytę kuchenną i przyjemna woń kadzidła rozchodzi się po całym domu.

Drugi lutego to dzień, kiedy w kościołach święci się gromnice, ta tradycja jest w dalszym ciągu kultywowana w naszych rodzinach. Pięknie przyozdobione świece zanoszą się do kościoła, aby je tam poświęcić. Poświęconą gromnicę stawia się w takim miejscu, żeby wszyscy ją widzieli. Taką gromnicę stawia się przy konającym; stawia się ją w oknie podczas burzy z wiarą, że uchroni przed uderzeniem pioruna. Szkoda, że mało jest już świec wyko-

nanych z wosku pszczelego; wyparły je świece wykonane z parafiny.

Okres świąt Zmartwychwstania Pańskiego jest poprzedzany przez Wielki Post. W tym czasie obowiązkowo szło się do kościoła na Drogę Krzyżową w każdy piątek, a w niedzielę na Gorzkie Żale. Podczas wieczornej modlitwy dodatkowo mówiło się: „Któryś za nas cierpiał rany, Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami”. Sądzę, że w niektórych rodzinach ta wielkopostna modlitwa jest nadal odmawiana. Robienie palm, święconych w Niedzielę Palmową, jest w dalszym ciągu tradycją żywą, rzec można nawet, że stało się jeszcze popularniejsze niż kiedyś. Uczniowie wszystkich klas naszej szkoły chętnie biorą udział w tym przedsięwzięciu; przy pomocy rodziców i nauczycieli wykonują piękne palmy, a następnie niosą je do poświęcenia w kościele. Panie ze Stowarzyszenia Kultury i Tradycji Ziemi Futomskiej również robią piękną palmę i w pięknych strojach niosą ją do kościoła. Palmy te są dekoracją Grobu Pańskiego lub Ołtarza przez cały okres świąteczny.

Malowanie i skrobanie pisanek to tradycja przekazywana w rodzinach z matki na córkę. Ta tradycja jest – oczywiście – kultywowana i w mojej rodzinie. Sama piszę jajka woskiem, zachęcałam do tego przedwielkanocnego zajęcia moje córki, chętnie biorą w tym udział również wnuki. W każdym prawie domu piecze się baranek wielkanocny z ciasta drożdżowego. Jeśli taki baranek jest mały, to w koszyczku, a jeśli duży – to na rękach niesie się go do poświęcenia. Po poświęceniu baranek jest ozdobą stołu wielkanocnego jako symbol Zmartwychwstałego Chrystusa.

Koszyczki wielkanocne teraz wypełnione są po brzegi smakołykami; są tam szoldry, kiełbasy, jajka, kolorowe pisaneki, chrzan, ocet, chleb, babka piaskowa lub marmurkowa. Każdy koszyk obowiązkowo jest przystrojony bukszpanem, barwinkiem i piękną serwetką, która – wyhaftowana lub zrobiona na szydełku – dopełnia uroczytej całości.

Po zarysowaniu futomskich tradycyjnych zwyczajów związanych ze świętami teraz pokrótce opowiem o różnych zawodach, których znajomość od wieków przechodziła z ojca na syna. Większość z nich to zawody już niewykonywane, a dawniej niezbędne w życiu wiejskiej społeczności.

Takim przykładem może być zawód kowalski, którego to zawodu syn uczył się od ojca kowala. W naszej wiosce było ich dużo, bo było na nich zapotrzebowanie. Jako że Futoma była wsią rolniczą i było dużo koni, trzeba je było podkuwać. Kowale również robili narzędzia rolnicze. Obecnie, gdy wszystko jest zmechanizowane, kowalstwo trochę zagięło. Są jednak jeszcze u nas kowale, którzy podtrzymują tę tradycję. Przykładem może być Czesław Świst, który kowalstwa nauczył się od swojego ojca, a następnie przekazał je synowi Januszowi. Janusz Świst para się kowalstwem artystycznym. W tym roku już po raz drugi zorganizował na swojej posesji „Festiwal Kunsztu Kowalskiego”; gościli u niego kowale nie tylko z Polski, lecz i zaprzyjaźnieni kowale z Niemiec, Słowacji, Węgier.

Stolarzem, który swego zawodu nauczył się od ojca, jest Jerzy Panek, który w swoim warsztacie robi piękne meble od podstaw i przeprowadza renowację starych. Współ z Markiem Kruczkim ci zdolni rzemieślnicy wykonali instrumenty muzyczne – basy, cymbały, a także odrestaurowali stare instrumenty. Przez warsztat Jerzego Panka przewinęło się wielu młodych czeladników, którym on przekazywał swe umiejętności. Razem z żoną Marią państwo Pankowie organizowali warsztaty dla dzieci z naszej szkoły, aby pokazać, jak wspaniałe rzeczy można wykonać z drzewa.

Wiele zawodów dawnych zanikło, czego przyczyną jest brak zapotrzebowania; nie ma już rymarzy, szewców, tkaczy..., a było ich sporo w naszej wiosce. Aby przypomnieć dawniej wykonywane zawody, pokazujemy je podczas „Dni Futomy”, imprezy plenerowej, którą organizuje pani sołtyś ze szkołą i Stowarzyszeniem Kultury i Tradycji

cji Ziemi Futomskiej. Impreza, mająca charakter popularyzatorski, cieszy się dużą popularnością.

Wart opowieści, kiedy mowa o tradycjach Futomy, jest domek Weroniki Wyskiel, który otrzymała w spadku po swojej cici. Ten domek to miejsce, w którym jakby zatrzymał się czas. „Stara chałupa z duszą” – jak o niej mówię – ma już ponad sto lat. Chociaż nie jest kryta słomą – „strzechą” – ale ma wysoki próg, w sieni klepisko, a w izbie piec z nalepą i zapieckiem. Na ścianach wiszą stare święte obrazy przybrane bibułkowymi kwiatkami. Bardzo często tam się spotykają panie ze SKKiTZF oraz zespół „Futomianie”. Ten zabytkowy domek jest również odwiedzany przez dzieci szkolne ze swymi opiekunami. Najmłodszy futomianin chce na żywo zobaczyć, jak się piekło chleb w piecu, zasmakować pieczonych na kuchni proziaków, zrobić masło w maśniczce, zjeść pyszną zupę owocową zwaną pamułą. Pokazujemy im, jak dawniej żyli ludzie bez wygod, ale szczęśliwie. Podczas warsztatów razem z dziećmi robimy kwiatki z bibuły, ozdoby na choinkę. Opowiadamy im o dawnych zwyczajach, obrzędach, o tym, czym się zajmowali nasi przodkowie. Dzieci z dużym zainteresowaniem słuchają opowiadań i zadają wiele pytań. Podziwiają piękne makatki i serwetki. Bardzo chętnie słuchają starych piosenek i pieśni religijnych, które śpiewa pani Weronika, nazywana ciocią, bo dawniej nie było „pań”, były ciotki i wujkowie lub też stryjnie i stryjowie. Domek ten, można powiedzieć, „żyje”. Zespół obrzędowy „Futomianie” oraz panie ze Stowarzyszenia Kultury i Tradycji Ziemi Futomskiej nagrały w nim wiele filmów, wśród nich: „Wilijo”, „Potańcowka”, „Futomskie wesele”, „Pieczenie chleba”, „Od ziemniaka do bulwioka”. W domku cici Weroniki były realizowane programy telewizyjne z TVP Rzeszów i Radia Rzeszów.

Wiele by można mówić o zwyczaju wspólnego śpiewania majówek przy kapliczkach przydrożnych – echo pieśni chwalałych Najświętszą Panią niosło się aż po futom-

skich pagórkach. O spotykaniu się w długie zimowe wieczory przy kądzieli lub przy darciu pierza. Nie przędzie się już wełny, a i puchowe poduszki i pierzyny zostały wyparte przez sztuczne – poliestrowe – czy lepsze? Mężczyźni robili mietły z brzeziny, kosze z wikliny, a ile przy tym było różnych opowieści i śmiechu. Obecnie tradycję tę wyparły telewizor, komputer, telefon. Ludzie wolą spędzać czas w domu, zamknięci w czterech ścianach, i narzekać na ciągły brak czasu. Z niejednej piersi wyrwie się westchnienie: „Dawniej było lepiej; biedniej, ale radośniej”.

Elżbieta Michalska*

Ten stary dom

Ten stary dom po nocach mi się śni – a w domu Ci, którzy już dawno odeszli w zaświaty. Ojciec suszący onuce, a później skarpety na winklach pieca, Matka patrosząca ryby złowione w Narwi za stodołą... pies i kot śpiący razem, co się jak każdy od czasu do czasu przemówią, oczywiście, o skórkę chleba.

Zbliża się zmierzch zimowy i pewnie ktoś przyjdzie na wieczorynę. Plotki i ploteczki z okolic i całego świata: a to ten zachorował, a to tamten umarł, a tamta znowu pojechała do Ameryki... Ale często też wspomniano dawne czasy z młodości, wojnę, partyzantów, byłych miejscowych dziwaków i dostojników. Chociaż u nas każdy właściwie odznaczał się jakimś dziwactwem.

Na takich to wieczorach dowiedziałam się o wielu bezimiennych grobach rozsianych po łąkach i uroczyskach, o żydowskich domach, na kukrzyskach których stoją dzisiaj piękne wille. No właśnie – czy ktoś dzisiaj używa tego gwarowego słowa: kukrzysko, czyli plac po zburzonym budynku.

* Elżbieta Michalska, poetka i malarka.

Dzieciaki chcąc nie chcąc musiały słuchać tych opowieści, bo nie można ich było wyprawić do drugiego pokoju, gdyż często takowego nie było. Dzisiaj każde dziecko musi mieć swój własny pokój do nauki, bo nie każdy jest wybitnie zdolny, by opanować na pamięć szkolny program tylko po jednym przeczytaniu, a wizja matury, studiów, czy zwyczajne zdobycie jakiegokolwiek wykwalifikowanego zawodu stało się presją, jaką nakłada dzisiejszy świat. Bardzo często słyszałam w szkole z ust nauczycielek: „Was jest za dużo! Niewykształceni, niewykwalifikowani, nie jesteście nikomu potrzebni, te czasy kiedy mając dwie świnki i dwie krowy, by się z biedą utrzymać, bezpowrotnie minęły”.

A w moich wspomnieniach one ciągle trwają. W sypialni, która była po trosze kuchnią i pokojem gościnnym, stały krosna tkackie i kołowrotek, do dzisiaj zachował się komplet pościeli w drobną krataczkę tkany przez prababkę. Prawie każda kobieta tknęła, przędła, i prawie każdy mężczyzna zajmował się stolarką. Krzesło i stoliczek stojące w kuchni z kolei zmontował pradziadek.

Pamiętam, jak kilka lat temu w jednym z programów telewizyjnych Bożena Dykiel, wybitna aktorka, wypowiedziała się z pogardą o mieszkańcach wsi. „Jacy ci nasi chłopi są leniwi – powiedziała. – Całymi dniami siedzieliby tylko na ławkach przed domami”.

Widząc „mispolonie” i rozmaite modelki, po metr osiemdziesiąt z groszami, najbardziej zazdrościłam tym młodym kobietom wielkich kościstych dłoni, zazwyczaj przynależnych dużemu wzrostowi, bo w gospodarstwie takie silne, potężne dłonie to skarb zwłaszcza dla samotnej kobiety. Narząbać drzewa, narżnąć sieczki, posiekać kartofle w parniku i zanieść je świniakom, napoić krowy, kobyłę; wszystkim posłać słomy, na koniec zagrabić podwórze...

Bardzo długo po tym, jak doprowadziliśmy do domu bieżącą wodę, łapałam się na niespokojnym pytaniu, czy aby wiadro z wodą jest pełne. A propos wody: domownicy,

a i goście nigdy nie byli częstowani żadnymi kawami czy herbatami; kiedy komuś zachciało się pić, to szedł do wiadra, sięgał blaszanym kubkiem po wodę i pił. Jeśli co zostało na dnie, wlewał z powrotem do wiadra. „Baterii” u nas nie działały.

A jeśli bachur był niedobry i całymi nocami wył, to najlepszą terapią było przerzucić takiego przez spódnicę. Ciekawe, czy się zgorszą lub wyśmieją to dzisiejsze oświecone feministki, co latają po wrózkach i wierzą w rozmaite *feng szui*. A skoro już mowa o *feng szui*, to najważniejszy był i jest w domu piec, byle tylko gorący. A jak w dodatku ma przypiecek, na którym można spać i śnić, to już jest dobrze.

Walenty Kotula*

Atmosfera domu rodzinnego i rola w niej matki – wspomnienia sprzed ponad pół wieku mieszkańca Głogowa Małopolskiego

...więc jeśli mówimy o domu polskim, to zawsze
przed oczami mam Jej obraz

W roku 2020 mieliśmy uroczyste obchodzić 450-lecie założenia przez Krzysztofa Głowę miasta, które początkowo przyjęło od założyciela nazwę – Głowów, a obecnie to Głogów Małopolski, położony w województwie podkarpackim na przedmieściach rozrastającego się Rzeszowa. Zamiary pokrzyżowała pandemia i uroczystości zostały przełożone na inny czas.

Układ urbanistyczny miasta założonego przez Krzysztofa Głowę zachował się do naszych czasów. Miasto powstało na tzw. surowym korzeniu. Na środku rozległego rynku (pie-rzeja liczy ok. 230 m) posadowiony jest ratusz, w północno-wschodnim rogu rynku znajduje się kościół. Od rynku gwiazdźście rozchodzą się ulice, cztery główne mają kierunki stron świata (północ-południe, wschód-zachód). W przeszłości miasteczko niszczyły pożary. Ostatnia pożoga zdarzyła się na początku XX w. Wtedy Głogów odbudo-

* Walenty Kotula – Stowarzyszenie „Lasowiaczy” z Głogowa Małopolskiego.

wał się już jako murowany i ten układ miasteczka, jego najstarszej części, zachował się do dzisiaj. Większość domów zmodernizowano, ale jeszcze kilkadziesiąt lat temu budynki, ich obejścia i wnętrza wyglądały inaczej niż dzisiaj.

Zachowało się kilka domostw, które na pierwszy rzut oka przypominają te z przeszłości. Jak wyglądała fasada takiej kamieniczki? Wybudowane z cegły, w większości nie były otynkowane. Wokół przeważnie dwóch okien, nad nimi i wokół wejścia pojawiały się elementy sztukatorskie. Świadczyły one o wysokich umiejętnościach miejscowych murarzy, budynkowi dodawały uroku. Uwagę zwracało wejście – potężne wrota, które pełniły kilka funkcji. To przede wszystkim było wejście do domu, a także brama wjazdowa do obejścia z płodami rolnymi. Wrota miały dwa skrzydła, w miarę potrzeby otwierane na oścież lub tylko uchylane (architekturą nawiązywały do bram wjazdowych warowni). Ciekawym było zamknięcie tych „carskich wrót”. Miały specyficzny skobel – zapadkę, pięknie i rzetelnie wykonane elementy sztuki kowalskiej.

Charakterystyczną cechą architektury miasteczka jest jego zwarta zabudowa. Najczęściej domostwa miały jedną wspólną ścianę. Strychy były od siebie oddzielone w miarę ognioodpornymi „fajermurami” (ściana, która miała zapobiegać rozprzestrzenianiu się ognia). Przez wspomniane wrota wchodziło się do korytarza, czyli sieni. Znajdowały się w niej sprzęty potrzebne w gospodarstwie (balie, beczki, skrzynie na zmienną odzież, szafarka itp.). Po drabinie (nie schodami) wchodziło się na strych. Posadzka sieni była wykonana z gliny, tzw. polepy. W porze omłotów polepa pełniła funkcję klepiska. W niej, w pobliżu komina, była umieszczona gróbka. To rodzaj małej piwniczki, w której były przechowywane produkty „na teraz”. W tym czasie w Głogowie, w samym miasteczku, rzadko były w obejściu stodołki, ich funkcję spełniała właśnie sień, a strych był rodzajem spichlerza. Na nim gromadzono wymłócone snopy, siano dla bydła

i koni, w dużych skrzyniach i bekach dębowych przechowywano wymłócone ziarno. Strych był też rodzajem lamusa. To także królestwo myszy. Dlatego w każdym domu poczesne miejsce zajmowała łowna kocica ze swoim przychówkiem. Na strychu również lubiliśmy przebywać, organizując różne zabawy i zajęcia.

Z sieni najczęściej prowadziło dwoje drzwi do pomieszczeń. Pierwsze od ulicy były używane rzadziej, bo wiodły do pokoju pełniącego funkcję reprezentacyjną. Drugie drzwi to wejście do kuchni. Z tego pomieszczenia dwoje drzwi prowadziło do pokoju i komory.



Il. 1. Wnętrze pokoju dziennego, stoi matka autora, Krystyna z Matejskich Kotula, fot. ze zbiorów autora



Il. 2. Tradycyjny piec kuchenny z okapem, fot. ze zbiorów autora

Kuchnia – ulubione miejsce domowników i prawdziwe królestwo gospodyń – matek. Pomieszczenie najczęściej znajdowało się od podwórka, a pokój – od frontu domu. W tamtych czasach wiele rodzin było wielodzietnych i te pomieszczenia wystarczały dla wszystkich. Nikomu nie brakowało miejsca. Rodzina większość dnia spędzała w kuchni. Nikt nikomu nie przeszkadzał i nie wchodził „w paradę”. Często staje mi przed oczami widok naszej kuchni. Królował w niej znacznych rozmiarów piec – jak na owe czasy był nowoczesny, bo wykonany z kafli. W wielu domach były piece, postawione z cegły szamoty, dokładnie oblepione gliną i pobielone. Zdarzało się, że glazura gliniana łuszczyła się i od-

padała. Uzupelniano ją, mieszając z solą. Taka mieszanina podnosiła jej trwałość. W naszym domu nie było już typowego zapiecka, ale w wielu domach dziadkowie wygrzewali stare kości właśnie na nich. Na polepie pieca przechowywano suszone owoce, grzyby, różnego rodzaju zioła i przyprawy. Tam miał swoje miejsce strażnik domowych zapasów przed myszami – kot.

Piec chlebowy budził we mnie wielkie zainteresowanie i podziw, bo zawierał pewne tajemnice, niezrozumiałe dla kilkuletniego brzdąca. Mamusia rzadko wypiekała chleb, chociaż w domu skrzętnie przechowywano potrzebne do tego sprzęty. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych istniały obawy wybuchu następnej wojny, bo istniejący stan starsi uważali za tymczasowy i urządzenia do wypieku chleba były potrzebne. Dzieży i niecek mamusia już nie używała. Za to dla dzieci były doskonałą łódką podczas roztopów. Przynajmniej kilka razy do roku piec spełniał swoją rolę. W nim wypiekano ciasta na rodzinne uroczystości. Wtedy nasz dom gościł starsze siostry Mamusi, bratową, a kuchnia zamieniała się w cukiernię. Najpierw przygotowywano ciasta, a w tym czasie nagrzewano piec. Nie lada specjalista musiał go doglądać i stwierdzić, że jest gotowy, by w swoje wnętrze przyjąć piekace – blaszki z bułami, makowcami, sernikami i innymi fruktami, jak to określał rezydujący u nas „przyszywany” dziadek lwowianin. Na co dzień piec chlebowy skrywał polana drewna przeznaczone na opał i suszone grzyby w płóciennych woreczkach.

Podłoga w kuchni była wykonana z desek. Często używana, to i brudziła się znacznie. Swoje święto miała w sobotę: szorowana starannie, blaskiem lśniła na cały dom. Była to dość ciężka praca, wiem, bo tę czynność nieraz wykonywałem ze starszymi braćmi. Z czasem podłoga została pomalowana lakierem i położono na niej linoleum. Przy oknie stał stół nakryty ceratą, a przy nim tyle stołków i drewnianych krzeseł, ilu było domowników. W tej izbie musiało też

znajdować się łóżko lub otomana (rodzaj kanapy), na której „łapano” chwilę odpoczynku. Sprzętem bardzo potrzebnym i użytecznym był kredens; zajmował on znaczną część kuchni. W nim znajdowały miejsce wszystkie naczynia, talerze, garnuszki oraz sztuce potrzebne na co dzień.

Przez drzwi kuchenne wchodziło się do pokoju. Na pierwszy rzut oka uwagę przykuwały łóżka małżeńskie (najczęściej dwa). W dzień starannie zaścielone, przykryte były ozdobną kapą. Na ścianie nad nimi wisiał sporych rozmiarów kilim – dywan, a na nim obrazy święte (Matki Bożej i Serca Jezusowego lub Ostatniej Wieczerzy). Łóżka w swoim wnętrzu kryły pościel wszystkich domowników. Na środku pokoju stał stół, a wokół niego reprezentacyjne krzesła używane w święta i rodzinne uroczystości. Między oknami stała toaletka – tremo z szufladkami na różnego rodzaju kosmetyki, szczotki i grzebienie. W wielu domach w tym pomieszczeniu znajdował się również reprezentacyjny kredens na porcelanę, sztuce używane „od święta”. W pokoju tym stała w jednym z rogów szafa „trójdzielka” na świąteczne ubrania. Jedną jej część, z półkami, zajmowała wyprasowana na sztywno (uprzednio porządnie nakrochmalona) pościel. Pościel przechowywano także w komodach przeznaczonych na ten cel. Na podłodze w pokoju dość często leżał dywan lub „chodnik”.

Z tego opisu może się wydawać, że to pomieszczenie było nieco „zagracane”, ale tak nie było. Zostawało w nim jeszcze miejsce na odrabianie lekcji i zabawy. Organizowaliśmy je pod stołem, pod łózkami, nawet pod krzesłami. Trzeba wiedzieć, że w głogowskich domach nie było jeszcze centralnego ogrzewania i przy ścianie kominowej stał piec kaflowy, ulubione miejsce domowników w długie wieczory jesienne i zimowe. Przy nim czytaliśmy zadane lektury, słuchaliśmy czytania Mamusi lub opowieści dziadka o „tamtej” jeszcze wojnie (I wojna światowa i wojna polsko-bolszewicka). Tatuś lub stryjowie niezbyt chętnie opo-

wiadali o czasach okupacji. W latach PRL-u nie o wszystkim można było mówić przy dzieciach. Pamiętam, że gościł u nas znajomy Tatusia. Opowiadał przedziwne historie o walce z Niemcami, o przechodzeniu kanałami, o barykadach. Trochę później uświadomiłem sobie, że gościliśmy autentycznego powstańca warszawskiego. Nigdy później z Ojcem na ten temat nie rozmawiałem. Przypuszczam, że ów znajomy Taty ukrywał się u nas. Po jakimś czasie wyjechał, lecz jego opowieści głęboko zapadły mi w pamięci.

Z kuchni prowadziło też wejście do komory – spiżarki. Było to pomieszczenie dość ciemne i tajemnicze, bo miało zapewnić odpowiednią temperaturę i trwałość produktom tam przechowywanym. Przede wszystkim znajdowały się w niej zapasy na długie miesiące zimowe. W ciemnym rogu stała beka kiszonej kapusty, w innych, mniejszych beczkach kiszone ogórki. Na półkach w hermetycznie zamkniętych butelkach i słoikach zgromadzone były przetworzone owoce i warzywa. Tam przechowywano również uwędzone wędliny, słoninę i boczki. W tym pomieszczeniu zawsze panował przyjemny chłód, bo spełniało również funkcję podręcznej chłodziarki.

Zajrzyjmy na chwilę na pole – tak po głogowsku do dziś określa się podwórze. Na nie wychodziło się przez ganek lub bezpośrednio z sieni do części gospodarczej domostwa. Typowe budynki gospodarcze (stajnia, chlewik, kurnik, klaty z królikami, drwalnik, składzik na węgiel) znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie budynku mieszkalnego. Tam też była studnia, która spełniała ważną funkcję w każdym domu. No i gdzieś trochę ukryty lub „przylepiony” do innego budynku stał „wychodek”. Jeśli było miejsce, to w tej części domostwa były mały ogródek warzywny i sad. Część domostw była podpiwniczona i w nich przechowywano zapasy. Były też domy wolno stojące, sytuowane w pobliżu budynków gospodarczych.



Il. 3. Podwórze w typowym głogowskim domu, widoczna brama przejazdowa z sienią, zdjęcie z lat 50. XX w.,
fot. ze zbiorów autora

Jak to pięknie ktoś wyraził: „Cały dom na mojej głowie!” Jakże wymowne jest to stwierdzenie. Dobitnie określa ono rolę kobiety – matki w domu. Ojciec spełniał inne funkcje. W takich miasteczkach jak Głogów (jak i Tyczyn, Sokołów, Raniżów, Dynów, Błazowa, Kolbuszowa oraz inne) bardzo ważną rolę pełniło rzemiosło i rolnictwo. Nimi zajmowali się mężczyźni – ojcowie, dziadkowie, synowie. W drugiej połowie wieku XX było w miasteczku jeszcze sporo rzemieślników, którzy kontynuowali tradycje rodzinne. Głogów słynął na szeroką okolicę z szewców, masarzy i murarzy. Ze swoimi

wyrobami jeździli oni na targi do Rzeszowa, także do Krakowa i Lwowa. Po II wojnie światowej również do Warszawy, na Wybrzeże i Śląsk. Do tych miast w czasie sezonu wyruszali również murarze. Ponieważ każda rodzina w tamtym czasie utrzymywała się nie tylko z rzemiosła, ale posiadała grunty uprawne (w zależności od zasobności właścicieli – od kilku do kilkunastu morgów), właściciele musieli godzić obowiązki zawodowe z pracami polowymi. Domem zajmowały się przede wszystkim kobiety. Do pomocy miały najczęściej babcię i starsze córki.

Dobrze pamiętam rytm dnia codziennego domu mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Ponieważ Tato nie przejawiał zainteresowania rodzinnym rzemiosłem (ciesielstwo i stolarstwo), rankiem wyjeżdżał do pracy do pobliskiego Rzeszowa i praktycznie cały dzień pozostawialiśmy pod opieką Mamy. Odkąd pamiętam, budził mnie śpiew pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”, Godzinek i głośno odmawiany przez Mamusię pacierz. Może to na cześć mojej Rodzicielki, a może to już takie wychowanie, że staram się również tak zaczynać dzień, chociaż weszło to w nawyk dopiero na emeryturze, bo wcześniej nie było na to czasu (pęd i gonitwa współczesnego świata trwa już jakiś czas). Ta krzątająca koło domu to istny kierat. Praktycznie Mama nie miała czasu dla siebie, bo inne sprawy były ważniejsze. Nie chodzi tylko o moją mamę. Tak było w większości domów tamtego Głogowa. Zakres prac i obowiązków dyktowały pory roku. Więcej czasu dla siebie miała Mamusia zimą, chociaż nie leniuchowała, bo ciągle coś było do roboty (szycie pościeli, cerowanie zniszczonych ubrań, robótka na drutach, szydełkowanie). Krzątająca trwała cały dzień.

Na zawsze utkwiły mi w pamięci niektóre prace polowe. Mimo że większość czynności wykonywaliśmy ręcznie, to z sentymentem wspominam sianokosy, żniwa i kopanie ziemniaków. Do tych prac trzeba było się odpowiednio przygotować i je zaplanować. Przygotowania do kopania



Il. 4. Do prac polowych zaangażowana była cała rodzina, wykopki, lata 70. XX w., fot. ze zbiorów autora

ziemniaków trwały kilka dni. Najpierw obserwowano się pogodę, czy będzie stabilna i w miarę słoneczna i ciepła. Wykopki na naszym terenie zaczynały się mniej więcej w połowie września, tak by ziemniaczyska przed przymrozkami i szarugą obsiać zbożem ozimym. Jako pierwsze na pola ziemniaków wychodziły dzieci. Ich zadaniem i pracą było oczyszczenie stajń (tak regionalnie określano w Głogowie i okolicy areał upraw) z badyli, czyli łątów ziemniaczanych i chwastów. Później w ten sposób przygotowane stosiki podpalano i pieczono w nich ziemniaki. Do starszych chłopców należało dopilnowanie, czy wypiek jest już gotowy. Nie mogły być za twarde ani za bardzo spalone, musiały być akuratne i jeszcze ciepłymi częstowano „kopaczy”. Smak tego „dania” czuję do dziś. Na tak przygotowane pola wchodziły kopaczki. Najczęściej były to najmowane do tej pracy kobiety lub najmowało się krewne i znajome na tzw. odrobek.

Prace wykonywano ręcznie, motykami „serduszkami” lub grackami. Żeby przyspieszyć pracę, „urobek” na przygotowaną stertę odnosili mężczyźni lub starsi chłopcy. Maluchy nosiły pełne kosze we dwójkę. Od razu na polu następowała wstępna segregacja plonu na sadzeniaki, do spożycia i dla chudoby. Nadgnięte i uszkodzone zostawiano na polu. Była to naprawdę ciężka praca, ale nikt przy niej nie narzekał. Czas i praca szybko mijały, bo dowcipkowano, komentowano wydarzenia, no i obgadywano znajome, czyli po głogowsku „bojcono” na różne tematy. Taka praca niezadko trwała cały jesienny dzień. Do gospodarza należało zwieźć całodzienny plon do domu. Nie od razu zsypywano go do piwnicy. Pozostawiano je przynajmniej na noc, by obeschły, i dopiero potem specjalnie przygotowanymi rusztami „zjeżdżały” do piwnicy. Te prace trwały zazwyczaj kilka dni.

Niezmierną radość sprawiały obfite plony, bo wróżyły dostatek i dobrobyt. Bardzo popularne było kopcowanie ziemniaków, ale w moim rodzinnym domu tego nie czyniono. Natomiast w czasach trochę późniejszych podziwiałem sąsiada, który posiadał ten kunszt i czynność tę powtarzał wiele lat corocznie. Przechowywane w ten sposób kartofle miały zupełnie inny smak i do późnej wiosny były świeże i zdrowe. Ponieważ kopce były zawsze w tym samym miejscu, to teren pod nie był wcześniej przygotowany i wyplantowany. Spód podsypyany był suchym piaskiem, wyłożony słomą i gałązkami świerkowymi, by polne gryzoni nie dostały się do niego. Wsuszone i przebrane ziemniaki wsypywano na tak przygotowane miejsce i formowano z nich kształtną przyzmę. Następnie przykrywano je szczelnie prostą słomą i obsypywano ziemią. W zależności od warunków pogodowych kilkoma warstwami. Trzeba było pamiętać o kominach wentylacyjnych, które były wykonane z deszczulek lub rur PCV. Wokół tak przygotowanego kopca wykopywano rowek, by odprowadzał nadmiar wody. Za-

glądano do niego od czasu do czasu w zimie, czy płody dobrze się przechowują, i dopiero na wiosnę podbierano z nich ziemniaki.

Obowiązki dnia codziennego to było jedno. Istotną sprawą było nasze wychowanie, wykształcenie i przekazanie głębszych wartości.

I tu trzeba sięgnąć do tradycji miasteczka. Głogów zawsze starał się dorównać do Rzeszowa, a także do Lwowa i Krakowa. Od dawien dawna głogowscy rzemieślnicy wyjeżdżali w sezonie do pracy w tych miastach (murarze, cieśle, szewcy). Miejscowi rzemieślnicy ze swoimi wyrobami wyjeżdżali bliżej i dalej na jarmarki i targi. We wspomnieniach zachowały się informacje, że docierali do Ulanowa i tam zatrudniali się jako oryle – flisacy, spławiając drewno i płody aż do Gdańska. Stamtąd przywozili liczne nowinki, potrzebę edukacji, kształcenia, obycia kulturalnego. Nasze babcie, mamy skrzętnie to wykorzystywały. Edukacja, ogłada kulturalna odgrywały bardzo ważną rolę. Już w XIX i na początku XX w. przedstawiciele tutejszych rodzin dbali o wykształcenie, a to było zachętą dla następców. Ponieważ wiele rodzin to były rodziny wielodzietne, obowiązkiem najstarszego dziecka po ukończeniu edukacji i zdobyciu wykształcenia była pomoc w tym zakresie młodszemu rodzeństwu. To dom pielęgnował prawdziwe wartości, a ich przekazywaniem najczęściej były matki. To dzięki nim wielu kolegów i wiele koleżanek z mojego pokolenia osiągnęło wiele w swoim życiu i wiele znaczą w swoich środowiskach.

Tradycją Głogowa była aktywna działalność kulturalna. Od pokoleń działa orkiestra dęta, chór, amatorski teatrzyk. Teraz uświadamiam sobie, jak trzeba było umiejętnie działać, by te wartości nam, młodemu pokoleniu, przekazać. Ważną rolę odegrała tradycja. Ogromny udział miały Kościół, szkoła, instruktorzy domu kultury, bibliotekarze. Do współdziałania potrzeba było społeczników. I znów na tym polu ważną rolę odegrały kobiety – matki. Jakże mile wspomi-

nam jesienno-zimowe wieczory i czytanie lektur przy dobrze nagrzanym piecu. Kiedy już ja i moi bracia czytaliśmy zdarzało się, że mamie ze zmęczenia opadała głowa na piersi. Wtedy śmialiśmy się z tego. A przecież zawsze miała czas dla nas. Trzeba podkreślić również spędzanie wolnego czasu z ojcem. Dla Taty zarezerwowana była niedziela i święta. Był naszym najlepszym przyjacielem, bardzo wyrozumiałym i często przymykającym oczy na nasze młodzieńcze „wybryki”. Dla niego najważniejsza była rodzina i więź z krewnymi. Tradycją stało się w naszym domu odwiedzanie stryjów na tzw. Piasku i słuchanie opowieści o „tamtych” czasach. Tato uczył nas poznawać las i jak współżyć z przyrodą. Przekazał mi legendy i opowieści o przeszłości naszego miasteczka, które rozbudzały młodą wyobraźnię.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku dużą rolę w naszej kulturalnej edukacji odegrał nauczyciel głogowskiej szkoły, pan Stanisław Bielecki. Prowadził orkiestrę i chór, uczył gry na różnych instrumentach wspólnie ze swoim teściem (długoletnim organistą głogowskim), panem Kazimierzem Sztabą. Oczywiście, na te zajęcia zapisała nas mama. Moje osiągnięcia okazały się mierne, ale starszy brat rozwinął się w tej dziedzinie i stał się multiinstrumentalistą. Pamiętam, że mama z grupą koleżanek i kolegów czynnie brała udział w pracach amatorskiego teatryku. Zespół ten był w stanie wystawić kilka jednoaktówek rocznie. W repertuarze był i Fredro, i Zapolska, i baśnie Andersena. Zajęcia prowadził niezapomniany organista z Bud Głogowskich, pan Edward Kotula. Scenografię projektował pan Mieczysław Cisek, a jego zamiary urzeczywistniali miejscowi stolarze. Mile wspominam zajęcia w chórze kościelnym. Członkami jego byli uczniowie, również członkowie chóru szkolnego. Umiejętne działanie opiekunów i społeczników nie budziły zastrzeżeń ówczesnych władz. Kiedy na początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku wyrzucono ze szkół religię, bardzo szybko zawiązał się komitet organizujący kate-

chezę przy kościele. Potrzebne sprzęty niby zużyte i zniszczone za cichą zgodą kierownika szkoły, pana Manelskiego, trafiły do salki katechetycznej. Tenże komitet zorganizował comiesięczną zbiórkę funduszy na wynagrodzenie dla księdza katechety. Do dziś gdzieś w archiwach domowych są zapiski i cała buchalteria tego przedsięwzięcia.

Niezmierny mój podziw budzi ogromna siła matki. Skąd czerpała na to wszystko energię? Z jej twarzy nie znikał uśmiech, miała czas na żarty i dowcip. Nie opuszczał jej dobry humor, a często i cięte riposty. Chciałbym, aby dzisiejsze matki były takie same i tak wprowadzały w życie swoje pociechy, jak to było w czasach mojego dzieciństwa i młodości. Dlatego dla mnie dom – wspomnienia o ludziach, rzeczach i sprawach – wypełniony jest przede wszystkim Mamą, więc jeśli mówimy o domu polskim, to zawsze przed oczami mam Jej obraz.

Anna Leska*

Archetyp domu polskiego w przemianach pokoleniowych na przykładzie mojej rodziny

Archetyp domu dla większości Polaków jest jednoznacznym i dość oczywistym pojęciem. Motyw ten jest mocno zakorzeniony w naszej kulturze. Z kręgu literatury na myśl od razu przychodzi dwór w Soplicowie opisany w narodowej eposie Adama Mickiewicza i Kochanowskiego dom w Czarnolesie. Fizycznie to dom na wsi skąpany w zieleni i kwiatach, z własnym ogrodem i sadem. Najważniejsza jednak jest treść tego miejsca, a więc bijące przy wspólnym stole serce każdego domu. Wspaniale opisał rytm tego serca Stefan Żeromski w *Przedwiośniu*. Prawdziwą księgą domu polskiego są *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej, która na przykładzie kolejnych pokoleń mieszkańców domu w Serbinowie opisuje treść życia – żmudne zmagania z prozaiczną codziennością, wśród których przewijają się chwile prawdziwie doniosłe. Nie zawsze ten dom jest idealny. Dom mieszczański na przykład, za sprawą pani Dulskiej¹ kojarzony jest z pruderią i obłudą. Niezbyt mile widziane są zagraniczne mody,

* Anna Leska, malarka, architekt, piastunka ogniska domowego.

¹ Gabriela Zapolska, *Moralność pani Dulskiej*.

a na pewno nie w nadmiarze, o czym przekonuje satyra Ignacego Krasickiego². Niech wzorcowym stanie się opisany przez Mikołaja Reja³ dom pełen harmonii i zgody, w którym życie toczy się zgodnie z porami roku wyznaczającymi rytm pracy i odpoczynku, a wartości duchowe i moralne są szlachetne i wzniosłe.

To właśnie tradycją i pracą stoi prawdziwy dom polski. Wspomniane przykłady z literatury dotyczą świata, który odchodzi w niepamięć. Takich gospodarstw próżno dziś szukać poza dzikimi jeszcze, wschodnimi kresami naszej ojczyzny, a i tam są to pojedyncze przykłady. „Dopałła” nas technologia, pośpiech i zanik tradycyjnych wartości. Otoczenie domostw nawet na wsiach sprowadza się często do polbruku, trawnika i iglaków. Rolnictwo stało się zmechanizowane i coraz mniej ludzi prawdziwie żyje rytmem zgodnym z naturą. Obraz domu zmienił się pod wpływem mód, najczęściej zgubnych, a przede wszystkim za sprawą zmiany systemu wartości. Być może moda naprawi to, co moda zniszczyła, bo dziś obserwujemy tendencję do powrotu na wieś. Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu z punktu widzenia profesji architekta, która przecież domu dotyczy bezpośrednio. A jednak samo bycie architektem pozwala jedynie na zaprojektowanie budynku, a czym jest nawet najwymyślniejszy i najpiękniejszy budynek bez rodziny, jeśli nie pustą i żalosną skorupą? Dlatego punkt widzenia architekta jest tu rozszerzony, a nawet zdominowany przez punkt widzenia Matki, która kiedyś była córką i wnuczką, a przy tym odebrała wykształcenie stosowne, aby projektować domy. Wspomnienie wiejskiego gospodarstwa dziadków, pamięć domu rodziców, zbudowanego i prowadzonego ciężką pracą całej rodziny, a także zdobyte wykształcenie – to wszystko przekute zostało w kolejny dom. Dom ten jest

² Ignacy Krasicki, *Żona modna*.

³ Mikołaj Rej, *Żywot człowieka poczciwego*.

współczesny i położony w mieście, a jednak żyje w nim to, co było najważniejsze dla poprzednich pokoleń.

*

Dom to miejsce w sferze materialnej, duchowej i mistycznej. Materialnie dom to przestrzeń tworząca warunki do prowadzenia życia godnego człowieka. Miejsce do przyrządzania i spożywania pokarmu, odpoczynku, uprawiania swoich pasji, pracy twórczej i zawodowej niekiedy. Każdej takiej życiowej czynności odpowiadają inne warunki ergonomiczne, co za tym idzie, różnorakie funkcje pomieszczeń. To pojęcie pojawiało się coraz częściej w miarę zdobywania większych możliwości materialnych i rozmaitych specjalizacji.

Różnorodność specjalizacji odbija się w różnorodności ludzkich zachowań i charakterów. Dla nich wszystkich musi się znaleźć miejsce pod dachem prawdziwego domu. Wraz z rozwojem cywilizacji ustalono pewne kanony zachowań, charakterów i usystematyzowano przestrzeń materialną do życia człowieka – tradycje. Dom japoński, dom afrykański czy egipski różnią się zasadniczo – nie tylko wyglądem, formą, lecz także funkcjami, które tę formę dyktują. Bywają domy perfekcyjne pod względem materialnym, ale częściej zdarzają się domy bez specjalnych wystrojów. Zależy to najczęściej od fantazji mieszkańców. Dziś często obserwujemy domy urządzone wedle podyktowanych przez katalogi wielkich firm obrazków. Modny jest zimny, „skandynawski” styl. Ostatnio do łask wracają rośliny doniczkowe. Jednak czy kupione w celu „wyglądania” przedmioty i rośliny to prawdziwy wystrój? Wnętrze domu odzwierciedla wnętrze człowieka – jego pasje, zainteresowania, często jest zapisem historii, wspomnień z podróży i zawiera autentyczne, oryginalne ślady każdego z członków rodziny w postaci rysunków dzieci, przedmiotów codziennego użytku, pamiątek, przedmiotów kultu.

W tym miejscu wkraczamy w sferę duchową domu. Na nią niewątpliwie mają wpływ materialne elementy, a także specyfika człowieka. Rzeczy mają swą energię i oddziałują na siebie i otoczenie, a co dopiero człowiek, który jako istota duchowa zostawia swój ślad bytowania. Człowiek ożywia swą energią materialny świat. Wystarczy zauważyć, w jakim stopniu niszczy dom niezamieszkały. Zdarza się, że w domu duch naszych przodków żyje w postaci zwyczajów, zachowań, powielamy tradycje, wzbogacając je własnym doświadczeniem. Każdy dom jest jak człowiek: jedyny i niepowtarzalny. Każdy dom umożliwia istnienie jego mieszkańcom i daje oparcie temu, co leży u podłoża wszystkiego – życia.

Sfera mistyczna ma miejsce w domu, bowiem jedynie tutaj człowiek jest sobą w całej okazałości swej istoty. Mistycyzm to poszukiwanie możliwie najbardziej bezpośredniego doświadczenia Boga lub życia, którego celem jest zjednoczenie z Bogiem. Czasem wydaje się, że nie jesteśmy świadomi obecności Boga w szarej, wydawałoby się, codzienności. Historia daje nam przykład w postaci kaplic w domostwach – miejsca, w którym obecność *sacrum* jest obecna na szczególny sposób.

Światło w domu czy w ogrodzie daje życie. Domy budowane są z powodu miłości. Ta energia motywuje do kreacji: rodzina z dziećmi przy oświetlonym stole, kwiaty, drzewa w ogrodzie. Bywa, że domy, ich architektura i wystrój są doskonałe w swojej formie, proporcjach. Domy harmonijne! Mam tu na uwadze domy, które podziwiamy (obiekty zabytkowe) oraz takie, w których czujemy się dobrze. Często są to nasze własne domy, odzwierciedlające nasze dusze. Dusza, która kroczy swoją drogą, buduje harmonijne, pełne miłości otoczenie, a przestrzeń, w której przebywa, jest mistyczna.

Wędrując po maleńkich miejscowościach w północnych węgierskich terenach obserwujemy małe drewniane domki, niewielkie ogrodzone kwietne ogródki przed każdym z nich

– atmosfera taka jak w domu dziadków we wsi, gdzie dzieci z miasta spędzały lato. Galicja. Tereny te, podobnie jak Węgry, przez wiele lat należały do wielokulturowej monarchii Habsburgów. Taki właśnie dom przychodzi mi na myśl, kiedy mówimy o polskim domu.

I

Pierwsze wspomnienie to wspomnienie wnuczki –
dotyczy domu pokolenia pamiętającego zabory,
pokolenia, które odzyskało niepodległość

Na lekkim zboczach, w sadzie stoi drewniany, gustownie zdobiony dom z gankiem zwróconym na południowy wschód. Widok z ganku stanowi przeciwległe wzgórze. Przed domem rozłożysta jabłoń. Na południowy wschód, w znacznej odległości od domu stoi ogromna stodoła. Przed domem studnia z kamiennym korytem do pojenia koni i bydła. Na północ od domu stajnia, obora, kurnik, szopa i wozownia. Poniżej stodoły niewielki staw, a wszystkie zabudowania pogrążone w starym sadzie otoczone płotem z drewnianych sztachet. Trzy szerokie bramy: na południe i na wschód, za stodołą do pół. Główna brama prowadzi na drogę do Pilzna, leżącą w wąwozie ocienionym aleją starych klonów i lip. Niewielki ogródek przed domem, ogrodzony przed kurami niewysokim drewnianym płotkiem. Nad nim wychylały się do słońca niewysokie, białozółte baldachimy kwiatków, następnie stały krzewy kolorowych floksów, które swym zapachem za dnia uzupełniały wieczorny aromat maciejki. Nad wszystkim górowały dalie i malwy. Wreszcie pnąca biała róża. Za domem, na południowym lekkim nachyleniu rośnie winorośl. W sadzie drzewa owocowe przeróżne: jabłonie rozmaite, grusze, śliwy, orzech włoski, laskowy, a najwięcej śliwek węgierek.



Il. 1. Zdobienia ganku, na którym spędzano wolny czas,
2010 r., fot. S. Leska

Średnio zamożna rodzina budująca swoje życie po drugiej wojnie światowej, w zaciszu wsi pod Pilznem, na granicy województw Małopolskiego i Podkarpackiego. Dzień codzienny toczy się w zależności od pory roku wokół spraw związanych z uprawami rolnymi i hodowlanymi głównie na własne potrzeby. Nie ma rozmów o polityce, nie wspomina się czasów, kiedy był dobrobyt i dostatek, a to z powodu strachu, że przyjdą i zabiorą nadmiar majątku, w obawie, że zostanie się uznany za kułaka (pojęcie „kułak” ma wydźwięk pejoratywny).

Święta stanowią czas dla odmiennych czynności. Już w sobotę po codziennych obowiązkach pucuje się uprzęż koni, bryczkę, aby przed świtem wyruszyć do kościoła w Pilźnie lub na odpust do Tuchowa. Po powrocie znowu obowiązki, było głodne nakarmić, wydoić. Niedzielny obiad latem zazwyczaj jadało się na ganku. Po obiedzie świąteczna drzemka. Dzieci zwolnione z obowiązków mogły w tym czasie pocić, byle była cisza. Skradałam się wtedy na strych;

było tam mnóstwo ciekawych staroci, takich jak „Przegląd Powszechny”, miesięcznik z czasów zaboru austriackiego. Wieczorem, zwłaszcza z okazji imienin, dziadek w komorze ulewa z różnych dymionów do małych butelek wina własnej produkcji, babcia kroi jabłecznik i cała rodzina zasiada na ganku. Polskie melodie, „Jak długo na Wawelu”, „W zielonym gaju” i inne brzmią w wieczornym sadzie i docierają do sąsiednich domostw. Często była odpowiedź w postaci innej polskiej piosenki i w innym składzie muzycznym. U nas brat grał na akordeonie, dziadek na grzebieniu, ciocia na perkusji skonstruowanej ze sztućców na sklejkowym siedzeniu krzesła firmy Thonet.

Lato w tym domu to czas sianokosów, żniw, dożynek. Pobyt w domu ograniczał się do posiłków, i to nie zawsze. W czasie żniw główny posiłek zanoszony był na pole, tzw. „józyna”. Koszenie zboża, później młocka w stodole odbywały się z pomocą sąsiedzką. Innego dnia był odrobek, pomaganie sąsiadom w podobnych czynnościach.

Podczas długich zimowych wieczorów Babcia robi małe kwiatki z farbowanych kawałków płócien, z nich bukiety, którymi przyozdabia np. ocieplenia w skrzynkowych oknach, obrazy świętych czy wreszcie stawia we flakonie na stole. Pisze wierszyki okolicznościowe na imieniny i inne okazje, czyta przynoszone przez listonosza miesięczniki. Dziadek naprawia i ulepsza sprzęty i budynki gospodarcze, karmi i dogląda bydło.

Wizyty sąsiedzkie nie są próżną gadaniną. Towarzyszą im przydatne zajęcia, takie jak skubanie piór, któremu akompaniują śpiewane pieśni ludowe.

Boże Narodzenie w domu polskim, jak zapewne i w innych domach, jest dla dziecka bajeczne, magiczne. Najwyraźniejsze jest wspomnienie kołędowania, przebierańców, dramatycznych scen związanych z postaciami Śmierci i Diabła.

Dom ze wspomnień wnuczki, niewątpliwie polski, choć niezbyt duży, robi wrażenie domu, w którym na wszystko

jest miejsce. Pewnie dlatego, że funkcje innych niż mieszkalne pomieszczeń, takich jak sień, komora, głęboka piwnica, strych są racjonalnie wykorzystane.

II

Drugie wspomnienie to wspomnienie córki –
dotyczy pokolenia „Kolumbów”, ludzi,
w których młodość brutalnie wkroczyła II wojna światowa

Polski dom rodziców jest już miejski, dwurodzinny. Zapewnia niewielki i niezależny byt drugiemu pokoleniu, zanim staną na własnych nieruchomościach. Budowa domu według własnego wyobrażenia nie jest łatwa. Urząd pozwala na realizację kilku koszmarnych prototypów budynków jednorodzinnych, powierzchnia użytkowa jest ograniczona. Zlecenie projektu indywidualnego kosztuje tyle, co wartość materiałów budowlanych na cały tzw. „stan surowy budynku”. A zdobycie tych materiałów czy sprzętu graniczy z cudem. Buduje się po po godzinach pracy, systemem własnym, często kosztem godzin snu.

Praca jest najważniejsza, także zapewnienie materialnego bytu sobie i swoim dzieciom. Tak zwane „dorabianie się” sprawia, że każdą wolną chwilą nadrabia się zarwane noce. Zapomina się o przyjemnościach, rozrywkach kulturalnych. Sen jest luksusem. Posiłki są przygotowane przez mamę, lecz spożywane osobno, każdy o innej, dogodnej dla siebie porze. Jedynie niedzielne obiady bywają przy wspólnym stole.

W powojennych polskich rodzinach można zaobserwować zaniedbanie w sferze psychicznej i emocjonalnej jej członków. Nie ma czasu na wspólne posiedzenia, rozmowy w przestrzeni domowego ogniska. Pojawia się telewizja. Uczuciowość będzie miała znaczenie dopiero w trzecim po-

koleniu po wojnie. Obowiązek pracy, brak ciekawych rozrywek zastępują przyjęcia, dzisiaj zwane domówkami. Kulturalne życie jest w tym czasie luksusem. Ważniejsze jest bezpieczeństwo i zapewnienie bytu materialnego. W społeczeństwie panuje tendencja do opuszczania gniazda rodzinnego i awansowania do większych aglomeracji miejskich, w których życie rodzinne jest urozmaicone częstszymi niż na prowincji atrakcjami.

Ogród zakłada się raczej w celach produkcyjnych niż estetycznych czy rekreacyjnych. Hoduje się z zapasem na zimę własne warzywa, owoce. Żywność nie jest tak powszechnie dostępna jak obecnie. Wszystko trzeba „załatwiać”.



Il. 2. Aleksandra i Władysław Koziolowie w ogrodzie przy domu w Dębicy, fot. K. Leski, lata 90. XX w.

Dom moich rodziców pozostawił najcieplejsze wspomnienia w chwili, kiedy byłam już samodzielna. Wreszcie był czas dla siebie. Mama przygotowywała kulinarne frykasy i wpadając do domu rodziców nawet przelotnie, zawsze

można było się posilić smacznym daniem. Tato pielęgnował ogród, a w nim szczególnie kwiaty. Zdobywał sadzonki rzadkich odmian róż wielkokwiatowych, magnolii, rododendronów z Kórnika pod Poznaniem czy z Zasowa pod Dębicą. W letnie popołudnia zasiadali w otoczeniu kwiatów i dzielili się nimi z sąsiadami. Zapach ogromnego bukietu dobrze rozwiniętych róż, który otrzymywałam od taty bez specjalnych okazji, czuję do dzisiaj.

III

Część trzecia dotyczy domu Matki i Babci – architekta

Wzorzec domu polskiego wyniesiony z dzieciństwa – teraz matka, babcia oraz architekt usiłuje zaszcześcić w swojej rodzinie. Jest to dom duży, nie ograniczony w przestrzeni, ale też z klimatem. Jest w tym domu najważniejsze miejsce – miejsce przygotowania posiłków, a więc kuchnia połączona z pokojem dziennym, zawierającym aneksy do czytania, palenia w kominku lub przebywania w swojej przestrzeni, jednak w towarzystwie bliskich. Jest kontakt członków rodziny zarówno w czasie domowych zajęć, jak i odpoczynku. Wszyscy chętni mogą uczestniczyć w przygotowaniu posiłków oraz w spożywaniu ich przy dużym stole, latem oczywiście na tarasie. Smak potraw przygotowanych przez kucharzy artystów, to jest członków Rodziny, czasem i Przyjaciół, w wesołej atmosferze wzajemnej akceptacji i miłości, bywa niepowtarzalny!

Dom moich marzeń przyjmie każdego gościa. W domu polskim zebrani członkowie rodziny mogą dzielić się doświadczeniami życiowymi, również starsze pokolenie będąc w bliskim kontakcie z najmłodszymi nie odczuwa zbyt szybko upływającego czasu. Domownicy, ich przyjaciele, znajomi znajdują tu miejsce i strawę. W domu jest możliwość



II. 3. Miłe chwile w rodzinnym gronie w salonie, 2018 r.,
fot. A. Leska



II. 4. Przedstawiciele najmłodszego pokolenia częstują się poziomkami
w ogrodzie babci, 2013 r., fot. A. Leska



Il. 5. Dom Mamy i Babci Architekta – w otoczeniu róż – to tradycja pielęgnowana od pokoleń, 2020 r., fot. S. Leska

wykonywania pracy zawodowej, dzieci mają wiele ciekawych zakątków do zabawy, a muzyka, która integruje cały ten konglomerat, stanowi jedną z ważniejszych przestrzeni pod jego dachem. Podobnie – ogród wokół domu, gdzie można się ukryć przed zgiełkiem ruchu samochodów, a latem można spędzać tutaj cały dzień w cieniu drzew. W miejscach, do których docierają promienie słońca – niewielkie grządki z zieleniną, kwiatami i ziołami.

Dom polski obowiązkowo ma w otoczeniu duży ogród, przestrzeń biologicznie czynną, proporcjonalną do powierzchni zabudowy. Polskie tradycje mówią o domu wielopokoleniowym, w którym cała rodzina znajduje swój kąt. Wymagane jest porozumienie, co wiąże się z trudnościami we wzajemnym bytowaniu, z większą tolerancją, lecz i z wie-

loma korzystnymi aspektami kształtowania pokoleń. Dbalność o rzetelność w codziennych czynnościach, przykładność w zachowaniu, szczerłość i otwartość w rozmowach i w uczuciach to wartości, które budują narody, a swój początek mają właśnie w domu.

Domek na małej działce w minimalistycznym wydaniu jest charakterystyczny dla krajów Europy północno-zachodniej. Obecnie spotyka się tendencje budowania takich domków na niewielkiej działce jedynie dla najbliższej i niezbyt licznej rodziny; być może wiąże się to ze zmianą sposobu myślenia i postrzegania z powodu fascynacji kulturą zachodnio-europejskich społeczeństw, a może jest to związane ze zmianą uwarunkowań ekonomicznych i socjalnych.

Dzisiejszy dom posiada wiele udogodnień w postaci sprzętów i wynalazków umożliwiających łatwiejsze i szybsze wykonywanie codziennych czynności, ale czy jest to lepsze?

Likwidacja żelaznej kurtyny, następujący dobrobyt materialny, nieograniczone możliwości rozwoju sprawiają, że młode pokolenie czuje się zagubione. W tym miejscu ogromne znaczenie ma właśnie dom wraz z obecnymi w nim wartościami.

*

Sytuacja społeczno-ekonomiczna związana z pandemią z pewnością przyniesie ogromne przewartościowania w zakresie pojmowania domu. Najistotniejszą cechą domu jest przestrzeń do godnego i bezpiecznego życia rodziny w kontakcie z otaczającą przyrodą. Bo, jak mamy obecnie okazję przekonać się, rodzina jest największą wartością społeczną, nie wysokie stanowiska zawodowe, nie majątkość, nawet nie talenty, a umiejętność współżycia z innymi, kochania i akceptacji wszelkich przejawów życia. Dom stanowi fundamenty człowieczeństwa. Dom to ludzie w swoich przejawach piękna i kreatywności. Przyroda, ogrody, lasy i zwierzęta

są nieodzowną częścią ludzkiej egzystencji, dlatego dom to nie, jak się przyjęło nam wmawiać, wydzielona w bloku wielorodzinnym przestrzeń, ale zintegrowana energia życiowa ziemi.



**DOM
W ARTYSTYCZNEJ OPRAWIE**

Elżbieta Kozłowska-Świątkowska*

Do tego domu przychodzę tylko we śnie...¹

W moim starym, kresowym domu, do którego przychodzę tylko we śnie, bywało jak u Babci na imieninach – ciepło i familiarnie. Wówczas wszyscy moi śp. Domownicy stawali mi przed oczyma, każdy z dostojnością piastując listy, ryngrafy, fotografie. Często myślę, że kiedyś będę musiała zdać im rachunek z całego życia i opowiedzieć o świecie, jaki zostawili Oni, a jaki otrzymałam ja. I nie będę musiała się z tym opowiadaniem spieszyć, bo będziemy mieli przed sobą bezmiar czasu, czyli wieczność. A może już w ogóle nie będziemy mieli do czynienia z czasem... I podziękuję im za światło, które wniesli w moje życie, a które nieustannie iluminuje pamięcią, miłością, dobrem zataczając z biegiem lat coraz większy obszar – od ogrodu „pierwszych słów” w dzielnicy Skorupy (ulica Nowowarszawska 32) po kwartały coraz dalsze i bliższe zarazem rozpoznaniem, tradycją, ale wszystkie w obrębie Starego Białegostoku – miasta wielu kultur, religii, obyczajów, kalendarzy i architektury, wspólnego wojowania i wspólnego świętowania. Przeglądając archiwum domowe (pięć pokoleń białostoczan) zauważyłam, że zewsząd emanowało poczucie wspólnoty w tej różnorodności. Wśród listów, księgi domu, kartek okolicznościowych

* Elżbieta Kozłowska-Świątkowska, pisarka, poetka, edytor i biograf.

¹ W tekście opublikowano wiersze ze zbiorów: *Do tego domu przychodzę tylko we śnie* (1999) i *Zapachy dzieciństwa* (2003).

„Z powinszowaniem Imienin” – było źródło o dobrym sąsiedztwie, wzajemnej pomocy, przymierzu na śmierć i życie, Polsce...

To mój przewodnik po labiryncie pamięci wiernej i skupionej w poczuciu wspólnoty – nie przeciwieństw; miłości – nie konfliktów.

Tak z mapą wytyczoną w „wielkim lustrze nieba” wędruję szlakiem „Ciszy serca. Ciszy pamięci” (o którym mówił Jan Paweł II).

Wciąż pielęgnuję przykazanie, które z częstochowskim Aniołem Stróżem wisiało nad moim łóżkiem „Kto żyje uczciwie – ten żyje bezpiecznie”. Ta nadzieja starcza mi za cały Dekalog, jak też kilka wybornych złudzeń, które wzięłam na zapas z Domu rodzinnego – zapas na długi czas, a może w ogóle na wszelki czas pozaprzeszły i pozaprzyszły.

Wiem, każdy chce wrócić tam, skąd wyszedł – do domu. Ale Domownicy już dawno usnęli. Bezpowrotnie. Na szczęście – przechowałam obrazy świetności i daty paru dobrych dni. Wiem, że dziś trwałe okazuje się jedynie wczoraj, którego i tak już nie ma...

Rozsiadł się przeszło
sto lat temu.
Drewniany, kryty
ochrową dachówką
z białym gankiem
i oszkloną w czworobok
werandą
od ogrodu.
Bielił się zimą.
Śnieg
układał się miękko
w rynnach
i okapach.

Szczodry mróz skrzypiał
w alejach sadu...

ileż to razy zasiadaliśmy
pod wielkim dachem nieba
motyle krążyły przekornie wokół stołu
na którym lekko pachniał miód

wiele spraw było jeszcze przede mną

ścieżką usypaną tłuczoną dachówką
szła Babunia w odświętnej sukience
niosąc do altany szafranową szarlotkę

lato lśniło między konarami
a w hamaku spokojnie mógł spać czarny kot

dzisiaj jakoś muszę sobie radzić
choć słowa ciężkie jak kamienie...

Przepis Prababci na szafranową szarlotkę

„Pół funta ładnej mąki sparzyć dwiema łyżkami ukropu, dodać ćwierć funta młodego masła, dwie łyżki cukru i zagnieść to razem, bacząc zawsze na to, iż tylko z dobrych produktów wydają się pyszne wypieki. Ciasto robić w zimnym miejscu, rozwałkować cienko, ile się da. Włożyć w środek poprzednio uduszone, drobno krajane jabłka zmieszane z cukrem, młodym masłem, rodzynkami i utłuczonym szafranem. Jabłka powinny być zimne zupełnie, bo inaczej robi się zakalec w cieście. Nałożywszy ich pełno, posypać bułką, przykryć ciastem i wstawić do dobrze nagrzanego pieca. Na wierzchu położyć masła młodego i przekłuć ciasto w kilku miejscach, aby nie zwilgotniało od pary. W piecu musi stać blisko godzinę”.

Ogród i sad tworzyły jakby deltę okoloną
starodrzewem bzów, kasztanowców,
to stamtąd przybywał Święty Mikołaj,
spośród oszronionych chochołów.

A śnieg zsiadał się na okiennicach
i starych pniach...

Pod nagrzanym kasztanem, w nawie ogrodu,
leżał spory kamień. Strażnik zapisków,
listów, metryk, ksiąg domowych
zatrzaśniętych w kuferku zakopanym
Bóg wie przez kogo z domowników.
Czasami spośród uchylonych gałęzi
opadał krótki promień słońca.
Kiedyś, jako mała dziewczynka
zapytałam Prababcię Pelagię o dziwny,
lekkowilgotny zapach kartek...
Przesuwając dłonią po cienkich jak azur stronach szepnęła:
„w krwawym polu srebrne ptaszę,
poszli w boje chłopcy nasze, hu,
ha, krew gra, duch gra, niechaj
Polska zna jakich synów ma...”

w sadzie bije źródło
z biegiem czasu
słyszę nasze głosy
wiatr roznosi je po nagrzanym jabłoniach
i zapada w sierpniowym zmierzchu
słyszę miękkie kroki Babci
niosącej jeszcze dymiącą herbatę
z lukrecji i malin na przeziębienie

ktoś zgasił światło

lubię dom o szarej godzinie
i polnego konika
w przeźroczystym kubraczku na framudze okna

mówisz

lato wypala się na rusztach
ciepły wiatr zawadził o pokrzywy
„Tobie ziemia
Tobie morze
Tobie śpiewa żywioł wszelki
Bądź pochwalon, Boże wielki”

Dziadkowi Konstantemu

I znowu
wiosna
nawieje zapachów
i ptaków

za ulicą
w ogrodzie sąsiadki
ostatni śnieg
zbiera sadzę

wygasa zima
w kuchni

za tydzień
Palmowa Niedziela
w dzbanku
nabiegły pędy wierzby
łowny zmierzch nastaje później
pachnie krochmalem, octem,
cebulnikiem

Wielkanoc

wypełniło się Słowo

I znowu
zasiedliśmy do stołu

Alleluja

Na zawsze
pamiętać będę

taki czas

Babci Zofii

po tylu latach
gładzisz mnie po włosach Babciu

Twoje dłonie są pełne światła

mówisz

miałam wielkie szanse
by wyjść na ludzi
i Muzom składać dziękczynienie

pochylasz oczy

na sukni poprawiasz cienie
i przypinasz kameę

„Ej wojenko, wojenko cóżeś ty za pani
że za tobą idą chłopcy malowani

...

wojenko, wojenko, co za moc jest w tobie
kogo ty pokochasz
w zimnym leży grobie”

tymczasem zapadło się echo
posiwały sztandary

wyschły słowa
odeszli
chłopcy malowani

Moim Pradziadkom

nie mów
z ustami pełnymi bólu
weź ze sobą światło
duży półmisek do ryb na Wigilię
żeliwny ryngraf Pradziadka
kilim znad łóżka
Jezusa w Ogrójcu
podróż przed nami niesłychana
spójrz
podmokłe łąki
skrzą się
w wielkim lustrze nieba

Zimą wczesne niebo przyjmowało odcień
ultramaryny. Ogród cichł. Smukłe gałęzie
brzoź bieliły się jak w lukrze. Mróz
układał arabeski na starych pniach.
Rumiane słońce rozchyłało zaspę,
w których zastygły ubiegłe ślady...

Na wiosnę wynajmowano sąsiada z naprzeciwka do orania
pola. Przychodził z pięknym gniadym koniem. Koń szedł
wzdłuż dawnych bruzd i zawracał na starym warzywniku

przed sadem. Równiutkie zagony opadały do rzeki i pachniały świeżą, rześką wilgocią. Po pracy gospodarz przyprowadzał konia do studni.

Słońce marszczyło się w toni i na grzbiecie Gniadego. W miejscu po wyciętych pokrzywach leżał worek z owsem. Dziadek Konstanty wychodził na ganek i zapraszał Antoniego na ulubione bliny ze śmietaną i kieliszek jarzębinówki...

Jarzębinówka

„Przemarzłe nieco jagody jarzębiny podpiec trochę na blasze w letnim piecu, nalać dobrą wódką tyle, aby je objęła i postawić w słońcu na sześć tygodni. Gdy naciągnie, zlać z jagód do smukłych karafek. Używać roztropnie i wedle toastów”.

na Bojary chodziłam przez pola
nad Dolistówką
po nogach muskało mnie szorstkie żyto
kąkol purpurowy wychodził i tak na swoje

ileż chciałam tobie wówczas podarować

„Rachela i Abram –
poznaliśmy się w szkole przed wojną

zginęli 16 sierpnia 1943 roku
w getcie przy Jurowieckiej

wciąż o nich pamiętam”

zanotowała moja Mama

Jakubowi

przyszedł czas
by spojrzeć

(z przeszłości jestem dumna
pisała Babcia Zofia)

w mediach wciąż mówią
o sprzymierzeńcach
dają dobre rady
zmieniają kolory
jak trawy na horyzoncie

chciałabym żebyś usłyszał
melomana słowika
w jaśminie zawrotnie białym

synku

wiatr się starzeje
i pamięć

lubiłam rozmowy do świtu na werandzie
brzask rozświetlał słoje jagód posypanych cukrem
a pod okapem wiły się jaskółki

kto wie
może trzeba było zagłuszyć
pasje i triumfy
wyrzec się ciała i duszy
złorzeczyć wrogowi

tymczasem
ulice płyną marszami milczenia
któż z nas zostanie pod nieba skłonem

Dom zaczynał się wcześniej.
Wszyscy spotykaliśmy się w kuchni
z kaflowym piecem.

ogród rozpoczął się tuż za gankiem
białym o każdej porze
wabił mnie zapachem owocowania
i deszczu
w dziupli rosochatego kasztanowca szeptałam tajemnice
i Słowa Pańskie

w sadzie
słońce nadawało starym drzewom
świeży blask

moja zapobiegliwa Babcia
mówiła
„pilnuj, by choć marzenia
nie zostały upokorzone”

najmocniej pachniał czarny bez
trochę cierpko
niezwykle słodko rezeda

za furtką od warzywnika
wiosna unosiła się wiatrem
nad podziw soczystym

dwa jazy przedzielały łąkę
rzeka płynęła
odbijając światłocienie

Dziadek Konstanty
zapisał:
„moim Przyjaciołom
Gimnazjalistom
poległym w bitwie 1920 roku
niech Wam ziemia lekka
jak nowy dzień
będzie”

Urokliwe były świty zimą. Podpatrywałam je na werandzie, skąd roztaczał się widok na trzy strony mojego świata: aleję róż, kasztanowce i dziką gruszę. Każda z nich była pełna dziwności, zagadek. Kiedy dzień się na dobre rozchylił, sikorki chmarą obsiadały krzewy. Zlatywały też szczygły i gile, kryjąc się pośród gałęzi dzikiego wina, którym omotana była studnia w ogrodzie.

Spizarnia. Chłodna, nieco mroczna
ze skrzypiącą podłogą.
Uwielbialiśmy tam bywać.
Na półkach pyszniły się konfitury,
pikle, nalewki...

Wiśniówka

„Dwa garnce wiśni utłuc razem z pestkami w moździerz kamiennym. Zalać garncem spirytusu, dodać goździków, łut cynamonu, pół funta wanilii. Gąsior zatkać wyparzoną korkiem i postawić na słońcu na cały miesiąc. Potem przecisnąć przez lnianą serwetę, zrobić syrop z czterech funtów cukru i wymieszać. Postawić w ciepłe do czasu aż męty opadną.

Wtenczas precedzić przez bibułę i rozlać do pięknych, przezroczystych karafek, aby całą nutę ukazały.

Popijać wolno smakując i na strzemiennego”.

po drugiej stronie domu
parkan
wąski trotuar
ulica
wczorajszy dzień

bryczka
pachnący sznur grzybów
ziół na przeziębienie
leśniczyna Sabina
z czarnolasu
Królowego Mostu

„tędy szli niosąc
umarłe już imiona
krzyżyk ulepiony z chleba

widziałam
17 września 1939 roku”

Zofia K.

Wujaszкови Staszкови
jakby ktoś bliski znowu
trzymał mnie za rękę

z dachu altany puszczałyśmy
bańki mydlane
mieniły się w powietrzu
jak tęczowe kule chiromantki

moja pamięć pięknieje

poprzez łąkę biegła ścieżka
lubiłam wędrować
jaskrawe kwiatostany przyciągały roje
drżąca pliszka mrużyła oczy
z nieba spadało babie lato

dzisiaj unikam emocji
słowa trzymam w karchach

doprawdy nie jestem w tym pojętna
(architekci urody)

poprzez łąkę biegnie
czarna połyskliwa dwupasmowa jezdnia

„tak łatwo można z tego życia odejść”

żyj szybko i z ciekawością cudzoziemki

P.S. tej wiosny sad wyglądał jak na wydaniu,
powróciły szpaki

twoja M.

„jakże kocham ten dom
niosłam go po drogach wygnania
wracałam zewsząd
do upojnego zapachu
w porze konfitur
byłam daleko
cierpiałam mrocznie

Boże niech ocaleje
Bóg mnie wysłuchał”

piśla Prababcia Pelagia

czasem uśmiecham się

na przyćmionych konarach
osiadły synogarlice
płochy
w czasie krzątania czekały psy
słońce podnosiło trawy

Babcia podnosiła oczy
kolejny list

wiedziałam
że Pan Cogito
ma utrudniony powrót
do ojczyzny

upalny dzień
unosił się w kurzu
i zapachu lodów
ptaki od rana śpiewały
w rozłożystej akacji

w starej alei parku
wędrowny kramiarz
rozkładał swój wabiący majdan
cekinowe laleczki
kartonowe pierroty
indiańskie pióropusze

tuliłaś mnie serdecznie
i powierzałaś
Aniołom Stróżom

powracam tutaj czasami
niełatwo
dopłynąć do drugiego brzegu
biały cień rozkłada się jak mgła
i przywodzi tamto zacisze

od tylu lat przeglądam się
w obcych lustrach

Po kolacji zbieraliśmy się w pokoju
na długą gawędę o lekturach.
Czytano Mickiewicza, Żeromskiego,
Rodziewiczównę, Kraszewskiego...

Prababci Pelagii Mirskiej

byłam tam
widziałam skulone oczy
kiedy je upychałam w koszu
z cuchnącą szpitalną bielizną

przy ulicy Polnej czekali nasi
a potem
Wasilków, Pietrasze, Michałowo, Jałówka

pytasz
czy się bałam...
nie pamiętam
strach ma wielkie oczy
ja widziałam tamte

no... nie byłam młoda
nie czekali na mnie poeci
iluż ich było...
Chawe, Sonia, Fajba, Jaszpe, Jejeł, Maszka

twoja mama bawiła się z nimi
na podwórku

nie pisz tego

zapamiętaj

nie mów o mnie głośno

w moim pawiookim ogrodzie
chowam dawny skrawek nieba
żał za dzieciństwem
wybijałam jak dziewanny
szkaplerz z Lourdes
kolorowe szkiełka
którymi puszczałyśmy zajaczki
pędząc za latawcem
po rudej łące

kto je policzy
zielenice, ogrody, łągi
lubiłam wyprawiać się do Zwierzyńca
rudego, rdzawego
kiedy jesień zwiewna
zajmowała po kolei drzewa
dzieliła las na plamy
coraz bledsze, coraz dalsze
a kruche pajęczyny wibrowały
na mchu widłaku
las był
był odkąd pamiętam

„Imię nasze pójdzie z czasem w niepamięć
i nikt nie wspomni naszych poczynań.
Przeminie życie nasze jakby ślad obłoku
i rozwieje się mgła,
ścigana promieniami słońca
i żarem jego przybita”.

(Księga Mądrości 2,4)

na roztozczach
przykłękły mgły

znieńacka wzleciał miedziany bażant

Pradziadek zapisał:

„tam, na tamtej ziemi
prosiłem Boga o śmierć cichą
niekiedy wydawało mi się
że nawet zioła
wstrzymały oddech wonny

ból w sobie noszę
nie potępienie...”

dzieciństwo

okamgnienie

pachnie karmelkowym lizakiem

zbiera się na deszcz
grafitowe niebo
weszło do przedpokoju
wiatr przyłgnął liściem
do okna w kuchni

na kolację będą leniwe pierogi z miętą

Przepis Babuni na pierogi z miętą

„Funt świeżego, nie zwarzonego twarogu wycisnąć dobrze z serwatki. Rozetrzeć w donicy z łyżką masła i czterema żółtkami, wsypać trochę soli, łyżkę pszennej mąki, łyżkę świeżej posiekanej mięty, a gdy to wszystko doskonale uwiercone, ubić białka na pianę, wymieszać z lekka, wyrzucić tę masę na stolnicę grubo posypaną mąką, utarzać w mące i krajać ukośne kawałki. Gotować na ukropie w dużym rondlu, dopóki nie wypłyną. Wyjmować łyżką durszlakową, a na półmisku polać świeżym, gorącym masłem z bułeczką”.

Wujaszkwowi Staszkwowi

wszystko wezmę na siebie
pewność i niepewność
znaki na niebie
marzenia na ziemi
niepłonną nadzieję
proroctwa
i fortele

w jadalni
graliśmy w berka
stłukłeś wazę
ale na szczęście
schowaliśmy się
u Pana Boga za piecem

to było

figlarny pająk huśtał się
na gałązce
i mizdrzył do pąsowej malwy
urodziwe słońce
rozniecało dzień
– na tym świecie pełno samozwańców albo pustelników –
mówił sędziwy Nikodem
i popijał wodę z malinowym sokiem z saturatora
– a ja wertuję Sybillę
sięgam po Apokalipsę i Aureliusza
zbieram znaczki
odpieram zarzuty

i od dawna spotykam się
z królewną, która sypia na ziarnku grochu

ciekawi mnie
jak żyjesz Babciu

po tym wszystkim
na pewno jesteś w niebie
układasz pasjanse
chodzisz do manikiurzystki
podziwiasz Świętego Jerzego
i akwedukty w Rzymie
po południu pijesz małą czarną
kieliszek wiśniowego likieru

a jak się miewa Dziadek Konstanty

– dziękować Bogu
uprawia skrawek nieba
dokarmia wróble

choć zimy u nas lekkie

Mojej Mamie

odchodzę w ten dawny czas
unoszący się wonią anyżowych ciasteczek

jesienią słońce jest już nisko
kładzie się daleko po pokojach
dzień ciepły i cichy
dzisiaj nie idę do szkoły
dzisiaj jestem Sophia Loren, Liz Taylor
a może Brigitte Bardot
wkładam Twoje za duże „szpilki”
taftową sukienkę
tę czerwoną w białe groszki (pamiętasz Mamo...)

maluję usta, kąciki oczu
robię słodkie miny

jesteś zuchwałą

mówisz

Anyżowe ciasteczka

„Pół kwarty mąki, osiem łutów masła, cztery łuty drobno utłuczonych migdałów, jeden łut utartych ziaren anyżu, ćwierć funta cukru, jedno jajko zagnieść razem. Rozwałkować, wykrawać okrągłe placuszki. Piec w piecu do zarumienienia. Kiedy złociste i wydają się pyszne, układać na szklanej paterze i nałożyć na wierzch konfitur z agrestu”.

Pamięci Ojca

wracaliśmy groblą
psy pobiegły do domu na skrót
na przydrożnym niebie wiły się jaskółki

weszliśmy od strony werandy

w sadzie
stare drzewa zaczerpnęły powietrza

powiedziałeś
„nie mam codziennego domu
wciąż rozmyślam
o błędach, patriotach
zbiegach sprawiedliwych
i okoliczności
a ty nie możesz tego pojąć”

jak zwykle
na krótko przed podróżą
zasiedliśmy do stołu
pachniało ogniskiem domowym

Wujaszкови Staszкови

chwytą mróz
słońce ledwie przebija na niebie
Adwent
chętnie chodzę do fary
i przyglądam się ustawianiu szopki
wół i osioł są prawie mojej wysokości
a gipsowy Jezusek otulony prawdziwą pieluszką
uśmiecha się
uśmiecha się naprawdę
wracam do domu
po drodze zachodzę do szewca
za uchyloną kotarą na ścianie
wisi haftowany atłasowy bucik
niżej na taborecie stoją kamasze, trzewiki, czółenka
obok blaszane pudełka z żywicą, woskiem,
terpentyną, szelakiem

wracam
na białym ganku tężeje świerk
w domu
jest niezwykajnie ciepło, pachnie makiem

blask latarni z naprzeciwka osiadł na ulicy

i grzybami

i starym klonie

wieczór zapadł się w odświętnej ciszy
nawet w najdalszym oknie płonie światło

Boże Narodzenie
nigdy nie było
niczego tak blisko

w pokoju z etażerką
pełną pamiątek z Południa
książek, naftowych lamp
kart do pasjansa, tęczyowych rybek
i kruchego śniegu zatrzaśniętego między szybami
Dziadek Konstancy opowiadał nam
o Dewajtis, Świętym Jerzym
i gołęmbim sercu

wzięłam stamtąd
kilka wybornych złudzeń
miłość
przyjaciół
przepis Babci na świąteczny piernik
to całkiem spory dobytek
byłam dorosła
kochałam bez wątpliwości
mówisz
wyglądasz po ludzku
i lepiej znosisz obelgi

wbrew pozorom
zmieniło się niewiele
ta sama aleja
ta sama latarnia

staroświecka brama
wyblakły kot podrzutek
tylko sąsiadka z naprzeciwka
już nie pierwszej młodości

czernieje droga w deszczu
deszcz obmywa sztachety
grzęznę w pamięci
próg zapada się w życiorysie
spod kropel przebija zapach mięty i wiatru
taki szmat za nami
że już nikogo nie żal

nie weszłam tam jednak
nie mogłam tego uczynić dyskretnie
ktoś nieznajomy wyniósł mi krzesło
usiadłam na brzeżku
rozczyły się chciwie
ogród maleńki
wycięte bzy i jodła
a tam, gdzie rosły renklody miodowe
jaśmin i jabłonka
stoi pawilon z obcym neonem
i nagle przez wpółuchylone
okno w kuchni
poczułam zapach
zapach dzieciństwa

Kazimierz Kondrat*

Poetyka domu – chata wiejska jako tekst

Etymologia i konteksty użycia słowa „poetyka”

Słowo *poiētikē* jako przymiotnik oznacza „produktywna”, „pomysłowa”.

Pochodzi od czasownika *poein* – „wytwarzać”, który pierwotnie miał znaczenie dużo szersze niż „tworzenie poezji”.

Rzeczownik *poiētēs* nie oznaczał „poety”, lecz „wytwórcę” (w rzemieślniczym sensie tego słowa).

Wyrażenie *Technē poiētikē* oznaczało pierwotnie „rzemiosło wytwórcze”, a z czasem określało „sztukę poetycką”.

W dialogu *Gorgiasz* Platon określa działalność pisarską jako *poiētikē*, a jej wytwór, pisarstwo, jako *poiēsis*.

W traktacie *Poetyka* Arystoteles definiuje poetykę jako rzemieślniczy fach i przyznaje, że trzeba do niego talentu.

Właśnie od tytułu tego dzieła wywodzi się nazwa późniejszej dziedziny badań literackich – poetyki. Poetyka jest zatem dyscypliną naukową badającą formy literackie. Jest terminem oznaczającym: 1) sposób oraz formę organizacji tekstu literackiego; 2) zespół zabiegów pisarskich charakteryzujących twórczość autora.

* Dr hab. Kazimierz Kondrat, filozof, poeta.

Uwagi lapidarne

Tytuł artykułu: „Poetyka domu – chata wiejska jako tekst” odnosi się do rozumienia domu w sensie dzieła literackiego, dzieła sztuki. Autorowi chodzi o niepełne przedstawienie domu, pokazanie sposobu jego istnienia jako formy „sztuki egzystencjalnej”.

Trzeba podkreślić, że tekst literacki odsyła nas do rzeczywistości pozaliterackiej, realnej, stanowiąc poetycką kompozycję (organizację) tej rzeczywistości.

Myśl przewodnia

Dom wiejski jest wielką poetyką, składającą się z poetyk „mniejszych”, które w istocie są dziełami niedomkniętymi, bezkresnymi.

Poetyka domu w dwunastu ujęciach

1 Dom to zagadkowo geometryczny budynek wymierzony linią architektury, osadzony w niekończącym się czasie i bezkresnej przestrzeni, otoczony zmieniającą się grą przyrody i względnie trwałym sąsiedztwem ziomeków, skarbów kultury, Bożych pomazańców itp.

2 Dom to zdumiewająca harmonia życia: ludzi, zwierząt, ptaków, ryb, to przenikanie się ziemskich tchnień uwięzionych chwilowo w okowach śmierci i Boskich pieczęci wieczności. Domy, w których gaśnie tętno życia, umierają śmiercią wykorzenia, dzielą los zdziczałego pustkowia, nurzają się w marności i zapadają w otchłań ruiny.

3 Dom to naznaczona historią tradycja – żywy język, niezmienna religia, rozwijająca się kultura, to utrwalone obyczaje, przestrzegane normy moralne, uroczyste świętowa-

nie, to uniwersytet światła i przekazu odwiecznej tradycji, to sprawdzony pogląd na świat, drogowskaz życia, to zaangażowany patriotyzm – lokalne umiłowanie ojczyzny. Domy bez tradycji są ideowo rozchwiane, wystawione na żer sprytnych ideologii, wyjętego spod prawa komunizmu, niedoścignętego w rzezi bolszewizmu, mającego błyskotkami kapitalizmu, taniego liberalizmu w szatach wykwintnych itp.

4 Dom to mała, srebrna ojczyzna w wielkiej bezcennej ojczyźnie.

5 Dom to rytm życia: mozolna praca i spragniony odpoczynek, to skromne i zastawne posiłki, to uroczyste świętowanie, gromkie śpiewy i strojne tańce, to przesiąknięte mistyką obrzędy, to gościnność bez targu, to strumienie radości i uniesienia, pocałunki smutku i zgryzoty, to gołębicą pokoju i szarańcza kłótni, to bezwiedne gadanie i głębia milczenia.

6 Dom to wieża wysoka, na którą wchodzi się codziennie i z której ogląda i ocenia się inne domy ulegając požądaniom doksy, to miejsce niekończących się plotek i wygodne siedlisko konfabulacji.

7 Dom, to rozpalony płomień miłości i nienawiści, przedziwne łoże dawania życia i odbierania.

8 Dom, to ukwiecony liliami ołtarz winy i błoga bezsilność przebaczenia, to zarośnięta dolina przekleństw i stroma góra błogosławieństw.

9 Dom, to płonąca pochodnia mądrości, światło uczciwej rozwagi, gościniec niechępliwej umiejętności życia i bezdenna studnia głupoty, szaleństwa na pokaz, pogorzeliśko wariatów.

10 Dom, to tajemnicze przejście ze śmierci do życia, to barwna doczesność i odsłaniająca się Transcendencja.

11 Dom to okryta modłami ikona Królestwa Niebieskiego, odczuwalny przedsmak ucztę wieczności.

12 Dom, to tęgie wyzwanie na gęstą poetykę, to dźwięcznie bijące źródło dzieciństwa, o którym można zaśpiewać.

Dom wydziedziczony

Dom to nie tylko budynek, to różnorodny splot wzajemnych relacji, powiązań. Wszystko ma swój czas i godzinę. Jest czas na pracę, odpoczynek i modlitwę. Jest czas na odpust, na miłość, na gęźby, na baję, na strojne obrzędy pór roku.

Dom i jego mieszkańców spowija więź szczególna
Są dla siebie życiodajną mocą
Magią gestów, dotknięć w zaśpiewie nadziei
Przytulnym ciepłem, iskrzeniem ogniska
Czule patrzą na siebie, zdumieni i bliscy
Kto tę więź zniweczy, zrujnuje jej miłość
Nikt go nie uleczy
On sam się zabije
To mądrość istnienia, śmierci, zmartwychwstania
Jaki sens duszy domu zadawać konanie?

Przywołując wspomnienia o moim domu rodzinnym opowiem w paru słowach o sobie, tacie i mamie. Są to fragmenty rozpoczętej książki autobiograficznej *Przestrzenie*. część pierwsza *Smak wyobraźni*.

Dzieciństwo i wczesna młodość

Moje dzieciństwo i wczesna młodość tętniły w dwóch domach. Mój dziad w drugiej dekadzie minionego stulecia za pieniądze zarobione w Ameryce kupił dziesięć hektarów ziemi na kolonii, półtora kilometra za wsią. W Ameryce pracował jako robotnik w fabryce przy obsłudze maszyn, w sumie sześć lat (trzecia fala migracji zarobkowej). We wsi, na wzgórzu, wybudował dom dwustronny, później dom ten podzielił z bratem przyrodnim, a jego połowę przeniósł na kolonię. Były tam pola uprawne i łąki, na które wieśniacy przyganiali bydło na wypas. Dziad ze względów praktycznych postanowił, żeby wszystko było pod ręką.

W tym domu przestronnym, ocienionym winem, z olbrzymim krzakiem bzu, w środku z piecem kaflowym, angelką, tajemniczo skrzypiącą szafą antyczną dane było mi przeżyć dzieciństwo i wczesne lata szkoły podstawowej. Dom cudem ocalał podczas działań wojennych. Został wprawdzie podpalony przez uciekających przed hołotą bolszewicką Niemców, ale natychmiast dziadek ugasił zapalone miejsca. W domu tym przyszli na świat moi wujowie i ciotki. W nim także poczęto mnie. Później, w niedalekiej odległości, rodzice wybudowali swój dom. Dom dziadków zakończył życie rozbiórką.

Drugi dom mojej młodości przeżył los dramatyczny. Po śmierci mamy (1996) sąsiad z pobliskiej wsi wziął całą posesję i ziemię podstępem. Ojciec bezwiednie podpisał pewien kwit, nie zdając sprawy, że jest to akt notarialny, i że zaciągnął pożyczkę w wysokości 200 tys. zł od wiejskiego cwaniaka (oczywiście, była to fikcja). Tego numeru, mimo podjętych prób, nie dało się już odkręcić. Niedługo po tym cała posesja (stodoła, chlewy i inne budynki) została podpalona przez niktzemnika, tak że wydrenował z agencji ubezpieczeniowych niemalą sumkę. Drewniany dom stał jeszcze przez parę lat, następnie został sprzedany na opał. Po majątku dziada pozostały tylko pola zasiane kukurydzą. Tę sytuację nazywam barbarzyństwem wydziedziczenia.

Dotykając refleksją opisany fakt sądzę, że można podpalić wszystko, co materialne, lecz nie da się spalić wspomnień, można je tylko rozognić.

Dosładzanie codzienności

Młodość sama w sobie jest niezwykła. Na wstępującej ścieżce istnienia budzą się do życia różnobarwne kwiaty. Pamiętam liryczny szum drzew, świergot ptaków, brzęk pszczoł, rechot żab, rzenie koni, beczenie owiec, ryk, kwik,

szczekanie, poranne gawędy donośne, krzyki z łąk i pól napełniające słuch, wzrok, węch magią bezkresu przekraczającą granice czasu. Utrwalone w pamięci dzieciństwo to chleb na stole rodzinnego domu, to woda źródłana. Nieznane jeszcze drogi życia czerpią obficie z tego źródła. Pamięć o nim niezatarta, żywotna, nie starzeje się nigdy. Moje dzieciństwo było częstką tętniącego wokół mnie kosmosu, gdzie różne odcienie życia sprawiają wrażenie nieśmiertelności.

Młodość ma smak empiryczny i zmysłowy. W tym zapewne ukazuje się jej urok i przewaga życia nad śmiercią. Młodość jest rozrzutna, nieposkromiona, zdumiewająco żywiołowa, wolna od przytłaczających nawyków świata. Ośmielam się powiedzieć, że jest ona również psotliwą igraszką z czasem, przestrzenią, najbliższymi stworzeniami, z rodzeństwem, sąsiadami, szkołą, rówieśnikami, dziadkami, rodzicami. Psikusy niedojrzałe jeszcze są wpisane w młodość, wyznaczają jej świeżość, podniosłość, płomiennność, atrakcyjność. Być może nieznośne, ale słodkie, jak pączki w polewie, dosładzają codzienność.

Psikusy mojego dzieciństwa i rozkwitającej młodości, wymyślne w słowach, obraźliwe, nierzadko wulgarne, lecz zawsze pomysłowe, określiły moją reputację chuligana z krainy „nic z niego nie będzie i skończy w więzieniu”. Bardzo wczesnie przyswoiłem różnorodne przekleństwa, okraszone własną inwencją, którymi pieczętowałem wszystkich, poza mamą. Temperament żulika poskramiałem dobrymi ocenami w szkole podstawowej. Nauka przychodziła mi łatwo, pewnie ze względu na pamięć muzyczną. Nie znosiłem jednak czytania długich tekstów, ponieważ wydawały mi się za długie, męczące, wprowadzające do głowy mętlik i zaciemnienie. Matematyka i poezja przenosiły mnie w świat potęgi i ukojenia.

Kolorową codzienność wschodzącej młodości dobarwiałem chuligańskimi wyskokami, nieokielznanym zestawem wyzwisk i pomysłowością gier, zabaw, żywiołowych rozpę-

dów. Do liceum w Drohiczynie nad Bugiem zostałem przyjęty bez egzaminu w roku 1971.

W pobliżu żartu i groteski

Tata mój był pogodnym humorystą. Bawił się światem, ludźmi, sytuacjami. Coś drobnego potrafiło go jednak wyprowadzić z równowagi. Wtedy odgrywał rolę wściekłego szaleńca. Myślę, że tacie zawdzięczam pogodę ducha, skłonność do optymizmu, jak również nieobliczalność. Na oczekaniu wymyślał satyrę i rozbrajający śmiech. Miał wyjątkową umiejętność zbierania plotek, ploteczek, śmiesznych kawałków, ciekawostek o innych ludziach i ich zwierzętach. Uwielbiał konie i ożenek starszych kawalerów. Miał status rajka, wiedział, która dziewczyna, w promieniu stu kilometrów, jest na wydaniu. Mama zdenerwowała się, gdy konie i krowy nazwał słowami z przestrzeni *sacrum*. A więc były to: proboszcz, prymas, biskup, zakonnica, kardynał, Olka, Amerykanka. „Durniu ty” – ostrzegęła, „jak ksiądz proboszcz się o tym dowie, nie wpuści ciebie do kościoła”. „A właśnie w ostatnią niedzielę byłem i wpuścił mnie” – odpowiadał.

Minęło wiele lat, gdy zacząłem doszukiwać się analogii między mną a tatą, między zbieżnościami naszych charakterów. Podobnie jak on mam w sobie szaleństwo i przekleństwo, ale również pogodę ducha, dobry humor, dowcip, zdolność wywoływania śmiechu. Podobnie jak on bez tych cech nie rozumiałbym rzeczywistości, a przynajmniej byłaby ona daleka od wszelkich prób zbliżenia się do niej. Tata odszedł do wieczności w roku 2002.

Nadgorliwa miłość

Moja mama była niezwykle zdolna, pracowita, dbająca o dom, zapobiegliwa, zrównoważona i artystycznie utalen-

towana. Brak funduszy i opieka nad dziadkiem (jej ojcem) po śmierci babci (mama miała wtedy 20 lat) stanęły jako przeszkoda w dalszym kształceniu. Pamiętam ją ciągle śpiewającą, w ogrodzie, w polu, w domu, podczas uroczystości rodzinnych. Skłonność do śpiewu i muzyki bez wątpienia odziedziczyłem po niej. Była bardzo powściągliwa w wydawaniu opinii na temat innych i rozmaitych sytuacji. Mówiła: „Moja chatka na skraju, niczego nie znaju”. Po śmierci mojego brata (miał tylko dwa miesiące) całą swoją miłość wylała na mnie. Odczuwałem ciepło i bezpieczeństwo, ale wstydziłem jej nadgorliwości. Wynikało to także z ubóstwa materialnego moich rodziców i doświadczenia biedy. Nabyłem kompleksu niższości porównując siebie z rówieśnikami. Nie rozumiałem wtedy, jak ciężko rodzice musieli pracować, by dwukrotnie spłacić tę samą ziemię. Rodzeństwo mamy rozjechało się po świecie, ziemia była pod hipoteką, z której moi rodzice ją wyciągnęli, a następnie spłacili należną z prawa dziedziczenia część ciotek i wujków. Mama cieszyła się moimi zwycięstwami, była dumna, ale martwiła się porażkami. Mam wyrzuty sumienia, że jej troskliwość wobec mnie i zaangażowanie nie spotkały się z należną wzajemnością.

Sprzęgnięcie wspomnień:

Dom opuszczony tęskni i marnieje

Dom porzucony sromotą się chwieje

Dom wydziedziczony nawałnicą dziejów

Pamięta dziedzica, przodków dobrodziejów

Dom opuszczony – nadzieja powrotu

Dom porzucony – bez nadziei gotów

Dom wydziedziczony – to koniec historii

Zbrodnia, pastwa, grabież barbarzyńskiej orgii

Pieśni o Domu

Dom małych miast

Jest taki dom
Dom małych miast
W którym wędrowny
Zamyślisz się jeszcze
Jest taki dom
Otwartych bram
Dzień się nie kończy
I noc nie trwa wiecznie

Słowa jak wiatr
W sennej uliczce
Rzeką odbity
Śpiew ptasich gniazd
Ściany już drżą
Metafizycznie
Wino na progu
Jeszcze nie czas

Czas to twój druh
W otchłani łez
Kielich bezzwrotny
Pij, jeśli chcesz
W domu przeznaczeń
Miast, gór i rzek
Usiądź tułacze
Zmyj złość i lęk

Jest taki dom
Dom małych miast
Dom malowany słońcem i winem
Dom małych miast
To ty i ja
Myśl wędrująca
W deszczu zadziwień

Twój Polski Dom

Twój Polski Dom
Nie jest igraszką
Nie sprzedaj go
Wrogom za flaszkę
Twój Polski Dom
Tradycji wierny
Strzeż jego bram
W czasach niepewnych

Na progu stań
Z pieśnią na ustach
Nim byle drań
Odprawi gusła
Twój Polski Dom
Tradycji wierny
Strzeż jego bram
W czasach niepewnych

Gdy przez okno wleci ptak
Nieproszony gość
Gdy w kominie huczy wiatr
Szumu masz już dość
Wyjdź na drogę, do słońca
I nie lękaj się
Światło cię ochroni
Tylko wierz

Dom Niezapomniany

Mój dom jak sen
Nie zapomnę go
Mój dom do dziś
Czuję jego woń
Mój dom to śpiew
Ściany dźwiękiem drżą
Mój dom jak cień
Otoczony mgłą

W nim wiatr
Poryw ciepłych serc
Gdzieś gna
Po wieczności kres
W nim czas
Trwa, nie kończy się
Jak szept
Codziennych mamy tchnień

Mój dom to świt
Miłość moich dni
Mój dom wciąż trwa
W nocy mi się śni
Mój dom to stół
Przy którym wszyscy są
Mój dom jak sen
Nie zapomnę go

Dom niezłomnych
Odwaga żołnierzy wyklętych
Los im nie dogadzał
Wymazał z pamięci
Rotmistrz Pilecki
Nil, Ogień, Bury
Twój dom wznosili krwią
Na zgliszczach ponurych

Szwaby i kacapy
Moskiewskie satrapy
Goń, goń bolszewika goń
Szwaby i kacapy
Moskiewskie satrapy
Lej, lej bolszewika lej

W polskim domu
Bóg, honor, miłość i ojczyzna
Zapamiętaj niezłomnych
Każdy śmierć wytrzymał

Bezdomny lewak

Kto to jest lewak?
Wczoraj go widziałem
Siedział na bazarze
Stragan miał niemały
Lewą ręką ciskał
Forse na klepisko
Ludzie się gapili
Co to za zjawisko

Pod straganem trzymał
Dyrzymał Marksa
W pracy się rozwijał
Słodka, śmieszna farsa
Nie miał swego domu
Przechodzień wędrowny
Nie ufał nikomu
Mówił, że bezdomny

To tu, to tam
Lewak ciągle gna
Pragnie dom odzyskać
Tylko sił mu brak

Stragan w barwach tęczy
Zezem do świętości
W promocyjnej cenie
Lewackie nowości
Z bolszewickiej tuby
Bije w tłum uliczny
Zamęt, antywiara
Ryk psychodeliczny

Świat pędzi do przodu
Lewackim korytem
W cyrku multi-kulti
Lewaków nie pytaj

Patrzą, lecz nie widzą
Paranoidalni
Jeszcze z prawdą życia
Nigdy nie wygrali!

Dom gościnny

(Ciocia Ola i Kot Tolik
o gościnności Wschodu)

Raz byłem w Gościnie pod Grodnem
U Cioci Oli
Powitał mnie chlebem i solą
Jej Kotek Tolik
Zaciągnął mnie zaraz do środka
Bym nie stał jak grzyb na schodkach
Bym usiadł wygodnie
I golił, i golił, i golił!

Szklaneczki zostały wyjęte
Rozdane już były prezenty
Świeżynką pachniało rześście jak ułał
Muzyka też poszła na całość
By ucho ją dobrze słyszało
By każdy kto żywy
Zagulał, zagulał, zagulał!

Gaworki pęczniały do krzyku
A swoich było bez liku
Niczego nie brakło więc każdy chłonał swą pulę
Toasty wysoko wzniesione
Wzmocnione trzecim galonem
Za Olę, za Tolka, za Tolka, za Olę, za Zulę

Gościna przetrwała do rania
A z rania aż do wieczora
I nikt nikogo nie dręczył, nie pytał
„Kakaja u tiebia pora?”

Wieczorem się wszyscy rozeszli
Kot Tolik z Olą posprzątał
I było pięknie jak przedtem
We wszystkich gościnnych kątach
Gdzie znajdziesz taką gościnność
Na zgniłym globalnym Zachodzie
Gdzie spotkasz zwykłą uczynność
W domu, w parku, w gospodzie
Żyjemy w świecie pieniądza
Bitego na ludzkiej nędzy
Do Wschodu nie czas już dążyć
Bo gonią nas prędey i prędey
Z tego powstaje bryndza
Uczenie zwana kryzysem
To strzała zatruta szmałem
Śmiertelnie raniąca Parysa

Dom Króla

Wejdz do Domu Króla Polsko
Wejdz do Domu
Ten, który nie zdradził
Jemu cześć do zgonu
Wejdz do Domu Króla
Z Piastów, Jagiellonów
Wejdz odważnie
Okaż wierność
W Jego Domu
Tyle burz
Dziejowych zmagani
W tobie Polsko
Popatrz na tych
Co ginęli
Za nią z troską
I rycerze i magnaci
Padł chłopski ród
Żebyś mógł na polskiej ziemi
Wznieść swój gród

Dom Boga

Dom to Królestwo Boskich łask
W nim będziesz wiecznie żył
Gdy cię zaproszą do rajskich bram
Do komnat Boskich sił

W Królewskim Domu
Anioł twój
Na skrzydłach uniesie cię
Tam, gdzie Najwyższy ma swój Tron
Gdzie miłość nie kończy się
W Królewskim Domu
Spotkasz tych
Którzy odeszli stąd
Niebo nad ziemią pochyla się
Miłość podaje dłoń

Dom, to Królestwo Boskich łask
To przeznaczenie dróg
Na własność wybrał ciebie Pan
Nie stracisz, choćbyś mógł

Sielska ballada

Są domy
W nich mieszkali ludzie
Gdy młodość kwitła jak bez
Z nadzieją, że tak będzie zawsze i dłużej
Tętniło życie tych miejsc

Dymy z kominów snuły się w niebo
Z otwartych okien grzmiał śpiew
Ławeczki, płoty ciężarne gwarem
Uliczki młode od dziewcz

Chata jak nów
Młodzieńczych marzeń
Jak sen na dziecka twarzy

Z łąk wielokwiatnych ryk i kwik
Zbratany rżeniem, beczeniem
Napęlniał uszy i ostrzył węż
Pachniała ziemia par cieniem

W sieniach, komórkach, piwniczkach, gankach
Lato z jesienią, miód z sokiem
Czekały wiernie nocą i rankiem
Wędzonki dymne w powłokach

Sierpy i kosy na plecach chłopów
Stępione szły pod młot do gumn
O świcie z rosą narastał klepot
Wybudzał ze snu jak rum

W angiolkach chłopki ogniły strawy
W ścianówkach pieklił się chleb
Motyką tłukły ogród z zielsk, trawy
W stodole szalał pan cep

Chata jak nów
Młodzieńczych marzeń
Jak sen na dziecka twarzy

„Do stołu!”
Ktoś krzykiem zawołał jak z mgły
Pacierz rozkwitał na ustach
Śpiewając w pole nadwornie szli
W chatach anieli i pustka

W zenicie dnia, w upale słońca
Siadali na trawie pod drzewem
Praca nie była gonitwą bez końca
Był czas na modlitwę i śpiewy

Na odpust, na miłość, na gędźby, na baję
Na strojne obrzędy pór roku
I mało kto wiedział, że na rozstajach
Przyczął się złowieszczy topór

Przyszedeł jak złodziej, nocny okradacz
Wyrębał domy, rytm z serca
Zostawił pustkę, zgryzotę, zamęt
Wiejskich w przekwitłej rozterce

Chata jak nów
Młodzieńczych marzeń
Jak sen na dziecka twarzy

Wszystko się zmienia, miejsca i ludzie
Zapytasz dlaczego tak szybko
Dzisiaj masz pałac, a jutro w budzie
Konszachty ze złotą rybką

Chata jak nów
Młodzieńczych marzeń
Jak sen na dziecka twarzy

Ewelina Szumska*

W poetyckim domu Adama Ziemiańnika (O tomiku *Wypogadza się nad naszym domem*)

Wypogadza się nad naszym domem to debiutancki zbiór wierszy Adama Ziemiańnika¹. Tomik porusza wiele tematów. Najczęstszym z nich jest dom. Obraz rodzinnego domu, matki, która stanowi jego serce, pojawia się w wierszach: *Rodzina*, *Antyfony do rosółu*, *Moja pierwsza czytelniczka*, *Niedziela*, *Wrzesień*, *Moja astronomia*, *Wypogadza się nad naszym domem*, *Nad albumem rodzinnym*. Dom dla każdego jest miejscem niezwykle ważnym. To on poniekąd decyduje o tym, jak będzie wyglądać nasza przyszłość. *Słownik motywów literackich* podaje wiele możliwości rozumienia tego słowa². Dom może stanowić gwarancję przetrwania, przeżycia, może być miejscem bólu i cierpienia bądź celem wędrówki. W tomiku dom ukazany został jako duchowa ostoja, bezpieczna przystań. Już sam tytuł zbioru pozwala stwierdzić, że dla młodego poety dom rodzinny jest ważnym punktem odniesienia. To przez jego pryzmat spogląda on na swoje życie,

* Ewelina Szumska, doktorantka, Uniwersytet Rzeszowski.

¹ A. Ziemiańnik, *Wypogadza się nad naszym domem*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.

² *Słownik motywów literackich*, Wydawnictwo Nakom, Poznań 2006, s. 43–57.

dokонуje pierwszych podsumowań. Dom i wszystko, co się z nim wiąże, a więc: osoby matki i ojca, codzienne zdarzenia, jak niedzielne spożywanie rosółu, gotowanie knedli, przyrządzanie królika na obiad, robienie na drutach, pilnowanie, by ogień w piecu nie zgasł, staje się dla poety tematem pierwszych wierszy. Stanisław Dziedzic nazwał Adama Ziemianina „poetą świętej powszedniości”³, a Włodzimierz Jurasz analizując jego wiersze stwierdził:

Budując proste obrazy czy wręcz posługując się sprozaizowaną składnią i anegdotą poeta odwołuje się raczej do wrażliwości i uczuć. Ale prostota nabiera u niego także innych znaczeń. (...) Dlatego też prostotę określić trzeba również jako skłonność poety do poruszania się w kręgu spraw najbliższych codzienności, podstawowych, które są u niego najważniejszym określeniem ludzkiej egzystencji. Są nimi dom rodzinny, miłość, codzienne smutki i radości⁴.

Sam Adam Ziemianin wyznał: „Wierzę w szczególną misję i rolę poezji. Ona ma nieść nadzieję i odkrywać piękniejsze zakątki człowieczeństwa. Nie może przy tym uciekać od życia takiego, jakim ono jest. Poezja to życie chwywane łapczywie”⁵.

*

W swej twórczości Adam Ziemianin nie ucieka od tego, co zwykle i powszednie, nie neguje smutku, zmartwień czy trosk. Jego wiersze wyrażają akceptację życia we wszystkich przejawach. Jest to poezja humanizmu, nic co ludzkie nie jest pocie obce. Janusz Drzewucki stwierdził, że „Ziemianin

³ S. Dziedzic, Wstęp do tomiku A. Ziemianina *Dom okoliczności łagodzących*, Kraków 1995.

⁴ W. Jurasz, *Rachunek za dojrzałość*, „Magazyn Kulturalny” 1981, nr 1.

⁵ A. Ziemianin, *W dzienniczku ucznia coś kreślę*, [w:] *Wiersze wybrane*, Warszawa 1998, s. 6.

nie ucieka przed życiem, nie chroni się przed codziennością w więzy z kości słoniowej, ale przeciwnie, »swoją na linie poetycki taniec« tłumaczy pragnieniem, aby »życie mocno za łeb złapać« (...) i czuć w każdej chwili »jak mocno bije w nas życie« (...). Jeżeli sztuka ta poecie się udaje, to przede wszystkim dzięki jego duchowej sile. Siłę tę zaś czerpie on ze swojego domu”⁶. Codzienność, która stanowi główny temat wierszy Adama Ziemanina, ma w sobie coś magicznego. Tutaj poeta szuka natchnienia, dostrzega, że pod warstwą zwykłych zdarzeń kryje się niewidzialna, lecz wyczuwalna tajemnica życia. Wiersz tytułowy przedstawia rodziców, którzy są zajęci domowymi obowiązkami. Matka w ogrodzie rozwiesza prześcieradła, ojciec „oprawia królika na obiad”. Wydawać by się mogło, że w tej scenie nie ma nic niezwykłego. Poeta, który pragnie „odkrywać piękniejsze zakątki człowieczeństwa”, patrzy na to z zupełnie innej perspektywy. Ojciec wygląda jak magik, który za pomocą czarów wyciąga królika z cylindra. Prześcieradła w ogrodzie poruszane podmuchem wiatru są niczym żaglówki na morzu. Wśród nich pływa matka, „która tym sposobem zarabia na niebo”. Utwór kończy się słowami:

ładna dziś pogoda
godzę się z bratem⁷

Życie składa się ze zwykłych dni wypełnionych pracą i obowiązkami, dzięki którym możemy sobie zasłużyć na niebo i życie wieczne. Dlatego tak ważne jest, by żyć – zwłaszcza pod dachem rodzinnego domu – w zgodzie ze wszystkimi. Tytuł wiersza, a zarazem tytuł tomiku sugeruje, że wkrótce nadejdą lepsze czasy. Nad domem „wypogadza się”, co może oznaczać, że wcześniej panowała ciemna

⁶ J. Drzewucki, *Chce się żyć*, „Twórczość” 1998, nr 10.

⁷ A. Ziemanin, *Wypogadza się nad naszym domem*, Kraków 1975, s. 13.

i ponura aura. Możemy wnioskować, iż niebawem słońce złotymi promieniami rozproszy ciemne chmury gromadzące się nad domem. Wierszem, który otwiera zbiór, jest *Rodzina*. Ukazani są w nim rodzice poety: matka, która „nie miała sił aby dojść do miasta” i ojciec Józef wracający „z niewoli niemieckiej”. Kiedy matka zamieniła wszystkie prześcierała na żytnią mąkę, pozostało jej już tylko czekanie na powrót ojca. Cierpliwość kobiety została nagrodzona, mąż wrócił z niewoli. Porzucił pracę cieśli, gdyż „nie była na czasie”, i „poszedł na kolej”. Dla poety także rozpoczął się nowy etap w życiu: „a ja zacząłem nauczać”⁸. W wierszu widoczne są nawiązania do Biblii. Rodzina ukazana w liryku – podobnie jak święta rodzina z Nazaretu – boryka się z codziennymi problemami. Co więcej, ojciec, który „wracał z niewoli”, był cieślą o imieniu Józef. Doświadczenia, które zdobył podczas drogi powrotnej do domu, zmusiły go do gorzkiej refleksji.

i ojciec przyszedł
mówił że na świecie dużo herodów
a choć chodzą bez korony
to co wioska rzeź niewiniątek⁹

W tych słowach mamy nawiązanie do tego, o czym w swojej Ewangelii pisał Mateusz¹⁰. W wierszu możemy także doszukać się motywów mitologicznych. Kobieta cierpliwie oczekująca powrotu męża jest odzwierciedleniem

⁸ Z biografii Adama Ziemanina wiemy, że po ukończeniu Studium Nauczycielskiego pracował jako nauczyciel w okolicach Żywca.

⁹ A. Ziemanin, *Wypogadza się nad naszym domem*, s. 7.

¹⁰ „Wtedy Herod widząc, że go Mędrcy zawiedli, wpadł w straszny gniew. Posłał [oprawców] do Betlejem i całej okolicy i kazał pozabijać wszystkich chłopców w wieku do lat dwóch, stosownie do czasu, o którym się dowiedział od Mędrców. Wtedy spełniły się słowa proroka Jeremiasza: »Krzyk usłyszano w Rama, płacz i jęk wielki. Rachel oplakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich już nie ma« (Mt 2, 16–18). Wszystkie cytaty pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*, Poznań 2000.

wiernej Penelopy. Kreując postać ojca poeta nawiązuje nie tylko do świętego Józefa, cieśli i opiekuna Maryi oraz Jezusa, ale także do mitologicznej postaci Odysa, który przez dwadzieścia lat wracał do Itaki.

Wiersze: *budzi się cicho...*, *Moja pierwsza czytelniczka* przybliżają postać matki. Kobieta porównana została do wojownika i owieczki. Najpierw nad mapą stolnicy „obmyśla natarcia garnków”, później w kolejce u rzeźnika „stoi potulnie jak owieczka”. A po południu robi na drutach „najcieplejsze wskazówki” dla syna. Matka poety jest pierwszą czytelniczką jego wierszy. Oderwana od codziennych zajęć, poproszona o przeczytanie poezji, musi najpierw założyć okulary i wytrzeć ręce w fartuch. Jej opinia wydaje się ważniejsza od zdania recenzentów i krytyków literackich, skoro poeta „wiersze świeżo złapane na łące” pokazuje matce. Kobieta wydaje się twardo stąpać po ziemi, nie jest bezkrytyczna wobec wierszy początkującego poety. Po ich przeczytaniu

marszczy czoło
– to już koniec
powiada
– a szkoda¹¹

Niedziela przedstawia rozmowę poety z rodzicami. Ciszę poobiednią zakłóca pszczoła, ojciec nakręca budzik na poniedziałek, a matka prosi syna, by opowiedział jej o swoich studiach. Zasłuchani rodzice wyglądają niczym święta rodzina z Nazaretu.

powiedz coś jeszcze
o swoich studiach
– prosi matka
powtarzam więc wszystko
siedemnasty raz

¹¹ A. Ziemanin, *Wypogadza się nad naszym domem*, s. 15.

wyglądają wtedy
 jak święta rodzina
 która syna słucha
 bo ten cuda czynił
 gdzieś w świecie¹²

Podniosły nastrój chwili niszczy pszczoła, która lata nad kompotem. Syn zaczyna ją gonić, a rodzice są zgorzeleni takim zachowaniem. Według nich człowiek, który „czyni cuda gdzieś w świecie”, nie powinien sobie zawracać głowy pszczołą. W liryku *Wrzesień* poeta stara się wytłumaczyć matce, że ten miesiąc jest tylko czasem „wojowania lata z jesienią”. Ptaki podniebnymi lotami wypisują na niebie pożegnanie, a ostatnie mrówki „uzbrojone w słomki” nadziewają na nie gasnące promienie letniego słońca. Jednakże poeta nie jest w stanie zagłuszyć lęku w sercu matki.

lecz matka wciąż nie wierzy
 i znowu z wszystkich oszczędności
 czyni zapasy niby na zimę
 ale ja wiem że jeszcze
 boi się wojny¹³

Matka poety nadal odczuwa strach, nie jest w stanie wymazać z pamięci wspomnień z września 1939 r., dlatego nie potrafi dostrzec uroku złotej polskiej jesieni. Jej syn urodzony trzy lata po zakończeniu wojny ma zupełnie inny bagaż doświadczeń. Nie jest obciążony bólem, nie widzi nic groźnego w tym, że nadchodzi jesień.

W tomiku ważne miejsce zajmują wiersze, które tematyką nawiązują do Biblii. Nawiązania są swobodne, często oparte na grze słów. Rodzina poety – jak było wspomniane

¹² Tamże, s. 21.

¹³ Tamże, s. 38.

– przypomina świętą rodzinę z Nazaretu. W *Antyfonie do rosółu* podmiot liryczny zwraca się do rosółu, który w niedzielne południe patrzy na domowników „smutnym okiem wołowym”. Rosół jest krwawą ofiarą „bezkrwawo przyrządzoną”. Domownicy jedząc obiad muszą od tej ofiary odwrócić uwagę „głupią rozmową”. Najszczęśliwszą osobą wydaje się matka, która słysząc, że rosół smakuje, „przez chwilę jest wniebowzięta”. To przywodzi na myśl biblijną scenę wzięcia do nieba z ciałem i duszą Najświętszej Marii Panny¹⁴. Żeby rodzina mogła być świadkiem cudu wniebowzięcia, matka wcale nie musi dokonywać rzeczy niemożliwych, wystarczy, że smakowicie przyrządzi „ofiara”. Ziemanin posługując się tak bogatym symbolem chciał podkreślić, że zwykły człowiek żyjąc w codzienności także ma szansę zetknąć się z tajemnicą. Matka przyrządza ofiarę dla najbliższych i widząc szczęście na ich twarzach, przez chwilę staje się mistyczką, przed którą niebo stoi otworem. W utworze *Tryptyk piecowy* Ziemanin także – choć w sposób nie bezpośredni – nawiązuje do Biblii. Poeta wprowadził pojęcie tryptyku, które w swoim podstawowym znaczeniu odnosi się do typu nastawy ołtarzowej składającej się z części środkowej oraz dwóch bocznych skrzydeł¹⁵. Trzy piece stają się ołtarzem. Pośrodku znajduje się „ołtarz główny – piec kuchenny”, piec chlebowy, do którego „modlą się nieliczni” to ołtarz lewostronny. Po prawej umieszczony został „piec

¹⁴ W Biblii Bóg zabrał do nieba Henocha (por. Księga Rodzaju 5, 24; Mądrość Syracha 44, 16 i 49, 14; List do Hebrajczyków 11, 5) i Eliasza (por. 2 Księga Królewska 2, 11).

¹⁵ Skrzydła są zwykle osadzone na zawiasach i ruchome, mogą się zamykać, zasłaniając część środkową. Nazwa „tryptyk” odnosi się także do obrazów malarskich i płaskorzeźb składających się z trzech części, które zazwyczaj można składać. Nazwa jest czasem wykorzystywana w jeszcze szerszym znaczeniu i oznacza każde dzieło złożone z trzech części, np. *Tryptyk rzymski*, *Tryptyk Świętokrzyski*.

kaflowy”, który jest „ołtarzem sezonowym”. Poeta połączył sferę *sacrum* z *profanum*, zwrócił uwagę na rzeczy i przedmioty, których człowiek podczas codziennej bieganiny zdaje się nie zauważać. Pragnął w ten sposób uświadomić czytelnikowi, że zwykły piec kuchenny jest „potrzebny (...) jak prawa ręka człowiekowi”. Codziennie z Godzinkami na ustach klęka przed nim matka, która „kładzie pierwszy ogień”. Dym z porannej herbaty przypomina ofiarę idącą do nieba. Przy piecu odbywa się łamanie chleba. Ojciec obdziela nim sprawiedliwie domowników. W trochę gorszej sytuacji znajduje się piec kaflowy i chlebowy. Piec chlebowy jest „zamknięty do wewnątrz beczynością”. Ogień w nim bywa bardzo rzadko rozpalany. Pozostaje mu jedynie wspomnienie czasu, gdy przez chwilę był „grzesznym ołtarzem”, ponieważ podawał po kryjomu chleb razowy. Dziś piec zapłonął na moment, gdyż para robaczków świętojańskich rozpalała ogień wdzięczności. W ziemi wszyscy zaczynają się troszczyć o piec kaflowy, który mruczy kolędy i stara się przesadnie o to, by wszystkim było ciepło. Jego starania są wynikiem strachu, że wkrótce nadejdzie lato, a on znów odejdzie w zapomnienie. W utworze nie ma bezpośredniego nawiązania do Biblii, ale tematyka wiersza powinna poniekąd kojarzyć się z fragmentami Pisma Świętego, które dotyczą składania ofiar, łamania się chlebem czy modlitwy. Jan Pieszczachowicz analizując *Tryptyk piecowy* stwierdził, że domownicy, o których pisze poeta, żyją w „uświęconej przestrzeni”, doświadczają „metafizyki codzienności”, która odwołuje się „nie tyle do Boga, ile do sakralizowanych zjawisk w zasięgu ręki. Śniadanie nabiera sensu obrzędowego:

wnet dymi ranna herbata
jakby do nieba szła ofiara
a potem ojciec chleb łamie
i sprawiedliwie nas obdziela

„W tak uświęconej przestrzeni domownicy zasiadający do stołu, by wysłuchać opowieści syna z dalekiego świata, wyglądają jak »święta rodzina« z malowideł w wiejskich kościołach czy na oleodrukach wieszanych na ścianach izby”¹⁶.

Z wiersza *Gliniaki* dowiadujemy się, że „materiał pierwszych/ rozdziałów biblii/ układa się od wieków/ w tęczę na sądeckim rynku”. Na te biblijne materiały składają się gliniane rekwizyty: kraszone misy, flakony, dwojaki. Jest tam kobieta ulepiona z gliny, która „sprzedaje to wszystko”. Jej postać to wyraźne nawiązanie do „pierwszych rozdziałów Biblii”, do *Księgi Rodzaju*, w której znajduje się opis stworzenia.

Wiersz *Kamieniołom na Wapiennym* nawiązuje do historii Sodomy¹⁷. Pojawia się w nim postać Światowida¹⁸, który razem z innymi zasiada do „sodomskiej wieczerzy”. Podmiot liryczny opisuje kamienne posągi, wśród zastygłych figur rozpoznaje postać wędrownego kupca.

gród milczenia
dopiero co zasiedli
do sodomskiej wieczerzy
światowid sięga po chleb

¹⁶ J. Pieszcachowicz, *Poezja zdrowego rozsądku*, „Nowe Książki” 1990, nr 10.

¹⁷ *Księga Rodzaju* (19, 1–26).

¹⁸ Światowid to potoczna nazwa kamiennego posągu z ok. IX–X w., wydobytego w 1848 r. z rzeki Zbrucz. Posąg wykonany z wapienia ma wysokość 2,57 m, niemal kwadratowy przekrój szer. 29–30 cm i waży ok. pół tony. Od 1851 r. znajduje się w Muzeum Archeologicznym w Krakowie. Przeprowadzone w latach 80. XX w. badania wykazały, że posąg prawdopodobnie mógł znajdować się pierwotnie na położonej niedaleko Zbrucz górze Bohod (Bogit), gdzie odkryto kamienny krąg z ośmioma ogniskami i miejscem na czworokątny posąg. Dzięki analizie chemicznej wykryto ślady pokrywającej nigdyś posąg czerwonej farby. Pomimo autentyczności posągu jego etniczna atrybucja wśród niektórych uczonych jest nadal sporna i przypisywana często ludom tureckim, trackim bądź irańskim, a nie Słowianom.

(...) chciałbym się dosiąść
do ich stołu
lecz przypominam sobie
że jutro znowu
przyjdą ludzie z dynamitem¹⁹

Postaciom z wiersza nie było dane spożyć „sodomskiej wieczerzy”, zostały zamienione w kamienne figurki. Sodoma i Gomora jest symbolem rozpusty i zepsucia moralnego. Bóg nie mógł dłużej patrzeć na występki mieszkańców tych miast, zesłał na nich deszcz siarki i ognia. Przemiana w kamień ma w wierszu podwójną symbolikę. Z jednej strony może być odczytywana jako zasłużona kara, ale wiemy także, że kamienie ze względu na wytrzymałość i długowieczność są poniekąd świadkami historii. Jak przekonuje Marcin Zaborski: „Pojmowano go (...) jako wyraz skoncentrowanej siły, ale często też – mimo jego twardości – widziano w nim nie coś martwego, ale przeciwnie – dającego życie”²⁰. Kamienne figurki w wierszu Adama Ziemiańnika mogą być żywymi posągami odległej historii.

Wiersz *Ostatnia wieczerza* dedykowany jest przyjacielowi poety – Józefowi Baranowi. Utwór nawiązuje do popularnego motywu obecnego w malarstwie²¹, którego rodowód znajduje się w czterech Ewangeliach²². W przeddzień swej męki Chrystus razem z uczniami spożył ostatnią wieczerzę, podczas której ustanowił sakrament Eucharystii i Kapłaństwa. Adam Ziemiańnik posługując się tym motywem przedstawił swoje pożegnalne spotkanie z „nerwowym wychowawcą”. Podczas rozmowy z nauczycielem uczniowie,

¹⁹ A. Ziemiańnik, *Wypogadza się nad naszym domem*, s. 22.

²⁰ M. Zaborski, *Kamień jako świadek historii*, „Seminare” 2006, nr 23, s. 306.

²¹ Jednym z najsłynniejszych przedstawień Ostatniej Wieczerzy jest malowidło Leonarda da Vinci. Po motyw ten sięgali m.in.: Giotto, Fra Angelico, Pietro Perugino, El Greco, Peter Paul Rubens, Salvador Dali.

²² Mk 14, 12–25; Mt 26, 20–29; Łk 22, 14–23; J 13, 1–20.

do których należał poeta i jego przyjaciel Józef Baran, przyznali się, że podglądali jego żonę w kąpielni. Także w tych słowach znajdziemy nawiązanie do Biblii, do księgi Daniela²³, gdzie mamy opisaną podobną scenę²⁴.

Żegnając się z wychowawcą Ziemianin żegna się równocześnie ze swoją „internatową młodością”. Ma świadomość, że zamyka pewien rozdział w życiu.

młodość nasza
internatowa
z nerwowym wychowawcą
zatkniętym na maszcie
cicho dopłynęła do brzegu
podczas ostatniej wieczerzy
przyznaliśmy się
że podglądaliśmy
jego żonę w kąpielni²⁵

Wychowawca słysząc wyznania uczniów, nie pozostaje im dłużny.

on w rewanżu
podawał nam
na pożegnanie
swój prawy bok
zamiast prawicy
(...) śmiał się szyderczo²⁶

Tomik *Wypogadza się nad naszym domem* liczy 41 wierszy. Większość utworów opisuje wiejskie codzienne życie,

²³ Księga Daniela 13, 1–64.

²⁴ Księga Daniela 13, 15.

²⁵ A. Ziemianin, *Wypogadza się nad naszym domem*, s. 31.

²⁶ Tamże.

do którego miejska cywilizacja nie ma jeszcze dostępu. Człowiek na wsi żyje zgodnie z cyklem przyrody, jest szczęśliwy, choć jego egzystencja nie jest wolna od zmartwień i trosk.

siwieje kowal
czapkę jeszcze mocniej
wciąga na uszy
bo koni coraz mniej
uciekają za rzekę
z nowiutkimi podkowami
rzadko który wróci
(...) martwi się stary kowal²⁷

W lirykach *Zagroda* i *Panowanie* ukazany jest typowo wiejski krajobraz. W pierwszym wierszu poeta opisuje, jak wygląda królestwo „pod krokwią zaczynione”. Za gościnnymi progami znajduje się bielony sad, który „prosi o jabłka w tym roku”, „pies chwali gospodarza długością łańcucha”, a „o krok znajduje się studnia z kołowrotem zgryzot”. Kolejny wiersz jest przedłużeniem opisu królestwa:

w królestwie pełno mięty
pokrzyw i kaczeńców²⁸

Nad królestwem panuje władca – ojciec, pracowity gospodarz. Poeta opisuje, jak wygląda jego dzień. Najpierw władca wstąpił do sadu, by zobaczyć, czy owoce obrodziły, później zapłacił podatki i „z koniem porozmawiał/ o dzisiejszej orce”, „potem wrócił/ całą beczkę kapusty ukisił”. Uwieńczeniem dnia była długa rozmowa z synem, ojciec uczynił go swoim następcą „i wysłał (...) na nauki/ by po nim panował”. Obraz człowieka pracowitego, który wiedzie spo-

²⁷ Tamże, s. 24.

²⁸ Tamże, s. 17.

kojne, zgodne z cyklem przyrody życie na wsi, jest ważnym elementem literatury polskiej. Pojawia się w utworze Mikołaja Reja *Żywot człowieka poczciwego*. Kształtowany przez poszczególne epoki, nadal jest obecny we współczesnej literaturze. *Słownik motywów literackich* podaje: „Bohater Reja to przede wszystkim gospodarz. Zna całą posiadłość, każdy fragment domu i ogrodu. (...) Czuwa nad porządkiem w gospodarstwie, dogląda wszystkich prac, a poważniejsze sam wykonuje. (...) żyje w zgodzie z naturą, z cyklem pór roku. Podporządkowuje się prawom przyrody”²⁹. Takim właśnie – pracowitym i poczciwym – jest ojciec z wiersza *Panowanie*. To postać, która doskonale pasuje do opisu gospodarza w utworze Mikołaja Reja.

Tomik *Wypogadza się nad naszym domem* kończy utwór o znamienym tytule *Modlitwa czarnoleska*. Jan Kochanowski jest dla Adama Ziemanina mistrzem. We wstępie do jednego ze swych tomików poeta z Muszyny wyznaje:

Poezja zawsze kojarzyła mi się z czymś podniosłym i odświętnym. Może dlatego, że pierwsze poetyckie wzruszenia przeżyłem w muzyńskim kościele. Sam zresztą jako młody chłopiec śpiewałem wspaniałe, pełne tajemnicy wersy:

Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

To było tak sugestywne, że z trwogą rozglądałem się po muzyńskiej świątyni, i faktycznie uważałem, iż kościół w Muszynie nie może ogarnąć w pełni Boga, bo jest po prostu... za mały. Dużo w tym było dziecięcej naiwności, ale wcale się jej nie wstydzę. To były poetyckie słowa, które pobudzały we mnie wielką wyobraźnię. Czułem potęgę, podziwiałem trafność, ale dopiero potem odkryłem, że ich autorem jest nie kto

²⁹ *Słownik motywów literackich*, hasło: wieś, prowincja, Kraków 2010, s. 241–242.

inny, tylko sam Jan z Czarnolasu. Jakże się cieszyłem, gdy po latach dowiedziałem się, że napisał również fraszkę *Do starosty muszyńskiego*, która rozpoczyna się od słów:

O starosta na Muszynie
Ty się znasz dobrze na winie

Może właśnie wtedy podświadomie odkryłem swego poetyckiego Mistrza, któremu wierny jestem do dnia dzisiejszego. To właśnie Jan Kochanowski! Poezja jego prawie w ogóle się nie starzeje. Jest wiecznie żywa i wciąż bliska człowiekowi. Gdy Jan z Czarnolasu pisze w *Trenach* o swej tragedii, ja cierpię razem z nim, a gdy raduje się jego dusza w wierszach biesiadnych, ja się z nim raduję. Staram się wypełniać jego poetycki, nie zapisany wprost testament. Wychodził bowiem z założenia, że poezja musi mienić się różnymi barwami tęczy³⁰.

W *Modlitwie czarnoleskiej* autor, który „opłynął w łupinie ćwierć wieku” zwraca się do swego mistrza.

Janie daj siłę
w murach nadwątloną
daj cięń twej lipy
gościnnej każdemu
czasem sklenicę
winem napełnioną
i twoją lutnię
tak miłą dla ucha
(...) proszę przyjmij
wieczorną modlitwę
przy lampce nocnej
odmawianą³¹

³⁰ A. Ziemiannin, *Słowo wstępne*, [w:] *W dzienniczku ucznia coś kreślę*, Warszawa 1998.

³¹ A. Ziemiannin *Wypogadza się nad naszym domem*, s. 50.

Wiersz ma bogatą i głęboką symbolikę. Czarnoleska lipa to drzewo rosnące w pobliżu domu Jana Kochanowskiego, które zaprasza pod swój cień każdego, kto pragnie zakosztować prawdziwej poezji. Ziemanin dołącza do poetów, dla których autor *Trenów* i jego lipa stają się uosobieniem tego, co w polskiej poezji najpiękniejsze³².

Autor *Modlitwy czarnoleskiej* prosi swego mistrza nie tylko o dar natchnienia – bo tak należy rozumieć prośbę o możliwość zasluchania się w lutni – lecz i o szklanę „winem napełnioną”, co oznacza, że chciałby doświadczać radości życia. Napój ten jest symbolem beztrioski, radosnego spędzania czasu. Wino pojawia się również w Biblii. Ewangelista Jan opisuje pierwszy cud Jezusa dokonany w Kanie Galilejskiej – przemianę wody w wino³³.

W *Modlitwie czarnoleskiej* poeta nakreśla swoją poetycką drogę. Czuje się spadkobiercą twórczości Jana Kochanowskiego i próbuje wypełnić jego testament. Chce swą poezją dotykać istoty życia, pobudzić wrażliwość czytelnika na sprawy powszednie.

Podmiot liryczny z wierszy pierwszego tomiku Adama Ziemanina żyje w dwóch światach i stąd wynika napięcie. Jest on mieszkańcem wsi, dostrzegającym jej uroki i piękno, ale nie zamyka się w tej przestrzeni, cechuje go otwartość na świat i cywilizację:

Bohater jest „tu”, tkwi w opisywanej rzeczywistości, ale znajduje się także „poza”, o czym świadczy użycie w języku elementów spoza świata przedstawionego, użycie języka operującego aluzjami do rzeczywistości szerszej niż wieś (...)
Za pomocą estetyki napięcia, ukazującej swoiste „podwójne

³² Czarnoleska lipa na stałe weszła do poezji polskiej. Wielu twórców z różnych epok literackich pisze o niej, jak Juliusz Słowacki w *Podróży na Wschód*, Agata Budzyńska w wierszu *Dom*, Leopold Staff – *Lipy*, Jerzy Liebert, *Na lipę czarnoleską*.

³³ J 2, 1–11.

bytowanie” bohatera lirycznego w świecie, następuje próba – bardzo zresztą udana – przedstawienia kondycji człowieka w dobie socjologicznych przeobrażeń społeczeństwa. Uchwycony z dużą wrażliwością proces alienowania się bohatera lirycznego z kultury wiejskiej ukazuje pokolenie, którego zasadniczym przeżyciem stała się zmiana środowiska, historycznie doniosły i jeszcze nie zakończony exodus wsi do miasta³⁴.

Postawa podmiotu lirycznego nie jest jednoznaczna. Z jednej strony czuje się spadkobiercą i wyznawcą filozofii mistrza, Jana z Czarnolasu. Z drugiej jednak – jako człowiek wchodzący w życie – jest zakotwiczony we współczesnej, miejskiej cywilizacji. Kontakt z nią wydaje się czymś nieuniknionym. Dlatego rzeczywisty i prawdziwy powrót na wieś jest niemożliwy. Poeta powoli zaczyna odchodzić z domu rodzinnego i wiejskiej arkadii. Rozpoczyna się proces wyobcowania ze środowiska wiejskiego³⁵. Powrót do „kraju lat dziecińczych” jest możliwy tylko w sensie symbolicznym, w sferze wspomnień. Stanisław Dziedzic zauważył, że w poezji Ziemiańszczyzny „z niemałą wrażliwością ukazany jest proces alienowania się bohatera lirycznego z kręgu kultury wiejskiej i małopolskiej, która staje się symbolem harmonii i porządku. Ponowne wkraczanie w ten sielski świat nie jest bynajmniej dla poety powrotem na wyspy szczęśliwe, a zaledwie chwilową ucieczką przed dotkliwymi

³⁴ A. Chudzik, *Inny głos pokolenia*, „Poezja” 1976, nr 3.

³⁵ Temat wyobcowania ze środowiska wiejskiego pojawił się w literaturze polskiej nieco wcześniej. Poeci z grupy „Tylicz”, do których należał A. Ziemiański, „kontynuowali (...) nurt zapoczątkowany kiedyś przez Stanisława Piętaka, Stanisława Czernika (...), Jana B. Ożoga i przede wszystkim Tadeusza Nowaka, eksponujący dramat wykorzenia, obcości, istnienia na granicy dwóch światów, przeżywany nie tylko przez pierwsze pokolenie inteligentów pochodzenia chłopskiego” (S. Stabro, *Literatura polska 1944–2000 w zarysie*, Kraków 2005, s. 102).

następstwami cywilizacji”³⁶. Bohater liryczny poprzez wspomnienia wraca do szczęśliwego dzieciństwa, domu rodzinnego i matki.

*

Podsumowując musimy stwierdzić, że w debiutanckim tomiku Adama Ziemianina na pierwszy plan wysuwa się temat domu. Podmiot liryczny jest człowiekiem, który opuścił rodzinne gniazdo, ale nieustannie do niego wraca. Dom kojarzy mu się przede wszystkim z osobą matki. Dlatego ma rację Bogdana Żurakowski, który poezję Adama Ziemianina nazwał poezją domu:

W poetyckim świecie Ziemianina istotną rolę pełni dom. W pierwszych wierszach domem jest miejsce dzieciństwa. (...) Mityczny dom poezji Ziemianina jest starym domem. Odejście z takiego domu jest równoznaczne z wygnaniem z mitu. (...) Już w tym pierwszym tomie dom rodzinny – będący wzorem domu mitycznego – widziany jest „z większej odległości”, po wyjściu na stałe spod jego dachu. Do tego domu ciągle się powraca, dom ten ciągle się kocha; jest to dom uświęcony tradycją. Liczne aluzje do praktyki religijnej upewniają nas w przekonaniu, że w *Wypogadza się nad naszym domem* owo miejsce zamieszkania jest w istocie domem – sacrum³⁷.

³⁶ S. Dziedzic, *Poeta świętej powszedniości*, [w:] A. Ziemianin, *Dom okoliczności łagodzących*, Kraków 1995, s. 5–6.

³⁷ B. Żurakowski, *Poezja domu*, „Odra” 1987, nr 2.



O DOMU Z REFLEKSJĄ

Ewa Polak-Pałkiewicz*

Stół w polskim domu w tradycji i obyczaju dawnej Polski

I Ręce na obrusie

Jak rodzice w Polsce, jeszcze nie tak dawno, wyrażali swą miłość do dzieci? Wychowując je. Jak uczyli je zasad? Na przykład wymagając pewnych ścisłych reguł zachowania się przy stole. Zasady to coś mało dziś popularnego, choć wiele rodzin próbuje do nich wracać. W czasach, gdy w Polsce nie słyszano jeszcze o komunistycznych obyczajach, na horyzoncie nie wykwitał liberalizm, sztuka wychowania nie była wypadkową emocji, instynktów, własnych wyobrażeń, mody pedagogicznej czy nawet pewnych szacownych przyzwyczajień. Była czymś więcej. Wynikała ze świadomości, że dzieci trzeba wychować dla Boga.

Uderzająca była konsekwencja dorosłych. Z dziećmi w polskich domach nie obchodzono się jak z jajkiem. Od najwcześniejszych lat stawiano konkretne, nierzadko twarde wymagania. Od zasad nie było odstępstw, inaczej przestały być zasadami. Twarda musztra przy stole była tego dobrym przykładem.

* Ewa Polak-Pałkiewicz, eseistka katolicka, pisarka – autorka wielu książek, m.in. *Cafe Katedra* (2019), *Czego chcą od nas biedni Niemcy* (2018), *Bitwa o Gietrzwałd – Tryumf Królowej* (2018), *Powrót pańskiej Polski* (2016).

Mówili tylko dorośli

„W okresie letnim siadało do stołu około dwudziestu osób (łącznie z nauczycielkami i nianiami). Przy jedzeniu pilnowano, byśmy się prosto trzymali, estetycznie jedli i nie chowali rąk pod stół”, wspomina swoje dzieciństwo, spędzone przed ostatnią wojną w majątku rodziców w Czaczu, w Wielkopolsce, Michał Żółtowski. „Podczas obiadu i kolacji dzieci się nie odzywały, mówili tylko dorośli”.

Anna z Branickich Wolska, która spędziła najmłodsze lata – także tuż przed drugą wojną światową – w pałacu w Wilanowie, własności rodziców, wspomina: „Trzeba było usługiwać starszym, pomagać im. Zawsze starsi byli pierwsi. (...) Pamiętam nasze śmieszne pytanie: »Kiedy my dojdziemy do takiego wieku, żebyśmy mogły zjeść kawałek combra zajęczego, a nie tylko łapy?« Dzieci siedziały zawsze na końcu stołu i zjadały resztki z półmisków, a wszystkie dobre kaski jedli starsi. (...) Naczelną wartość w tym systemie wychowawczym stanowił szacunek dla wieku i pracy” – dodaje autorka tych wspomnień.

W domu Zaleskich w Mojówce na Ukrainie, tak jak we wszystkich z reguły domach polskich ziemian, „w czasie obiadu jadalny stawał się terenem musztry dzieci”, wspomina Anna Saryusz-Zaleska. „W uszach aż brzęczało od »siedź prosto, jak trzymasz widelec, jedz cicho, ręce na obrusie«. Ojciec miał duże poczucie humoru. Przybierając kpiącą minę, z łobuzerskim błyskiem w oku i ostentacyjną powagą częstował dzieci sentencją: »przy stole jak w kościele«, albo, dla odmiany, deklamował urywki ze *Złotej różdżki*. Nieposłuszny Pawełek staje się powodem katastrofy; wpada pod stół, a wraz z nim »obiad cały doskonały, leguminka, flaszka winka«. Nie ujdzie mu to bezkarnie (...) »Oho! Jedzie *prystaw* z dzwoneczkiem«. Największą obrazą było usłyszeć ten przytyk. Dlatego dzieci wystrzeżały się brzęczenia łyżeczką o filiżankę. *Prystaw* był carskim

urzędnikiem policyjnym, którego wizyta nie wróżyła nic dobrego. Jeździł z dzwonkiem. Rosjanie nie bywali w naszym domu (...)"

To, co dziś może wydać się egzotyką, było w tamtym świecie czymś naturalnym. Wizualnym symbolem i odpowiednikiem zasad obowiązujących w zachowaniu się podczas posiłków był stół. Zawsze – nawet, gdy był to stół najskromniejszy – starannie nakryty przez panią domu lub pod jej bacznym okiem.

Jean Goyard, znawca tradycji rodzin francuskich, podkreśla, że tradycja katolickich domów w epoce przedrewolucyjnej – zarówno we Francji, jak i w Polsce – dokonała jedyne w swoim rodzaju połączenia. W nierozzerwalną całość została związana sztuka kulinarna, sztuka nakrywania do stołu i sztuka konwersacji.

„Ludzie w epoce *ancien regime’u* traktowali posiłki jako okazję do spotkań, a raczej, powiedziałbym, jako kolumnę, która ma przyjąć kapitel – czyli konwersację. Dlatego właśnie wielkie rodziny szlacheckie prowadziły *table ouverte* – otwarte stoły; w porze przeznaczony na posiłki mogli się u nich pojawiać nawet liczni przyjaciele”.

Dzisiejszemu czytelnikowi tradycyjne zasady wychowania dzieci mogą się wydawać niesprawiedliwą katorgą najmłodszych, bezsensownym dręczeniem własnego potomstwa, względnie sztuką dla sztuki. Zasady nie są w cenie. Ich sens często nie jest rozumiany. Ponadto jesteśmy przyzwyczajeni do wszelkich przejawów antykultury i wygłupów, które uchodzą za dowcipy. Do oglądania telewizji podczas wspólnego posiłku, objadania się, nieprzystojnych żartów, tolerowania jedzenia rękami u dzieci (tych starszych), oblizywania palców, grymaszenia, przekrzykiwania się.

Jeszcze przed ostatnią wojną rodzice katolicy nie rezygnowali z czujności w tej materii, pozornie tylko mniej istotnej, bo wiedzieli, że przymykanie oczu na łamanie przez

dzieci zasad zaowocuje w przyszłości słabością charakteru, utrudni moralny rozwój człowieka. Uniemożliwi szanowanie jakichkolwiek zasad. Wiedzieli, że zasady przyzwoitego zachowania się przy stole są nie tylko wizytówką domu, ale mówią bardzo wiele o człowieku. O tym, że nie szuka on w życiu ułatwień. Potrafi się opanować, szanuje drugiego człowieka. Nie jest niewolnikiem instynktów.

Pamiętano wówczas, że dobre wychowanie tym się różni od jego pozorów: ugrzecznienia, przesady, sztuczności w zachowaniu, a także ulegania zachowaniom stadnym („robię to co wszyscy, więc jestem dobrze wychowany”), że weryfikują je sytuacje trudne. Jeśli człowiek podczas posiłku nie zachowuje się jak dzikus – nawet gdy jest wygłodzony – gdy nie porzuca zasad uprzejmości i grzeczności w skrajnych warunkach (i to wobec wszystkich, bez względu na ich pozycję społeczną), a także nie ulega chciwości i pożądlivosti, nie daje się przekupić, nie zaczyna kłamać, można nazwać go człowiekiem kulturalnym. Kultura na naszym kontynencie wyrosła z chrześcijaństwa. Jej podstawą jest miłość Boga i bliźniego. Wraz ze schyłkiem wiary niknie kultura. Przywracanie zasad – w tak na pozór mniej ważnym obszarze życia, jak eleganckie zachowanie się przy stole – ma więcej wspólnego z zachowaniem naszej katolickiej tożsamości niż można by sądzić.

Lody na patyku

Gerard Rasch, holenderski tłumacz Zbigniewa Herberta, napisał w dzień po śmierci poety w piśmie „Vrij Nederland”: „(...) ważne jest, by również w poezji, szczególnie w poezji zachować ludzką twarz, bronić piękna, ponieważ słowo jest niedwuznaczne, uwiecznia nas i utrwala, gdyż poezja jest najwyższą formą porozumiewania się ludzi”. I zaraz potem dodał: „Nie ze wszystkiego można żartować. Niektóre wartości są absolutne. Dom. Jedzenie. Wolność. Prawda. Piękno.

Życie". Pomijając charakterystyczną dla wielu artystów przesadę i arbitralnie ustalone „absolutne wartości”, wśród których tylko Prawda zasługuje na to miano (piękno jest jej odbiciem, towarzyszy jej), te słowa są zastanawiające.

Słyszy się w nich prawdziwą tęsknotę za widzialnym łaodem. Tęsknotę za światem, w którym rzeczy są na swoim miejscu. Tak, nie ze wszystkiego można żartować. Poezja Zbigniewa Herberta – czerpiąca natchnienie z kanonu wartości klasycznych i odwołująca się do niego, jako do wzorca piękna, ładu, harmonii – była dla wielu ludzi, w tym dla holenderskiego tłumacza, sprawą istotniejszą niż mogłoby się wydawać. To nie była tylko poezja. To nie było tylko źródło inspiracji dla myśli, skojarzenia wielu rzeczy w czytelny, prosty – i w tej prostocie wytworny i elegancki – wzór, przyczyna wzruszenia i przeżycia estetycznego. Poezja poruszała struny głębsze. Docierała do fundamentu, do odwiecznego pragnienia Prawdy, Dobra i Piękna, nierozdzielnej całości. Nie bez przyczyny holenderski znawca Herberta wspominał o jedzeniu. Zapewne tak jak my dziś w Polsce, miał przed oczyma dwa przeciwstawne obrazy:

Olbrzymi wylew wszelkiego rodzaju budek z jedzeniem podawanym bezpośrednio do rąk klientów na ulicy – jakby to była wojna i trzeba było brać zupę z kotła ustawionego pod gołym niebem, a mięso jeść rękami. A obok jakieś nieprawdopodobne pałace gastronomiczne, o wnętrzach, na których piętno odciska gust tak wyrafinowany, że człowiek czuje się tam nieswojo, i gdzie zmusza się nas do spożywania na olbrzymich talerzach nienaturalnie małych porcji przybranych kwiatami, liśćmi, muszlami, ziarnami egzotycznych nasion i innych nieprawdopodobnych ozdób. Porcji czegoś, co mało przypomina jedzenie; jego zadaniem jest być przede wszystkim oryginalnym i dlatego podniecającym.

Miejscem, gdzie jedzenie traktowane jest normalnie, pozostaje prywatny dom. Normalnie, to znaczy bez zdawkowości, pośpiechu i zarazem bez ceremonialnej przesady właści-

wej snobistycznemu gustowi, który jest wiecznie niezaspokojony i uskarża się wciąż na brak nowych podniet. Dom rodzinny, w którym czeka nakryty obrusem stół, wygodne krzesła i skromny ale zdrowy, nie nazbyt obfity posiłek.

Czy jednak dużo jest takich domów? Nawet jedzenie w spokojnej, miłej, pełnej prostoty atmosferze stało się dziś rodzajem luksusu. A o tym, że istotnie, każdy posiłek jest czymś wartym zachodu w naszym kręgu cywilizacyjnym, przekonuje nade wszystko modlitwa przed posiłkiem, którą przez całe wieki w polskim domu praktykowanno. Nie było od tego zwyczaju odstępstw. Dziś „śmieciowe jedzenie” odzwyczajają nas od szacunku dla Bożych darów. Niechlujny sposób przyjmowania go wprost z papierków czy plastikowych opakowań, na ulicy, często brudnej, wśród hałasu i dymu spalin, uwłacza powadze tej czynności, która nie powinna nas zbliżać do świata zwierząt.

Warto zauważyć, jakim wyłomem obyczajowym i cywilizacyjnym stały się lody na patyku, wyprodukowane w fabrykach, do jedzenia na ulicy. Zanim rozpowszechniły się w latach dwudziestych XX wieku w Związku Sowieckim – gdzie przemysł ich wytwarzania był niemal przemysłem narodowym i gdzie zarazem spożywanie posiłków na oczach ulicy stało się codziennym rytuałem – były znane w Stanach Zjednoczonych. Niby rzecz drobnej wagi, banalna, a tak skuteczna w dziele systematycznego, powolnego kruszenia zasad, jakie niegdyś tworzyły naszą kulturę.

Nie tak wiele lat temu przecież w Polsce panie, siadając do obiadu, starały się nakładać inną suknię niż tę, w której od rana krzątały się przy pracy, a przynajmniej zmieniać fartuszek na czysty i odprasowany, bo każdy obiad był rodzajem rodzinnego święta. Był spotkaniem przy stole. Imieniny dzieciom wyprawiano zawsze w domu, pod okiem rodziców. Dziś, gdy tak często zastępują je *kinderbale* w McDonalddie albo też – równie często – rodzice opuszczają dom, gdy przychodzą goście do synka lub córeczki i w krótkim czasie

stawiają dom na głowie, warto zapytać: czym jest taki dom? Kim są tacy rodzice? Kim będą takie dzieci?

Czym będzie Polska pozbawiona domów rodzinnych, w których wszyscy domownicy, codziennie – nie tylko w wielkie święto – w stałych porach spotykają się przy stole?

II

Przyjęcie w polskim domu jako dzieło sztuki

Na koniec z trzaskiem sali drzwi na wściaz otwarto.
Wchodzi pan Wojski w czapce i z głową zadartą,
Nie wita się i miejsca za stołem nie bierze:
Bo Wojski występuje w nowym charakterze
Marszałka dworu (...),
Wskazuje wszystkim miejsca i gości usadza.

(A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*)

Trzask otwieranych z nagła wielkich dwustrzydłowych drzwi może się wydawać dźwiękiem banalnym, ale to od przywołania go rozpoczyna się Dwunasta Księga *Pana Tadeusza*. Dźwięk ten miał swoje miejsce w dramaturgii wydarzenia, jakim była staropolska uczta. Należał do subtelnego świata doznań – dźwięków i obrazów – który nasycił dusze dzieci i poetów poczuciem niezwykłości tego co realne. („Życie nigdy nie stało się dla niego przyzwyczajeniem, zawsze było w nim coś cudownego”, pisano o angielskim pisarzu i poecie Maurice Beringu, przyjacielu G. K. Chestertona).

Drzwi nie mogły być otwarte cicho, bo początek musiał być efektowny. Niczym odsłonięcie kurtyny przy dźwiękach fanfar. A przecież nie chodziło o spektakl, tylko o spotkanie osób przy stole w prywatnym domu. Czy dziś ucho poety albo dziecka – tak czułe na specjalne, pełne znaczeń dźwięki – wyłowiłoby ten dźwięk spośród tysiąca innych, nieskończenie mocniejszych? Czy my, dzisiejsi Polacy,

odczytalibyśmy subtelny sposób respektowania hierarchii, ów kunszt usadzania gości, każdego na specjalnym, innym, jemu przeznaczonym miejscu? Czy odkrylibyśmy znaczenie postawy Wojskiego, którego godność majordomusa była tak wielka, że pozwalała wkroczyć do jadalni „w czapce i z głową zadartą”? A gdy doszło do kulminacyjnego momentu uczyty weselnej i na stół wjechały zagadkowe półmiski wypełnione mnogością tajemniczych dań – których same nazwy mogą przyprawić o zawrót głowy – czy nie byłibyśmy odrobinę speszeni nie zawsze wiedząc, jak się zabrać do nich?

Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!
Kto zrozumie nie znane już za naszych czasów,
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingrediencyjami pomuchl, figatelów,
Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów...

Tak elegancki wytworny i pełen fantazji był niegdyś w naszym kraju sposób podwyższenia temperatury spotkania, nadawania spotkaniu osób rangi święta, a zarazem utwierdzenia zebranych, że są uczestnikami widowiska, które ma wiele wspólnego ze sztuką. (Przypomnijmy arcy mistrzowski serwis, specjalnie zamówiony w Wenecji, „który barwy zmieniał”). Wspólna biesiada przy stole – wydawałoby się, fakt dość zwyczajny – bywała w polskich domach wydarzeniem artystycznym, godnym uwiecznienia jej przez pióro wieszczka. Bywała prawdziwym świętem. Świętem rodzinnym. Przy takich stołach wszyscy znajdowali się razem. Rodzice, dzieci, przyjaciele. Po takich biesiadach powstawały nawet księgi, jak pisze Mickiewicz. Wszystko zostawało zapisane – przemówienia, dowcipy, kolejność dań – na pamiątkę „owych biesiad sławnych,/ Które dawano w domach panów starodawnych,/ Gdy Polska używała szczęścia i potęgi!”

Dlaczego warto o tym wspomnieć? Kluczem jest słowo „tęsknota”. „Tęsknota do ojczyzny wiernej swym odwiecznym kształtom wyraża się również trwaniem bohaterów przy narodowym stole. (...) w soplicowskim *centrum polszczyzny* obok herosów jest miejsce dla kustoszów narodowego obyczaju, który ktoś przecież musi pielęgnować, bo on ma trwać, *gdy zemsty lwie przehuczą ryki...*” (Stanisław Falkowski, *Ciężkie norwidy*).

Właśnie, ktoś musi pielęgnować. Ale kto? Komu przypada dziś ta rola?

Prawda to czy bajka?

Tęsknota pojawia się w wielu młodych sercach, w rodzinach, w których rodzą się dziś dzieci. Uczta staropolska to symbol. Nie należy go lekceważyć, gdy myśli się serio o rodzinie i o polskości. Symbol głęboko chrześcijański, jeden z tych, które nie pozwalają zapomnieć, że jesteśmy na świecie nie z powodu jakiegoś błędu, przypadku, lecz z miłości. A zatem tęsknota – wręcz głód – do posiadania wzorca życia, które jest tak bardzo nasze, które odzwierciedla naszą kulturę i duchowość, a zostało niemal całkowicie zapomniane, a przy tym wyśmiane przez świat tzw. „realnej fikcji”, jaki wykreowano na użytek odbiorców codziennej paplaniny w różnego rodzaju popularnych mediach. Ten rodzaj polskiego życia, o którym mowa, życia pełnego splendoru, nie jest już znany z autopsji, a kołaczę się w snach, w marzeniach, przeczuciach – niczym echo w pustej sali. Echo czegoś odległego, dalekiego, nieuchwytnego, a zarazem bardzo bliskiego.

„My – krakowianie – pisze Ryszard Legutko – nawet w pierwszym pokoleniu, jak moje, nawet tak jak moja rodzina ledwie aspirująca do inteligencji – uważaliśmy się za nosicieli dobrego obyczaju, pamięci historycznej, inteligencji, ogłady, stabilności, cnót mieszczańskich oraz zako-

rzenionego w doświadczeniu rodzinnym antykomunizmu. My byliśmy żywym doświadczeniem zbiorowym..." (R. Legutko, *Esej o duszy polskiej*).

To starsi. Uwagę młodej polskiej widowni przykuwa nie „doświadczenie zbiorowe”, a fikcyjne życie wymyślonych postaci, bohaterów istniejących tylko na ekranie. Prawdziwe życie wydaje się pozbawione uroku. Świat wymyślony hipnotyzuje – znajdują się w nim wszelkie atrakcje w skondensowaniu, jakiego nie zna żadna epoka, żadna kultura, a wrażliwość wielu normalnych ludzi nie jest w stanie wytrzymać.

Żeby wyjść ze stanu hipnozy potrzebna jest twórcza postawa wobec własnego życia. Przyjęcie założenia, że nie muszę (bo kto był w stanie mnie do tego zmusić?) jako osoba – i nie musimy jako rodzina – popadać w jakąkolwiek rutynę. W jakimkolwiek obszarze życia duchowego, intelektualnego i codziennego praktycznego. (Czują to dobrze niektórzy ludzie mieszkający na wsi, w ich umysłach ocalone zostało przeświadczenie o cudowności stworzenia). Że stać mnie – zostałem po to stworzony przez nieskończonego Boga – by odkryć własne niepowtarzalne możliwości. I w sposób świeży, jedyny w swoim rodzaju, nie podpowiedziany przez nikogo z zewnątrz – żadnego złotoustego doradcę, żaden seryjny poradnik, żadne szkolenie czy modne „warsztaty” – wykorzystać je w moim życiu rodzinnym. Dla dobra moich dzieci. Kultura telewizyjno-komputerowa zabija tę postawę. Wpycha nas w kostium rozkapryszonego konsumenta, który uspokaja się dopiero, gdy dostaje kolejną porcję nowych – a w sumie takich samych, taniutkich – rozrywek, nowych gadżetów informacyjnych, nowy odcinek serialu. Karmieni kolejnymi odcinkami serialu stajemy się wtedy obliczalni, jak mechaniczne zabawki, które wystarczy w jednym miejscu nacisnąć, by uczyniły ruch, wydały dźwięk.

Warto żyć na przekór rutynie

Rutyna może zabić wspólnotę rodzinną i narodową. Popadając w nią można naprawdę uwierzyć, że rodzina (tak jak ojczyzna) jest mechanizmem, nie organizmem. Że ma reagować jak pies Pawłowa, automatycznie, ale nie z namysłem, rozważnie, po zastanowieniu się. Na przekór. Tak jak to czyniono zawsze w Polsce, gdy byliśmy duchowo wolni.

O wadze rodzinnego splendoru doskonale wiedział francuski myśliciel Louis-Ambrois de Bonald, który w połowie XIX wieku, w przeczuciu zwycięskiego pochodu nowoczesności, technologii i informacyjnego zgiełku niosącego duchową pustkę, pisał: „Gdyby w prowincjach i w każdej wiosce była jedna rodzina, posiadająca dostateczny majątek, aby zapewnić sobie utrzymanie, niezależne od zarobków i spekulacji finansowych, ciesząca się u mieszkańców wsi prestiżem, którym darzą oni zawsze posiadaczy starych i rozległych posiadłości. Gdyby ta rodzina, odznaczająca się zarazem pewnym splendorem życia, zaś na co dzień zachowująca skromność i prostotę, respektując surowe prawa honoru, dawała przykład wszelkich cnót i najwyższej godności. Gdyby dodawała ona do koniecznych wydatków związanych z jej stanem społecznym (...) tę codzienną dobroczynność, która na wsi jest nie tylko koniecznością, ale też cnotą. Gdyby zajmowała się jedynie obowiązkami życia publicznego lub była całkowicie oddana do dyspozycji państwa [autor „państwem” nazywa monarchię, nie republikę – EPP]. Czyż nie myślicie, że narody odniosłyby wielkie korzyści moralne i materialne dzięki takiej instytucji, która w tej czy innej formie istniała przez długi czas w Europie?...” (L.-A. de Bonald, *Oeuvres Completes*, tłum. Teresa Fernandes-Świątkiewicz).

Czy jednak pojedyncza rodzina może być jakkolwiek przeciwwagą? I na czym miałby polegać ten inny sposób życia? Zaskakiwać można domowników i przyjaciół nie tylko

odmienną scenerią rodzinnych uczt czy codziennych wspólnych posiłków, z opowiadaniem, dowcipami, nowymi wariantami potraw, odmienną aranżacją stołu, zmieniającymi się funkcjami domowników, coraz czynniejszym i bardziej twórczym udziałem dzieci. Warto wrócić do dawnego ideału wychowawczego ziemiańsko-harcerskiego, gdy dzieci uczono od najmłodszych lat spostrzegawczości – na spacerach i wspólnych przyrodniczych wyprawach – postawy gotowości do pomocy starszym, młodszym i potrzebującym, uczono naprawy domowych sprzętów, robienia „czegoś z niczego” – także jeśli idzie o posiłki. (Reklamowane dziś płatki z mlekiem jako żelazne menu śniadaniowe dzieci i młodzieży to symbol tego specyficznego dla naszych czasów przedłużania niemowlęctwa, epoki papek i kaszek, epoki infantylności, podczas gdy w dawnych domach chłopskich i szlacheckich dzieci dostawały na śniadanie barszcz z ziemniakami, żytnie kluski ze skwarkami i fasolę albo groch. Zdrowe proste jedzenie odzwierciedlało zdrowe wychowanie duchowe).

Bogactwo form życia rodzinnego i towarzyskiego, którego centralnym miejscem był dom rodzinny, a w nim wygodny duży stół, zastąpił nieustanny huczny karnawał, który wypełnia wszystkie środki przekazu. Udział w nim ma jednak swoją cenę. Jest nią notoryczne zmęczenie psychiczne i wyjałowienie duchowe i intelektualne.

„A wokół huczy wspaniałe życie Rumiane jak
rzeźnia o poranku” (Zbigniew Herbert)

Czy wracając do wzorców życia naszych mądrych przodków nie popadamy w sentymentalizm, nie kopiujemy anachronicznych i sztucznych w naszych obecnych warunkach modeli? Życie lubi sprawiać niespodzianki. Walec, jaki przetoczył się przez Polskę od tamtych czasów przynajmniej czterokrotnie, zniszczył niemal wszystkie materialne ślady

dawnego życia, a jej licznych mieszkańców pozbawił poczucia zakorzenienia we własnej kulturze. „Polska, jaką znam i w jakiej żyłem od urodzenia, to Polska zerwanej ciągłości”, zaczyna swój *Esej o duszy polskiej* Ryszard Legutko. I dodaje, że jest ona krajem „poddawanym w ostatnich dekadach ciągłym przekształceniom, gwałtownym reorientacjom cywilizacyjnym, rewolucjom, restrukturyzacjaom, transformacjaom, normalizacjaom”. Czy zerwanej ciągłości nie da się jednak naprawić?

Spróbujmy zacząć raz jeszcze od początku. Od domowych ścian. Od nagle, z trzaskiem, otwartych drzwi prowadzących do jasnego pokoju, gdzie przy stole zebrali się wszyscy, których kochamy. Rzęsiste światła, zapach potraw, błyszczący zastawa. Zaczyna się znów polskie święto.

III

Jelenie nadziewane, ciasta sążniste, okrutne baby

Jeśli komuś wydaje się, że pomiędzy posiłkiem a sprawami religii nie ma związku, jest w błędzie. Polacy w swojej kulturze i obyczajach potrafili ten związek ujawnić celebrując zjawisko kulturowe, które określamy mianem świątecznego stołu.

Szczodrość i artystyczna malowniczość wielkanocnego stołu oraz wielka logistyczna operacja, jaką w tradycyjnych domach polskich było zawsze sprzątanie przed Świętami Zmartwychwstania Pańskiego, bywały dostatecznie często w różnych współczesnych felietonach wyśmiewane, by nie zastanowić się nad tą nutą czcigodnej przesady, a w istocie przekory polskiego katolickiego żywiołu wobec kultury protestanckiej. Kultury, która nawet świętować Wielkanoc i Boże Narodzenie nakazywała smutno, oschle i bojaźliwie. Jakby tylko jednym rąbkiem umysłu i serca, ukradkiem. W Polakach zaś, którzy byli katolikami, dochodziły

do głosu hojność, żar, fantazja i polot; świętowaliśmy zawsze całym sercem.

„Wojewoda Sapieha w Dereczynie¹ wspaniale wyprawiał Święcone, na które zjechało się co niemiara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek z chorągiewką, wyobrażający »Agnus Dei«; ten dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stały cztery ogromne dziki, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz wielką pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało dwanaście jeleni, także całkowicie pieczonych, ze złocistymi rogami, nadziane były różnaitą zwierzyną. Te jelenie wyobrażały dwanaście miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle, ile tygodni w roku, to jest cudne placki, mazurki, żmudzkie pierogi, a wszystko wysadzane »bakalią«. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile jest dni w roku”². Kronikarz, Łukasz Gołębiowski, wylicza to wszystko (przypominając, że i czeladź była tu nakarmiona, przypadło też jej 8760 kwart miodu, „tyle, ile godzin w roku”), by uprzytomnić, jak nasi przodkowie potrafili podziw dla Pana Czasu wpleść w uroczyste świętowanie Zmartwychwstania Chrystusa. Symbole, wymowa liczb miały uczynić gościnę świąteczną przy stole

¹ Dereczyn – wieś (niegdyś miasteczko, a wcześniej miasto magnackie) w rejonie zelwieńskim na Grodzieńszczyźnie, położona na północ od Różany nad rzeką Zelwą. Niegdyś własność Kopoczewiczów, Połubińskich oraz Sapiehów, którzy mieli tutaj swój pałac zbudowany w 1786 r. W 1629 r. Konstanty Połubiński i jego żona, Zofia z Sapiehów, ufundowali w Dereczynie kościół i klasztor dominikanów. Po upadku powstania listopadowego wyposażenie pałacu, łącznie ze wspaniałymi obrazami, bogatą biblioteką i obszernym archiwum, zostało wywiezione przez Rosjan do Petersburga, skąd już, jak większość zrabowanego Polsce dziedzictwa kultury, nigdy nie powróciło. Podobnie poczyniono ze zbiorami w pobliskiej Różanie, gdzie straty dla kultury polskiej były jeszcze większe (za Wikipedia.org).

² Cyt. za ks. F. Marlewski, *Rok Boży w liturgii i tradycji Kościoła świętego*, Wydawnictwo św. Stanisława, Katowice 1932.

ustawionym w magnackim pałacu – tak jak i w dworku szlacheckim – wielowymiarową, poważniejszą niż tylko przeganianie potężnego głodu równie potężną w rozmiarach ucztą, po zmaganiach w Wielkim Poście.

Ta rozrzutność, w oczach „kalwinów i lutrów” – jak zauważa cytowany powyżej autor *Roku Bożego*, trwonienie wysiłku, czasu i pieniędzy na okazałość zewnętrznej formy święta religijnego przy stole – jest przejawem specyficznie polskiej otwartości wobec ludzi, gościnności, radości z powodu spotykania się z bliźnimi pod rodzinnym dachem. Cechy coraz mniej dziś w świecie popularnej i docenianej. A jest to coś arcychrześcijańskiego. Coś subtelnie duchowego.

Dzień Wielkanocy jest wciąż w Polsce dniem „wesółym”, czyli rzeczywiście najradośniejszym w roku, bo ludzie wierzący w Chrystusa uświadamiają sobie, że oto dokonało się coś przejmującego do szpiku kości niewysłowioną głębią i tajemnicą: odkupienie świata przez Boga Człowieka.

Grób Zbawiciela w kościołach tonie w nieprzebranym morzu kwiatów. „Gdzie kamień, gdzie straż, gdzie pieczęć, gdzie śmierć?” Wszystko pierzchło! „Niechaj drżą i rozpaczą ci, którzy nie wierzą w Chrystusa!”³

Profesor Léo Moulin, belgijski historyk (autor m.in. pracy poświęconej europejskiej historii gastronomii) wykazał, że najlepsza kuchnia w Europie jest kuchnią katolickiej Polski. Czymś w tej dziedzinie bezapelacyjnie najgorszym jest natomiast „kuchnia luterskich Niemiec Wschodnich” (słowa te padły jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec w 1990 roku). „Jak to możliwe – pyta Vittorio Messori w jednym z esejów – zważywszy, że klimat i surowce są jednakowe u Polaków i Niemców? Zresztą wszędzie w świecie kuchnia katolików jest lepsza od kuchni protestantów, i nawet ważniejszą rolę odgrywa w ich życiu”. Brzmieć to może

³ Cyt. za ks. F. Marlewski, *Rok Boży w liturgii i tradycji Kościoła świętego*, Wydawnictwo św. Stanisława, Katowice 1932.

zagadkowo i trochę jak przechwałka. Ale Messori dorzuca jeszcze do tych rozróżnień powiedzenie popularne we Włoszech: „Piekło to miejsce, gdzie kucharzem jest Anglik”.

Sprawa nie jest wcale banalna. Léo Moulin następująco wyjaśnia tę zagadkę: „Faktem jest, że protestantyzm stłumił w człowieku radość życia: wierzący jest sam przed Bogiem, musi ponosić pełną odpowiedzialność za swoje czyny, włącznie z wyrzeczeniem się grzesznego »pożądania« pożywienia. Katolik jest bardziej wolny i mniej zakompleksiony, wie bowiem, że do pomocy ma całą gamę czynników mediacyjnych, kulturalnych i eklezjalnych. Przede wszystkim spowiedź, z jej wyzwalającym przebaczeniem. Tragedia protestantyzmu polega na tym, że zrzuca on na człowieka nieznośny ciężar. Mówiąc mu: »Twoje zbawienie jest tylko twoją sprawą, załatwiał je sobie sam z Bogiem«, dopuszcza, że człowiek ugina się pod straszliwym ciężarem albo też zmuszony jest udawać, nawet wobec samego siebie, cnotę, której nie może już praktykować. Stąd słynna hipokryzja”.

Niektórzy znani w świecie ludzie zwykli gromko pokrzykiwać, że i Polska i Włochy są zaściankiem, bo nie poznały uroków Reformacji. Niestety naszym krajom miałby być fakt, że nauki Lutra i Kalwina nie przeniknęły z powodzeniem poza nasze granice. „Ubolewają nad tym, lecz wiedzą, że zasiadając do stołu, aby smakować obiadek po włosku [lub wieczerzę wigilijną czy śniadanie wielkanocne po polsku – EPP], zaciągają dług wobec katolicyzmu. Inaczej mówiąc – jedliby pudding lub hamburgery, albo największy przysmak – w dni świąteczne – kurczaka z frytkami”. Taka jest opinia cenionego historyka i znawcy historii sztuki kulinarnej.

Jeżeli więc świętowanie Wielkanocy tak często przebiega u nas „wokół stołu”, nie znaczy to, że jesteśmy puści i zmysłowi, lecz że dajemy naszej wewnętrznej radości także wyraz zwyczajnie ludzki, nie zapominając, Kto jest dawcą tych wszystkich dóbr, które układamy kunsztownie na stołach.

Jest to także hołd złożony Bogu za Jego dary, zwłaszcza gdy świątecznemu posiłkowi towarzyszy modlitwa przed jedzeniem i po jedzeniu, niezwykle doniosła.

...oto w samym założeniu świata widzialnego jest jakby pewien układ między człowiekiem a resztą stworzenia nie obdarzoną rozumem. „Wszystko poddane jest pod stopy człowieka” (Ps 8,7), cały świat mu służy i jest do jego dyspozycji, ale za to on ma temu światu pomagać wracać do Boga i szerzyć Jego chwałę. On ma w imieniu świata wypełniać to, czego wszystkie stworzenia świata nie są w stanie uczynić... Na tym polega głęboki symbolizm modlitwy przed i po jedzeniu. W czasie posiłku całe stworzenie, przedstawione przez trzy królestwa: mineralne, roślinne i zwierzęce, staje do usług człowieka, aby go utrzymać przy życiu, człowiek zaś przed i po spożyciu pokarmu już nie tylko w swym imieniu, ale i w imieniu całego stworzenia składa hołd i dzięki Bogu i Stwórcy wszechrzeczy (o. Jacek Woroniecki OP, *Pełnia modlitwy*, Warszawa 2018).

Z pewnością sprzątanie domów „od piwnic po strychy”, czyszczenie, pranie i wietrzenie wszystkiego, co zalega w najciemniejszych kątach, w kufrach, szafach jest także wyrazem religijnego zapału, jaki ogarnia nas przed Wielkanocą. Podobnie wielodniowe przygotowywanie wielkanocnego stołu, by było na nim naprawdę „bogato”, a zarazem artystycznie i kolorowo.

Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne baby. Ach! bez nich cóżby całe Świącone znaczyło? Na ich ogorzałych obliczach gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czerniawa, lepka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smacznymi były. Garnitur pierogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania wypełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów, widzenia, smakowania i powonienia, nęciło (Ignacy Chodźko, *Dworek mojego dziadka*).

Dworzanin hetmana Tarnowskiego, Mikołaj Pszonka, tak opisał swojej żonie Świącone w mieszczańskim domu krakowskim, na które przybył wraz z panem hetmanem:

Na stole okrągłym, u którego i sto osób pomieścić się mogło, przykrytym w krzyż zszywanym obrusem, na sześciu misach srebrnych leżały mięsiwa wędzone wieprzowe, na drugich sześciu po dwoje prosiąt, kielbasy dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, a najwięcej na rakowo. Stały figury z ciasta przedniego, wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Kajfasz wyjmował kielbasę z kieszeni Mahometa, a wiadomo, że Turcy i Izraelici nie jedzą mięsa wieprzowego. Na środku stołu stał dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki, oczy jego to były dwa brylanty w czarnej oprawie... Dalej srebrne łódeczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał. Pan Hetman zaproszony przez pana Chroberskiego na to Świącone, przybywszy wraz z dworem, długo mu się przypatrywał.

Czy można się dziwić, że tego rodzaju obyczaje, gdzie urokom stołu towarzyszyły powściągliwość i kultura bycia, wywoływały furię złości u naszych sąsiadów, gdzie barbarzyństwo wkraczało także w progi domów rodzinnych, dworzyszczów i siedzib bojarskich, i nie oszczędzało czasu świątecznego? Że Rzeczpospolita Obojga Narodów, w której dostatkowi, potędze, sile wtórował rozum, wiara, honor, męstwo, a także elegancja i splendor widzialny, była bolesną drzazgą w ich oku? Nie chcieli takiego sąsiedztwa, bali się takiej kultury. Wielu jednak było i takich, którzy pod wpływem polskich obyczajów przechodzili na katolicyzm i błyskawicznie się polonizowali.

Czas przystąpić do najważniejszych rzeczy, do kołaczów, placzków, jajeczników, makowników, które okręzały jeden najważniejszy kołacz (...) miał w obwodzie z ośm łokci, gruby

na dwie piędzi, a jakieśmy tylko weszli do izby, to nam zapachniał swojemu przyprawami. Po brzegach wokoło niego stały różne figurki: apostołowie, udani jak żywo, a to wszystko z ciasta. Ubawił mnie bardzo Judasz, rudowłosy i brzydki. Po zmówieniu zwyczajnych modlitw zaczęło się spożywanie daru Bożego.

»Święcone« Wielkanocne jest rdzennie polskim zwyczajem, nigdzie indziej w krajach chrześcijańskich nie spotykamym, jest dowodem bezgranicznej gościnności Polaków, którzy w dawnych czasach nieraz setki gości spraszali, przygotowując dla nich wymyślne, zbytkowne potrawy wielkanocne⁴.

Tak było kiedyś, ale przecież mamy wiek XXI! Jesteśmy z konieczności pragmatyczni, oszczędni, powściągliwi, bowiem jesteśmy zapracowani, ambitni, aktywni, dbamy o dietę, uprawiamy sporty, łykamy witaminy. Zamiast pracochłonnych dań przyrządzanych w domu i spraszania tłumu gości wybieramy często wizytę z przyjaciółmi w przytulnej knajpce. Niewątpliwie, świąteczne ucztowanie, także świąteczne tradycje, jak pisanki wytwarzane w domu, śmigus-dyngus (bez obawy o uszczerbek na zdrowiu), odwiedzanie Grobów Pańskich w Wielką Sobotę zamiast joggingu i rowerów w lasku podmiejskim, mają mało wspólnego z pragmatyzmem i zdrowym trybem życia. Katolicy jednak przez wieki rozumieli, że praktykowanie przez nich wiary w Chrystusa musi mieć także fizyczne, materialne odzwierciedlenie w ich życiu – dokąd rzeczywiście panowały w ich umysłach prawdy naszej katolickiej religii, a nie mętna „religijność”. Ta ostatnia jest tylko, jak mawiał Chesterton, nieuświadomionym zabobonem i opiera się na dwóch dogmatach; po pierwsze, że ludzkość z biegiem czasu staje się bezustannie coraz lepsza; po drugie, owo ulepszenie polegać ma na

⁴ Cyt. za ks. F. Marlewski, *Rok Boży w liturgii i tradycji Kościoła świętego*, Wydawnictwo św. Stanisława, Katowice 1932.

coraz większej obojętności i niewierze wobec świata nadprzyrodzonego.

Pan Hetman ochoczo prosił, aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego po troszę, napił się miodu, wina nie chciał. Podał Imć Pan Hetman święconego jajka każdemu. My czekaliśmy z wielkim uszanowaniem, aż Pan Hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej stołu. Po niedługim czasie rzekł: Używajcie Waszmości Panowie hojności gospodarza, a skromnie i honeste⁵. Sam pokłoniwszy się, pożegnał wszystkich łaskawie i odjechał na zamek. (...) W otwartości i ochocie staropolskiej odbyliśmy tę biesiadę. Każdy położył, co chciał, nikt nie przebrał miary. Po wesolyń »alleluja« rozeszliśmy się wszyscy i dosiadłszy konia, ruszyli na zamek, gdzie była radość ze zmartwychwstania Pańskiego. Wszyscy dworzanie J.K. Mości i panów pospołu w dolnych izbach pili i jedli, a pamiętając na uroczystość święta Bożego, zbytku się strzegli.

Malownicze i bogate, a nawet wręcz wymyślne tradycje polskiej Wielkanocy potwierdzają fakt, że w umysłach Polaków przez wieki królowały prawdy po stokroć przekraczające możliwości ogarnięcia ich myślą aż do końca, ale za to jakże inspirujące, jak wiele pola do popisu dające ludzkiej wyobraźni! Bo całkowicie przekraczające nasze ludzkie doświadczenie, zaprzeczające pospolitej logice doczesności – jak to Wydarzenie, które jest głównym dogmatem naszej wiary: że prawdziwy Bóg zstąpił na ziemię, stał się Człowiekiem, umarł na Krzyżu, by odkupić nasze grzechy. I choć umarł w okrutnej męce, na oczach świadków – trzeciego dnia zmartwychwstał! Czy można nie szaleć wprost z radości, gdy pojęło się – choćby w niewielkiej tylko części – ów zamysł Stwórcy co do człowieka? I jego skutki sięgające wieczności, dla każdego z wierzących w prawdziwego Boga?

⁵ *honeste* (łac.) – uczciwie, godziwie, sprawiedliwie

Jak słusznie zauważył Chesterton, ludzie wróciliby do tradycyjnej religii i moralności, gdyby tylko umieli wystarczająco poszerzyć swoje umysłowe horyzonty.

Dlatego pieczone prosię na półmisku z jabłkiem w pysku, w otoczeniu rozległych porąbki jarmużu i setek malowanych jaskrawo jaj, nie jest wcale przykładem festiwalu obżarstwa w wielkanocny poranek, typowego dla Sarmatów nieokrzesania i „przesady” w dogadzaniu sobie oraz imponowaniu zaproszonym gościom wystawnością i fantazją, lecz czegoś zgoła odmiennego: nieumiarkowania w nadziei, dziecięcego wprost zachwyty, jaki przystoi katolikom. Zachwyty dla Boskiej hojności, z jaką człowieka obdarował dobrami doczesnymi i wiecznymi. Odrywania się myślą i czynem od codziennej siermięgi, od pospolitości, od dźwigania ciężarów zwykłego dnia, by okazać Bogu – ale i objawić ludziom obok żyjącym – swoje oczarowanie, olśnienie, pokorę i wdzięczność.

Maria Przełomiec*

Dwór szlachecki jako archetyp polskiego domu, czyli: co nam zostało z tych lat?

Tak się u nas utarło, że ciągle jeszcze mimo wszystkich przemian i burz dziejowych za archetyp polskiego domu uważa się dwór. Nie mieszczańskie salony czy pałace arystokracji, nie chłopską chatę, chociaż te – oczywiście – liczebnie przeważały, ale szlachecki dwór.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest kilka. Po pierwsze, w dawnej Rzeczypospolitej stan mieszczański był stosunkowo nieliczny i odgrywał niewielką rolę, po drugie szlachta stanowiła aż 10% społeczeństwa i po trzecie wreszcie, decydował o tym ustrój państwa, to jest demokracja szlachecka. Brak władzy absolutnej, z dworem królewskim będącym ośrodkiem politycznego życia, sprzyjał powstawaniu licznych lokalnych centrów, w tym właśnie prowincjonalnych dworów szlacheckich.

Głównym jednak powodem tego stanu rzeczy wydaje się historia ostatnich 200 lat. Podczas długiej niewoli, gdy państwo przestało istnieć, to właśnie dwór był ostoją polskości, miejscem pielęgnowania tradycji, narodowej kultury,

* Maria Przełomiec, dziennikarka, autorka programu „Studio Wschód”, prawnuczka państwa Jeleńskich, właściciele Glińciszek.

patriotyzmu. To właśnie dwór był ośrodkiem broniącym przed zrusyfikowaniem czy niemczeniem. Dwór uosabiał stary patriarchalny porządek, w którym, przynajmniej w teorii, właściciele i służba zarówno folwarczna jak i domowa stanowili część jednego wspólnego świata. Świata, w którym mieszkańcy wsi mieli prawo oczekiwać od właścicieli majątku opieki w razie choroby czy innego nieszczęścia, a dziedzice poczuli się do odpowiedzialności za całe swoje otoczenie. Taki wzór dworu widzimy w „Panu Tadeuszu”. Przyjmiemy opis Sędziego:

(...) On pierwszy zabraniał,
 Ażeby się chłop przed nim do ziemi nie kłaniał,
 Mówiąc, że to grzech. Nieraz u niego gromada
 Chłopska, ja sam widziałem, do stołu z nim siada;
 (...) Polskę kocha nad wszystko, polskie obyczaje
 Chowa, modom moskiewskim przystępu nie daje.
 Ilekroć z Prus powracam, chcąc zmyć się z niemczyzny,
 Wpadam do Soplicowa jak w centrum polszczyzny:
 Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny!

(księga VII, Rada)

Ogromną, chociaż zapewne nieco wyidealizowaną rolę dworu opisują dziesiątki dziewiętnastowiecznych powieści – Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Weyssenhofa, Kraszewskiego czy zapomnianej już Emmy z Jeleńskich Dmochowskiej. Oczywiście, powieści to fikcja, ale już fikcją nie są liczne pamiętniki z tego czasu, takie dla przykładu, jak Antoniego Kieniewicza *Nad Prypecią dawno temu*, *Koniec Imperium* Mieczysława Jałowieckiego, *Wspomnienia* niesłuchanie zasłużonego dla ziemi mińskiej gospodarza i społecznika Edwarda Wojniłowicza czy też, już nie pamiętniki, ale traktat *O rolnictwie* napoleońskiego żołnierza, a potem wielkopolskiego działacza – Dezyderego Chłapowskiego. Wszystkie one ukazują rolę dworów jako swoistych i właściwie je-

dynych „kultur-treagerów” w pozytywnym tego słowa znaczeniu, na zajętych przez zaborcę ziemiach dawnej Rzeczypospolitej.

Panienci z dworu po cichu uczyły wiejskie dzieci tego, czego zabraniała szkoła zaborców: języka polskiego i polskiej historii. Dwory zapewniały opiekę lekarską – bogatsze zakładając niewielkie szpitaliki, mniej zamożne utrzymując na potrzeby własne i wsi służebnych lekarza, najbiedniejsze – służąc potrzebującym lekarstwami kupowanymi w miejskiej aptece i domowymi środkami. Ten imperatyw dbałości o ludzi, o swoje otoczenie niejednokrotnie trwał dłużej niż sama własność ziemska i przenosił się do miasta razem z kolejnymi „wysadzonymi z siodła”.

Istotną rolę w szerszym upowszechnianiu tych „dworskich” tradycji odegrał fakt, iż właśnie z ziemiaństwa wywodziła się duża część dziewiętnastowiecznej polskiej inteligencji. Wielu z jej przedstawicieli to byli dawni właściciele ziemscy, których majątki przepadły w kolejnych powstaniach, a którzy przenoszą dawne tradycje na zupełnie inny, miejski grunt. To przez nich i ich potomków wiejski dwór z całą jego duchową otoczką trafia do kamienic – tam pozbawieni swojej ziemi mieszkańcy starają się przechować nie tylko ocalone resztki dawnej świetności – jakiś pas słucki, portret pradziada, szablę czy wytarty perski kobierzec – lecz może przede wszystkim wyniesione z rodzinnych domów zwyczaje, takie jak poczucie odpowiedzialności nie tylko za siebie, lecz i za swoje otoczenie. Świetnie pokazał to Reymont w *Ziemi Obiecanej*, opisując Ankę, narzeczoną Karola Borowieckiego, która po przyjeździe do Łodzi próbuje opiekować się rodzinami robotników fabrycznych, tak jak dawniej w majątku opiekowała się służbą folwarczną i ludźmi ze wsi, co zresztą spotyka się z ostrym sprzeciwem młodego, bezwzględnego kapitalisty, jakim stał się Borowiecki. Drapieżny kapitalizm i reprezentowane przez wiejski dwór wartości są bowiem nie do pogodzenia.

Śmierć dworu

Te „dobre ziemiańskie zasady” w mniejszym lub większym stopniu udało się przechować właściwie niemal do lat dziewięćdziesiątych wieku XX, a więc o wiele dużej niż przetrwały same dwory jako siedziby rodowe.

Pierwszy cios tej tradycji zadała II wojna światowa, a raczej jej konsekwencje. Bo jeszcze podczas okupacji ówcześni ziemianie w większości byli przekonani, że po tej kolejnej zawierusze wszystko wróci do normy, jak to niejednokrotnie w historii bywało. Napaść na Polskę Sowieców położyła kres tym nadziejom, ale tradycji jeszcze nie zabiła.

Niewielkie mieszkanko mojej Babuni czy niewiele większe „apartamenty” jej siostr ciągle przypominały wnętrza szlacheckiego dworu. A i moi rodzice, gdy tylko udało im się pracami konserwatorskimi zarobić trochę pieniędzy, wybudowali dom urządzony uratowanymi z pożogi resztkami i dokupowanymi przez Ojca starymi meblami czy obrazami ocalonymi z czyichś dworów. Ważniejszy jednak od „materii”, chociaż w jakiś dziwny sposób z nią związany, był duch. Ważnymi były pouczenia, we współczesnym świecie traktowane z pogardą: „pamiętaj, że odpowiadasz nie tylko za siebie, ale i za swoje otoczenie, w tym za ludzi od ciebie zależnych”, „nie urodziłaś się po to, żeby tobie było dobrze, ale żeby z tobą było dobrze, a wtedy i tobie będzie dobrze”, „dla osób od ciebie zależnych musisz być podwójnie uprzejmą, spierać się możesz z równymi sobie”, „kłamią tylko tchórze albo ci, którzy mają coś wstydlivego do ukrycia”.

W tym miejscu jednak od razu muszę dodać, że o ile kłamać było wstyd, o tyle osoba obdarzona bujną wyobraźnią mogła egzagerować (od fr. *exagéré* – przesadzać). Jeżeli idzie o postaci historyczne to królem egzagerujących był niewątpliwie Radziwiłł Panie Kochanku). I chwała Bogu, bo ile barwnych historii zawdzięczamy ziemiańskim



Il. 1. Gliniszki, dwór pradziadków autorki – Marii z Kończów i Józefa Jeleńskich, stan z 2017 r., fot. ze zbiorów autorki



Il. 2. Annowil, dwór dziadków autorki, Marii z Jeleńskich i Karola Erdamanów. Na zdjęciu autorka (na pierwszym planie) z siostrą Agnieszką, 2017 r., fot. ze zbiorów autorki

gawędziarzom. W dzisiejszych czasach do pewnego stopnia zastępują ich niektórzy reporterzy, ale ci egzagerują z o niebo mniejszym wdziękiem.

* * *

Zobaczmy, jak wyglądało życie w przeciętnym polskim dworze końca XIX i pierwszych dekad wieku XX. Jak wyglądało życie nie w magnackim pałacu, ale typowym kilkunastopokojowym domu z kolumnowym gankiem, dużym sadem, lipową aleją, ogrodem i gazonem na podjeździe tończącym w ozdobnych roślinach.

Wychowanie dzieci

Pod wieloma względami „panie dziedziczki” były w bardziej komfortowej sytuacji niż obecne mamy. Co prawda brakło żłobków i przedszkoli, ale znakomicie zastępowały je najpierw nianie, a potem bony i nauczyciele. Odciążeni od stałej, żmudnej opieki rodzice czuwali nad tym, co najważniejsze – nad kształtowaniem charakterów potomstwa. Temu służyły np. codzienne, starannie dobierane wieczorne lektury. Przede wszystkim jednak dzieci nie rozpieszczano. Oczywiście, jedzenia było do woli, ale takiego, które dostarczał dwór. Kupne czekoladki, bakalie czy cytrusy pojawiały się od wielkiego dzwonu. Współcześni rodzice mogą ripostować, że obecne sklepowe wyroby po prostu zastępują tamte „naturalne” łakocie. To prawda, ale weźmy chociażby takie ubrania. Mowy nie było o strojeniu potomstwa w markowe „ciuszeki”. Wizytowa sukienka na specjalne uroczystości dla „panienki”, jakieś spodenki i marynarska koszulka dla „panicza”, i koniec. Dzieci bogatych rodziców donaszały stroje po starszym rodzeństwie lub kuzynach. Buciki zamawiano u szewca z pobliskiego miasteczka. Zresztą, jak wspominała moja matka, całe lato biegало się

boso, tylko do kościoła lub z wizytą madame kazała nakładać sandałki.

Aż do pójścia do gimnazjum edukacja była domowa. Madame, miss lub fraulein do nauki języków obcych, nauczyciel do pozostałych przedmiotów. Przy końcu roku w mieście zdawało się końcowy egzamin i przechodziło do następnej klasy. Nauka w gimnazjum oznaczała wyjazd z domu. Niewiele było matek, które jak moja babunia ze strony ojca decydowały się na zamieszkanie z synami – gimnazjalistami w mieście. Zwykle wybierano jakąś szkołę z internatem. Dla dziewcząt były to najczęściej ss. Urszulanki, Niepokalanki lub Sacre Coeur, dla chłopców oo. Jezuitów lub Pijarzy. We wszystkich tych zakładach obowiązywały mundurki, codzienne i świąteczne, które nie dawały specjalnych możliwości chwalenia się markowym ciuszkiem.

Szkoły, podobnie jak dom, uczyły dyscypliny i odpowiedzialności, a smutny sprawdzian II wojny światowej dowiódł, jak bardzo była to skuteczna nauka.

Pisząc o „dworskim” wychowaniu warto zwrócić uwagę na stosunek do służby. Otóż dzieci obowiązywała bezwzględna uprzejmość dla służących. Opowiadał mi nobliwy starszy pan, że, gdy jako chłopiec niegrzecznie odezwał się do lokaja, musiał go przeprosić i pocałować w rękę. Ówczesnego panicza miało to nauczyć szacunku do ludzi pracy, zwłaszcza tych pracujących dla niego.

Noblesse oblige (szlachectwo zobowiązuje) – przed iloma głupstwami chroniły te dwa słowa. Nie wypadało przeklinać, kłamać, poniżać słabszych. A jednocześnie ówczesne dzieci wydają się bardziej żywe i skłonne do psot niż ich obecni pogrążeni w Internecie rówieśnicy. Przy czym te „wyskoki”, o których wspominali moi wychowani przed wojną rodzice czy też urodzeni przed I wojną dziadkowie, nie miały nic wspólnego ze współczesnych chuligaństwem.

Jednym z tego powodów był niewątpliwie fakt, że istotnym fragmentem ówczesnego wychowania było stosunkowo

wczesne wdrażanie do obowiązków. Dziewczęta uczono zajmowania się gospodarstwem domowym i tzw. kobiecymi robotkami, czyli szyciem i haftowaniem, a także opieki nad innymi, chłopców przygotowywano do męskich zajęć i obowiązków, w tym tych związanych z przyszłym prowadzeniem majątku.

A do tych obowiązków należała także, wspomniana już wyżej, opieka nad całym swoim otoczeniem, zatem także ludźmi, którzy dla dworu pracowali. W okresie międzywojennym do opisanego już pomocy medycznej doszło wsparcie innego rodzaju. Powstałe jeszcze w czasie zaborów Stowarzyszenie Zjednoczonych Ziemianek za cel postawiło sobie „skupienie i zintegrowanie w jednym stowarzyszeniu zarówno ziemianek jak i gospodyń z chłopskich chat”. „Przekładając” na język realiów oznaczało to organizowanie i opłacanie przez „panie dziedziczki” wiejskich ochronek, promowanie ludowego rzemiosła poprzez wspieranie wiejskich tkaczek, hafciarek czy koronczarek i pomoc w sprzedaży ich wyrobów (w przedwojennej Warszawie istniał specjalny sklep Stowarzyszenia). Ziemianki organizowały dla wiejskich gospodyń kursy higieny i racjonalnego gospodarstwa domowego, ogrodnictwa czy pszczelarstwa. Wystarczy przejrzeć roczne sprawozdania poszczególnych Kół Ziemianek, żeby zorientować się w ogromie bezinteresownej pracy społecznej tych, przecież mocno zajętych, pań. Prowadzenie dworu, wbrew obiegowej opinii, nie należało bowiem wcale do zadań łatwych.

Do takiego właśnie pożytecznego dla ogółu życia starano się przygotować swoje potomstwo, od którego wymagano dużo, z drugiej strony stale nad nim czuwając i starając się zachęcać przykładem zarówno własnym, jak i tym czerpanym z rodzinnych historii.

Ten luksus, niestety, często nie jest znany współczesnym rodzicom, zajęтым przede wszystkim karierą czy licznymi obowiązkami związanymi z codzienną pracą. Tymi praw-

dziwymi obowiązkami i tymi, które współczesnym ludziom niezbędnymi tylko się wydają.

Obecnie większość Polaków nie ma już ani czasu, ani ochoty przekazywać potomstwu dawnych tradycji. Bardzo wielu zresztą nie bardzo ma co przekazać. Masowy po II wojnie awans społeczny kompletnie zmienił profil polskiej klasy średniej. Potomków wywłaszczonych ziemian czy przedwojennej inteligencji zalała masa ludzi bez żadnego „backgroundu”, chcących jak najszybciej zapomnieć o swoim wiejskim czy robotniczym pochodzeniu i przejmujących wszystkie wady, a żadnych zalet dawnych klas wyższych – arogancję, zarozumiałość, pogardę dla słabszych. Dodatkowym czynnikiem demoralizującym była komunistyczna władza promująca bezideowych karierowiczów z „właściwym” pochodzeniem.

Paradoksalnie, ostateczny cios tradycji zadało odzyskanie przez Polskę niepodległości i będący jedną z jego konsekwencji zalew tzw. kultury masowej, promującej bezguscie i w ubiorze, i w stylu życia. Zasada: mnie się wszystko należy, bo, jak brzmi ulubiony slogan reklamowy: „jestem tego warta (wart)” wyparła dawne wartości, zaś ani szkoła, ani rodzina, ani kościół nie potrafiły ich skutecznie obronić.

Czy i co zostało z tradycji „polskiego dworu”?

Bardzo typowym dla polskiego współczesnego krajobrazu stał się budynek mający przypominać dwór. Zwykle jest to dom ze spadzistym dachem i gankiem wspartym na rachitycznych kolumienkach (rachityczne, bo grubszych „gotowców” nie ma). Wygląda to jak karykatura dawnych siedzib szlacheckich. I podobnie karykaturalnie przedstawiają się często resztki ziemiańskich tradycji. Nowobogaccy sprawiają sobie sygnety, posyłają dzieci do koniecz-

nie prywatnych szkół, niekiedy wykupują i remontują zrujnowane dawne rezydencje. Dla większości ludzi modelem życia zarówno materialnego, jak i duchowego stał się internet oraz seriale telewizyjne, bardzo poprawne politycznie i zamiast autentycznych zalet promujące nowoczesne tzw. „wartości”.

Polski dwór przestał być archetypem polskiego domu, teraz chcą być nim i są nim programy telewizyjne typu „Zmieniamy Mieszkanie” czy „Pipścińska cię urządzi”, z całym dobrodziejstwem inwentarza. Tradycję zastąpiły medialne wzorce.

Tadeusz Sakowicz*

„Bitwa o dom polski”
czy „walka z polskim domem”
– dylematy rzeczywistości społecznej

Dla wszystkich w dziejach okupantów narodu polskiego dom polski był podstawowym przedmiotem walki i totalnego zniszczenia. To stwierdzenie powinno towarzyszyć świadomości Polaków, że zagrożenia charakterystyczne dla czasów zniewolenia nie ustępują po ich zakończeniu. Zanik pamięci historycznej równać się może z upadkiem niepodległości państwowej. Dom polski to podstawa niepodległego państwa polskiego. Czym zatem jest ów dom i jak należy go rozumieć? Dlaczego był przedmiotem walki dla tych, którzy uzurpowali sobie prawo zawładnięcia nim? Kto stał i stoi na straży tego domu dawniej i obecnie? Jak odróżnić przyjaciela od wroga domu? I wreszcie, jak wychowywać młode pokolenie w kierunku pogłębionego szacunku dla własnego domu – Domu Polskiego? Najważniejszą w tym miejscu sprawą jest, by uświadomić sobie i innym doniosłość podjętej tu problematyki. „Dom polski” to pojęcie powszechnie, zdawałoby się, zrozumiałe, ale czy dla wszystkich i przez wszystkich obywateli naszego społeczeństwa

* Dr hab. Tadeusz Sakowicz, prof. Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach.

i państwa? Państwowo rzecz ujmując dom polski to racja stanu Polski jako społeczeństwa i narodu. To sprawa doniosła, a zatem podstawa wychowania, bez którego nie ma większych szans na suwerenność i wolność, obecnie wyjątkowo zagrożone ze wszystkich niemal stron. Dziś nie jest konieczna wojna militarna, by czuć się zagrożonym. Wystarczy brak wykształcenia, a jeszcze bardziej brak wychowania i brak wiary we własne siły, by utracić to, co dla minionych pokoleń było dawniej i jest najważniejsze obecnie. Można być przecież tzw. „porządnym obywatelem” i nie być Polakiem. Jak zatem odróżnić Polaka od wroga jego narodu?

Pojęcie „dom polski” wymaga sprecyzowania. Przede wszystkim kojarzy się z pojęciem rodziny – wówczas będzie pojęciem węższym. Dom polski można kojarzyć z pojęciem państwa i narodu polskiego – pojęciem najbardziej szerskim. Można pojęcie domu polskiego identyfikować z każdym domem i każdą rodziną tworzoną przez osoby pochodzenia polskiego, identyfikujące się ze wszystkim, co jest właściwe treściom odnoszącym się do polskości, czyli z całą polską kulturą. Takich rodzin w świecie jest wiele i można sądzić, że obecnie niemal w każdym kraju świata można znaleźć polskie domy. Czym zatem charakteryzuje się pojęcie domu polskiego? Jakie treści kumulują się w jego ramach? Co wyjątkowego odróżnia dom polski od innych domów – nie polskich? Na te pytania, przynajmniej sygnalizacyjnie, będziemy się starać odpowiedzieć w niniejszym opracowaniu. Analizy wypada rozpocząć od zarysu historycznego opisywanej rzeczywistości. Ma bowiem dom polski swą historię. Jest to historia, na którą składa się wiele interesujących faktów. Przez dzieje zbyt wiele faktów nie zostało zarejestrowanych. Inne zaginęły wskutek rozlicznych dramatów narodowych i społecznych. Te, które tu zostaną przedstawione, opierają się na niektórych źródłach zastanych i zabezpieczonych. Najważniejsze z nich koncentrują się wokół kultury społeczeństwa i narodu, wywodzącego się z plemienia Po-

lan zamieszkującego w swej prehistorii dorzecze rzeki Wisły w centralnej części Europy.

Dom polski w swej genezie

Bitwa o dom polski to bitwa o polską świadomość narodową, która znajduje swe zakorzenie w języku jako nośniku tożsamości i kultury. Jak zaznaczył Jerzy Bartmiński:

Polska świadomość narodowa ukształtowała się w średnio-wieczu, w okresie dominacji łaciny, która też – po powstaniu piśmiennictwa w języku narodowym – pozostawała przez cały okres Rzeczypospolitej szlacheckiej językiem używanym przez Polaków równoległe do języka ojczystego. W XVI wieku, złotym wieku kultury polskiej, wykształcony Polak posługiwał się dwoma językami, polskim i łacińskim, i dotyczyło to także pisarzy najbardziej zasłużonych dla polszczyzny XVI wieku, jak Kochanowski, Orzechowski, Kromer, Kłownowic. Tak samo było w wieku XVII, a także w wieku XVIII, kiedy to obok łaciny pojawiła się francuszczyzna. (...) W okresie największej potęgi wielonarodowego państwa językiem polskim posługiwało się także wiele grup inonarodowych, jak Litwini, Białorusini, Ukraińcy („Rusini”), Żydzi, Niemcy. Była staropolszczyzna językiem międzynarodowym. Sami Polacy chętnie też wtedy podkreślali jej ścisłe powiązania z innymi językami słowiańskimi, traktując ją nawet (Mączyński, poniekąd Górnicki) jako dialekt „języka słowiańskiego”. Program językowego kontrastowania i łączenia języka z aspiracjami narodowymi – kulturalnymi i politycznymi – pojawia się jako reakcja na zagrożenie bytu narodowego oraz jako element XIX-wiecznej europejskiej ideologii narodowej (nacjonalizmu)¹.

¹ J. Bartmiński, *Język nośnikiem tożsamości narodowej i przejawem otwartości*, [w:] *Tożsamość polska i otwartość na inne społeczeństwa*, L. Dyczewski OFMConv (red.), Redakcja Wydawnictw KUL, Lublin 1996, s. 46–47.

Świadomość narodowa kształtowana w środowisku rodzinnym, dla którego dom polski stanowił przysłowiowy parasol ochronny, przekazywana była poprzez procesy socjalizacji i wychowania młodego pokolenia, a wartości narodowe były fundamentalne dla każdego Polaka, identyfikowane bez wątpienia z racją stanu Narodu Polskiego.

Przez dzieje kształtowała się świadomość obywateli, w ramach której można obecnie mówić o specyficznym modelu historycznym domu polskiego. W ujęciu słownikowym „model” znaczy tyle, co „jeden z instrumentów poznania naukowego (a także i pozanaukowego), hipotetyczna konstrukcja, która w analizach wyobraża i odzwierciedla określone cechy obiektu, przedmiotu, zjawiska, procesu i stanu rzeczy, wzorzec”². Na tej podstawie można przyjąć, że dom polski to rzeczywistość jednoznacznie rozumiana, która kumuluje w swych treściach najważniejsze elementy konstytuujące dom rodziny polskiej. Jego powstanie, trwanie i rozwój były i są nadal uwarunkowane specyficznymi czynnikami historii narodu w jego tysiącletnim istnieniu.

Kształtowanie się domu polskiego to przede wszystkim skutek procesów socjalizacyjnych zaliczanych przez socjologów do czynników socjogennych osobowości. „Wyjaśniają one wpływy życia społecznego i kultury na osobowość jednostki. Procesy tego oddziaływania określa się pojęciem socjalizacji. Socjalizacja obejmuje procesy internalizacji, tj. nabywania czy przyjmowania przez jednostkę wartości i norm z nich wynikających, następnie procesy uczenia się i tworzenia wzorów zachowań, a wśród nich wzorów ról społecznych”³.

² K. Olechnicki, P. Załęcki, *Słownik socjologiczny*, Wydawnictwo Grafitti BC, Toruń 1999, s. 131.

³ J. Turowski, *Socjologia. Małe struktury społeczne*, TN KUL, Lublin 1993, s. 39.

Genezy domu polskiego można doszukiwać się w przełomowym dla Słowian-Polan roku 966, kiedy to Mieszko I kierując się względami politycznymi przyjął chrzest od biskupów czeskich jako główny wyznacznik rozwoju państwowości polskiej. To interesujące, że dopiero niedawno decyzją Sejmu RP określono 14 kwietnia jako państwowe Święto Chrztu Polski⁴. W założeniu to święto ma na celu dostrzeżenie w świadomości społecznej historycznego faktu związanego z narodzinami Państwa Polskiego. Znikoma obecność tego faktu w społecznej świadomości Polaków świadczyć może o tym, jak wiele zła doznał naród w swych dziejach.

Od zarania historii narodu trwa bój o Dom Polski. Jego definicję tworzą określenia zakorzenione w alternatywnych źródłach: świeckim i religijnym, materialnym i duchowym, naukowym i kulturowym. *Mały słownik języka polskiego PWN* pod hasłem „dom” określa, że jest nim m.in. „gniazdo rodzinne, domownicy, rodzina; mieszkanie wraz z jego mieszkańcami”, w którym żyje i funkcjonuje „głowa domu »głowa rodziny, osoba mająca największy autorytet wśród domowników, stojąca na czele rodziny – zwykle mąż, ojciec«. Pan, pani domu »osoba reprezentująca rodzinę, domowników, szczególnie wobec gości; gospodarz, gospodyni«. Czynić, robić, sprawować honory domu »przyjmować, bawić gości w imieniu domowników«. Założyć dom »ożenić się, wyjść za mąż«; (...) »ogół spraw, obowiązków rodzinnych, domowych, gospodarstwo domowe«. Prowadzić dom. Zajmować się domem. Mieć (cały) dom na głowie; »ród, rodzina, dynastia«”⁵. Desygnaty wyłuskane z definicji tworzą ledwie na-

⁴ Dz. U. Rzeczypospolitej Polskiej z dn. 22 lutego 2019 poz. 656; data ogłoszenia: 9 VI 2019; data wydania: 22 II 2019; data wejścia w życie: 9 IV 2019. Pełna nazwa: Ustawa z dnia 22 lutego 2019 r. o ustanowieniu Święta Chrztu Polski, podpisana przez: Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda.

⁵ *Mały słownik języka polskiego PWN*, E. Sobol (red.), Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1993, s. 143.

miastkę najistotniejszych cech domu. Przez historię Polski przewijają się dzieje poszczególnych rodzin i ich członków, a każda i każdy z nich odgrywał i odgrywa istotną rolę w jakości funkcjonowania całego społeczeństwa.

Z kolei określenie „dom polski” wiąże się ściśle z domem właściwym wyłącznie Polsce i Polakom, w którym występuje zespół cech ściśle polskich, świadczących o przynależności do narodu polskiego, mających polski charakter, odzwierciedlający dowód polskości⁶.

Jako że Polska na mapę Europy i świata weszła wraz z przyjęciem chrześcijaństwa, warto zwrócić uwagę na ten właśnie fakt w odniesieniu do istoty tej religii. Anton Grabner-Haider w haśle „Budowanie domu Bożego” wymienił istotne cechy korespondujące z określeniem pojęcia domu w aspekcie religijnym.

Według wyobrażeń ST [Starego Testamentu] Jahwe wybuduje sobie dom pośród swojego ludu. Rozbije swój namiot pośród swoich i będzie z nimi mieszkał. (...) Według świadectwa NT [Nowego Testamentu] Bóg już rozpoczął budowanie swojego domu; fundament już został położony – jest nim Chrystus. Na tym fundamencie już się buduje (por. 1 Kor 3, 11–13). Wszędzie, gdzie ludzie żyją w sferze oddziaływania Chrystusa, wznosi się budowla Boża. (...) Budowanie domu Bożego zależy od każdego człowieka, od tego, jak żyje i „buduje”. Całe przepowiadanie Apostoła ma na celu budowanie domu Bożego. (...) Chrześcijananie powinni tak żyć, żeby wspólnie go budowali; oni sami powinni być mieszkaniem Boga. (...) Działanie chrześcijanina musi być więc celowe. O tym, czy coś jest dozwolone w jego życiu czy nie, rozstrzyga to, czy służy to budowaniu domu Bożego (1 Kor 10, 23). Jeżeli ktoś, jak Jezus, chce być człowiekiem i chce żyć dla brata i siostry, to bierze udział w budowaniu domu Bożego, a Bóg jest pośród ludzi. Domu Bożego nie budują jednak tylko ludzie, lecz jest on za-

⁶ Tamże, s. 665.

razem darem Boga (por. 2 Kor 5, 1). Pochodzi od Boga i Bóg otwiera go przed ludźmi jako ostateczną możliwość. Przyjmie on człowieka wtedy, kiedy jego ziemski dom (życie) zostanie zburzony. W domu Bożym człowiek znajdzie mieszkanie i nowy cielesny sposób egzystencji. Tą obietnicą żyje jednak tylko ten, kto teraz gotów jest współuczestniczyć w budowaniu domu Bożego⁷.

Ten opis znajduje odzwierciedlenie w działalności Kościoła katolickiego, jego nauczaniu, również w odniesieniu do Polaków po przyjęciu chrześcijaństwa. Dzięki skuteczności działania i współdziałania Kościoła i Narodu do dziś można przyjąć, że to społeczeństwo identyfikuje się powszechnie z określeniem „Polak-katolik”.

Podczas Apelu Jasnogórskiego 23 kwietnia 2020 r. była mowa o pierwszym patronie Polski i jej pierwszym hymnie – Bogurodzicy.

(...) Postać św. Wojciecha i czasy, w których żył, to niejako kolebka polskiego narodu i pierwsze zapuszczenie korzeni w polskość, w ojczyzną ziemię. Szczególnie na tym miejscu wybrzmiewa w godzinie apelowej ten czcigodny prastary pierwszy polski hymn Bogurodzica. Starożytna metryka tej dostojnej pieśni (...) zdaje się kojarzyć ją z postacią gnieźnieńskiego patrona Polski. (...) Właśnie świętemu Wojciechowi przypisuje się autorstwo Bogurodzicy. I choć dziś historycy poddają w wątpliwość wojciechowe pochodzenie tej pieśni, to jednak zawsze pozostaje ona dla nas znakiem początków, korzeni, a więc i naszej tożsamości polskiej, podobnie jak patronat św. Wojciecha u kolebki narodu. (...) Bogurodzica Dziewica Bogiem sławiona Maryja. To Ty, Bogurodzico, jak

⁷ A. Grabner-Haider, *Budowanie domu Bożego*, [w:] *Praktyczny słownik biblijny*, A. Grabner-Haider (red.), T. Mieszkowski, P. Pachciarek (przekład i oprac.), Instytut Wydawniczy PAX, Wydawnictwo Księży Pallotyńów, Warszawa 1994, s. 135.

matka prowadzisz nas od kołyski. Jesteś z nami. Pozostaniemy więc sobą będąc przy Tobie. Człowiek, który nie porzuci nauki domu rodzinnego, zachowa matczyne słowa w sercu i Jej przykład w pamięci. Pozostanie sobą we wszystkich doświadczeniach i nawet z zagubienia powróci, gdy spojrzy w Matczyne oczy w apelowym czasie. (...) Pewien znawca literatury polskiej zapisał: „Pierwsza nasza pieśń narodowa, pierwsze słowo polskiej poezji chrześcijańskiej, było jednocześnie najgłębszym oddechem naszego chrześcijaństwa, zaczerpniętym obydwojma równocześnie płucami tysiącletniej tradycji: wschodniej i zachodniej”. Tak. To jakby kod genetyczny polskiej wiary. To jakby wyśpiewanie Jasnogórskiej Ikony, tej bizantyjskiej wschodniej w treści, a zarazem tej zachodniej w rytmach i spojrzeniu. (...) Tej na ryngrafach żołnierzy i w cichych modlitwach szeptanych przez matki. Tej co łączy naród, którego dom jest wschodni i zachodni, własny. Matko, wśród świętych patronów Ojczyzny: Wojciecha, Stanisława, Andrzeja Boboli, Stanisława Kostki – prowadź nas w każdym czasie⁸.

Krótką modlitwa płynąca z sanktuarium narodowego kieruje myśl na głęboki sens treści zawartych w pojęciu domu polskiego. Do tych treści można dołączyć wiele innych, brylantowych przykładów, ukierunkowujących serca Polaków na dom polski: narodową pieśń „Rota” pióra Marii Konopnickiej i kompozycji Feliksa Nowowiejskiego, stworzonej w czasie, kiedy Ojczyzny nie było na mapie świata. „Po odzyskaniu niepodległości jedną z ważnych decyzji stała się kwestia hymnu państwowego. Dla wielu Polaków nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że będzie to »Rota«, ale już wówczas znaleźli się wojujący ateści, którzy otwarciem zwalczali ją (oraz »Boże, coś Polskę«) »za nadmiar pobożnych akcentów«. Ostatecznie, jakby bocznymi drzwiami, bo rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych, wybrano »Ma-

⁸ M. Nowacki OSPPE, *Apel Jasnogórski*, 23. 04. 2020, Telewizja TRWAM.

zurka Dąbrowskiego«⁹. Ten wybór wciąż stanowi problem dyskusyjny, szczególnie gdy chodzi o wskazanie w Mazurku na dokonania Bonapartego. Być może naród polski dojrzewa stopniowo, by precyzyjnie weryfikować to, co polskie, i przyjmować tylko wartości najwyższe. Droga zatem otwarta w naszej historii, a perspektywa niezwykle optymistyczna, pod warunkiem poprawnego rozwoju całego społeczeństwa.

Przykłady odnoszące się do charakterystyki istoty domu polskiego można mnożyć. Dom ten reprezentują nade wszystko ludzie nieprzeciętni, odpowiedzialni, szanujący życie własne, najbliższych i całego narodu, który w świecie uchodził i uchodzi za naród z potężną i nie byle jaką historią. Jednym z jego symboli materialnych jest Zamek Królewski w Warszawie. Jego historia odzwierciedla historię każdego domu polskiego, skarbu całego społeczeństwa. W domu takim znajduje dla siebie i sobie właściwe miejsce każde poczęte polskie życie. Z jakim trudem buduje się dom polski i z jakim trudem się go odbudowuje – to właśnie ilustruje historia Zamku Królewskiego.

W 1946 roku była uchwała Sejmu, w której wyrażono wolę odbudowy Zamku Królewskiego. Co więcej, odbudowano sąsiednie kwartały: Stare Miasto, Nowe Miasto, Mariensztat, a na środku pozostała wyrwa, która do początku lat 70. była zupełnie nietknięta. Brak zgody wynikał z tych samych przesłanek, dla których Niemcy najpierw we wrześniu 1939 roku zbombardowali Zamek, a potem w 1944 roku wysadzili go w powietrze. (...) Zamek Królewski nie miał już być symbolem polskiej chwały, symbolem polskiego państwa, naszej niepodległości i wielkiej tysiącletniej historii, która budowała naszą tożsamość narodową i kulturalną. Miał już nie być znakiem jednoczącym Polaków. Tego się obawiali i Niemcy, i komuni-

⁹ P. Boroń, *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród*, „Nasz Dziennik” z 16–17 stycznia 2021, nr 12, s. M5.

ści. (...) Władza komunistyczna potrzebowała jakiejś legitymizacji po brutalnej pacyfikacji robotniczych protestów na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku. Gierek chciał uwiarygodnić się w oczach Polaków jako ten, który o Narodzie myśli w sposób niepartyjny i niekomunistyczny. Dlatego zgodził się na tę odbudowę, licząc jednocześnie, że ona się nie uda¹⁰.

Podobna „filozofia” towarzyszyła i towarzyszy przeciwnikom polskiego domu, zwłaszcza podmiotom, którym sąsiedztwo Polaków ze wszech miar jest niewygodne – zagraża ich imperialistycznym zapędom. Tymczasem Polska jako Naród i Państwo ma dwie stolice: państwową z Warszawą i duchową z Jasną Górą w Częstochowie. Obydwie kumulują swą tożsamość w każdym domu polskim, gdziekolwiek by się znajdował w świecie. Z Jasnej Góry dociera najważniejsze przesłanie wiary do wszystkich domów polskich na świecie. Apel Jasnogórski łączy i jednoczy Polaków wokół najważniejszych wartości duchowych. Trzeba jednak pamiętać, że on również jest zagrożony, głównie od obywateli odchodzących od Boga.

Dom polski – wartość szczególna

Wobec wielkiego zróżnicowania treści wypełniających pojęcie domu polskiego warto powrócić do jego źródeł i uściślenia istotnych treści. Etymologicznie wskazując na dom polski mamy na myśli rodzinę, a więc fundamentalną rzeczywistość społeczeństwa. Dla osoby identyfikującej się z narodem jasnym jest, że chodzi o polską rodzinę. Właśnie ta rodzina i ten dom stanowią najwyższą wartość w każ-

¹⁰ D. Pogorzelski, *Zamek jednoczy Polaków – rozmowa z prof. Wojciechem Fałkowskim, dyrektorem Zamku Królewskiego w Warszawie*, „Nasz Dziennik” z 5–6 stycznia 2021, nr 3, s. 14.

dym wymiarze: społecznym, obywatelskim, moralnym, religijnym, politycznym, narodowym, obyczajowym i innych. A do tego, by wartości te były cenione, konieczny jest proces wychowania do szacunku dla nich. Z dziejów można wskazać niezliczone przykłady heroicznej walki o dom polski, lecz można również wymienić ogromną liczbę przykładów perfidnej z nim walki. W tych analizach złe przykłady nie będą brane pod uwagę; wystarczy, że uświadamiamy sobie problem i mamy umiejętność odróżniania dobra od zła.

Jednym z przykładów heroicznej postawy względem domu polskiego może być rodzina obecnego Premiera Polski, Mateusza Morawieckiego, którego matka na łamach prasy wspominała wybudowanie własnego domu przez rodzinę Morawieckich.

(...) Tak mnie wychowała moja mama: w trudnej, dramatycznej sytuacji trzeba zachować opanowanie i hart ducha. Pamiętam ciężkie chwile po wybuchu wojny. Mieszkaliśmy wówczas na Wileńszczyźnie. A także późniejsze wydarzenia, gdy musieliśmy opuścić rodzinne strony. Mama zawsze zachowywała spokój i tego nas nauczyła. Dlatego gdy bezpieka robiła wszystko, by zniechęcić mnie do Pęgowa, ja postanowiłam sobie, że ochronię naszą chatę, z którą byliśmy wszyscy bardzo związani. Przyjaciele ułożyli dyżury, aby tak jeździć, żeby dom nie pozostawał opuszczony. Później niestety chata spłonęła – ale została odbudowana. Nie mogło być inaczej – tam przeżyliśmy wspaniałe chwile, które do dziś wspominamy z naszymi przyjaciółmi. Przyjeżdżała tam młodzież, przyjeżdżali przyjaciele mojej córki Marty z duszpasterstwa, przyjeżdżał ze swoimi podopiecznymi ksiądz Orzechowski, czyli „Orzech”. (...) Chata „Kornelówka” została wybudowana w zasadzie dla mojego ojca, który po śmierci mamy został sam. Nie mógł zamieszkać w naszym małym mieszkaniu z prostej przyczyny – fizycznie nie miałby miejsca dla siebie. I wtedy Kornel zdecydował: wybudujemy dom. Pod lasem kupiliśmy kawałek pola, a później wspólnie z moim ojcem i przyjaciółmi wybudowaliśmy dom. Nie obyło się bez różnych przygód, ale

w końcu udało się i w chacie zaczęło tętnić życie. Organizowaliśmy tam obchody różnych rocznic, których nie wolno było świętować: rocznicę odzyskania niepodległości, uchwalenie Konstytucji 3 maja. Przez dom przewinęło się mnóstwo ludzi, którzy do dziś wspominają czas, jaki tam spędzili¹¹.

Podobne losy spotykały niezliczone rodziny polskie, które utraciły swój dom przez zsyłkę syberyjską, pożogę wojenną, konfiskatę komunistyczną i z wielu innych przyczyn. Niewielu rodzinom udało się powstać ze zniszczeń o własnych siłach. Przykład Jadwigi Morawieckiej stanowi wyjątkowe wskazanie, że na prawdziwych przyjaciół można zawsze liczyć, jednocześnie ukazuje cenną postawę trzeźwego myślenia w sytuacjach ekstremalnych. Oto na początku stanu wojennego, 13 grudnia 1981 r., jak mówi:

Przyszli do naszego mieszkania we Wrocławiu o dwunastej w nocy. Kornela nie było – byłam sama z dziećmi. Zawsze starałam się chronić dzieci, niczym ich nie narażać. Powiedziałam więc przez drzwi, że męża nie ma w domu. „Proszę nam otworzyć” – usłyszałam. Powtórzyłam im, że nie otworzę, bo jestem sama. Zagrozili, że wyważą drzwi, na co stwierdziłam, że otworzę okno i będę krzyczała: „Ratunku!” I wtedy się wycofali. Myślę, że nie chcieli hałasu i zamieszania. (...) Przyszli pół godziny później, ale już spokojniejsi. Powiedzieli, że muszą sprawdzić, czy rzeczywiście jestem sama z dziećmi. Odparłam, żeby w takim razie przyszli z sąsiadem, bo inaczej ich nie wpuszczę. Ku mojemu zaskoczeniu, tak zrobili – obudzili sąsiada i weszli z nim do naszego mieszkania. Sprawdzili w szafach, w łózkach, pod kołderkami dzieci. Poszli dopiero wtedy, gdy przekonali się, że rzeczywiście męża nie ma w domu”¹².

¹¹ D. Kania, *Zawsze starałam się chronić dzieci – z Jadwigą Morawiecką rozmawia Dorota Kania*, „Gazeta Polska” z 22 grudnia 2020, nr 52–53, s. 40.

¹² Tamże, s. 39.

To postawa matki Polki, której nie sparaliżowała sytuacja, która dzielnie stanęła w obronie przede wszystkim swoich dzieci. Współcześnie wielu nie zdaje sobie z tego sprawy, jak wyglądało życie pod okupacją sowiecką w Polsce. Rękami sprzedawczyków terroryzowano ludzi. Atmosferę dni stanu wojennego można jakoś porównać do ulicznych zamieszek jesienią 2020 r. w związku z tzw. legalizacją barbarzyństwa zabijania dzieci nienarodzonych przez polskie kobiety.

Bitwa o dom polski przybierała i nadal przybiera zróżnicowaną postać. We wszystkich przypadkach dostrzec można z jednej strony – wyrafinowaną manipulację ludźmi infantylnymi, prowadzoną przez wrogów narodu, a z drugiej strony heroiczną postawę osób broniących swej polskości. Ten układ przeciwległych postaw jest jakby wpisany w tożsamość społeczeństwa polskiego od czasów najdawniejszych. W zasadzie istotą ścierania się tych przeciwieństw jest to, by wyciągać budujące wnioski na dalsze życie i świadczyć o doniosłości preferowanych wartości. Najpiękniejszą drogą pozostaje zdecydowana postawa, by zło dobrem zwyciężać – ks. Jerzego Popiełuszki.

Kulturowe podstawy domu polskiego

Równoległe przez socjalizację i wychowanie religijne kształtowała się w społeczeństwie polskim suwerenność narodu poprzez kulturę. Leon Dyczewski wskazując na ten aspekt przypominał rolę kultury w czasie rozbiorów w XVIII w.

Austria, Prusy i Rosja zlikwidowały państwowość polską i terytorium Polski wcieliły do swoich państw, czyli formalnie rozbiły polski system społeczny dążąc jednocześnie różnymi metodami do całkowitego jego zniszczenia, mimo to polski system społeczny nadal istniał, choć osłabiony. Istniał dzięki

kulturze, więcej, właśnie wtedy wzbogaciła się ona i uwyraźniła w stosunku do kultury niemieckiej, austriackiej i rosyjskiej. Naród żył dalej i rozwijał się bez suwerennego własnego systemu społecznego, ale sam był suwerenny dzięki kulturze. (...) To właśnie wtedy naród polski we wszystkich warstwach społecznych stawał się coraz bardziej świadomy swojej etniczności i odmienności kulturowej. Okazuje się, że państwo, choć pomocne, nie jest konieczne do rozwoju kultury narodowej. (...) Kultura polska mogła rozwijać się w tak niekorzystnych warunkach zewnętrznych, ponieważ przed utratą państwowości przez Rzeczpospolitą Obojga Narodów była już ukształtowana. Wyższe warstwy społeczeństwa, przede wszystkim szlachta stanowiąca w nim znaczny odsetek, były świadome, co to znaczy polska kultura. Dostrzegały jej cechy i szczyliły się nią. Społeczeństwo okresu rozbiorów miało więc mocne podstawy do kształtowania polskiej tożsamości kulturowej w młodym pokoleniu. Tożsamość ta motywowała też ciągle zabiegi i walki o odzyskanie niepodległości. Stopniowo włączały się w nie i niższe warstwy społeczne, nie wynosząc z nich niemal żadnych dla siebie korzyści. Naród był suwerenny, lepiej powiedzieć, żył suwerennie dzięki swojej kulturze. Kulturę zaś ożywiały, stymulowały do rozwoju, podsuwały nowe treści i przenikały pierwiastki narodowe¹³.

Kulturowy fundament znajduje odzwierciedlenie w procesach socjalizacji i wychowania, a także w badaniach naukowych, zwłaszcza pedagogicznych. W przekazie na temat recepcji i aplikacji pedagogiki oraz psychologii krytycznej Bogusław Śliwerski odniósł się do aktualnych badań w tej przestrzeni ukazując najbardziej interesujące zagadnienia rozwoju myśli pedagogicznej na przełomie transformacji ustrojowej.

¹³ L. Dyczewski, *Naród podmiotem kultury*, [w:] *Tożsamość polska i otwartość na inne społeczeństwa*, L. Dyczewski OFM Conv (red.), Redakcja Wydawnictw Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1996, s. 27–28.

(...) Okres ostatniego dwudziestopięciolecia III RP potwierdza, że bardzo szybko odeszliśmy od idei, które stały się fundamentalnymi przesłankami rozkładu totalitarnego systemu społecznego w Polsce i Europie Wschodniej, rugując – także za sprawą pedagogiki – edukację obywatelską, wychowanie demokratyczne, odmawiając autonomii licznym podmiotom edukacji czy środowiskom wychowawczym, a nawet używając różnych form presji czy siły przeciw ruchom oporu społecznego. Znacznie powiększyło się grono kontynuatorów tego nurtu badawczego. (...) Polska pedagogika intensywnie, ale też i ewolucyjnie, wpisywała się w rozwój pedagogiki krytycznej w minionym okresie, a mimo to nadal nie jest w stanie w tak krótkim czasie nadrobić opóźnień i nieobecności niektórych jej dyskursów, które od szeregu lat są rozwijane na naszym kontynencie. Polscy naukowcy z różnych ośrodków akademickich przybliżają dzięki własnym studiom i przekładom to, co jest najbardziej aktualne w stanie rozwoju tej myśli, ale też muszą powracać do źródeł, które nie były przecież w naukach o wychowaniu przedmiotem pogłębionej recepcji czy nowych reinterpretacji¹⁴.

Analiza ta, choć nie wskazująca bezpośrednio na problematykę domu polskiego, ściśle wiąże się z działalnością wychowawczą i jej orientacjami w zakresie kształtowania osobowości młodego pokolenia. Dostrzeganie roli polityki ma szczególne znaczenie w tym względzie, ponieważ od jej prawidłowego ukierunkowania zależy całość kształt przyszłego życia społecznego. Tym bardziej jest to konieczne wobec uczestnictwa Polski w strukturze Unii Europejskiej – w nowym układzie relacji międzynarodowych, odmiennym od wszystkich dotychczas nam znanych z historii.

Dla pedagogów analiza prowadzonych sporów także w naukach politycznych może dawać asumpt do tego, by zobaczyć

¹⁴ B. Śliwowski, *Recepcja i aplikacje pedagogiki oraz psychologii krytycznej*, „Polska Myśl Pedagogiczna” 2016, nr 2, s. 19–20.

we własnej dyscyplinie „w jaki sposób intelektualiści i argumenty walczą o wpływ na politykę rządu i dlaczego jedna perspektywa może przejść od przewagi (hegemonia) do marginalizacji (opozycja), jeśli chodzi o wpływ na politykę rządu, zależnie od wydarzeń międzynarodowych i zmieniających się osobowości politycznych” (...). Słusznie wskazuje się na to, że na arenie sporów o teorie widać wyraźnie, jak walczą one ze sobą o hegemonię w dwóch sferach: państwowej (możliwość wpływania na oświatę i procesy wychowania instytucjonalnego czy środowiskowego) oraz akademickiej (w której prowadzone są debaty oraz dyskusje zwolenników i przeciwników określonego podejścia teoretycznego do edukacji). Teorie zawsze będą potrzebne, by można było na ich podstawie interpretować i rozumieć rzeczywistość, odróżniać fakty oraz procesy istotne dla interesującego nas problemu od błahych, mniej ważnych. (...) Polska recepcja oraz ścieżka rozwoju pedagogiki krytycznej wynika z tego, że w naszym kręgu kulturowym, silnie nacechowanym indywidualizmem i wartościami chrześcijańskimi, znalazła ona bardzo przychylny odbiór, który jednak wraz z rozpoznawaniem różnych koncepcji oraz teorii w jej szerokiej strukturze zaczął częściowo stawać się zagrożeniem dla innych tradycji i nauk pedagogicznych nurtu związanego z nauką Kościoła czy humanistycznego o orientacji personalistycznej¹⁵.

Z nauką i wychowaniem stojącymi na straży domu polskiego kojarzyć się może przede wszystkim uniwersytet, który obecnie, przynajmniej w Polsce, przeżywa poważne problemy. W artykule na temat etosu uniwersytetu wczoraj i dziś Eugeniusz Sakowicz zauważył, że:

Uniwersytet stanowi fundament kultury danego narodu. Przez wieki pełnił on funkcję kulturotwórczą. Rodząca się Europa była przestrzenią duchowego i materialnego oddziaływania katedr Kościoła katolickiego i uniwersytetów prze-

¹⁵ Tamże, s. 35.

zeń zakładanych (obecność katedr w strukturze współczesnych uniwersytetów mówi wyraźnie o chrześcijańskich początkach tej instytucji). Sytuowały się one w centrum miast, jako ich „serca”. Niektóre uczelnie były swoistymi „uniwersytetami-miastami” ze złożoną infrastrukturą: suwerennymi, niezależnymi, wolnymi, otwartymi na poszukiwanie odpowiedzi na pytanie o sens istnienia człowieka¹⁶.

Przez stulecia instytucje te kształtowały świadomość społeczeństwa, a w nim rodzinę – dom rodzinny, w naszym ujęciu dom polski. Kształtowały je w kierunku pełnego humanizmu, ponieważ

w centrum swojej troski stawiały człowieka – nie jakiegoś abstrakcyjnego, nie jego ideę, ale konkretną osobę ludzką. Ten personalistyczny wymiar etosu uniwersyteckiego wypływał z istoty Ewangelii, będącej pogłębieniem każdej wszechnicy rodzącej się w wiekach średnich. Jezus Chrystus był kamieniem węgielnym uniwersytetu. Dzięki Jego Osobie stawał się on instytucją w służbie człowieka, nie ideologii, czy utopii. (...) Prowadząc refleksję filozoficzną i teologiczną nie odrywał się od „sprawy człowieka”, od rzeczywistości, którą dane było w określonym czasie danej społeczności i w ogóle ludzkości doświadczać i przeżywać. O uniwersalnym charakterze pierwszych i niektórych późniejszych uniwersytetów stanowiła tożsamość Kościoła – jednego, świętego, powszechnego, apostołskiego¹⁷.

W takiej atmosferze była kształtowana osobowość człowieka oddanego powołaniu społecznemu i obywatelskiemu, a w związku z tym i patriotycznemu. Tylko tak uformowane osobowości mogły przewodzić narodowi i państwu w dwóch wymiarach: ziemskim i duchowym. Jednak

¹⁶ E. Sakowicz, *O etosie uniwersytetu wczoraj i dziś*, „Cywilizacja” 2013, nr 46, s. 73.

¹⁷ Tamże, s. 75.

„Złota epoka” uniwersytetów nie trwała przez setki lat. Zmiany polityczne w Europie i świecie, a także rozłamy religijne, kształtowanie się nowych światopoglądów czy też pojawienie się nowych nurtów filozoficznych miały niekwestionowany wpływ na etos uniwersytetów w ciągu kolejnych dziejów. Dla władców (państw) o niepokornionych zapędach absolutystycznych czy totalitarnych uniwersytety zaczęły stawać się narzędziami manipulacji myślą ludzką i probierzem propagandy. „Wiara i rozum” przez wieki stanowiły znaki rozpoznawcze etosu uniwersytetu. Po rewolucjach i wojnach, zawsze będących katastrofami antropologicznymi i wielkimi „przegranymi sprawy człowieka”, wraz z ekspansją utopii socjalistyczno-komunistycznych (...) porzucone zostało przez uniwersytety przekonanie o komplementarności porządku wiary i porządku rozumu. Uniwersytety, rozpoczynając walkę z religią, zaczęły tracić swój uniwersalny charakter. Zaczęły odcinać się od korzeni, które dawały im ożywcze soki. Na niektórych uczelniach zaczęto uprawiać tzw. światopogląd naukowy (*notabene* będący faktycznie zaprzeczeniem nauki i drwiną z niej). Katedry uczelni zostały przechwycone przez ludzi ideologicznie zdeprawowanych, często nie mających nic a nic wspólnego z nauką, oprócz tytułu nieuczciwie zdobytego, czy wprost nadanego przez mocodawców. Uniwersytety, które przekreśliły religię i zaczęły ją brutalnie niszczyć, przestały w gruncie rzeczy być uniwersytetami. Stały się natomiast zakładami ideologicznymi uprawiającymi redukcjonizm poznawczy, „produkującymi” dyplomy, a nie kształtującymi umysły i serca studentów. Zamieniły się w miejsca chaosu, zagubienia, zamazywania rzeczywistości, a nie jej opisywania, niszczenia talentów ludzkich, a nie ich odkrywania i rozwijania¹⁸.

Ta „transformacja” uniwersytetu, bo trudno mówić o rozwoju, może być postrzegana jako pewnego rodzaju źródło nieporządku społecznego i dramatycznych konsekwencji

¹⁸ Tamże, s. 75–76.

obecnie doświadczanych. Najsilniej dotyka ona domu polskiego. Spirala patologizacji społeczeństwa polega na tym, że z rozbitych domów rodzinnych na uniwersytety i do polityki trafiają nierzadko osoby poranione, osobowościowo wykoślawione. I choć są ekspertami w swojej dziedzinie, moralnie zdają się być raczej szkodnikami i wrogami społeczeństwa. Uczestnicząc w wyborach demokratycznych różnego szczebla przeciętny obywatel nie ma pełnego rozeznania, na kogo oddaje swój drogocenny głos.

Gdzie się kryje geniza patologii uniwersytetów, kto za te sprawy ponosi personalną odpowiedzialność? Jest to bowiem współczesna, bezkrwawa wojna o rząd dusz, w polskiej rzeczywistości – walka z polskim domem. Zaczęła się ona w sposób zakamuflowany, zdawałoby się niewinny i niegroźny. Głębsza analiza ujawnia perfidność takich poczynań.

Obecne uczelnie mają też świadomość istnienia przez lata „pseudo-uniwersytetów”. Instytucje te z powodu sprzeniewierzenia się obiektywnemu poszukiwaniu prawdy, z uwagi na uprawianą w nich nienawiść do człowieka o innych poglądach, niszczyły etos uniwersytecki. Ich profesorowie byli „lektorami” światopoglądu pogardy dla człowieka, a nie uczonymi godnymi szacunku, szanującymi siebie i okazującymi respekt wobec innych, również nieprzyjaciół. (...) W imię idei uniwersytetu należałoby dokładnie przebadać to wszystko, co generuje kryzys dzisiejszego szkolnictwa stopnia uniwersyteckiego. Uniwersytet nie może bać się trudnych czy niewygodnych dla kogokolwiek pytań, tym bardziej kiedy dotyczą one jego samego. Bardzo poważnym zagrożeniem uniwersytetu jest gubienie przezeń własnej tożsamości. (...) Nie można określać siebie „katolickimi”, równocześnie negując zasady wiary i moralności Kościoła¹⁹.

¹⁹ Tamże, s. 76–78.

Inny, nie tak dawny, przykład zagrożenia uniwersytetu określony został przez E. Sakowicza jako „proletaryzacja”.

Na równej linii, w jednym szeregu ustawieni dziś zostali (przez kogo? – przez senat danej uczelni?): profesorowie, doktorzy, doktoranci, magistry, magistranci. W równy sposób są oni oceniani przez przydawanie im jakichś punktów za taką czy inną działalność (również społeczną i partyjną!) bądź twórczość bardzo wybiórczo, niekompetentnie potraktowaną. (...) Hierarchiczność nie może być żadną miarą rozumiana jako „segregacja” według stopni i tytułów, jako przeciwstawianie jednych drugim. Wprowadzała ona zawsze porządek w życie instytucji i jasno określała kompetencje poszczególnych osób. Proletaryzacja uniwersytetu stała się przyczyną głębokiego podziału międzyludzkiego. Odebrała szacunek mistrzom, niektórych studentów skutecznie nauczyła pychy²⁰.

Te, wybiórczo ukazane (najważniejsze, zdaje się, dla życia społecznego) przykłady zagrożenia współczesnego uniwersytetu dotyczą sfery wychowania, głównie domu rodzinnego. Jeżeli w szkole uczą mechanizmów społecznie szkodliwych, to jakiej można się spodziewać rodziny? Atak na uczelnię to atak na rodzinę, na dom polski.

Na zagrożenia dla poprawnego życia i rozwoju społeczeństwa wskazuje materiał Grzegorza Osińskiego o transhumanizmie dewastującym większość polskich uniwersytetów.

Obserwujemy jedynie objawy głębokiej choroby, jaka toczy społeczeństwa współczesnego świata. Ich przyczyna jest ukryta głębiej, niestety głównie na współczesnych uniwersytetach, które uwikłały się w sieć zależności pomiędzy polityką i globalnymi firmami ponadnarodowymi. To duże korporacje stały

²⁰ Tamże, s. 78.

się, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej, głównym inwestorem nauki. Już tylko nieliczni profesorowie bronią klasycznego uniwersum uczelni wyższych, ale oni powoli odchodzą, ponieważ należą do starszej kadry albo są marginalizowani i odsuwani. Do głosu dochodzi nowe pokolenie profesorów wyuczonych w duchu marksizmu kulturowego, którego czołowe postacie od pięćdziesięciu lat kształtują swoich następców²¹.

Oceny tego, co dzieje się obecnie w kulturze, dokonała, w odniesieniu do roli teatru, Temida Stankiewicz-Podhorecka.

Od co najmniej kilkunastu lat teatr w Polsce przechodzi negatywne przeobrażenia. Coraz częściej mam wątpliwości, czy to jest jeszcze nasz, polski teatr. I czy mogę używać przymiotnika „polski”. Myślę, że bezpieczniej więc będzie używać sformułowania „teatr w Polsce”. Zwłaszcza w odniesieniu do przynależnej teatrowi misji, tyczącej budzenia świadomości narodowej, kształtowania naszej tożsamości i co za tym idzie – jego roli jako sztuki dla wychowania. Trzeba by więc postawić pytanie zasadnicze: czy teatr dziś realizuje swoją misję w takim właśnie wymiarze? Odpowiedź brzmi: kiedyś tak. Dzisiaj – nie. Dzisiaj, w zasadzie, teatr kształtuje tożsamość antynarodową i działa antywychowawczo. Można mi zarzucić, że generalizuję, bo nie wszystkie teatry prowadzą tak niszczyielską działalność. Ale ogromną większość można nazwać szkodnikami wychowawczymi ze względu na treści, jakie niosą w swoich przedstawieniach. (...) sztuka teatru jest nauczycielką życia, ale bardzo złą i niebezpieczną. Bo to, czego uczy i do czego wychowuje, jest sprzeczne z podstawowym systemem wartości wyrosłych w cywilizacji chrześcijańskiej. (...) Chodzi o kulturę rozumianą jako wartość, która

²¹ G. Osiński, *Ofensywa nowej lewicy. Transhumanizm dewastuje już większość polskich uniwersytetów*, „Nasz Dziennik” z 5 października 2020, nr 232, s. 11.

obejmuje całokształt historycznego i cywilizacyjnego dziedzictwa Polski (...). Teatr będący częścią tejże kultury ma już immanentnie wpisaną powinność realizowania swojej misji, lecz jak dzisiaj obserwujemy, sprzeniewierza się swemu posłannictwu, tym samym działając na szkodę swego odbiorcy, widza, głównie młodzieży²².

Zagrożenia ze strony zaplanowanych działań wrogich narodowi polskiemu sił, zarysowane powyżej, stanowią jedynie przyczynek do głębszej refleksji, a zatem i do przygotowania oddziaływań naprawczych i przed zagrożeniami zabezpieczających. Zasadniczy punkt ciężkości powinien być położony na zahamowanie finansowania przez państwo inicjatyw zagrażających prawidłowemu życiu i rozwojowi polskiego narodu.

Obecna rzeczywistość domu polskiego

Oprócz destrukcji układu nauczania i wychowania w wyższych uczelniach podobne oddziaływania destrukcyjne zauważa się w pozostałych obszarach życia społecznego. Do źródeł sytuacji, w której obecnie żyjemy, odniósł się abp Marek Jędraszewski.

Trzeba było rzeczywiście mieć ducha ze stali, by czekać i bronić się, i by walczyć – mimo że aż nadto obficie płynęła krew, a pomoc nie nadchodziła. Ze Wschodu, co prawda, zbliżała się Czerwona Armia, ale w pewnym momencie się zatrzymała, czekając aż Niemcy w pełni wykonają rozkaz Hitlera o całkowitym zburzeniu miasta i doprowadzą do końca swe zbrodnicze zamysły. Bo Stalin nie chciał, aby Polacy poczuli się gospodarzami w Warszawie, by byli u siebie, w swoim kraju.

²² T. Stankiewicz-Podhorecka, *Antywychowawcza rola dzisiejszego teatru*, „Cywilizacja” 2013, nr 46, s. 167–168.

Powoli więc gasła nadzieja, że nadejdzie pomoc z zewnątrz, a rodziło się pełne rozpaczony przekonanie, że muszą przyjść ze Wschodu ci, którzy wcale wolności nie przyniosą. Stąd powstał kolejny wiersz „Ziutka” Szczepańskiego, już z końca pierwszego miesiąca Powstania, kiedy upadło Stare Miasto. Niewiele potem on sam miał zostać śmiertelnie trafiony, a potem przeniesiony kanałami przez kolegów do Śródmieścia, by tam umrzeć. Wiersz *Czerwona zaraza*: „Czekamy ciebie, czerwona zarazo,/ byś wybawiła nas od czarnej śmierci,/ byś nam Kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,/ była zbawieniem witalnym z odrazą./ (...) Czekamy ciebie, nie dla nas, żołnierzy,/ dla naszych rannych – mamy ich tysiące,/ i dzieci są tu, i matki karmiące,/ i po piwnicach zaraza się szerzy./ Czekamy ciebie – ty zwlekasz i zwlekasz,/ ty się nas boisz, i my wiemy o tym./ Chcesz, byśmy wszyscy legli tu pokotem,/ naszej zagłady pod Warszawą czekasz./ (...) Nic nam nie zrobisz – masz prawo wybierać,/ możesz nam pomóc, możesz nas wybawić/ lub czekać dalej i śmierci zostawić.../ śmierć nie jest straszna, umiemy umierać./ Ale wiedz o tym, że z naszej mogiły/ Nowa się Polska – zwycięska – narodzi./ I po tej ziemi ty nie będziesz chodzić/ czerwony władco rozbestwionej siły”.

(...) Dzisiaj, kiedy mija już 75 lat od tamtych wydarzeń, wiemy: spełniło się to, co napisał Józef „Ziutek” Szczepański. Z powstańczych mogił narodziła się nowa Polska, choć na jej narodzenie trzeba było czekać bardzo długo – aż do 1989 roku, do pierwszych wówczas przeblysków odzyskiwania suwerenności przez nasze państwo. I dzisiaj już wiemy, że czerwona zaraza po naszej ziemi nie chodzi. Co wcale nie znaczy, że nie ma nowej, która chce opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie marksistowska i bolszewicka, ale zrodzona z tego samego ducha – neomarksistowska. Nie czerwona, ale tęczowa. Doświadczamy paradoksu, który tak bardzo trafnie uchwyciło społeczeństwo rzymskie antycznych czasów, kiedy potęga Cesarstwa była wznoszona na jego prawie. Wtedy właśnie powstało powiedzenie: *Summum ius, summa iniuria* – „gdzie jest najwyższe prawo, tam bardzo często mamy do czynienia z najwyższą niesprawiedliwością”. Jeśli prawo nie ma odnie-

sienia do Boga, to w imię tzw. rządów prawa niewinnych ludzi można bardzo krzywdzić²³.

Toczy się bezpardonowa bitwa o polski dom, o polską rodzinę, o Polskę²⁴ z Krzyżem czy bez Krzyża²⁵. Nauka odeszła na plan dalszy. Inaczej mówiąc, została zindoktrynowana przez wpływy establishment finansowy i polityczny.

Po zachodnich, a teraz i polskich uniwersytetach rozpełza się rak *gender studies*, uderzający w jeden z odwiecznych filarów cywilizacji łacińskiej – życie akademickie. Siermiężne bolszewickie hasło „zniszczyć kułaka nauki” przybrało w ponowoczesności bardziej podstępną i wyszukaną postać. Procy „nowej wiedzy”, coraz bardziej wpływowi i z powodzeniem budujący uczelniany establishment, ogłaszają rewelacje tej miary, co kuriozalne odkrycie socjologa Heinza-Jürgena Vossa, według którego podział ludzi na mężczyzn i kobiety wprowadził Adolf Hitler. „Do lat dwudziestych XX wieku mówiono o różnorodności płci – pisze Voss. – Dopiero naziści ustanowili daleko idący, ostry podział na dwie płcie i narzucili go jako obowiązujący w naukach biologicznych. Dzisiejsza nauka zdołała uporać się z tym przesądem. Z biologicznego punktu widzenia nie ma czegoś takiego, jak dwie płcie – mamy do czynienia z ich wielością”. *Gender studies* aspirują

²³ M. Jędraszewski abp, *Musimy bronić autentycznej wolności*, „Nasz Dziennik” z 5 sierpnia 2019, nr 180, s. 10–11 (Homilia metropolity krakowskiego wygłoszona podczas Mszy św. w 75. rocznicę Powstania Warszawskiego w bazylice Mariackiej w Krakowie, 1 sierpnia 2019 r.).

²⁴ J. M. Jackowski, *Bitwa o Polskę*, Inicjatywa Wydawnicza »ad astra«, Warszawa 1992.

²⁵ Jan Paweł II, „Wszyscy wiedzą, że Polska przeżywa teraz to, co jeden z autorów współczesnych, nawet dzisiejszych, nazwał »Bitwą o Polskę«. Toczy się taka bitwa o Polskę. Można powiedzieć: bitwa o polską duszę, bitwa o charakter naszego społeczeństwa, naszego narodu, naszego kraju, o kierunek naszej przyszłości – właśnie z tym Krzyżem czy bez tego Krzyża!” (Rzym 1992).

do „naukowości”, nie są jednak zainteresowane poznawaniem i opisywaniem świata, bowiem ich ukrytym celem jest ideologiczne zatrucie tradycyjnych dziedzin nauki (...), Ten, kto nie zgadza się z zakłamywaniem świata, wcześniej czy później straci katedrę albo nie dostanie środków na badania i odejdzie wyszydzony jako genderowe wcielenie „kułaka nauki”. W Polsce rewolucja dopiero raczkuje, ale na Zachodzie nabrała rozpędu. Być może na Wschodzie spuścizna komunizmu i utrzymująca się wciąż jeszcze alergią na indoktrynację spowalniają proces genderyzacji uniwersytetów²⁶.

Polityczny nieład zdaje się być przyczyną wielu niebezpiecznych posunięć nie pozostających bez wpływu na polską rzeczywistość, zwłaszcza na uprawianie nauki wolnej od nacisków. W kampanii wyborczej na stanowisko prezydenta RP w czerwcu 2020 r. jednym z głównych problemów stała się obrona rodziny i dzieci przed szkodliwą indoktrynacją w szkołach.

Prowadząca program Katarzyna Kolenda-Zaleska wyprosiła z programu swojego gościa Jacka Żalka, posła Porozumienia Jarosława Gowina. Powód? Parlamentarzysta stwierdził, że istnieje ideologia LGBT. Polityk został poproszony o komentarz do wpisu europosła Joachima Brudzińskiego, który w mediach społecznościowych wyraził opinię, że: „Polska bez LGBT jest najpiękniejsza”. – A co to jest LGBT? – pytał parlamentarzysta. W opinii dziennikarki to wszystkie osoby homoseksualne. – To nie są ludzie. To jest ideologia – powiedział Żalek. Po tym stwierdzeniu rozmowa z posłem została przerwana. Do tej sprawy nawiązał prezydent Duda podczas (...) spotkania z mieszkańcami Brzegu. Jak stwierdził, żyjemy w czasach, w których na siłę społeczeństwu wciska się ideologię LGBT, co jest neobolszewizmem. – Nie po to pokolenie moich rodziców przez 40 lat walczyło, żeby wyrzucić ideologię komunistyczną

²⁶ A. Zechenter, *Gender przeciw nauce*, „Nasz Dziennik” z 15–16 października 2016, nr 242, s. M8.

ze szkół, (...) żeby teraz godzili się na to, żeby przyszła inna ideologia, jeszcze bardziej niszcząca dla człowieka, (...) która pod frazesami szacunku i tolerancji ukrywa głęboką nietolerancję i eliminację, wykluczenie wszystkich tych, którzy nie chcą jej ulec – powiedział prezydent Andrzej Duda²⁷.

Na trudną historię Polski, w której naród zaufała Opatrzności i ostatecznie wygrywał mocą Bożą wszystkie przeciwności zwrócił uwagę abp Marek Jędraszewski, w 100 lat od Cudu nad Wisłą:

(...) znajdujemy się jako Europa i Polska w obliczu kolejnego, równie śmiertelnego niebezpieczeństwa. Tym razem ma ono charakter przede wszystkim kulturowy. Jak wielokrotnie pisał o tym i mówił św. Jan Paweł II Wielki, a także papież Benedykt XVI, ludzie współcześni żyją tak, jakby Pana Boga nie było. Nie są już więc, jak niegdyś, istotami poszukującymi Boga, ale pozostają zupełnie zobojeźniali na Jego obecność. Wraz z tą postawą idzie odrzucenie przez nich prawa naturalnego. Miejsce obiektywnej prawdy zajmują: postprawda, relatywizm, kłamstwo i *fake newsy*. W pustce duchowej ludzie stają się zupełnie bezbronni wobec ideologii wyrastających – jak bolszewizm – z korzeni marksistowskich, podważających instytucje małżeństwa i rodziny i tworzących programy, których celem jest moralna deprawacja dzieci i młodzieży. Człowieczeństwo ludzi, które przecież nie może istnieć i rozwijać się bez prawdy, dobra i piękna, jest już w samych swych fundamentach zagrożone. Miejsce chrześcijańskiego humanizmu chce zająć antyhumanizm, miejsce obiektywnych i trwałych wartości – nihilizm, miejsce osoby ludzkiej stworzonej na Boży obraz i podobieństwo – dziwna istota pozbawiona tożsamości, wydana na łup złudnym i krótkotrwałym przyjemnościom zmysłowym. W tej sytuacji – podobnie jak polscy biskupi 100 lat temu – kierujemy nasz wzrok ku Matce

²⁷ R. Stefaniuk, *Nowa bolszewicka ideologia*, „Nasz Dziennik” nr 137 (6795), s. 2. Artykuł odnosi się do skandalu „Faktów po Faktach” w TVP 24 z 13 czerwca 2020 r.

Bożej Jasnogórskiej, naszej Królowej, i wołamy: Matko, ratuj! Matko, daj nam siłę ducha, dzięki któremu nie ulegniemy dyktaturze mniejszości! Przywróć nam jasność oceny tego, co jest dobre i co jest złe! Obdarz wewnętrzną mocą, aby zawsze iść za głosem sumienia i wybierać dobro, a jednocześnie, odważnie i wytrwale przeciwstawiać się złu! (...) Ona, Czarna Madonna, prawdziwa Hodegetria, czyli Wskazująca Drogę, mówi do nas słowami z Kany Galilejskiej: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie [mój Boży Syn]” (J 2, 5b)²⁸.

Przytoczone powyżej fragmenty wypowiedzi to ogromnie ważne przykłady odpowiedzialnego kierowania narodem przez Kościół. A zarazem to przykłady kultury najwyższego poziomu – takiej, dla której człowiek jest wartością w wymiarze ziemskim, a przede wszystkim w eschatologicznym, którego to wymiaru nie powinno się pomijać w oddziaływaniach pedagogicznych.

Wybory prezydenckie z lipca 2020 r. dowiodły, że kłamstwem, manipulacją nie zawsze udaje się zdobyć władzę. Inaczej mówiąc, społeczeństwo polskie z roku na rok coraz bardziej dojrzewa demokratycznie. Dojrzewa również Dom Polski.

Europejska walka z domem polskim

Współczesna walka z domem polskim przyjmuje dualistyczną formę: z jednej strony są to przykłady braku wiedzy, wychowania, kultury, moralności, religijności..., z drugiej – zorganizowana i zaplanowana działalność mającą na celu zniszczenie tego domu. Obie formy walki z domem

²⁸ M. Jędraszewski abp, *Matko, daj nam siłę ducha*, „Nasz Dziennik” nr 162 (6820), s. 12 (Homilia wygłoszona na Jasnej Górze 11 lipca 2020 r. do uczestników XXIX Pielgrzymki Rodziny Radia Maryja).

polskim znajdowały usytuowanie w koncepcjach zlikwidowania Polski realizowanych w przeszłości przez zaborców i totalitaryzmach ze Wschodu i Zachodu. Ich upadek i kompromitacja nie oznaczają, że przeszły do historii. W sferze kulturowo-obyczajowej odkryły możliwości skutecznego aktywizowania się w celu zniszczenia rodziny, człowieka, państwa i narodu. Jednym z ostatnich przykładów takiej walki jest problem prowokacji przybierającej zróżnicowane formy, zarysowany przez Piotra Jaroszyńskiego.

(...) Tego typu działania nie są spontaniczne, ale kontrolowane. Żeby dowiedzieć się, kto za tym stoi, są odpowiednie instytucje państwowe i jeśli one nie będą reagować w sposób zdecydowany, czyli taki, który jest ujęty w szereg przepisów prawa, to będziemy mieli koniec demokracji, a zacznie się anarchia, która doprowadzi do tyranii. Można się domyślać, że w tym działaniu chodzi o rozsadzenie od wewnątrz Narodu Polskiego, żeby nie tworzył społeczności, a więc pewnej jedności, która jest skierowana ku dobru wspólnemu, tylko żeby to były izolowane jednostki, którymi można dowolnie sterować za pomocą współczesnych środków socjotechniki – na czele z nauką socjologią i metodami (...). Możemy się spodziewać ofensywy, która jeśli nie może rozbić struktur państwowych, to będzie rozbijać społeczeństwo – do tego stopnia, żeby w kolejnych wyborach móc już to społeczeństwo pokonać i zniewolić. Prawda jest taka, że społeczeństwo pozbawione zasad moralnych i tradycji staje się zdezorientowaną masą, której liczebność nie odgrywa już żadnej roli, ponieważ jest zatracona wspólnota, która – jako jedyna – zdolna jest bronić wartości i zasad, na jakich opiera się tradycja polskiego Narodu i polskiego państw.

Jak rozmówca podkreślił, nie jest łatwo wskazać źródła takich działań:

(...) bez wątpienia postacią, którą się przywołuje od czasu do czasu, jest George Soros, który od dziesiątek lat jawnie deklarował, że zrobi wszystko, aby spełniła się wizja nowego

społeczeństwa, tzw. otwartego, w ramach którego zniszczona zostanie rodzina, narodowość i Kościół katolicki jako bastiony tożsamości, dzięki którym człowiek może się normalnie rozwijać i żyć. Kto zaś stoi za Sorosem, trudno powiedzieć, bo na ten temat jest wiele teorii. (...) siły lewicowe to są siły anarchistyczne – tak było w XIX wieku i podobnie jest teraz. W związku z tym ich nie interesuje szacunek dla demokracji czy przestrzeganie prawa, tylko zdobycie władzy²⁹.

W artykule dotyczącym problematyki walki z polskim domem, czyli z Polską, o faszystach naszych czasów szeroko pisze Aldona Zaorska w odniesieniu do sprofanowanej figury Chrystusa sprzed kościoła Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Losy figury zostały przypomniane przez Jana Pawła II podczas jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny w czasie słynnej homilii na pl. Zwycięstwa (2 czerwca 1979): „(...) Nie sposób zrozumieć tego narodu, który miał przeszłość tak wspaniałą, ale zarazem tak strasznie trudną – bez Chrystusa.” Chrystus sprzed kościoła Św. Krzyża był świadkiem najważniejszych wydarzeń w powojennej historii Warszawy i Polski. Kiedy Polska przeżywała żałobę po 10 kwietnia 2010 r., ktoś przepasał Chrystusa biało-czerwoną szarfą z kirem, jakby sam Bóg towarzyszył Polakom w cierpieniu. Dziś znieważyli Go gejoscy aktywiści. Z czystej nienawiści. Prowokatorzy zawiesili nad figurą tęczową flagę, a na twarz Chrystusa założyli różową maskę Antify. Dumni i zadowoleni, całość uwiecznili na zdjęciach, które wrzucili do Internetu³⁰.

Wobec tak zarysowanej atmosfery życia społecznego w Polsce tym bardziej aktualne stają się słowa Jana Pawła II, że wolności się nie posiada, lecz trzeba ją nieustannie

²⁹ Tamże, s. 4.

³⁰ A. Zaorska, *Tęczowa zaraza atakuje*, „Warszawska Gazeta” z 7–13 sierpnia 2020, nr 32, s. 16.

zdobywać. Wymaga to nieustannej aktywności we wszystkich przejawach życia osobistego, rodzinnego i społecznego. Najważniejszą jednak podstawą kształtowania świadomości wolności w wymiarze osobistym i społecznym jest dobra rodzina żyjąca i realizująca swe zadania pod dobrym nadzorem społecznym. Chodzi tu nie tylko o bezpieczeństwo ekonomiczne, gdyż coraz bardziej dochodzi do głosu problem bezpieczeństwa wychowawczego, moralnego, religijnego, kulturowego, zwyczajowo-obyczajowego i in. Na zagrożenia tego typu zwrócił uwagę Janusz Mariański:

We współczesnym świecie występuje ogromna różnorodność orientacji wartościujących, norm moralnych, wzorów osobowych i światopoglądów. Równocześnie brakuje często ogólnego konsensu w odniesieniu do zasad, jakimi należy się kierować w życiu, co może w konsekwencji prowadzić do dezorientacji jednostek i grup społecznych. Zwłaszcza w sytuacji sprzecznych wymagań trudno działać w sposób spójny i konsekwentny. Inne hierarchie wartości obowiązują w dziedzinie polityki, inne zaś w sferze gospodarczej, naukowej, wychowawczej i religijnej. (...) Są to jednak nie tyle wartości, ile raczej opcje lub modne i szybko przemijające style życia. Różnorodność opcji może prowadzić do zubożenia wobec trwałych wartości, zwątpienia w ich obowiązywalność, a nawet do swoistej pragmatyzacji świadomości religijnej. W nowoczesnych społeczeństwach coraz rzadziej są stawiane normatywy moralne, coraz częściej zaś kreuje się wymogi pragmatyczne. Człowiek współczesny jest konfrontowany z różnymi systemami norm i wartości. Mówi się nawet o rewolucji pluralistycznej³¹.

Od lat dziewięćdziesiątych XX w. pojawia się pojęcie „nowa duchowość”.

³¹ J. Mariański, *Wiara i wierzenia Polaków w niestabilnej nowoczesności. Analiza socjologiczna*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2014, s. 42.

Od pewnego czasu stał się modny termin „nowa duchowość”. Pojawia się on coraz częściej w naukach społecznych, a także w życiu codziennym. Wielu ludzi współczesnych w wysoko rozwiniętych krajach świata nie używa już rzeczownika „religia” ani przymiotnika „religijny”, lecz odwołuje się do terminów „duchowy” czy „duchowość”, uważając je za bardziej odpowiednie na określenie swojej postawy światopoglądowej. (...) Niektórzy socjologowie mówią o nowych formach duchowości jako ekwiwalentach religii, o religijności pozakościelnej (duchowość), parareligii i religijności alternatywnej, o substratach religii, o magii, przesądach i alternatywnych formach wiary, o orientacjach duchowych w religijności codziennej, o renesansie ezoteryki, przebudzeniu ewangelizacyjnym i o ponownym zwycięstwie Boga. (...) Jeżeli nawet nie zgodzilibyśmy się z tym, że religijność jest fundamentalną cechą ludzkiej egzystencji, to wszędobylska duchowość może być uznana za taką cechę. Religie zinstytucjonalizowane (Kościoły) tracą na znaczeniu, duchowość rozwija się bądź jako duchowość religijna, bądź jako duchowość pozareligijna (nowa duchowość). Ta druga (...) Charakteryzuje się niskim stopniem instytucjonalizacji. Ostateczną instancją organizującą to, co duchowe, staje się sama jednostka. Współcześnie zauważa się coraz częstsze używanie w odniesieniu do wyznawanej wiary terminu „duchowość” zamiast „religijność”. Oznacza to przekształcenia i transformacje struktur zwierzchnich wierzeń i praktyk jednostki: od władz Kościoła do własnego „ja” i własnych doświadczeń³².

Inny rodzaj zagrożenia domu polskiego dotyczy najnowszych badań nad technologiami związanymi z ludzkością. Osiągnięcia w dziedzinie robotyki i sztucznej inteligencji budzą obawy o przyszłość rodzaju ludzkiego w ogóle, a domu polskiego w szczególności. Na pewnym etapie badań Elon Musk, amerykański przedsiębiorca i wizjoner, zauważył:

³² Tamże, s. 51–52.

Sztuczna inteligencja to wielkie zagrożenie. Najbardziej w kwestii sztucznej inteligencji myślą się ludzie bardzo inteligentni. Nie wyobrażają sobie, że komputer mógłby być od nich znacznie mądrzejszy. To jest błąd w ich logice. Są po prostu głupszy, niż im się wydaje". Stwierdził on, że powinniśmy zacząć się poważnie martwić o to, dokąd zmierza nieograniczony żadnymi procedurami rozwój takich technologii. (...) Zatem dynamiczny rozwój technologii transhumanistycznych oferujących bezpośrednią ingerencję w mózg człowieka oraz rozwój systemów analizy zarówno tekstów, jak i mowy człowieka powinien być kontrolowany. Tylko na razie nikt nie ma pomysłu, jak by to miało wyglądać w praktyce³³.

Współczesny człowiek żyje w czasach rodem z *science fiction* (SF). Za codzienny komfort i proste usługi rezygnujemy z siebie i będziemy to robić w przyszłości.

(...) jedyne, co można rozpatrywać, to komu chcę oddać swoje dane, a nie, czy w ogóle chcę. Możliwości z reguły są dwie: Chiny albo USA. Ja oddaję jednym i drugim. Mam telefon Huawei, ale całe moje życie mam w chmurze Googl'a. Uważam, że jedno i drugie jest pod względem wyzbywania się prywatności niebezpieczne, ale z perspektywy komfortu niezbędne. Druga perspektywa to zachowanie pojedynczych użytkowników. Gdy my się rodziliśmy, świat wirtualny był najwyżej w telewizorze. Obecnie jesteśmy na etapie, w którym ludzie „rodzą się w internecie". Malutkie dziecko ma tabletkę. Od początku oddaje swoją prywatność, chociaż jeszcze nie jest tego świadome. I teraz – kiedy porównuję zachowanie pojedynczych użytkowników w sieci z tym, co było 10 lat temu, widzę postęp. Dużo więcej osób zamyka swoje profile w *social* mediach. Trudno dowiedzieć się, w jakim wieku jest osoba, którą podglądasz na Facebooku. Mało kto podaje swoją datę czy miejsce urodzenia, ludzie ograniczają liczbę publicznie

³³ G. Osiński, *Niebezpieczna sztuczna inteligencja*, „Nasz Dziennik” z 10 sierpnia 2020, nr 185, s. 13.

dostępnych zdjęć. (...) więc w tym sensie ludzie nabyli jakąś świadomość. Nie cofniemy jednak już samej drogi oddawania tej prywatności koncernom. (...) – Kamery, skanowanie twarzy itd. – to wszystko to dane osobowe i to już się dzieje na przykład w Chinach. Oddamy prawie wszystko. Krytycznym momentem będzie oddanie DNA. Najbardziej prywatnymi danymi jest nasz kod genetyczny i jeśli zaczniemy nim „handlować”, to będzie to już niewymazywalne. (...) DNA zawsze będzie cię identyfikować³⁴.

To zagrożenie potwierdzają liczne doniesienia o rozbijaniu tradycyjnych więzi społecznych za pomocą mechanizmów socjotechnicznych stosowanych przez megacyberimperia współczesnego świata³⁵.

Na permanentnie realizowaną walkę z polskim domem wskazuje artykuł Urszuli Wróbel³⁶. Autorka ujawnia mechanizmy poważnie zagrażające polskiej racji stanu, ukrytego w ramach poprawności politycznej niszczenia polskiej rodziny. Zniszczenie rodziny to jednoznaczne zniszczenie polskiego domu. Najgorsze w tych mechanizmach jest to, że dzieło jest realizowane przez samych Polaków. Walka o dom polski zobowiązuje do coraz większej mobilizacji przed groźbą jego unicestwienia. Perspektywa domu polskiego może mieć i bez wątplenia będzie miała dość pesymistyczne zabarwienie. Wystarczy zajrzeć do przekazów medialnych, by stwierdzić, że nadciągają nad Polskę czarne chmury z innej strony niż dotychczasowe zastraszania.

³⁴ M. Zmysłowski, *Maszyna jeszcze długo nie będzie substytutem człowieka* – Rozmowa z Jakubem Wątozem, redaktorem naczelnym Technologii WP, „Angora” z 17 maja 2020, nr 20, s. 26.

³⁵ P. Grochmański, *Cyberimperium na wojnie z wolnością*, „Gazeta Polska” z 20 stycznia 2021, nr 3, s. 6–9.

³⁶ U. Wróbel, *Dyskryminacja rodziny*, „Nasz Dziennik” z 30 grudnia 2020, nr 303, s. 1, 3.

Do 2050 r. liczba ludności w Polsce może zmniejszyć się o 4,4 mln osób. Takie są najnowsze prognozy Głównego Urzędu Statystycznego. Dlatego, jak wskazują eksperci, najpilniejszym wyzwaniem dla rządu na najbliższe dekady jest poprawa dzietności w kraju. – Dane mogą szokować, ale te przewidywania GUS, mimo że tak długoterminowe, są wiarygodne. (...) Dziś, średnio w ciągu roku ubywa około 100 tys. ogólnej liczby Polaków. – To bardzo dużo. Jeśli taki trend się utrzyma, to przez 10 lat ta liczba zbliży się do miliona, a w ciągu 30 lat nawet do 3 mln. Te przewidywania należy uzupełnić o kolejne liczby wynikające z migracji ludności. Jeśli to wszystko zsumujemy, to rzeczywiście okaże się, że spadek liczby ludności o 4,4 mln jest bardzo prawdopodobny – szacuje dr Krzysztof Szwarz, demograf z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, członek Rady Rodziny przy Ministerstwie Rodziny i Polityki Społecznej³⁷.

Jednym z niezliczonych przykładów czuwania Kościoła katolickiego nad praworządnością i porządkiem moralnym, a w nim nad domem polskim, może być reprimenda pod adresem niektórych parlamentarzystów funkcjonujących w strukturach władzy.

Wicepremier Jarosław Gowin prawną legalizację aborcji w Polsce chce poddać pod głosowanie w referendum. W rozmowie z gazeta.pl wskazał, że „gdy naruszono tzw. kompromis aborcyjny z 1993 r., którego byłem i jestem zwolennikiem, być może nie ma już innej drogi jak tylko referendum”. Lider Porozumienia lekceważy tym samym prawo naturalne i naukę Kościoła. (...) Proponowanie takich rozwiązań jest niezgodne z etyką prawa naturalnego i nauką Kościoła. Demokracja liberalna lekceważy te zasady... Propozycja głosowania nad prawem do życia nie może pochodzić od katolików i nie może być przez nich forsowana³⁸.

³⁷ U. Wróbel, *Pesymistyczne prognozy*, „Nasz Dziennik” z 4 stycznia 2021, nr 2, s. 2.

³⁸ K. Gajkowski, *Życie nie podlega referendum*, „Nasz Dziennik” z 19–20 grudnia 2020, nr 296, s. 1.

Postawa osoby deklarującej się jako wierząca jest wyjątkowo groźna. A dotyczy również Prezydenta RP, który 30 października 2020 r. podjął próbę wprowadzenia do prawa tzw. przesłanki letalnej. „W ocenie sędziego Piotra Ł. Andrzejewskiego propozycja prezydenta jest próbą uspokojenia trwających protestów, co jest złym posunięciem, gdyż autorytet Trybunału Konstytucyjnego powinien stać ponad niezadowolaniem protestujących grup”³⁹. Takie napięcia towarzyszą społeczeństwu polskiemu od transformacji ustrojowej, tj. od 1989 r. Obecne zmagania społeczne to kontynuacja zapędów dawnych okupantów. Są one jednocześnie ujawnianiem słabości budowanej obecnie struktury społecznej, której podstawę stanowi porządne wychowywanie młodego pokolenia. Takie wychowanie możliwe jest jedynie w prawidłowo ustrukturalizowanej i poprawnie funkcjonującej rodzinie, w której mężczyzna i kobieta złączeni więzami miłości realizują odwieczne powołanie służenia życiu ludzkiemu w pełnym wymiarze. Edukacja w tym zakresie powinna być oparta na nauce Kościoła, w której ważny punkt stanowią przesłania papieskie.

Dla polskiego domu problem aborcji zdaje się wyjątkowo aktualnym i wymagającym profesjonalnej edukacji. Oczywiście, nie jest to problem *sensu stricte* domu polskiego czy polskiej rodziny, i nie tylko w obecnej rzeczywistości. Jest to problem ogólnospołeczny o randze międzynarodowej, humanitarnej, cywilizacyjnej i w zasadzie, ostatecznie – biznesowej. Z cywilizacją śmierci oswaja ludzkość mechanizm ograniczenia populacji, o wyraźnej socjotechnicznej proweniencji środowisk biznesowych uzurpujących sobie władzę do rządzenia światem. Czynią to metodami najbardziej prymitywnymi z możliwych – szerzeniem legalizacji

³⁹ R. Stefaniuk, *To eutanazja prenatalna. Prezydencka propozycja wprowadzenia do prawa tzw. przesłanki letalnej uderza w podstawowe prawa człowieka*, „Nasz Dziennik” z 5 listopada 2020, nr 259, s. 1.

prawnej tzw. ustawowego bezprawia, gdy chodzi o aborcję we wszystkich jej wariantach. Aborcja znana jest ludzkości od czasów starożytnych. Wówczas jednak z większą uwagą zwracano się do sumienia i kultury, czego wyrazem jest przysięga Hipokratesa.

Jak wynika z danych zebranych przez portal Worldometer, w ubiegłym roku (2020) przeprowadzono na świecie 42 655 372 aborcje. (...) Skala aborcji jest porażająca – to jak wymordowanie całego kraju w ciągu jednego roku. (...) Znamienny jest fakt, iż serwis Worldometer raportuje ok. 59,6 mln zgonów na całym świecie – ale nie uwzględnia w tym milionów ofiar aborcji. Jak zauważają redaktorzy portalu LifeNews.com, nienarodzone dzieci „nie są uznawane za istoty ludzkie, mimo że nawet z czysto biologicznego punktu widzenia są wyjątkowymi, żyjącymi istotami ludzkimi od momentu poczęcia i umierają brutalną, gwałtowną śmiercią podczas aborcji”. (...) Z jednej strony żyjemy w czasach, gdy wiele osób marzy o poczęciu dziecka i choruje na niepłodność, a z drugiej miliony dzieci są zabijane. Kryzys człowieka to jednocześnie kryzys małżeństwa, rodziny, więzi i wartości – podkreśla Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, prawnik i psycholog⁴⁰.

Od zarania dziejów uprzedmiotawianie istoty ludzkiej zaliczane było do najbardziej haniebnych działań znajdujących swe odzwierciedlenie w stanowczo negatywnej ocenie, szczególnie w aspekcie religijnym i moralnym.

Zasygnalizowane i inne zagrożenia dotyczą obecnej rzeczywistości domu polskiego, a konieczność ich rozpoznawania wydaje się niezbędna, by podejmować działania zapobiegawcze przed nimi i zarazem przygotowujące młode pokolenie do życia w warunkach ekstremalnych, niezmiernie trudnych dla prawidłowego rozwoju zarówno osobowości

⁴⁰ M. Stanisławski, *Świat niszczy aborcja*, „Nasz Dziennik” z 7 stycznia 2021, nr 4, s. 12.

wego, jak i duchowego. Problemy te powinny być systematycznie badane i analizowane w celu podnoszenia poziomu życia społecznego w ogóle i przede wszystkim chronienia przed nimi rodziny.

Zakończenie

Wobec zasygnalizowanych wyżej cech rzeczywistości życia Polaków stoi podstawowe zadanie: kształtowania swej osobowości na fundamencie miłości i prawdy. Tylko prawy wychowawca daje perspektywę poprawnego rozwoju społeczeństwa przyszłości. Nauka, choć wyjątkowo ważna w życiu, nie rozwiązuje wszystkich kluczowych jego wymiarów. Nauka nie jest w stanie wpłynąć na jego duchowy wymiar. W swym ostatnim wystąpieniu bp Józef Zawitkowski podkreślił:

„Póki Chrystus będzie wołał: Sursum Corda, Warszawiacy, to Warszawa będzie wolna, będą wolni i Polacy”. Ale gdy już ubierają Chrystusa w maskę i tęczową flagę, to chyba początek końca. „Larum grają!”

I coś Ty zrobił najgłupszy z siepaczy? Księżu! „On się nawróci i Bóg mu przebaczy” (A. Mickiewicz). „Za dużą masz pamięć, a zbyt mały rozum” (Z. Herbert). Czym ty myślisz, skoro rozum nie urósł? Nie wiem. „Zbrodniarzem jesteś czy bohaterem? Ocalasz czy gubisz Pospolitą Rzecz” (Cz. Miłosz). Takeś ty się odczłowieczył. Czyżbyś zszedł aż do rzędu człokształtnych? Lecz jeśli tli się w tobie jeszcze iskra człowieczeństwa, to pamiętaj prośbę pocziwego Adama Asnyka: „Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy, choć macie sami doskonalsze wznieść, na nich się jeszcze święty ogień żarzy, i wy winniście im cześć”. Przecież jesteś ochrzczony, tylko kto cię tak oszpecił, człowieku? Ja Ci nie ubliżam, ja Cię nie straszę. Ja tylko przypominam. „Słuchaj! To mówi Pan, Bóg nasz: Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy... ani męż-

czyżni współżyjący ze sobą, ani rozwiązli, ani bluźniercy nie odziedziczą Królestwa Bożego” (1 Kor 6, 9). I jeszcze mocniej: „Rozpustników i cudzołożników spotka surowy sąd Boży” (Hbr 13, 4). Pamiętaj też, że twoje ciało, nawet na tęczowo oszpecone, „jest Świątynią Boga”, więc uważaj! „Kto zniszczy tę świątynię ręką Boga wzniesioną, tego zniszczy sam Bóg” (1 Kor 6, 19). „Pogruchoce Was Pan Bóg jako ten gliniany garniec” (Ks. P. Skarga). Ja nie straszę, ja tylko przypominam, że to mówi Bóg, ale ty nie wierzysz w Boga, bo ośmieliłeś się wejść na krzyż Chrystusa. Ośmieliłeś się wejść do Sejmu, do świątyni prawa, gdy Prezydent mówił: „Tak mi dopomóż Bóg?” Skąd ty jesteś, dziecko? Przecież nie z Warszawy. Biała tym, którzy Ci płacą. Dla nich tylko „kamień młyński i głębokości morza” (por. Mt 18, 6). Ja nie straszę. Ja tylko przypominam, że to mówi Pan⁴¹.

Nie jest łatwo dzisiaj być pedagogiem. Za swe nauczanie Jan Paweł II doznał zamachu na swoje życie (13 maja 1981). Trzy lata później w Polsce zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę – również za nauczanie prawdy i formowanie Polaków według ewangelicznej wskazówki „zło dobrem zwyciężaj!” Bitwa o polski dom pociąga za sobą ofiary wśród ludzi wiernych Bogu i Ojczyźnie – to jest jakby wpisane w tę drogę życia prawdziwie pedagogicznego.

W polskim domu nie może przejść bez echa ostatni akcent prezydentury Donalda J. Trumpa – oświadczenie w związku z ogłoszeniem 22 stycznia Narodowym Dniem Świętości Życia Człowieka (podpisane 17 stycznia 2021 r., w 245 roku niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki). Donald Trump zapisał w nim m.in.:

⁴¹ J. Zawitkowski bp, *Ja takiej wiary wśród was nie spotkałem*, Kazanie bp. Józefa Zawitkowskiego wygłoszone w czasie Mszy św. radiowej w bazylice Św. Krzyża w Warszawie 16.08.2020 r. („Nasz Dziennik” z 18 sierpnia 2020, nr 191, s. 10).

(...) na mocy uprawnień nadanych mi przez Konstytucję i prawa Stanów Zjednoczonych, niniejszym ogłaszam dzień 22 stycznia 2021 r. Narodowym Dniem Świętości Życia Człowieka. Wzywam dziś Kongres, aby przyłączył się do mnie w ochronie i obronie godności każdego życia ludzkiego, także tego jeszcze nienarodzonego. Wzywam Amerykanów, by nadal otaczali opieką kobiety w nieoczekiwanych ciążach, by wspierali adopcję i pieczę zastępczą w bardziej znaczący sposób, tak aby każde dziecko mogło mieć kochający dom. I wreszcie proszę każdego obywatela tego wielkiego Narodu, aby wsłuchał się w dźwięk ciszy spowodowany przez owo stracone dla nas pokolenie, a potem podniósł głos za wszystkich dotkniętych aborcją – zarówno znanych, jak i nieznanych⁴².

Tę historyczną proklamację skomentował prof. Piotr Jaroszyński:

Za tym stoi (...) Konkretny program, który chce nie tylko przywrócić Amerykę jako mocarstwo światowe, ale przede wszystkim odzyskać fundamenty, na których Amerykę budowano, mając na uwadze poszanowanie podstawowych praw ludzkich, obejmujących zarówno religię, jak i moralność. Jest to także głęboka wizja kulturowa, która – jak widać – nie jest na rękę różnym siłom. I tu trzeba powiedzieć: zjednoczonym globalnie, chociaż należą do różnych państw czy organizacji⁴³.

Dla Polaków proklamacja prezydenta Trumpa jest wyjątkowa, dotyczy bowiem narodu, który w ostatnim czasie doświadcza wyjątkowych ataków sił zła. Społeczeństwo polskie

⁴² D. J. Trump, *Każde życie jest święte – Oświadczenie prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa w związku z ogłoszeniem 22 stycznia Narodowym Dniem Świętości Życia Człowieka*, „Nasz Dziennik” z 20 stycznia 2021, nr 15, s. 15.

⁴³ M. Stanisławski, *To historyczna proklamacja – rozmowa z prof. Piotrem Jaroszyńskim, kierownikiem Katedry Filozofii Kultury i Podstaw Retoryki KUL*, „Nasz Dziennik” z 20 stycznia 2021, nr 15, s. 16.

jest wyjątkowo osamotnione. Nadal boryka się z pozostałościami komunistycznej przeszłości, do tego dołączają ingerencje w wewnętrzne sprawy tzw. sprzymierzeńców z Unii Europejskiej. Perspektywy tych zmaganiań nie ułatwia sytuacja epidemiczna, której genezy i szybkiego rozprzestrzeniania się nikt dotąd nie potrafił zidentyfikować. Wszystko to powinno budzić duże zaniepokojenie co do przyszłości domu polskiego.

Jerzy Binkowski*

Stolicą ich serca była Polska

Jakże pięknie brzmią słowa: „roztropność”, „sprawiedliwość”, „wstrzemięźliwość” czy „męstwo”. Jak bardzo zmieniłoby się nasze życie, gdybyśmy zaczęli wstydzić się przed Bogiem i ludźmi z takich przywar, jak pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, gniew, lenistwo, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu? Czy zrezygnowaliśmy z zasad moralnych? Z możliwości uczynienia najgłębszego związku między darem wiary a codziennym stylem życia?

I

Jadwiga Działyńska to jedna z najpiękniejszych postaci polskich kobiet przełomu XIX i XX w. Urodziła się 4 lipca 1831 r. w Warszawie, gdy powstanie listopadowe dobiegało końca. Jej ojciec, Tytus Działyński, jak i bracia matki – Gryzeldy z Zamoyskich – siostrzenicy Adama Jerzego Czartoryskiego, zaangażowani byli w działania wojenne przeciwko Rosji. Za udział w powstaniu władze pruskie ukarały rodzinę Działyńskich wyrugowaniem z majątku, którego cen-

* Jerzy Binkowski, absolwent psychologii KUL, poeta, autor wielu artykułów o wychowaniu, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

trum stanowił zamek w Kórniku. Rodzina Działyńskich została zmuszona do opuszczenia Wielkopolski. Dzieciństwo Jadwigi było doświadczeniem biedy i tułaczki rodziny. Tytus Działyński w wyniku procesu odzyskał Kórnik w 1838 r.

Doświadczenie to stało się początkiem zespolenia jej losów z losami Polski. „Ojczyzna w Bogu i dla Boga” stanie się hasłem i cechą całego życia. Jadwiga dojrzewa w surowej szkole cierpienia: nieszczęścia w kraju, rodzinne kłopoty, choroby. Faza dorastania to, oczywiście, także bunt przeciwko schematom. W roku 1852 została wydana za brata swej matki – generała Władysława Zamoyskiego, polityka działającego z ramienia Hotelu Lambert. Jadwiga Zamoyska nie opuszcza męża na emigracji – mieszka w Paryżu i Londynie. Podczas wojny krymskiej (1854–1856) z radością porzuca „zabawowy nastrój” Paryża, aby wśród niewygód i niedostatków służyć pomocą mężowi i chorym żołnierzom dywizji polskiej w wyprawie krymskiej.

Po śmierci męża (1868) dystansuje się od „świata”, żyje ubogo, oddana chrześcijańskiemu wychowywaniu swoich dzieci. Kiedy umiera jej dziewiętnastoletni syn Witold, ona pości, umartwia się, choruje. Koncentruje się na modlitwie, komunii świętej. Wychowuje syna Władysława i córkę Marię. Píše wspomnienia, które po latach ukażą się w staranym wydawnictwie: *Jadwiga Zamoyska w domu rodzinnym i na emigracji*¹ oraz *Jadwiga Zamoyska między Londynem a Stambułem*². Mnie szczególnie zainteresowała książka wydana po raz pierwszy nakładem Biblioteki Kórnickiej jeszcze za życia autorki – w 1902 r. – zatytułowana *Wykłady o wychowaniu*. Mam przed sobą drugie wydanie tej książki: *O wycho-*

¹ *Jadwiga Zamoyska w domu rodzinnym i na emigracji*, Fundacja Zakłady Kórnickie 2013.

² *Jadwiga Zamoyska między Londynem a Stambułem*, Fundacja Zakłady Kórnickie 2014 (Fundacja Zakłady Kórnickie wydała w 2017 r. kolejny tom, *Wspomnienia Marii Zamoyskiej, córki Jadwigi*).

waniu³, z podpisem właściciela na tytułowej stronie, mego stryja, ks. Edmunda Binkowskiego.

Sens podstawowej idei wydaje się doskonale znany od wieków i paradoksalnie jest wyjątkowo nowoczesny. Owa nowoczesność, uniwersalność polega na postawieniu w centrum systemu wychowawczego Boga, o którym zapomina się lub skrętnie omija w najnowszych teoriach pedagogicznych. Spełnienie miłości Boga dokonuje się w służbie, zaś służyć ojczyźnie to wydobywać z siebie wszystko to najlepsze, w co wyposażył nas Bóg. Wychować, czyli uczynić, aby było widoczne, aby nie było schowane. Czytam we wstępie do książki *O wychowaniu*, który napisał ks. dr Stanisław Bross:

Gdy wychowanie syna jej Władysława i córki Marii dobiega do końca, ma już lat pięćdziesiąt. W duszy jej pali się nie przygaszony bólem i znojem życia zapal do służby dla Boga i dla ludzi. Obdarzona łaską głębokiego zrozumienia powinności chrześcijańskich i przejęta duchem Ewangelii, boleje nad obniżeniem się ideału chrześcijańskiego w świecie.

Jadwiga Zamoyska przy pomocy syna Władysława (tego samego, który wykupił był Zakopane i część Tatr z Mor-skim Okiem i Czarnym Stawem, nie dla siebie, a dla Polski) zakłada Stowarzyszenie chrześcijańsko-społeczne Matki Boskiej Dobrej Rady i Szkołę Życia Chrześcijańskiego i Domowej Pracy. Stowarzyszenie i szkoła przeznaczone są dla kobiet. Pisze m.in. o tym profesor Czesław Kustra w książce *Kobieta i praca w koncepcji wychowawczej Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej (1831–1923)*⁴.

³ J. Zamoyska, *O wychowaniu*, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, Poznań 1937.

⁴ Cz. Kustra, *Kobieta i praca w koncepcji wychowawczej Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej (1831–1923)*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012.



Il. 1. Hieronymus Bosch, Siedem grzechów głównych i cztery ostatnie rzeczy, źródło: https://en.wikipedia.org/wiki/The_Seven_Deadly_Sins_and_the_Four_Last_Things#/media/File:Hieronymus_Bosch_-_The_Seven_Deadly_Sins_and_the_Four_Last_Things.JPG (dostęp: 15.02.2021)

„Apostolstwo przez świeckich”, „prawdziwie chrześcijańskie życie jednostek i rodzin w zwykłych i naturalnych warunkach”, „dom bez grzechu” – to były przewodnie gwiazdy jej życia.

Ilustrację systemowego, opierającego się na niezmiennych zasadach, wychowywania, obrazuje spis treści książki *O wychowaniu* Jadwigi z Działyńskich Zamoyskiej. To oryginalny układ, bazujący na Ewangelii i katechizmowych prawdach wiary. Popatrzmy zatem ledwie na tytuły rozdziałów i hasłowo ujęte ich treści:

Wstęp (Katechizm podstawą wychowania/ Kształcenie woli/
Wychowawca wzorem tego, czego uczy)

Część pierwsza – cel BÓG (Poznanie Boga/ Miłowanie Boga/
Służenie Bogu/ Nagroda wieczna)

Część druga – Zasady ([tu:] Skład apostołski)

Część trzecia – Prawa ([tu:] Przykazania Boskie i kościelne)

Część czwarta – Przeszkody (Grzechy główne/ Grzechy przeciwko Duchowi Świętemu/ Grzechy wołające o pomstę do Nieba/ Grzechy cudze)

Część piąta – Owoce CNOTA OWOCEM WYCHOWANIA
(Cnoty Boskie/ Cnoty główne/ Błogosławieństwa ewangeliczne)

Część szósta – środki (Rozmyślanie/ Rachunek sumienia/
Czytanie/ Wierność w drobnych rzeczach/ Umartwienie i pokuta/ Uczynki miłosierne)

Zmierzymy odległość realiów naszego życia od modelu, który otrzymaliśmy, jako dziedzice marzeń naszych przodków o życiu moralnym. Jak nam do niego daleko? Życie moralne jest potrzebne nie tylko nam żyjącym w rodzinie, moralność potrzebna jest dla naszego wspólnego dobra. Dobrem wspólnym jest Bóg i Ojczyzna! O tym przekonuje nas Autorka na każdej stroniej swej książki.

II

Pamiętam, jak będąc małym chłopcem, z niepokojem i zdziwieniem patrzyłem na duży zburzony dom, który dorośli nazywali pałacem. Ciekawy, zaglądałem do jego wnętrza. Tam było najsmutniej. Gruz na podłodze. Powyrywane deski. Wykoślawione ramy okienne. Wybite szyby. Rozdarte sufity. Wiatr unosił kurz. Nikt z dorosłych nie wyjaśnił mi, co się wydarzyło. Dlaczego ten dom jest taki pusty. Pokaleczony. Taki straszny. Umarł?

Dzisiaj, czytając wspomnienia ukazujące życie rodziny Lubomirskich i Stadnickich w pałacach w Kruszynie i Nawojowej w pierwszej połowie dwudziestego wieku, uzyskuję pełniejszy obraz dramatu mojej ojczyzny. Coś się skończyło. A co się zaczęło? Młodziotka księżniczka, Elżbieta z Lubomirskich-Stadnicka, uśmiecha się z fotografii umieszczonej na okładce fascynującej autobiograficznej książki *Na krawędzi epok 1922–2017*⁵. W roku 2016 pisała do swoich dzieci, wnuków i prawnuków:

Ta cała praca, żeby opisać życie, to mój ostatni prezent dla Was. Nie jest to historia ani powieść czy poezja – tylko ukazanie jednej z ludzkich ścieżek wiodącej poprzez bardzo trudny okres, kiedy „waliły się epoki”. Moim największym pragnieniem jest podzielić się z Wami tym, co mi dało szczęście i radość z życia. To jest moje spotkanie z Bogiem; Jego dotknięcia, Jego pomoc i ratunek, Jego przebaczenie (...)

Ostatnia wojna i jej skutki zmiotły w przepaść niebytu arystokrację polską, jej pałace, dwory i całą kulturę, której fundamentem była tradycyjna religijność, honor, wykształcenie, odpowiedzialność, pracowitość. Buta i nienawiść Niemców oraz mściwe barbarzyństwo wojsk sowieckich uczyniły z naszej ziemi cmentarz. Dwory szlacheckie, pałace wielkich rodów zawsze stanowiły w Polsce centrum życia najbliższej okolicy, ludziom niższych stanów dostarczały wzorców kulturowych, a często i środków do życia. „Wielkie rodziny wspomagały uboższe rodziny od wieków” – przypomina rodzinne zawołanie autorka *Na krawędzi epok*. Dziesiątki osób pracowało w pałacu i wiele osób z okolicznych wsi znajdowało zatrudnienie w majątku Lubomirskich w Kruszynie. Dzieciom wiejskim organizowano tu szkołę i ochronki.

⁵ E. z Lubomirskich-Stadnicka, *Na krawędzi epok 1922–2017*, Rosikon Press, Warszawa 2018.

W pałacu znajdowano opiekę lekarską, wsparcie w sytuacjach zagrożenia, pomoc w kształceniu dzieci utalentowanych (np. muzycznie).

Pewnego dnia kłóciłam się z moją nianią Lalą i jako ostatniego argumentu użyłam tupnięcia nogą popartego słowami: „Czy ty wiesz, do kogo mówisz? Mówisz do księżniczki Elżbiety Lubomirskiej”. Wtem ktoś wziął mnie za ubranie i podniósł do góry, a następnie dał mocnego klapsa w pupę i powiedział: „Co ty sobie myślisz, dlatego że masz tytuł, to nie musisz być grzeczna? Ty dopiero na ten tytuł musisz zapracować, być kimś, a nie taką nieposłuszną dziewczynką”.

Wiele lat później, mieszkając we Francji, autorka wspomnień przypomniała słowa swego dziadka, Józefa Broel-Platera. Był on człowiekiem dobrym, z dużym temperamentem i dowcipem. Nadzorował całą administrację Kruszyny. Prowadził też hutę i fabrykę, pomogła mu w tym górniczo-metalurgiczna praktyka, którą odbył w Niemczech.

Kiedy czytałem kolejne wspomnienie o Józefie Broel-Platerze, uśmiechałem się do tak dziecięco sformułowanej różnicy między kobietą i mężczyzną. Otóż modlitwy w pałacowej kaplicy, które zapamiętała autorka jako dziecko, miały swoje indywidualne brzmienia. „Babcia zaczynała pacierz, z tym, że w Ojcie nasz kładła nacisk na ... bądź wola Twoja..., a dziadzio grzmiał: ...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy (...)”.

Ostatnia wojna stała się sprawdzianem siły duchowej płynącej z zasad wpojonych w katolickiej rodzinie. Dla bohaterów wspomnień ten czas zbrodni, grabieży, gehenny nie był czasem rozpaczki. Dwory i dobrze zarządzane gospodarstwa magnackie miały nieocenioną wartość dla okupantów niemieckich. Były miejscem produkcji żywności potrzebnej armii niemieckiej, dlatego przysługiwała im swoista ochrona. Jednocześnie ich właściciele, w poczuciu odpowiedzialności za Polskę, czynili swoje siedziby i majątki zapleczem żyw-

nościowym, medycznym, radiolokacyjnym i finansowym Armii Krajowej i – rzadziej – Batalionów Chłopskich, tuż pod bokiem Wermachtu, który często w dworach stacjonował. Wymagało to brawurowej odwagi, stałej czujności i nie-małego sprytu. Ziemiańscy polscy zawiązali swego rodzaju bank (Rada Główna Opiekuńcza), wspierający partyzantów i najbardziej potrzebujących mieszkańców miasteczek i miast. Dwory (i zakamarki w budynkach gospodarczych) stawały się miejscem przechowywania rannych, chorych oficerów i żołnierzy polskich. Bywało, że organizowano tu magazyny broni dla partyzantów.

Przyszły mąż Elżbiety Lubomirskiej, Józef Edward Adam hr. Stadnicki (1919–1960) z Nawojowej na ziemi Nowosądeckiej, był od 1941 r. komendantem placówki ZWZ-AK. Odważny do szaleństwa, ponad wszelką miarę ofiarny, życie podporządkował walce o wolność. Pośród dramatu wojennych nieszczęść i zagrożeń wynikających z niemal codziennych akcji dywersyjnych, Elżbieta Lubomirska zakochała się w Józefie Stadnickim. „Józio” był pięknym mężczyzną, nie mógł jednak poruszać się na własnych nogach po przebyciu choroby Heinego-Medina. Elżbieta przekonała zarówno swoją matkę jak i jego rodziców, że ich małżeństwo ma sens, że jest oparte na dojrzałym uczuciu. Rodzaj „bojowego” narzeczeństwa w partyzantce związał dwoje młodych arystokratów na śmierć i życie. Po trzech latach partyzanckiej batalii, szczęśliwie omijając śmiertelne pułapki oraz wiedząc, że wojna się kończy, narzeczeni wzięli ślub w kaplicy w majątku Sobańskich pod Gorlicami. Był październik 1944 r. Zamieszkali w Krynicy, nieopodal Nowego Sącza. Urodziło im się pięcioro dzieci. Ofiarność, determinacja, odpowiedzialność za rodzinę – czyli prawdziwa miłość, pozwoliły im przetrwać upokorzenia i szykany, jakich nie szczędzono im w komunistycznej Polsce. Rodzinę wspierali paulini z Jasnej Góry. W klasztorze jasnogórskim Elżbieta zdawała w czasie wojny egzamin maturalny w ramach tajnego nauczania.

Choroby dzieci wymusiły na ojcu rodziny poszukiwanie pomocy w Warszawie. Wracając na motorze do domu Józef Stadnicki uległ śmiertelnemu wypadkowi. „Pogrzeb mojego męża był prawdziwą manifestacją sprzeciwu wobec narzuconego nam reżimu (...)”. Przedziwnymi zbiegami okoliczności, aby ratować zdrowie syna, Elżbieta znalazła się we Francji. Fascynujące są te fragmenty wspomnień, w których wspomina swe zaangażowanie na rzecz Polski czasu Solidarności. Z poczuciem humoru opowiada o transportach żywności, przewożeniu mikrofilmów, o transporcie radiostacji lub półciągarówki potrzebnej ludziom Solidarności. „Wszystkie moje dzieci i ja włączyliśmy się do akcji pomocy dla Polski. Także robotnicy francuscy i ludzie ze wszystkich środowisk, również katolickich i szlacheckich, pomagali w zbieraniu darów, w ich właściwym przygotowaniu, by mogły trafić do Polski. Była to niesamowita praca”.

Autorka ze smutkiem spostrzega, że rewolucja soborowa dokonała we Francji (wiemy, że nie tylko we Francji) ogromnych zniszczeń Kościoła. Z niesmakiem i goryczą wspomina sytuację, gdy ksiądz Francuz zaproponował odprawienie Eucharystii przy stole codziennego posiłku. Autorka wspomnień wiedziała, że zatwardziały niedowiarek, gdy okaże się mu miłość, może nawrócić się na łożu śmierci. Dlatego odwiedzała chorych i umierających w szpitalach, nawet gdy już przekroczyła dziewięćdziesiątkę i była częściowo sparaliżowana.

We Francji dorastały i zdobyły wykształcenie dzieci i wnuki Józefa i Elżbiety Stadnickich. Na wieczorne promocyjnym książce *Na krawędzi epok* wnuczka autorki, Taida Meredith, czytała jej fragmenty. Piękna kobieta, podobna do Babci, wyrazistą, bezbłędną dykcją oraz najczystsza melodią języka polskiego prezentowała wspomnienia swej „baby”. „Film”, który przetoczył się przed moimi oczyma podczas lektury książki, wzruszał mnie. Ale nie było to rozczulanie się nad losem Lubomirskich i Stadnickich.

To był podziw i szacunek wobec osoby żyjącej głębią zasad religijnych otrzymanych w dzieciństwie: stać się takim człowiekiem, jakim chce nas widzieć sam Bóg. Porządek myślenia i działania może w tej relacji z losów własnego życia i życia bliskich zadziwiać. Jak to się stało, że utraciwszy „wszystko”, Elżbieta Stadnicka zachowała radość życia i wdzięczność Bogu za życie. Wytrwale, cierpliwie rozpoznawała, co naprawdę stanowi o godności człowieka, co jest najważniejsze.

Wspomina z estymą swe relacje z księciem kardynałem Adamem Stefanem Sapiehą (1867–1951), przez historyków uważanym za jedną z czołowych postaci w dziejach Kościoła polskiego pierwszej połowy XX w. Kardynała nazywa się także Księciem Niezlomnym, ze względu na postawę zarówno wobec Niemców, jak i komunistów. Autorka podziwia kardynała Stefana Wyszyńskiego (1901–1981), wielkiego kaznodzieję i przywódcę narodu polskiego. Pamięć o profesorze Stefanie Świeżawskim (1907–2004) pełna jest uszanowania za jego wielkość i skromność. Odnotujmy, że profesor jest autorem wielkiego, sześciotomowego opracowania *Dziejów filozofii europejskiej XV wieku*⁶.

Ksiądz Karol Wojtyła, potem Papież Jan Paweł II, dopytywał się, co robi Elżbieta i gdzie mieszka. Karol Wojtyła jest autorem słów: „Żaden człowiek nie ma ścieżek gotowych”.

Bohaterka autobiograficznej gawędy, dla której wybrano tytuł *Na krawędzi epok*, stanęła na ostrym brzegu czasów, na krawędzi, za którą wydawało się, już tylko przepaść. Przekroczyła tę ostrą granicę w sposób, który najgłębiej mnie porusza i za którym tęsknię. Jest nim poczucie godności księżniczki Elżbiety. Poczucie godności, które nie wpływa z faktu posiadania niegdyś magnackiego pałacu i tytułu, majątku i zasobów świadczących o wielkich zasługach jej przodków, o ofiarności na rzecz Polski. Tu chodzi

⁶ S. Świeżawski, *Dzieje filozofii europejskiej XV wieku*, Warszawa 1974.

o coś innego. Psychologia współczesna proponuje możliwość analizy osobistego życia między innymi w tzw. perspektywie przeszłościowej albo przyszłościowej. Podsumowywanie życia w perspektywie przeszłościowej mogłoby zrodzić w osobie o podobnej biografii tęsknotę za minionym czasem, żal, poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, odrzucenia i samotności. Takich uczuć nie ma jednak w tych wspomnieniach. Jakie więc dowody można przedstawić, że przeżywała swoje życie w perspektywie przyszłościowej? Takim dowodem jest pokora – przyjmowanie rzeczywistości taką, jaką jest, oraz służba i wspieranie tych, których „świat” odrzuca – starych, chorych, zapijaczonych, brudnych. Co więcej, czyniła to z uśmiechem prawdziwej radości i szczęścia!

Księżniczka Elżbieta żyła w perspektywie życia wiecznego. W perspektywie i w pragnieniu zbawienia. Taka była jej wiara – źródło godności człowieka: Bóg.

* * *

Zachwycony jestem Polską. Mijają mnie krajobrazy. Strumyk ukryty wśród traw. Rzeczka łącząca i dzieląca wzgórze. Zakole rzeki. Rozlewiska jezior. Oczka wodne zwrócone ku niebu. Woda, która zatrzymuje i rozlewa Ducha Świętego. Lasy iglaste, zimolubne. Tajemnica lasów mieszanych. Ich bezdroża i otulina w dramatach kolejnych wojen i powstań. W każdym drzewie odnajduję symbol życia. Piękne, wyniosłe, dumne życie. Pachnące wiatrem. Miodosytne lipy, sosny. Liście, lśniące świeżymi kroplami deszczu. Ich jesiennymi kroplami mogę obmyć twarz. Wielkie drzewa jakże często złamane wichurą historii lub gromem gniewu z jasnego nieba. Na skraju lasu nie ma już szumu kłósów. Ziarna spadły do polskiego chleba na zakwasie. Jest cisza zaoranej ziemi. W każdej piędzi ziemi odnajduję ślady i tropy polskiej historii. Ziemia, po której idę, niekiedy biegnę lub na którą padam na kolana, jest cmentarzem kolejnych pokoleń

i epok: ziemia – relikwiarz pod stopami. Oczyma przenoszę, podnoszę moją miłość wyżej – na szczyty katedr. Tam spżizowe dzwony wzywają do modlitwy tak głębokiej, jak głębok i mocny jest ich dźwięk. Mocna i wyrazista niech będzie nasza pamięć przybliżająca życie i śmierć poprzednich pokoleń. Jakże wzruszająca jest obecność katedr i kościołów w polskim pejzażu. W niebosiężnych kościołach znajdziemy zawsze pachnące kadzidłem echa gregoriańskich śpiewów. Nasłuchuję. Drżą struny fisharmonii w odrestaurowanej kaplicy średniowiecznej katedry. Ołtarze i monstrancje przypominają o modlitwie i kontemplacji tajemnicy natury, kultury, historii – człowieka i Boga.